

**ANNE MCCAFFREY**

**SMOCZE OKO**

tom trzynasty

***Jezdzy Smokow***

**PRZEKŁAD: KATARZYNA PRZYBOŚ**

**SCAN-DAL**

Książkę tę z wielkim szacunkiem dedykują  
Dieterowi Clissmannowi, który zaprowadza porządek  
w moich kolejnych komputerach i nigdy nie traktuje  
obojętnie rozpaczliwego wołania o Pomoc.

Kiedy Palec wskazuje  
Na Oko czerwone  
Niech się Weyry przygotowują  
A Nici zapłoną.  
z „Jeźdźców smoków „

## **PROLOG**

Rukbat w gwiazdozbiornie Strzelca była złotą gwiazdą typu G. Miała pięć planet, dwa pasy asteroidów i zbłąkaną planetę, którą przed kilkoma tysiącami lat przyciągnęła i zatrzymała. Gdy ludzie osiedlili się na trzeciej planecie Rukbatu i nazwali ją Pernem, początkowo niewiele uwagi zwracali na planetę — przybłądę, obiegającą swą nową gwiazdę po niesłychanie nieregularnej orbicie. Wkrótce jednak droga kapryśnego kosmicznego wędrowca przywiodła go w peryhelium siostrzanej planety.

Gdy aspekty obu ciał niebieskich były zgodne i nie zakłócone koniunkcją z innymi planetami układu, formy życia z obcej planety próbowały przedostać się przez przestrzeń kosmiczną do bardziej gościnnego świata o łagodniejszym klimacie.

Żarłoczne grzybopodobne organizmy początkowo powodowały przerażające zniszczenia. Koloniści zerwali kontakty z macierzystą Ziemią i dawno już zdemontowali wyposażenie statków kosmicznych „Yokohama”, „Bahrain” i „Buenos Aires”, musieli więc zwalczyć pasożyty środkami dostępnymi na niecywilizowanej planecie. Przede wszystkim potrzebowali obrony powietrznej przed zagrożeniem, które nazwali Nićmi. Posługując się zaawansowanymi technikami inżynierii genetycznej wyspecjalizowali do walki jedną z form życia na Pernie, wykorzystując niezwykle, pożyteczne cechy. Tak zwane jaszczurki ogniste umiały przeżuwać w jednym z dwóch żołądków skałę zawierającą fosfinę, przetwarzając ją w gaz, który przy wydechu zapalał się, zmieniając Nici w nieszkodliwy popiół. Ponadto, potrafiły się teleportować i dzięki darowi empatii porozumiewać się z ludźmi, choć w ograniczonym zakresie. Inżynierowie genetyczni przekształcili je w smoki, nazwane tak z powodu podobieństwa do mitycznych ziemskich stworów. Smoki te podczas wylęgu nawiązywały z konkretną, przedstawioną im osobą o empatycznych zdolnościach w więź o niespotykanej głębi, opartą na wzajemnym szacunku.

Koloniści przenieśli się na Kontynent Północny w poszukiwaniu schronienia przed zdradzieckimi Nićmi. Zamieszkali tam w systemach jaskiń, a nowe domy nazwali

Warowniami. Jeźdźcy smoków ze swoimi bestiami zajęli kratery wygasłych wulkanów, zakładając tam Weyry.

Pierwsze Przejście Nici trwało niemal pięćdziesiąt lat; ze wszelkich danych zebranych przez naukowców wynikało, że problem powróci za 250 lat, wraz z wędrującą planetą, która wtedy znów zbliży się do Pernu. Podczas przerwy między Przejściami smoki rozmnażały się, a każde kolejne pokolenie było nieco większe od poprzedniego, choć optymalną wielkość miały osiągnąć dopiero w dalekiej przyszłości. Ludzie zaś poznawali coraz większe połacie Kontynentu Północnego, budując wszędzie Warownie, siedziby mieszkalne i ośrodki, w których młodzi ludzie zdobywali wykształcenie ogólne i zawodowe.

Niejeden z mieszkańców planety zapomniał o zagrożeniu. Jednak w Warowniach i Weyrach zgromadzono stosy sprawozdań, kronik, map i wykresów, by władcy ludzkich i smoczych siedzib wiedzieli o nadchodzących trudnościach. Dokumenty te miały służyć następnym pokoleniom radą i pomocą w okresie, gdy przeklęta planeta znów zbliży się do Pernu i trzeba będzie rozpocząć przygotowania. A oto, co zdarzyło się w 257 lat później.

## **ROZDZIAŁ I**

### **ZGROMADZENIE W WAROWNI FORT WCZESNĄ JESIENIĄ**

Eskadry smoków kreśliły po niebie skomplikowane wzory, łączyły się w skrzydła, które pikowały i wznosiły się, zachowując minimalny dystans między sobą. Widzom zdawało się, że widzą nieprzerwaną linię smoków wykonujących manewry, przy których niemal stykały się skrzydłami.

Tego dnia wczesną jesienią, niebo nad Warownią Fort, najstarszą ludzką siedzibą na Kontynencie Pomocnym, przybrało barwę błękitu, a powietrze miało ową charakterystyczną przejrzystość, jaką bez chwili wahania rozpoznaliby dalecy przodkowie Perneńczyków, mieszkający w Nowej Anglii na kontynencie północnoamerykańskim. Smocze skóry lśniły zdrowiem w promieniach słonecznych, a złociste królowe, kołujące nad Warownią tak nisko, że niemal dotykały wierzchołków pobliskich gór, jarzyły się ciepłym blaskiem. Wspaniały był to widok i nieodmiennie budził dumę w sercach widzów; z jednym lub dwoma wyjątkami.

— No, nareszcie — stwierdził Chalkin, Lord Warowni Bitra i jako pierwszy odwrócił wzrok od parady, choć jeszcze się nie skończyła.

Pokręcił głową i rozmasował szyję w miejscu, gdzie bogaty haft świątecznej koszuli podrażnił mu skórę. Nawet i on w czasie manewrów kilka razy wstrzymał oddech z wrażenia, ale nigdy by się do tego nie przyznał. Jeźdźcy smoków byli wystarczająco zarozumiali nawet

bez pochlebstw, które tylko niepotrzebnie utwierdzały ich w nadmiernie rozwiniętym poczuciu własnej ważności. Bez przerwy pojawiali się w jego Warowni i wręczali jakieś listy obowiązków, których nie dopełnił, choć powinien to zrobić przed Opadami Nici. Prychnął pogardliwie. Kto bierze na poważnie te bzdury? Rzeczywiście, w zeszłym roku szalały niezwykle silne burze, ale przecież takie rzeczy się zdarzają. Dlaczego niby miałyby oznaczać zbliżające się Przejście? Zimy są zawsze burzliwe.

A te wybuchy wulkanów, którymi wszyscy zawracają sobie głowę? Przecież wulkany zawsze wybuchają, to są naturalne zjawiska, jeśli dobrze zapamiętał szkolne lekcje. Co z tego, że akurat teraz trzy albo cztery z nich stały się aktywne? Dlaczego zaraz wiązać to z bliskością niebiańskiego sąsiada? On, Chalkin nie będzie wysyłał strażników, by marzli po nocach, wypatrując na wschodzie tej przeklętej planety, tym bardziej że wszystkie pozostałe Warownie już postawiono w stan gotowości. I co z tego, że orbita tamtej planety przebiega w pobliżu Pernu? To jeszcze nie oznacza niebezpieczeństwa, choćby nawet przodkowie zapisali setki stron bzdurami o cyklicznych inwazjach.

Smoki zaś to kolejny dziwaczny eksperyment pierwszych osadników. Zmienili latające stworzenia tak, by zastąpiły samoloty, którymi już nie można się było posługiwać. Chalkin widział ślizgacz, przechowywany jako eksponat w Hucie w Telgarze. Wolałby latać takim pojazdem niż na smoku, a poza tym nie trzeba byłoby znosić lodowatej pustki w czasie teleportacji. Zadygotał. Nienawidził tego przenikliwego zimna, nawet jeśli dzięki niemu unikało się nużących podróży naziemnych. Na pewno z tych wszystkich danych, które ludzie muszą kopiować na Uniwersytecie, można bez trudu wyczytać, czym zastąpić paliwo, używane przez starożytnych do napędzania ślizgaczy. Dlaczego żaden mądrała na to nie wpadł, zanim ostatni ślizgacz rozsypał się na kawałki? Dlaczego jajogłowi nie wymyślili innych napowietrznych pojazdów? Takich, którym nie trzeba uprzejmie dziękować za to, że spełniają swoją funkcję! Spojrzał w dół, na szeroką drogę, gdzie rozstawiono stoły i stragany. Przy jego stoiskach było pusto: nawet zawodowi hazardziści przyglądali się pokazom. Trzeba będzie później powiedzieć im coś do słuchu. Źle, że mimo smoczej parady nie potrafili zatrzymać klientów przy różnych grach losowych. Cała ta zabawa trwa już zresztą tak długo, że z pewnością wszyscy zdążyli się napatrzyć. No cóż, przynajmniej wyścigi poszły nie najgorzej, a że bukmacherzy byli jego ludźmi, dostanie nieźły procent od zakładów.

Wracając na miejsce spostrzegł, że na stołach pojawiły się butelki wina w kubelkach z lodem. Z zadowoleniem zatarł upierścienione palce, aż czarne istańskie diamenty zaśniły w promieniach słońca. Przybył na Zgromadzenie tylko dla tego wina, nie był zresztą do końca przekonany, czy Hegmon nie dopuścił się przy tej okazji jakiegoś drobnego oszustwa. Dziś

miał zaprezentować nowe musujące wino, w rodzaju szampana, jakie podobno pijano na starej Ziemi. Ach, naturalnie, jedzenie z pewnością będzie doskonałe, nawet jeśli wino nie spełni szumnych zapowiedzi. Paulin, Lord Warowni Fort, skłonił do pracy u siebie jednego z najlepszych szefów kuchni na kontynencie. Wieczorny posiłek zapowiada się wspaniale i na pewno nie będzie nieprzyjemnie ciężać w żołądku w czasie nudnego, obowiązkowego posiedzenia po ucztach. Chalkin sam chciał zatrudnić tego człowieka, ale Chrislee wzgardził pracą w Bitrze, a jego odmowa długo psuła humor Lordowi.

Przebiegł w myśli wszystkie możliwe wymówki, które pozwoliłyby mu odjechać zaraz po posiłku, szukając najbardziej prawdopodobnej i możliwej do przyjęcia przez pozostałych zebranych. Wszyscy twierdzą, że niedługo ma być Opad, więc lepiej nie zrażać do siebie niektórych ludzi. Gdyby zaś odjechał przed ucztą... cóż, wtedy nie spróbowałby tego szampańskiego wina, a bardzo mu na tym zależało. Zadał sobie niedawno trud i sam pojechał do winnic Hegmona w Bendenie, nie kryjąc się z zamiarem zakupienia wielu skrzynek. Hegmon nawet do niego nie wyszedł. Ach, jego najstarszy syn przeproszał gorąco, gdyż jakiś ważny moment w procesie fermentacji wymagał ciągłej obecności ojca w piwnicach — ale skończyło się na tym, że on, Chalkin, nawet nie zdołał umieścić swego nazwiska na liście chętnych do kupna musującego specjału. Ponieważ Weyr Benden z pewnością zagarnie lwią część rocznika, trzeba będzie utrzymywać dobre stosunki z tamtejszymi Przywódcami. Jeśli przypadkiem zaproszą go za kilka tygodni na Wylęg, będzie mógł opić się do woli ich przydziałem. Whera można obedrzeć ze skóry na wiele sposobów, nieprawdaż?

Zatrzymał się, by dotknąć butelki w kubelku z lodem. Doskonale schłodzona. Oczywiście, to jeźdźcy przywieźli Paulinowi lód z Dalekich Rubieży. Ciekawe, że kiedy on, Lord Warowni Bitra, potrzebował takiej prostej rzeczy, nie było chętnych, by go zadowolić. Hmm... No cóż, niektóre Rody zawsze są faworyzowane, a władza nie znaczy tyle, ile powinna, co do tego nie ma dwóch zdań!

Ukradkiem przypatrywał się naklejce na butelce, gdy nagle usłyszał, jak przestraszeni widzowie gwałtownie wciągają powietrze, by po chwili wydać radosny okrzyk. Spojrzawszy w górę, stwierdził, że przegapił kolejny niebezpieczny manewr... Ach, tak, jeszcze raz pokazali akcję ratowniczą w powietrzu. Spizowy smok wysunął się spod błękitnego, który symulował kontuzję skrzydła; obaj jeźdźcy siedzieli bezpiecznie na karku spizowego. To pewnie ten straceniec, Przywódca Weyru Telgar.

Do okrzyków dołączyły się brawa i głęboki ton bębnow orkiestry, oglądającej popisy z podium na szerokim dziedzińcu między schodami wiodącymi do głównego wejścia do

Warowni, i dwoma przylegającymi do niej skrzydłami. Znowu rozbudowują szpital i Uniwersytet, sądząc po rusztowaniach. Chalkin prychnął pogardliwie, gdyż obydwie budynki wystawały daleko poza skalną ścianę, wystawione na ataki Nici, które jakoby miały wkrótce zacząć opadać. Ależ oni wszyscy są niekonsekwentni. Naturalnie, drażnienie tuneli w urwisku jest bardziej czasochłonne niż budowanie na wolnym powietrzu. Zbyt wielu ludzi jednak wygłasza tu kazania, a sami się do nich nie stosują.

Pomrukiwał pod nosem cierpkie słowa, ciekaw, czy Przywódca Weyru zaakceptował projekt przebudowy. Te całe Nici! Prychnął ponownie i pomyślał, że czas, by Paulin z żoną przestali słodko gruchać z Przywódcami Weyru, których kurtuazyjnie prowadzili na miejsce przy głównym stole, i pośpieszyli się nieco. Coraz bardziej niecierpliwił się, by wreszcie spróbować musującego białego wina.

Przebierając palcami po stole czekał, aż gospodarz da wreszcie hasło do otwarcia butelek, ułożonych kuszaco na lodzie.

— Następnym razem poczekaj na mój sygnał! — warknął K'vin, jeździec spizowego Charantha, prosto w ucho siedzącego przed nim młodego błękitnego jeźdźca.

P'tero w odpowiedzi uśmiechnął się łobuzersko i odwrócił do niego. Niebieskie oczy młodzieńca lśniły wesoło.

— Wiedziałem, że mnie złapiesz! — zawołał. — Nigdy byś nie dopuścił, żebym przed taką publicznością zawisł na pasie i wydał jeden z sekretów Weyru!

P'tero uspokajająco pomachał do Ormontha który, zaniepokojony, nie odstępował Charantha. Leciał tak blisko, że końce ich skrzydeł niemal stykały się ze sobą. Błękitny jeździec w dalszym ciągu był połączony ze swoim smokiem mocnymi, choć niewidocznymi z ziemi, pasami bezpieczeństwa. Odpiął sprzączkę i rzemienie zwisły swobodnie w powietrzu.

— Masz szczęście, że akurat wtedy spojrzałem w górę! — odpowiedział K'vin tak ostro, że bezczelny młodziak zaczerwienił się po czubki uszu. — Patrz, jak twój Ormonth się wystraszył! — dodał i wskazał na błękitną bestię, której skóra lśniła nierównymi plamami po przeżytych szoku.

P'tero odkrzyknął coś niezrozumiale, więc K'vin pochylił się ku niemu, przysuwając ucho do jego ust.

— Nic mi nie groziło — powtórzył chłopak. — Miałem nowe rzemienie, a Ormonth przyglądał się, jak je splatam!

— Ha!

Wszyscy smoczy jeźdźcy wiedzieli, że smoki nie zawsze potrafią prawidłowo połączyć przyczynę i skutek. Ormonth prawdopodobnie nie skojarzył, że nowe pasy

oznaczają całkowite bezpieczeństwo jeźdźca.

— Ach, dziękuję — dodał P'tero, gdy K'win przypiął mu do pasa jeden z własnych rzemieni. Wprawdzie mieli tylko lądować, ale starszy jeździec chciał w ten sposób przypomnieć młodszemu o obowiązkach.

K'win cenił odwagę, ale nie lubił ryzykanctwa, zwłaszcza teraz, gdy stanowiło to zagrożenie dla smoka w obliczu bezpośredniej bliskości Opadu. Trzymał jeźdźców krótko, ale dzięki temu w jego Weyrze do tej pory nie zginął jeszcze żaden smok ani jeździec. I dopilnuje, by tak było nadal.

P'tero, zsuwając się z grzbietu błękitnego smoka przed umówionym sygnałem, podjął niepotrzebne ryzyko. Na szczęście K'win zauważył jego ruch. Serce podeszło mu do gardła, choć wiedział, że chłopak jest przypięty do swego smoka wyjątkowo mocnymi i długimi pasami. Nawet gdyby Charanth nie zdołał pochwycić spadającego jeźdźca w powietrzu, długie pasy uratowałyby go przed śmiertelnym upadkiem. Mimo wszystko, manewr należało uznać za nieudany, gdyż był nieprecyzyjny. Poza tym, gdyby Charanth okazał się nieco mniej zwinny, beztroska P'tera skończyłaby się pewnie złamaniem kostki albo poważnymi stłuczeniami. Pasy, choćby nie wiem jak szerokie, powstrzymały upadek gwałtownym szarpnięciem.

P'tero w dalszym ciągu nie poczuwał się do winy. K'win miał tylko nadzieję, że ćwiczenie wywołało efekt, na jaki liczył zakochany po uszy młokos. Komuś w dole bez wątplenia serce uciekło w pięty ze strachu, a chłopak tego wieczoru z pewnością obróci te emocje na swoją korzyść. Szkoda, że tak niewiele dziewcząt przybywa, by Naznaczać zielone smoczyce. Kobiety są spokojniejsze i bardziej odpowiedzialne. Niestety, rodzicom zwykle zależy na gromadzeniu przydziałów ziemi dzięki małżeństwom potomstwa, a jeźdźcom i jeźdźczyniom smoków nie przysługuje ziemia. Oto dlaczego coraz mniej dziewcząt staje na piaskach Wylęgarni. Smoki biorące udział w wielkiej paradzie lądowały na szerokiej drodze za dziedzińcem, by zsadzić jeźdźców, i zaraz potem startowały w niebo, szukając miejsc, gdzie mogły się rozkoszować ciepłym jesiennym słońcem. Wiele z nich kierowało się na skały, gdyż na pagórkach wokół ogniw słonecznych zrobił się już tłok. Można było zaufać smokom, że nie nadepną na bezcenne resztki wielkich paneli. Naturalnie, te zainstalowane w Forcie były najstarsze i dwa z nich stracono bezpowrotnie zeszłej zimy, w czasie silnej zawieruchy, niezwykłej dla tej pory roku. Tutejsza Warownia, największa i najstarsza z siedzib na Kontynencie Pomocnym, potrzebowała pełnej mocy wszystkich urządzeń, by ogrzewać i napowietrzać labirynt korytarzy i utrzymywać w gotowości wszelkiego rodzaju maszyny. Na szczęście w okresie, gdy gorączkowo przygotowywano do zamieszkania nowe

Weyry i Warownie, skonstruowano tyle paneli, że z pewnością nie zabraknie ich jeszcze przez wiele pokoleń.

Przywódcy Weyrów zasiedli u szczytu głównego stołu, wraz z Lordami Warowni i Mistrzami rzemiosł, zaś jeźdźcy dobierali sobie towarzystwo wedle upodobania, sadowiąc się przy stolikach rozstawionych na szerokim placu otaczającym Warownię. Wyrwano nawet najmniejsze trawki, pomyślał K'vin z aprobatą. S'nan, Przywódca Weyru Fort, zawsze był drobiazgowo dokładny, i słusznie.

Orkiestra zagrała żwawą melodię i na drewnianej estradzie zawirowały pierwsze pary. Obok, na brukowanym rynku, porozstawiano stragany, namioty i stoły, pełne towaru na sprzedaż i wymianę. Handel szedł dobrze przez cały dzień, szczególnie tam, gdzie zaopatrywano się w rzeczy potrzebne na długie zimowe miesiące, gdy nie będzie tylu Zgromadzeń. Rzemieślnicy się ucieszą, a i smokom będzie lżej w drodze powrotnej.

Charanth krążył nad nowymi przybudówkami Warowni, w których mieścił się pernański główny szpital i laboratorium oraz kolegium nauczycielskie. Nocowali tam również ochotnicy, którzy z oddaniem pracowali nad ratowaniem zniszczonych wiosną danych. Katastrofa zdarzyła się, gdy woda zalała przestronne jaskinie magazynowe pod Fortem. Jeźdźcy zaofiarowali się, że poświęcą tej pracy czas wolny od szkoleń. Przyjmowano każdego, kto potrafił czytelnie pisać, a Lord Paulin błyskawicznie zapewnił kopistom dach nad głową. Pozostałe Warownie dostarczyły budulec i robotników.

Skrzydło mieszczące Uniwersytet zabezpieczono przeciw Niciom stromymi dachami z łupków wydobywanych w Telgarze i otoczono fosami uchodzącymi do podziemnych cystern, w których miały się topić zabłąkane tam Nici. Wszyscy rzemieślnicy, włącznie z tymi, którzy mieli zamieszkać w nowych budynkach, woleliby rozbudowywać system grot, ale niedawno zdarzyły się dwa poważne zawały i w trosce o stabilność całego zbocza inżynierowie górnicy zabronili dalszych wierceń. Nawet zmutowane, tęposkrzydłe, nielotne whery—stróże, cierpiące na wrodzony światłowstręt, odmówiły dalszych prac pod ziemią, co zdaniem ich opiekunów oznaczało niebezpieczeństwo, niewyczuwalne ludzkimi zmysłami. Cóż było robić, zaprojektowano budowle naziemne o potężnych ścianach, niemal trzymetrowej grubości na parterze, dwumetrowych na piętrze. Kopalnie rudy żelaza w Telgarze pracowały pełną parą, więc bez problemu odlano belki, zdolne wytrzymać tak wielki ciężar.

Budowa miała zostać ukończona za miesiąc. Nawet w takie święto na rusztowaniach wrzała praca, choć robotnicy zrobili sobie przerwę na obejrzenie napowietrznej parady i skończyli wcześniej, by nie ominęła ich wieczorna uczta i zabawa.

Charanth wylądował z wdziękiem, a Ormonth usiadł tuż za nim, by P'tero mógł zdjąć



dyndające u siodła pasy bezpieczeństwa, zanim ktokolwiek je zauważy. Właśnie kończył, gdy M'leng, jeździec zielonego Sitha, podszedł i zwymyślał go znacznie ostrzej, niż mógłby to uczynić Władca Weyru.

— Przez twoje wysokie serce podeszło mi do gardła — zaczął. K'vin uśmiechnął się w myśli, widząc, jaki pokorny stał się P'tero słysząc te gwałtowne słowa. Przywódca zwinął pasy i umocował je przy siodle.

— Idź pogrzać się na słońcu, przyjacielu — powiedział, klepiąc Charantha po szerokiej łopacie.

Już idę. Meranath na mnie czeka, odparł spiżowy smok z wielkim zadowoleniem. Wyskoczył w górę jednym potężnym wybiciem, obsypując jeźdźca żwirem.

Stosunek Charantha do partnerki na poły bawił, na poły rozczulał jeźdźca. Nikt się nie spodziewał, że dziewięć miesięcy temu, po śmierci B'nera, przywództwo Weyru przypadnie w udziale K'winowi. Kto mógł przypuszczać, że krzepki, ledwie sześćdziesięcioletni jeździec, może mieć kłopoty z sercem? A to właśnie, zdaniem lekarzy, stało się przyczyną jego śmierci. Tak więc, gdy Meranath ponownie weszła w okres godowy, Władczyni Weyru Telgar Zulaya oświadczyła, że do nikogo nie żywi szczególnego upodobania i ogłosiła otwarty lot, tak, by smoki mogły zdecydować, kto zostanie kolejnym Przywódcą. Była szczerze przywiązana do B'nera i prawdopodobnie cierpiała z powodu jego śmierci. Naturalnie, nie mogła narzekać na brak zalotników.

K'vin pozwolił Charanthowi wznieść się do lotu godowego tylko dlatego, że spodziewano się udziału wszystkich przywódców skrzydeł z Telgaru, a także spiżowych ze wszystkich Weyrów. Wcale nie pragnął kierować Weyrem na początku Przejścia. Sądził, że jest zbyt młody na taką odpowiedzialność. Obserwując B'nera doszedł do wniosku, że zwykle obowiązki Przywódcy w czasie Przerwy są wystarczająco ciężkie, a przecież w tym okresie Przywódcy Weyru wcale nie dręczy myśl o tym, że wielu smoczych braci zostanie wkrótce rannych, albo nawet zginie. Podczas Przejścia zbyt wiele ludzkich istnień zależy od doświadczenia dowódcy, a to stanowi ciężar nie do udźwignięcia. Po wyborze nieraz dręczyły go nocne koszmary, a przecież Opady nawet się nie zaczęły. Gdy czasem budził się ze strasznych snów w łóżku Zulayi, kobieta zawsze była pełna zrozumienia i ze spokojem dodawała mu pewności siebie.

B'ner też się zamartwiał, jeśli cię to choć trochę pocieszy, Kev — mawiała, używając dawnego zdrobnienia i odgarniała mu kędziory ze spoconego czoła, a on dygotał z przerażenia. — Też miał straszne sny. To zawodowe ryzyko. Zwykle po takiej koszmarnej nocy przeglądał notatki Seana. Pewnie znał je na pamięć. Zauważyłam, że robisz to samo.

Kev, gdy nadejdzie bezpośrednie zagrożenie, dasz sobie radę. Jestem tego pewna.

Ach, Zulaya potrafiła być taka przekonywająca. Ale była przecież o dziesięć lat starsza i miała dużo więcej doświadczenia w kierowaniu Weyrem. Czasami jej intuicja budziła lęk. Władczyni potrafiła przewidzieć, ile każda smoczyca złoży jaj, jakiego będą koloru, a także, jakiej płci dzieci urodzą się w Weyrze. Czasem przepowiadała także pogodę. Nic dziwnego, że wiedziała niejedno, bo przecież od urodzenia mieszkała wśród smoków, a nadto w prostej linii pochodziła od jednej z pierwszych jeźdźczyń, Aliany Zuleity. O dziwo, złote królowe zwykle wybierały kobiety spoza Weyru, czasem jednak sprzeciwiały się tradycji i Naznaczały mieszkankę smoczej siedziby.

Mimo jej pewności, bezustannie przeglądał opisy kolejnych Opadów, zupełnie jak jego poprzednik. Analizował różnice między nimi, uczył się, jak poznać po skraju Opadu, czy będzie on typowy, czy też nie. Zazwyczaj zapisy były suche i rzeczowe, lecz nawet w prozaicznych notatkach kryła się opowieść o wielkiej odwadze, szczególnie gdy opisywały, jak pierwsi jeźdźcy musieli nauczyć się walki z Nićmi, a przecież nie było im łatwo, bo stanowiło to dla nich całkowitą nowość.

K'vin był ciotecznym praprawnikiem Sorki Connell, pierwszej Władczyni Weyru. Zulaya nie raz mu o tym przypominała. Cały Weyr czerpał nadzieję z tej wiedzy.

— Może dlatego Meranath pozwoliła się pochwycić Charanthowi —powiedziała Zulaya poważnie, choć w jej oczach tańczyły chochliki.

— Czy ty.... to znaczy... czy o mnie myślałaś... no, wiesz... — K'vin z trudem szukał właściwych słów. Rozmowa odbyła się dwa tygodnie po tamtym pamiętnym locie. Zulaya odpowiedziała wtedy na jego pieszczoty z oszołamiającym żarem, lecz później traktowała go obojętnie i nie zawsze zapraszała na noc do swej kwatery, mimo że oba smoki były nierozłączne.

— Słyszałeś, żeby ktoś był w stanie myśleć w czasie lotu godowego? Ale naprawdę cieszę się, że to Charanth okazał się taki sprytny. Choć nie wiadomo, czy dziedziczność ma w tym przypadku jakiegokolwiek znaczenie, wszyscy czujemy się pokrzepieni na duchu tym, że Weyrowi Telgar przewodzi cioteczny praprawnuk pierwszej Władczyni Weyru Fort, w dodatku pochodzący z rodziży, która wielokrotnie Naznaczała podczas Wylęgów.

— Zulayo, nie jestem moją cioteczną praprababką., wiesz? Zachichotała.

— I całe szczęście, bo nie mógłbyś być Przywódcą Weyru, ale dobra krew zawsze się odzywa w potomkach!

Choć bezpośredniość partnerki często zbijała go z tropu, w żaden sposób nie mógł odgadnąć, co Zulaya czuje do niego osobiście, jako kobieta, a nie władczyni Weyru. Była

miła, pomocna, doradzała mu rozsądnie gdy rozmawiali o szkoleniu jeźdźców, ale zachowywała się przy tym tak... bezosobowo. K'vin doszedł do wniosku, że jego partnerka jeszcze nie pogodziła się ze śmiercią B'nera.

Sam czerpał pewną pociechę z tego, że jego cioteczna praprababka jakoś przetrwała Opady, a zatem i jemu może się to udać. Podobnie jak dwójce rodzeństwa i czwórce kuzynów, którzy również dosiadali smoków. Ale żadne z nich nie było Przywódcą Weyru... jak na razie. No cóż, jeśli jego jeźdźcy czuli się pewniej, wiedząc, że w bój poprowadzi ich ktoś z krwi Ruathy, jak przed nim Sorka, M'hall, M'dani, Sorana i Mairian, trzeba będzie dodawać im sił tym argumentem w ciągu całego Przejścia.

A teraz, podczas tłumnego Zgromadzenia, najprawdopodobniej ostatniego przez następnych pięćdziesiąt lat pod niebem wolnym od Nici, obserwował jak jego Władczyni opuszcza Lordów z Telgaru i zbliża się ku niemu, przemierzając przestronny dziedziniec długimi krokami.

Zulaya była wysoka i długonoga, więc łatwo mogła dosiadać smoka. K'vin przewyższał ją o głowę. Twierdziła, że to jej się podoba; B'ner zaledwie dorównywał jej wzrostem. Jej uroda niezmiennie fascynowała młodego Przywódcę: czarne jak atrament kędziory uwolnione spod hełmu, spływały aż do pasa i okalały szeroką twarz o wysokich kościach policzkowych, kontrastując ze smagłą, gładką cerą i ogromnymi, lśniącymi oczyma o odcieniu tak głębokiej szarości, że aż bliskiej czerni. Szerokie, zmysłowe usta i ostro zarysowany podbródek nadawały tej twarzy siłę i zdecydowanie, umacniając autorytet Władczyni. Szła śmiało, w odróżnieniu od niektórych kobiet z Warowni, potrafiących tylko dreptać. Podkute stałą buty dźwięczały na bruku, a ramiona poruszały się zamasyście. Zdażyła nałożyć na jeździecki mundur długą, rozciętą z boku spódnicę, która rozchyłała się w rytm kroków, ukazując kształtną nogę w skórzniach i wysokich jeździeckich butach. Opuściła cholewy do kostek, a rude futro ładnie kontrastowało z resztą stroju, harmonizując z wykończeniem mankietów i rozchylonego kołnierza. Jak zwykle miała na szyi zdobiony wisior z szafirem, który odziedziczyła jako najstarsza kobieta ze swego Rodu.

— Jak tam, czy P'tero zdobył na wieki serce M'lenga tą waszą sztuczką? — spytała zirytowanym głosem. — Spójrz, poszli razem — dodała, spoglądając w stronę obu jeźdźców, kierujących się do prowizorycznych namiotów mieszczących rząd prycz.

— Mogłabyś z nimi później porozmawiać. Boją się ciebie — odpowiedział z uśmiechem.

— I mają rację. Już ja się z nimi policzę za takie głupie zachowanie — rzekła żwawo i podskoczyła, dopasowując się do jego długich kroków. — Najwyższy czas, byś się nauczył

spoglądać karcąco na swoich ludzi. — Popatrzyła na K'vina, potrząsnęła głową i westchnęła smutno. Od dawna dokuczala mu, że jest zbyt przystojny. Rude włosy Hanrahanów, błękitne oczy i piegi nie budziły w ludziach respektu. — Nie, twoja twarz się do tego nie nadaje. Najlepiej będzie, jeśli Meranath skarci Sitha za to, że błękitny smok naraził się na niebezpieczeństwo.

— Tak jest, najlepiej trafiać w najwrażliwsze miejsce — przytaknął K'vin wiedząc, że Meranath potrafi utrzymać dyscyplinę wśród smoków znacznie lepiej niż ktokolwiek z ludzi, włączając w to ich własnych jeźdźców. — To był niewiarygodnie głupi wybryk.

— Natomiast wszyscy Telgarczycy uznali, że to wspaniały popis — wygłosiła afektowanym tonem i odchrząknęła. — Tym bardziej że nigdy nie zobaczą tego manewru w czasie prawdziwej akcji. — Mówiąc to skrzywiła się z pogardą.

— Ach, przynajmniej Telgarczycy w nas wierzą — westchnął. — A kto nie wierzy?

— Chociażby Chalkin.

— Ach, on! — Jej zdaniem Lord Warowni Bitra był nic niewart i nigdy nie kryła się z tym osądem.

— I z pewnością nie jest jedyny, bo ostatnio spotykamy się z coraz większą niezyczliwością.

— Teraz? Gdy Pierwszy Opad ma nastąpić już za kilka miesięcy? — zdenerwowała się Zulaya. — Powiedz mi zatem, miły panie, po co w ogóle są smoki, jeśli nie potrzebujemy ich do napowietrznej obrony całego kontynentu? Ach, naturalnie, jesteśmy dobrymi przewoźnikami, ale to jeszcze nie usprawiedliwia naszego istnienia.

— Spokojnie, droga pani. Usiłujesz nawrócić nawróconego. Zamruczała z niesmakiem. Właśnie wchodzili na schody wiodące na

Wysoki Dziedziniec. Wzięła go pod rękę, by zgromadzeni ujrzeli przykładną, związaną uczuciowo parę Przywódców Weyru. K'vin zduśił westchnienie, żałując, że to tylko poza na użytek ewentualnych obserwatorów.

— Chalkin już się opija nowym winem Hegmona — zirytowała się Zulaya.

— A jak myślisz, po co tu w ogóle przyjechał? — spytał jej partner, zręcznie lawirując, by ominąć Bitrańczyka, który mlaskał wargami i chciwie, wpatrywał się w kieliszek. — Choć, prawdę mówiąc, gracze także mieli dziś sporo możliwości zarobku.

— Jedno jest pewne. Słyszałam, że nie ma go na liście Hegmona — powiedział, gdy zatrzymali się przy stole, gdzie wybrali sobie miejsce władcy Telgaru, Weyru i Warowni Dalekich Rubieży a także Lordowie Tilleku. Do nich dosiedli się jeszcze pierwszy kapitan floty rybackiej Tilleku wraz z nowo poślubioną młodziutką żoną.

— Wspaniały pokaz — gratulował jowialny wilk morski, Kizan. — Prawda, Cherry, kochanie?

— Och, tak, naprawdę wspaniały. — Dziewczyna klasnęła w ręce afektowanym gestem. Widać było jednak, że czuje się oszołomiona towarzystwem, w jakim wypadło jej przebywać na tym Zgromadzeniu i wszyscy starali się ją ośmielić. Kizan powiadomił ich na stronie, że jego żona pochodzi z małej nadmorskiej Warowni i choć jest niezrównaną żeglarką, niewiele ma światowego obycia. — Często obserwowałam smoki na niebie, ale żadnego nie widziałam z bliska. Są takie piękne.

— Nie jeździłaś jeszcze na smoku? — spytała uprzejmie Zulaya.

— Ach, skądże znowu. — Cherry skromnie spuściła oczy.

— To się może wkrótce zmienić — zauważył jej mąż. — Przybyliśmy na Zgromadzenie drogą lądową, ale powinniśmy chyba sprawdzić, czy nam coś przypadkiem nie przysługuje...

— Ależ oczywiście, kapitanie — odparł natychmiast G'don, Przywódca Weyru Dalekich Rubieży. — Nie wykorzystujecie nawet połowy lotów, do których macie prawo.

Mari, jeźdźczyni królowej, przytaknęła i uśmiechnęła się zachęcająco na widok przerażonej miny Cherry.

— Cóż widzę? — dokuczał żonie Kizan. — Kobieta, która potrafi bez jednej skargi wytrzymać na żaglowcu sztorm o mocy dziewięciu stopni, niepokoi się na myśl o podróży na smoku?

Cherry chciała się odciąć, ale nie potrafiła znaleźć słów.

— Nie ma z czego się śmiać — łagodziła Mari. — Lot na smoku bardzo różni się od żeglowania własnym statkiem, ale mało kto odmówiłby sobie przejażdżki.

— Ach, ja wcale nie odmawiam — żarliwie odpowiedziała dziewczyna. Jak dziecko, które boi się, że odbiorą mu obiecaną zabawkę — pomyślał

K'vin, z trudem ukrywając uśmiech.

— Dajcie jej wreszcie spokój — skarciła wszystkich Salda, Pani na Telgarze. — Pamiętam, jak sama pierwszy raz leciałam na smoku...

— Nie do wiary, to było przecież tak dawno — wtrącił jej mąż, Lord Tashvi. — Za to nie pamiętasz, gdzie wsadziłaś ten stos dodatkowych koców...

— Tylko nie zaczynaj od nowa! — zmarszczyła brwi Salda, ale wszyscy przy stole, włącznie z młodą Cherry, doskonale wiedzieli, że Władcy Telgaru często toczą takie słowne pojedynki.

— Jeszcze nie odkorkowaliście wina? — spytał niecierpliwie ktoś z tyłu. Odwrócili

się i ujrzeli winiarza Hegmona, niewysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę o siwych włosach, zaczerwienionej twarzy i wiśniowym nosie, który w żartach zawsze określał jako chorobę zawodową.

— Zrób nam ten zaszczyt. — Tashvi wskazał na schłodzone butelki. Hegmon chętnie się zgodził i wkrótce w jego doświadczonych rękach korek śmignął z szyjki z głośnym puknięciem. Wino speniło się nieco, ale mistrz prędko podstawił kieliszek i nie uronił ani jednej kropli.

— Tym razem nam się udało — stwierdził, napełniając podsuwane po kolei kieliszki.

— Wygląda bardzo atrakcyjnie, nieprawdaż? — Salda uniosła kieliszek i przyglądała się wędrującym w górę bąbelkom.

Thea, Pani Warowni Dalekich Rubieży poszła w jej ślady, a potem powąchała płyn.

— Ach, na honor, te bąbelki łaskoczą — stwierdziła i zasłoniła nos dłonią w sam czas, by ukryć kichnięcie.

— Spróbujcie wreszcie tego wina — domagał się Hegmon.

— Mmm — zachwycił się Tashvi, a głos Kizana odpowiedział mu jak echo.

— W dodatku jest wytrawne — pochwalił kapitan. — Spróbuj, Cherry, wcale nie przypomina w smaku win z Tilleku, które najczęściej bywają kwaśne i ostre.

— Ach, ach — w głosie Cherry brzmiał czysty zachwyt. — Jest takie dobre!

Hegmon uśmiechnął się na tę szczerość i z dumą przyjmował pochwalne kiwnięcia głową od pozostałych biesiadników.

— Mnie również smakuje — przytaknęła Zulaya, pociągawszy łyk. — Bardzo przyjemne.

— Słuchaj Hegmon, może byś mi dołał — przy stole pojawił się Chalkin, wyciągając kieliszek ku butelce w rękach winiarza.

Hegmon uniósł szyjkę i rzucił Chalkinowi chłodne spojrzenie.

— Przy twoim stole jest dość wina.

— To prawda, ale chciałbym popróbować z różnych butelek. Hegmon zeszywniał, a Salda załagodziła sytuację.

— Daj spokój, Chalkinie. Przecież Hegmon nikogo nie poczęstowałby winem gorszej jakości — powiedziała i odprawiła go machnięciem ręki.

Natrętny Lord nie wiedział, czy zmarszczyć brwi, czy się uśmiechnąć, a w końcu z kamienną twarzą skłonił się i odszedł od stołu z pustym kieliszkiem. Nie wrócił jednak na swoje miejsce, lecz dołączył do sąsiedniej grupy gości, również nalewających wino.

— Ach, mógłbym mu... — zaczął Hegmon.

— Po prostu nie posyłaj mu wina, przyjacielu.

— Już mi zaczął zawracać głowę o sadzonki, żeby mógł wyhodować własną winorośl — oznajmił gniewnie winiarz, oburzony bezczelnością. — I tak by mu zresztą nic z tego nie wyszło, podobnie jak z wszystkich wcześniejszych planów.

— Nie zwracaj na niego uwagi. — Zulaya strzeliła palcami, podkreślając swe słowa. — Tak jak M'shall i Irena. To taki gbur.

— Niestety, udało mu się znaleźć popleczników — skrzywił się Tashvi.

— Policzymy się z nim na naradzie — obiecał K'vin.

— Mam nadzieję, chociaż tego rodzaju ludzi z trudem daje się przekonać do czegoś wbrew ich woli. A on naprawdę gromadzi stronników.

— Nie takich, którzy mają jakiegokolwiek znaczenie — wtrąciła Zulaya.

— Mam nadzieję. Ach, oto jedzenie, by nieco zakąsić po tym cudownym napitku, zanim całkiem zaćmi nam zdrowy rozsądek na czas obrad.

— Wypadło zaledwie po dwa kieliszki na osobę — Zulaya wskazała butelki — więc nie grozi nam zamroczenie, choć to doskonały alkohol — tu pociągnęła odrobinę. — Hegmon jest szczodry, lecz nie przesadza z hojnością. A oto posiłek...

Usiadła wygodnie, obserwując jak liczna grupa mężczyzn i kobiet w barwach Fortu roznosi parujące półmiski i butelki czerwonego wina.

— Nie jestem pewien co do tego zamroczenia, Żuli — stwierdził z uśmiechem K'vin, nakładając jej płyty pieczeni z półmiska, który potem podał sąsiadowi.

Właśnie skończyli posiłek i wypili całe wino, gdy Paulin wstał od stołu, zapraszając gości zebranych na wewnętrznym dziedzińcu, by udali się jego śladem na Radę. Na placu tańce rozpoczęły się na dobre, a radosna muzyka towarzyszyła Lordom aż do sali.

K'vin miał nadzieję, że muzyka nie ucichnie przed końcem Rady. Zulaya, choć tak wysoka, była niezwykle lekka w tańcu, a w dodatku najchętniej bawiła się w jego towarzystwie, właśnie ze względu na wzrost. Poza tym parom przygrywała orkiestra zawodowych muzyków, o wiele lepsza od niewyszkolonych, choć entuzjastycznych grajków w Weyrze. No i była to zupełnie inna muzyka.

— Zobacz, jak pięknie odnowili freski — zachwyciła się Zulaya, gdy weszli do Wielkiej Sali.

— Mhm — zgodził się K'vin. Zwolnił, rozglądając się na wszystkie strony i wszedł w drogę Chalkinowi. — Och, przepraszam.

— Hm — usłyszał w odpowiedzi. Władca Bitry obrzucił Zulayę kwaśnym spojrzeniem i przeszedł mimo, starając się nie otrzeć o nich szatami.

— Nie warto się przejmować. — K'vin wołał uspokoić partnerkę, obawiając się, że pośle jakąś ciętą uwagę w ślad za odchodzącym.

— Chciałabym być w Bitrze, gdy dosięgnie ich pierwszy Opad —mruknęła.

— Jego szczęście, że nie podlega nam, lecz Bendenowi, prawda? — odparł z ironią.

— Prawda — zgodziła się i pozwoliła się poprowadzić na miejsce, gdzie przy wielkim konferencyjnym stole zwykle zasiadali Przywódcy Weyru Telgar. — Chyba przez ostatni tydzień nikt nawet oka nie zmrużył w tej Warowni — skomentowała, gładząc flagę z herbem Telgaru, która okrywała blat przed ich krzesłami. — Jak to ślicznie wygląda — szepnęła, odsuwając krzesło, również ozdobione rysunkiem czarnych ziaren na białym polu.

Stół składał się z mniejszych, spojonych ze sobą stolików, tworzących okrąg o pościnanych bokach. Władcy Weyru i Warowni Telgar siedzieli pomiędzy Dalekimi Rubieżami a Tillekiem, gdyż wszystkie trzy posiadłości leżały w północnych regionach. Naprzeciw nich posadzono Władców Isty i Keroonu, których herby pyszniły się słonecznymi barwami. Weyr Benden z Bitrą znajdował się z jednej strony, a Nerat z Warownią Benden po drugiej. Na spotkanie zaproszono także Głównego Inżyniera, Naczelnego Medyka i Rektora Uniwersytetu. U szczytu stołu zasiadali Władcy Fortu, najstarszej siedziby, mając u boku Panów Ruathy i Południowego Bollu. Tym razem oni mieli przewodniczyć obradom.

— No cóż, jeśli doskonale nowe wino Hegmona nie do końca wszystkim zawróciło w głowie, postarajmy się szybko zakończyć obrady, żeby jeszcze zdążyć na tańce.

Chalkin zaczął walić w stół przed sobą i ryczeć na całe gardło: — Racja! Racja!

K'vin zdusił ponury jęk.

Lord był na poły, jeśli nie całkiem pijany, a twarz nabiegła mu purpurą.

— Jestem pewien, że wszyscy zdajemy sobie sprawę ze zbliżającego się niebezpieczeństwa Opadu.

Chalkin chrząknął grubiańsko.

— Posłuchaj, Lordzie Chalkinie — Paulin groźnie spojrział na odszczepieńca — jeśli zanadto opileś się szampanem, możesz opuścić Radę.

— Nie, on tego właśnie pragnie — ostrzegł natychmiast M'shall, Przywódca Weyru Benden. — Wtedy będzie mógł twierdzić, że wszystkie postanowienia zapadły dziś za jego plecami.

— Jeśli nie zamilknie, zawsze możemy wsadzić mu głowę pod zimną wodę, aż oprzytomnieje na tyle, by przypomnieć sobie o zwykłej grzeczności — wtrąciła Irena, jeźdźczyni bendeńskiej królowej. — Przemoczy sobie najlepsze ubranie, a tego to on nie lubi — wyraz jej twarzy sugerował, że wie o tym z doświadczenia.



— Chalkin! — wykrzyknął Paulin twardym jak stal głosem.

— No dobrze, już dobrze — odpowiedział Bitrańczyk urażonym tonem i rozsiadł się wygodnie na krześle, opierając się łokciami o blat stołu. — Jeśli zamierzacie zachowywać się w ten sposób...

— Wyłącznie dlatego, że nas prowokujesz — warknęła Irena. Paulin rzucił jej karcące spojrzenie, więc zamilkła, choć przez dłuższy czas wpatrywała się w Chalkina zmrużonymi oczyma.

— Trzy niezależne zespoły dokonywały obliczeń, z których jasno wynika, że Czerwona Planeta jest coraz bliżej... naturalnie, biorąc pod uwagę kosmiczne odległości.

— Czy istnieje możliwość zderzenia? — spytał Jamson z Dalekich Rubieży.

— Do pioruna, Jamsonie, nie poruszajmy teraz tego tematu — zdenerwował się Paulin.

— A dlaczego nie? — Chalkin wyraźnie poweselał.

— Bo dyskusji na temat tej dalece nieprawdopodobnej ewentualności mamy już po dziurki w nosie — odparł Paulin. — Z danych, które zebrali nasi przodkowie wynika, że nie ma nawet cienia możliwości, by doszło do zderzenia planet. W ogóle nie brali pod uwagę tej... ewentualności.

— No tak, ale czy gdzieś jest wyraźnie napisane, że to niemożliwe? — Chalkina wyraźnie radowała wizja katastrofy.

— To absolutnie niemożliwe — odpowiedział Paulin jednocześnie z Clisserem, który nie tylko był Rektorem Uniwersytetu, lecz także najbardziej doświadczonym członkiem zespołu astronomów. Paulin poprosił go gestem o rozwinięcie tematu.

— Kapitanowie Keroon i Tillek — na moment przerwał z szacunkiem — opracowali raport zarejestrowany przez SIWSP-a, który zawiera dane z badań przeprowadzonych na „Yokohamie”. Ja sam wielokrotnie sprawdzałem odpowiednie równania, z których wynika, że wędrowną planetą przejdzie obok Pernu po orbicie eliptycznej i nie będzie najmniejszego powodu, by weszła na kurs kolizyjny. To kwestia mechaniki niebieskiej i przyciągania grawitacyjnego Rukbatu. Gdybym wiedział wcześniej, mógłbym przynieść wykres odpowiednich orbit — tu popatrzył na Chalkina z wielkim niesmakiem.

— Mało ci, że Gwiazda zrzuca nam tu Nici, Chalkin? Naprawdę chciałbyś, żeby nas roztrzaskała na kawałeczki? — spytał Kalvi, szef zespołu inżynieryjnego. — Też przeliczałem wszystkie równania i zgadzam się z Clisserem i resztą matematyków. Dlaczego sam nie sprawdzisz, jeśli cię to tak niepokoi?

Chalkin zignorował przytyk; wszyscy wiedzieli, że nie wślawił się dokonaniem w

żadnej dziedzinie nauk. Zresztą był zadowolony z reakcji na rzuconą mimochodem uwagę. Niezależnie od tego, co się mówi, nikt nie ma ostatecznego dowodu na to, że Pern jest bezwzględnie bezpieczny.

— Z wyliczeń wynika, że pierwszy Opad Nici tego Przejścia nastąpi wczesną wiosną. W pierwszym okresie spodziewamy się kilku inwazji żywych zarodników, w zależności od warunków pogodowych, a szczególnie temperatury otoczenia w momencie samego Opadu. — Paulin sięgnął pod stół i wyciągnął tablicę, na której starannie wyznaczono obszary zagrożone Opadami. S’nan odchrząknął i poruszył się niespokojnie, jakby obawiał się, że Paulin pozbawi Weyr należnego mu przywileju.

— Pierwsze dwa Opady zaatakują rejony znajdujące się pod ochroną Weyru Fort, następne dwa — obszar patrolowany przez Dalekie Rubieże, a kolejne dwa przypadną Bendenowi. Spodziewamy się ich w okresie pierwszych dwóch tygodni, w odstępie trzech dni. Drugi Opad na terytorium Fortu i pierwszy w Dalekich Rubieżach wypadną tego samego dnia, gdyż będą to dwie różne części tego samego dużego Opadu. Z kronik wiemy także, że żywe zarodniki będą opadać na Kontynent Południowy mniej więcej o tydzień wcześniej niż u nas na Pomocy. S’nanie —Paulin zwrócił się do Przywódcy Weyru Fort — czy możemy prosić cię o sprawozdanie o wynikach prac?

S’nan powstał i unióś w górę nieodstępną tablicę. Plotkowano, że niegdyś należała do samego Seana Connella. Jeździec spoglądał na nią przez chwilę. Ten najstarszy Przywódca głównego Weyru na Pernie przypominał swego prą.. .pradziada, choć przyprószone siwizną włosy były raczej płowe, niż rude. Poza tym, K’vinowi wydawało się zawsze, że Sean Connell nie mógł być aż takim służbistą, nawet jeśli to on ustanowił prawa, których przestrzegano w Weyrach. Większość jego zaleceń była po prostu zdroworozsądkowa, choć S’nan wypełniał je z takim zapalem, jakby chciał je sparodiować.

— Pierwszy Opad— rozpoczął jeździec z dumą — rozpocznie się nad morzem na wschód od Warowni Fort, dotrze na brzeg u ujścia rzeki, przejdzie ukośnie nad półwyspem i przeniesie się nad morze na zachodzie. Kolejne dwa Opady, w trzy dni później, ogarną południowy kraniec Południowego Bollu — tu czubkiem rylca dotknął mapy Paulina, robiąc przy tym pełen wyższości grymas. — Ten drugi być może skieruje się daleko na południe i wcale nie trafi w ląd, a w najgorszym razie zagrozi mu tylko przez krótką chwilę, następnie przeniesie się nad zachodni kraniec Dalekich Rubieży i ponownie powędruje nad morze. Tak czy owak, będzie nad stałym lądem jedynie przez moment. Trzeci Opad rozpocznie się nad południowym wybrzeżem półwyspu Tillek, po wschodniej stronie Warowni i także wpadnie w morze, zagrażając lądowi tylko przez krótki czas.

— Innymi słowy, Nici pozwolą nam się wpierw wdrożyć do walki? — spytał B'nurrin z Igenu.

— To nie miejsce na niepoważne komentarze — skarcił go S'nan, ale reprimenda nie odniosła zamierzonego skutku, gdyż młody, czupurny Przywódca dostrzegł uśmiechy na zbyt wielu twarzach. S'nan odchrząknął i powrócił do tematu. — Następne dwa Opady będą najbardziej niebezpieczne dla niedoświadczonych skrzydeł — tu rzucił ponure spojrzenie B'nurrinowi i ponownie wskazał na mapę. — Pierwszy rozpocznie się nad morzem na wschodzie i zagrozi Weyrowi Benden i Warowni Bitra, a skończy się prawie nad samym Weyrem Igen. W normalnej sytuacji będą go zwalczać wspólnie Weyry Benden i Igen. Drugi rozpocznie się na północnym krańcu Neratu, przetnie go, dotrze nad wschodnie wybrzeże Keroonu i do Isty oraz południowej części Keroonu...

— S'nanie, przecież doskonale wiemy, gdzie kto ma walczyć z Opadem — przerwał mu M'shall.

— Naturalnie — S'nan ponownie odchrząknął. — Jednakże — powiódł spojrzeniem po Lordach Warowni usadowionych wokół stołu — na ostatnim spotkaniu Przywódców Weyrów postanowiono, że każdy Weyr na początku wystawi do walki po dwa skrzydła, gdyż walka z Opadami jest dla nas nowym doświadczeniem. W ten sposób Weyry zdobędą doświadczenie z pierwszej ręki.

— W dalszym ciągu uważam, że doświadczenie najłatwiej byłoby zdobyć zwalczając te pierwsze południowe Opady — zaczął B'nurrin. — Przynajmniej, jeśli smoki chybią, Nici nikomu nie spadną na głowę ani nie zniszczą pól.

— B'nurrinie! — srogo wykrzyknął M'shall, zanim zaskoczony S'nan zdążył otworzyć usta.

K'vin osobiście był przekonany, że B'nurrin wpadł na dobry pomysł i popierał młodego Przywódcę, ale zakrzyczeli ich starsi dowódcy. K'vin podejrzewał, że gdyby po cichu zabrał kilka skrzydeł na południe, na spotkanie pierwszego Opadu, pewnie spotkałby tam B'nurrina na ćwiczeniach.

— Moim zdaniem to dobry pomysł — bronił się Istańczyk, wzruszając ramionami.

S'nan wykladał dalej, jakby nikt mu przed chwilą nie przerwał.

— Zgodnie z praktyką przyjętą w czasie Pierwszego Przejścia, Lordowie Warowni wystawią odpowiednie załogi naziemne i skierują je do walki zgodnie z zaleceniami Przywódców Weyrów, a w tym przypadku Przywódcy M'shalla — lekko pochylił głowę w stronę spiżowego jeźdźca z Bendenu. — Mistrz Kalvi — tu uprzejmie skłonił się naczelnemu inżynierowi — zapewnił mnie, że jego huta wyprodukowała wystarczającą ilość cylindrów na

kwas azotowy, by wyposażyć załogi naziemne, lecz sam kwas należy przygotować na miejscu. Podobnie, jak przy Pierwszym Przejściu, zespół inżynierów dostarczy robotników i materiałów, traktując to jako obowiązek wobec społeczności. Do końca roku każdy dostanie przydział pojemników.

S'nan, jak zwykle posługujący się precyzyjnym słownictwem, wzgardził neologizmem „Obrót”, ukutym przez młodsze pokolenie na oznaczenie „roku”.

Kalvi powstał z miejsca.

— W każdej większej Warowni przeprowadzimy trzydniowe szkolenie w obsłudze i naprawie miotaczy płomieni oraz ćwiczenia praktyczne, które jak sądzę, będą równie wszechstronne, co atrakcyjne — przestąpił z nogi na nogę i mówiłby dalej, lecz S'nan gestem nakazał mu usiąść.

Inżynier prychnął gniewnie, skrzywił się, ale usłuchał. Przywódca Weyru popatrzył na Corey.

— O ile się nie mylę, wy również planujecie trzydniowe szkolenia, by poinstruować pracowników Warowni na nadrzędnych i podrzędnych stanowiskach, jak należy opatrywać pobrużdżenia i poważniejsze... hm... obrażenia zadane przez Nici.

Corey kiwnęła głową nie wstając z miejsca.

— Lordowie Warowni muszą dołączyć do każdej grupy naziemnej lekarza albo przeszkolić jedną osobę w zakresie pierwszej pomocy, oraz dostarczyć zestawy zawierające mrocznik, sok fellisowy i inne środki pierwszej pomocy. — Ponadto — przewrócił do tyłu kartkę notesu — dokonałem inspekcji wszystkich weyrow pod kątem zbliżającego się opadu i oceniam, że dysponują pełną siłą bojową oraz wystarczającą liczbą kadetów, którzy będą dostarczać skrzydłom fosfinę w czasie walki. Przedyskutowałem z Przywódcami wszelkie aspekty taktyki powietrznej oraz zarządzania Weyrem...

K'vin poprawił się na krześle, przypomniawszy sobie drobiazgową inspekcję, jaką S'nan i Sarai przeprowadzili w jego jaskiniach; sprawdzili nawet przetwórnię odpadów! W tym momencie zauważył, że G'don, najstarszy z Przywódców, również drgnął niespokojnie i wywnioskował, że para jeźdźców z Fortu nikogo nie oszczędziła w swym nadgorliwym dążeniu do perfekcji. No cóż, rzeczywiście zbliżało się Przejście, więc Przywódcy Weyrów słusznie wymagali od smoczycy jeźdźców doskonałego opanowania rzemiosła i pełnej gotowości. Inspektorzy nie dopatrzili się żadnych błędów w hodowli smoków w Telgarze; przez ostatnie trzy lata tutejsze królowe znosiły najwięcej jaj ze wszystkich Weyrów, instynktownie przygotowując się do nadchodzących trudów. K'vin żywił nadzieję, że tym razem Meranath zniesie więcej jaj, niż w związku z Miginthem B'nera; może wtedy Zulaya

będzie dla niego serdeczniej szanowana... Dwie młodsze królowe też pracowicie wypełniały gniazda, dostarczając pożytecznych zielonych i błękitnych smoczków. Już wkrótce Weyr Telgar osiągnie pełną liczebność! Może nawet będą musieli przenieść część mieszkańców do innych Weyrów, ale z decyzją można poczekać na doroczny przegląd.

— I, podsumowując, stwierdzam, że obecnie jesteśmy w pełnej gotowości.

— O wiele lepiej przygotowani, niż Pierwsi Jeźdźcy — skomentował sucho G'don.

— To prawda — dodała Irena z Bendenu.

K'vin tylko się uśmiechnął tytułem komentarza. Nieoczekiwanie poczuł w brzuchu chłód i kulkę niepokoju, która powędrowała do gardła. Skarcił się w myśli. Pochodził z Rodu Pierwszych Jeźdźców, który dał Weyrom wiele swych córek i synów.

I dosiadasz mego grzbietu, dodał Charanth stanowczym tonem. Będę wspaniale walczył. Nici uciekną na sam widok mego płomienia.

Nie były to czcze przechwałki, gdyż Charanth rzeczywiście pobił rekord Weyru w długości płomienia.

Razem wyjdziemy na spotkanie Nici, nie będziesz sam. Ja będę z tobą i zwyciężymy.

Dzięki, Charrie.

Nie ma za co, Kev.

— Oho, poznaję po twoich oczach, co się dzieje — szepnęła mu Zulaya do ucha. — Co Charanth myśli o tym wszystkim?

— Nie może się doczekać — szepnął w odpowiedzi i uśmiechnął się. Charanth słusznie przypomniał mu, że nie polecą sam. Będą razem, jak zawsze od chwili, gdy spizowy smok Wyklął się ze skorupy i podreptał prosto do czternastoletniego wówczas K'vina Hanrahana, który czekał na gorących piaskach Wylęgarni. Wtedy chłopiec uświadomił sobie, że całe jego życie zmierzało ku jedynej w swoim rodzaju chwili, gdy nastąpiło Naznaczenie. Wcześniej obserwował, jak Naznaczają jego najstarszy brat, najstarsza siostra i troje kuzynów. Od chwili, gdy go Odszukano, część jego istoty, z zapalem typowym dla nastolatka, była święcie przekonana, że Naznaczący, zaś pesymistyczna strona jego natury przekornie podpowiadała, że zostanie sam na gorących piaskach i nie przeżyje takiego upokorzenia.

— Podsumowując — oświadczył S'nan — zapewniam zebranych, że Weyry są w pełnej gotowości.

Po tych słowach usiadł. Rozległy się brawa.

— Mam nadzieję, że Warownie także są przygotowane? — było to raczej pytanie niż stwierdzenie, gdyż uniósł brwi i popatrzył na Lorda Warowni Fort, oczekując odpowiedzi.

Paulin znowu wstał, przekładając kartki, aż znalazł właściwą, po czym odchrząknął.

— Otrzymałem oświadczenia o gotowości bojowej ze wszystkich większych Warowni oprócz dwóch — tu spojrział na Franco, Lorda Neratu, i ruchem głowy wskazał Chalkina. — Wiem, że dostaliście formularze...

Wysoki, szczupły, opalony Neratczyk uniósł głowę:

— Mówiłem ci, Paulinie, jakie mamy problemy z roślinnością. W dalszym ciągu staramy się utrzymać ją pod kontrolą... — skrzywił się na samą myśl. — Nie jest to łatwe przy tak pięknej pogodzie i zakazie używania chemicznych środków chwastobójczych. Zapewniam was jednak, że nie ustajemy w naszych staraniach. Poza tym, mamy awaryjne okrywy dla szkółek i wystarczające zapasy zdrowych nasion, by rozpocząć sadzenie, gdy tylko stanie się to możliwe. W dalszym ciągu prowadzimy badania nad miniaturowymi roślinami do hodowli domowej. Wszyscy pomniejsi dzierżawcy są w pełni świadomi problemu i przestrzegają naszych zaleceń. Wszyscy chcą także wziąć udział w szkoleniu załóg naziemnych.

Paulin zanotował jego odpowiedzi i kiwnął głową. — Agronomowie dalej pracują nad przyhamowaniem rozwoju tropikalnych chwastów w twoim regionie, Fran.

— Mam nadzieję. Zielsko wyrasta nawet na gołym piachu, bez żadnych zabiegów.

Paulin zwrócił się do Chalkina, który z wielce znudzoną miną polerował swoje pierścionki.

— Lordzie Warowni Bitra, nie otrzymałem od ciebie żadnych informacji — powiedział.

— Ach, mamy jeszcze tyle czasu...

— Chalkin, miałeś na dziś dostarczyć sprawozdanie. — Paulin nie dał się zwiść.

Bitrańczyk wzruszył ramionami.

— Możecie się wszyscy w to bawić, jeśli chcecie, ale ja nie wierzę, że Nici zaczną opadać na wiosnę. Dlaczego mam bez potrzeby mieszać ludziom w głowach...

Przerwały mu gwałtowne okrzyki protestu ze wszystkich stron.

— Słuchaj no, Chalkin....

— Uspokój się trochę, do cholery...

— Uważaj, kogo krytykujesz... — Bastom, urażony, skoczył na równe nogi.

Chalkin wskazał grubym, upierścienionym paluchem Lorda Tilleku.

— Warownie są niezależne, prawda? I jest to zagwarantowane w Karcie? — gwałtownie zaatakował Paulina.

— W czasach spokoju, tak — odparł Paulin, starając się uciszyć zgromadzonych

machnięciami dłoni. Musiał mówić podniesionym głosem, by nie zagłuszały go gniewne uwagi i protesty. — Ale gdy...

— Gdy nadejdą te wasze Nici, co? Ciągłe o tym mówicie, ale nie macie dowodów — Chalkin uśmiechał się z satysfakcją.

— Dowodów? Jakich ty jeszcze chcesz dowodów? — zirytował się przewodniczący. — Cały Pern zaczyna już odczuwać perturbacje, spowodowane nadejściem tego włóczęgi...

— Zimą zawsze są sztormy, wulkany wybuchają... — zbył go wzruszeniem ramion Chalkin.

— Zdajesz chyba sobie sprawę, że planeta jest coraz lepiej widoczna...

— Phi, to nic nie znaczy.

Paulin uciszył gniewne pomruki zgromadzonych i spytał:

— Tak więc nic dla ciebie nie znaczą przestrogi przodków? Ani ogromna ilość informacji zgromadzona dla naszego pożytku?

— Zostawili historyczne...

— Nie ma w nich cienia hysterii! — huknął Tashvi. — Poradzili sobie z nagłym zagrożeniem, dali nam konkretne wskazówki na okres powrotu planety i pouczyli, jak wyliczyć początek Przejścia.

— Spokój, spokój! — wołał Paulin, podnosząc obie ręce, by przywrócić porządek. — Przypominam, że dziś ja przewodniczę. — oświadczył i tak długo wpatrywał się w Tashiego spod oka, aż władca Telgaru z powrotem zajął miejsce, a pozostali goście się uspokoili. — Jakiego rodzaju dowód by cię przekonał, Lordzie Chalkinie? — spytał bardzo opanowanym głosem.

— Opad Nici... — mruknął ktoś i ucichł, zanim Paulin zdążył rozpoznać mowę.

— Słucham, Chalkinie — nalegał gospodarz.

— Chcę dowodu, że Nici naprawdę zaczną opadać. Raportu tej całej SIWSP, o której tyle słyszeliśmy...

— Lądowisko pokrywają setki ton popiołu wulkanicznego — powiedział Paulin. Spostrzegł, że S'nan gwałtownie dopomina się o głos.

— Zorganizowano dziewięć ekspedycji, by zbadać urządzenia zainstalowane na Lądowisku i odzyskać dane SIWSP — oświadczył S'nan, jak zwykle opanowanym głosem. Jednocześnie odszukał odpowiedni płat folii i uniósł go do góry. — Oto sprawozdania z wypraw.

— A więc? — Chalkina wyraźnie radowało wywołane zamieszanie.

— Nie udało nam się odnaleźć budynku administracji, w którym zainstalowano

SIWSP.

— Dlaczegoż to? — chciał wiedzieć Bitrańczyk. — Pamiętam, jak oglądałem taśmy z widokiem Ładowiska z czasów przed pierwszym Opadem...

— A zatem zdajesz sobie sprawę z rozmiaru poszukiwań — wyjaśnił S'nan. — Wiedźcie, że warstwa wulkanicznego popiołu zalega na całym płaskowyżu, i nie istnieją żadne znaki terenowe, wskazujące na lokalizację budynku administracji. Ponieważ wszystkie budynki są podobne do siebie, trudno zorientować się, na który trafiliśmy, odkopawszy siedmiometrową warstwę popiołu i odpadów. Dlatego nie mogliśmy określić położenia budynku administracji.

— To próbujcie dalej — z tymi słowy Chalkin odwrócił się tyłem do jeźdźca.

— Zatem nie zrobiłeś nic, by przygotować swoją Warownię do zbliżającej się katastrofy? — spokojnie, chłodno zapytał Paulin.

— Szkoda czasu i pracy — pytany wzruszył ramionami.

— I pieniędzy.... — mruknął ten sam żartowniś, co wcześniej.

— Właśnie. Szkoda marnować ciężko zarobione marki na mało prawdopodobne...

— Mało prawdopodobne? — wybuchnął Tashvi skacząc na równe nogi. — Będziesz miał do czynienia z buntem!

— Wątpię — odparował Chalkin z przebiegłym uśmiechem.

— Bo nie raczyłeś ostrzec dzierżawców, ty draniu? — Tashvi kipiał z gniewu.

— Lordzie Telgaru — skarcił go ponownie Paulin — to ja jestem przewodniczącym. Zwrócił się do Chalkina: — Jeśli my, wszyscy pozostali, wierzymy w ostrzeżenia, choć nie mamy innych powodów po temu niż nieodparty astronomiczny dowód świadczący o nieuchronnym Przejściu, jak możesz się wyłamywać?

Chalkin uśmiechnął się z wyższością: — Jakiś organizm zrodzony w kosmosie? Który opada na naszą planetę i zjada wszystko, z czym się zetknie? No, to dlaczego Pern nie został doszczętnie zniszczony podczas poprzednich inwazji? Czemu zdarza się to akurat co dwieście lat? Dlaczego Zespół Badawczy, który przeprowadzał analizy planety przed zasiedleniem... jakim cudem ten zespół nie natrafił na żadne ślady? Przecież to wszystko jest śmieszne! — machnął przed twarzą upierścienionymi dłońmi, jakby chciał odpędzić od siebie nonsensowne pomysły.

— Moje wyliczenia potwierdziły... — powiedział Clisser czując, że zaczyna ogarniać go szaleństwo.

— Były dowody Opadu Nici — Tashvi znów skoczył na równe nogi. — Czytałem sprawozdanie. Setki wypalonych kręgów, gdzie roślinność dopiero co odrastała...



— Nieprzekonujące — Chalkin znów machnął ręką. — Mogły być wynikiem zakażenia grzybami innego rodzaju.

— Doskonale. Tylko nie zwracaj nam głowy, te nieprzekonujące dowody zaczną ci spadać z nieba na Warownię — rozżłościł się Bastom.

— I nie przybiegaj do mnie z płaczem po pomoc — dodał Bridgely, pełen niesmaku.

— Tego możecie być pewni — odrzekł Chalkin. Skłonił się ironicznie Paulinowi i opuścił Salę bez słowa.

— I co tu z nim począć? — spytał Bridgely. — Na pewno będzie zebrał o pomoc u mnie i u Franco. To jasne jak słońce.

— Karta przewiduje takie sytuacje — oznajmił Paulin.

Jamson z Dalekich Rubieży spojrział na niego rozszerzonymi niedowierzaniem oczyma.

— Pod warunkiem, że on wierzy w Kartę... — dodał Bastom.

— Och, Chalkin wierzy w Kartę bez zastrzeżeń — oświadczył z przekąsem Paulin. — Jego Ród panuje w Warowni tylko na podstawie dawnego przywileju starszeństwa w stosunku do pozostałych dzierżawców. Już wykorzystał Kartę, by potwierdzić swą niezależność. Ciekaw jestem, czy zna karę za niedopełnienie przygotowań do Opadów. Jest to poważne nadużycie zaufania...

— Kto by zaufał Chalkinowi? — spytał G'don.

— ...zaufania, jakie dzierżawcy mają prawo pokładać w Lordzie swojej Warowni w zamian za świadczoną mu pracę.

— Ha! — zakrzyknął Bridgely. — Jego dzierżawców również nie darzę specjalnym szacunkiem. Właściwie wszyscy są do niczego. Większość wyrzucono wcześniej z innych Warowni za niegospodarność i lenistwo.

— Bitra również jest źle zarządzana. Zazwyczaj musimy odsyłać mu z powrotem co najmniej połowę daniny — skomentował M'shall. — Spora część zboża jest porażona pleśnią, drewno nie jest właściwie wysuszone, a skóry są źle wyprawione i często nadgniłe. Co kwartał musimy toczyć z nim walkę o przyzwoite dostawy.

— Naprawdę? — Paulin zanotował jego uwagi. — Nie wiedziałem, że ogranicza wam daniny.

M'shall wzruszył ramionami.

— Skąd miałeś wiedzieć? To nasz problem. Nie dajemy mu spokoju. Tą sprawą się również zajmujemy. Nie można pozwolić, by kompletnie lekceważył nadchodzące zagrożenie. Ale chyba nie powiesz, Bridgely, że wszyscy dzierżawcy w Bitrze są do niczego.

— W każdym koszu są zgniłe jabłka i dobre jabłka — mruknął Bridgely. — Zdecydowanie jednak chciałbym się z tym uporać do wiosny, gdy zaczną opadać Nici. Benden jest za blisko Bitry, bym mógł spać spokojnie.

— Jaka jest więc kara za takie działanie? A raczej, brak działania? — spytał Franco.

— Odebranie Warowni — stwierdził beznamyślnie Paulin.

— Odebranie Warowni! — Jamsonowi na chwilę zabrakło słów. — Nie wiedziałem...

— Artykuł czternasty, Jamsonie — zabrzmiała odpowiedź. — Niedopełnienie obowiązków przez Lorda Warowni. Możesz to wydrukować, Clisser? Dobrze by było, gdybyśmy wszyscy sobie przypomnieli te sprawy.

— Naturalnie — odparł rektor i zrobił odpowiednią notatkę. — Jutro dostaniesz materiały.

— Czy to znaczy, że komputery działają? — spytał Tashvi.

— Mój poprzednik sporządził na zapas kopie najważniejszych oficjalnych dokumentów — odpowiedział Clisser z uśmiechem pełnym ulgi. — Mogę ci pokazać listę... pisaną ręcznie, ale czytelną.

Paulin odchrząknął, przywołując ich do porządku.

— A więc, Lordowie, rozpoczynamy postępowanie przeciw Chalkinowi?

— Wszyscy go słyszeliście. Czy mamy inne wyjście? — M'shall powiódł wzrokiem po twarzach wokół stołu.

— Chwileczkę — zaczął Jamson, marszcząc Drwi. — Chciałbym najpierw mieć niepodważalne dowody jego niekompetencji jako Lorda Warowni, jak również niedopełnienia obowiązków w obliczu zagrożenia. Rozumiecie, że odebranie Warowni to ekstremalne posunięcie.

— Tak jest. Wiemy też, że Chalkin robi wszystko, by się jakoś wykręcić — cynicznie zauważył Bastom.

— Z pewnością istnieje procedura sądowa przewidziana na taką okoliczność? — spytał Jamson, rozglądając się z niepokojem. — Nie można przecież go oskarżać, nie umożliwiając obrony.

— Jak sądzę, do pozbawienia go Warowni potrzebna jest jedynie jednogłośnie zgoda wszystkich Lordów większych Warowni i Przywódców Weyrów — odparł Paulin.

— Jesteś pewien?

— Ja również mogę to potwierdzić — Bridgely walnął pięścią w stół. Jego małżonka, Lady Jane, stanowczo przytaknęła. — Nie chciałem przedtem wnosić tej sprawy na Radzie... — kontynuował Bridgely.

— Kontakt z nim jest niezwykle trudny — powiedziała Irena zaciskając wargi w cienką linię, na myśl o zniewagach, jakie od dawna znosiła.

Bridgely skwitował to krótkim skinieniem głowy i mówił dalej:

— Nagina te nieliczne prawa, które mamy tu, na Pernie, a nawet jest bliski ich złamania. Pokątne interesy, krzywdzące kontrakty, niezwykle trudne warunki stawiane dzierżawcom...

— Docierają do nas uchodźcy z Bitry, a ich opowieści przyprawiłyby was o dreszcz przerażenia. — Lady Jane z Bendenu załamała rękę w rozpacz. — Zapisywałam wszystko...

— Bardzo dobrze. Chciałbym zobaczyć te notatki — ucieszył się Paulin.

— Niezależność to przywilej, lecz pociąga za sobą odpowiedzialność. Nie oznacza pozwolenia na władzę absolutną albo despotyzm, a już z pewnością nie daje prawa, by pozbawiać dzierżawców środków niezbędnych do życia. Podobnie, jak ochrony przed Nićmi.

— Nie wiem, czy powinniśmy się posuwać aż tak daleko, by odebrać mu Warownię — Jamson stawiał coraz większy opór. — Widzicie, takie krańcowe posunięcia mogą mieć demoralizujący wpływ na gospodarstwa...

— To możliwe — zgodził się Paulin.

— Brak przygotowań do Opadu z całą pewnością zdemoralizuje Bitrę! — zdenerwował się Tashvi.

Paulin uniósł rękę i zwrócił się do M'shalla:

— Proszę o listę przypadków, gdy Bitra zaniedbała dostawy dla Weyru. Jane, chciałbym przejrzeć twoje zapiski.

— Ja też mam notatki — dodała Irena.

Paulin kiwnął głową i ogarnął wzrokiem zgromadzonych.

— Ponieważ zaniedbanie podstawowego obowiązku ochrony przed Nićmi może stworzyć zagrożenie nie tylko dla jego Warowni, lecz także dla sąsiadów, moim zdaniem należy zbadać tę sprawę jak najszybciej i postawić go w stan oskarżenia... — Jamson uniósł dłoń, protestując ale Paulin uspokoił go gestem — naturalnie, jeśli uznamy, że są po temu przyczyny. Przed chwila na przykład, zachowywał się, jakby po prostu wypił za wiele nowego wina Hegmona.

— Cha, cha! — zakpiła Irena, a reszta zebranych dorzuciła równie cyniczne komentarze.

— Nie możemy dać się ponieść osobistym odczuciom — oświadczył twardo Paulin.

— Najpierw przeczytaj moje zapiski — padła sucha odpowiedź. — I moje — dodał Bridgely.

— Ale kto mógłby go zastąpić? — spytał Jamson, łamiącym się z niepokoju głosem.

— Niełatwe zadanie, przy zbliżającym się Opadzie — przyznał Bastom.

— Jednak może się okazać nieuniknione — skrzywił się Paulin.

— Przepraszam, że się wtrącam — uniósł dłoń Clisser — ale Karta wymaga, abyśmy znaleźli odpowiedniego kandydata pochodzącego z Rodu oskarżonego — przypomniał.

— To on ma krewnych? — spytał Bridgely, udając zaskoczenie i konsternację.

— Zdaje się, że tak — odparł Franco. — Nie tylko dzieci. Jest jakiś wuj...

— Jeśli pochodzi z tego samego rodu co Chalkin, to czy możemy liczyć na zmiany na lepsze? — upierał się Tashvi.

— Podobno nowa miotła dobrze zmiata — odpowiedziała Irena. — Słyszałam, że Chalkin pozbawił wuja praw do dziedziczenia, dając mu w zamian odległe gospodarstwo...

— Nieźle się uwinął, by usunąć go z drogi, co prawda to prawda. Osadził go w jakimś górskim zakątku, gdzie diabeł mówi dobranoc.

— Cała Bitra jest tam, gdzie diabeł mówi dobranoc — uśmiechnął się ironicznie Azury z Bollu.

— Zastąpienie go nie jest kwestią najwyższej wagi — stwierdził Paulin, znów przejmując kierowanie dyskusją. — Lepiej przekonać Chalkina, że przecież nie możemy wszyscy być w błędzie do tego Opadu.

Tym razem się oburzyła Zulaya, bo wiedziała, że to raczej mało prawdopodobne.

— Przyzna, że jest w błędzie dopiero wtedy, gdy Nici się do niego dobiorą... co być może w najbardziej skuteczny sposób rozwiąże nasz problem. Bitra leży na szlaku Pierwszego Opadu.

— Choć Chalkin jest chyba rzeczywiście renegatem — stwierdził Jamson — może się okazać, że Bitra znajdzie się w lepszej sytuacji z nim, niż bez niego. Nie można się z dnia na dzień nauczyć zarządzania Warownią, sami to wiecie.

Paulin rzucił Lordowi Dalekich Rubieży długie spojrzenie.

— To wielka prawda, ale jeśli on nie raczył nawet powiadomić swoich dzierżawców, że nadchodzą Nici... — tu rozłożył ręce, by zaakcentować zdumienie na myśl o zaniedbaniu.

— To naprawdę jest niedopełnienie obowiązku. Najważniejszego obowiązku i głównego powodu, dla którego w Warowniach mianowano Lordów na czas kryzysu. My jako Rada, również mamy obowiązek dopilnowania, by każdy z nas spełniał obowiązki związane z rangą i stanowiskiem.

— Pierwszy Opad będzie dla niego doskonałą nauką — stwierdziła Zulaya wzruszając ramionami.

— A więc dobrze — Paulin zaczął przekładać dokumenty — czekam na raporty o nadużyciach władzy i nieprawidłowościach, które popełnił kierując Warownią Bitra. Będziemy postępować zgodnie z prawem, zbierzemy dowody i przygotujemy wyczerpujące sprawozdanie. Tak więc, zbliżamy się do końca dzisiejszych obrad. Kalvi, chciałeś przedyskutować kwestię nowych kopalni?

Szczupły inżynier o orlim nosie wstał z miejsca.

— Tak jest. Czekają nas pięćdziesiąt lat Opadów, więc będziemy potrzebować więcej rudy, i to leżącej płycej pod ziemią, niż złoża w Telgarze.

— Myślałem, że wystarczy na całe tysiąclecie — zdziwił się Bridgely z Bendenu.

— Naturalnie. Kopiąc w głąb głównych szybów natkniemy się na więcej rudy, ale nie jest ona aż tak łatwo dostępna, jak górskie złoża, które można eksploatować bardziej ergonomicznie — stwierdził inżynier. Rozwinął przezroczystą płachtę z mapą Wielkiego Łańcucha Zachodniego i zakreślił szeroki krąg poza granicami Ruathy.

— To tutaj. Wysokogatunkowa ruda, niemal gotowa do natychmiastowego załadunku. Będziemy potrzebować surowca tej jakości do uzupełnienia zapasów miotaczy ognia, czyli wkrótce — westchnął z rezygnacją. — Przeszkoliłem już ludzi, którzy są gotowi do wyprawy w tamte rejony. Chciałbym uruchomić kopalnię, zanim zacznie się Opad. Potrzebuję tylko waszej zgody.

— Chcesz tam założyć Warownię, czy tylko kopalnię? — spytał Paulin.

Kalvi z uśmiechem podrapał się w skrzydełko nosa:

— Szczerze mówiąc, górnicy mieliby za daleko do domu po szychcie, szczególnie jeśli wszystkie smoki będą zwalczać Opad — wyjaśnił i rozwinął kolejny rysunek. — Zależy mi na tym miejscu między innymi dlatego, że w pobliżu jest cały system jaskiń nadających się do zamieszkania, a także węgiel do wytopu rudy. Gotowe sztaby można transportować rzeką.

Rozległy się ciche komentarze, gdy zgromadzeni dyskutowali na temat jego propozycji.

— Dobrze, że Chalkin wyszedł — stwierdził Bridgely. — Sam ma kopalnię w Dolinie Stenga i chciałby je uruchomić na nowo.

— Nie są bezpieczne — skrzywił się Kalvi. — Oglądałem je i wiem, że zmarnowalibyśmy zbyt wiele czasu na podstemplowywanie szybów i wymianę sprzętu. Poza tym, to ruda pośledniej jakości. Nie ma czasu na odnawianie tej kopalni... ani na spieranie się z Chalkinem na temat umowy. Sami wiecie, że on potrafi tygodniami handryczyć się o drobiazgi, zanim dobieje targu — wykrzywił długą twarz w grymasie. — Jeśli dacie mi

panowie zezwolenie — zwrócił się do zebranych — będę mógł podać wiadomość jeszcze na tym Zgromadzeniu i zobaczyć, kto z robotników i potrzebnych rzemieślników byłby zainteresowany.

— Popieram — rzekł wielkodusznie Tashvi i podniósł rękę do góry.

— Dobrze. Wniosek został przedstawiony i zyskał poparcie. Czy wszyscy zgadzamy się na utworzenie górniczej Warowni?

Paulin metodycznie przeliczył uniesione w górę ręce.

— Chalkin na pewno powie, że to była manipulacja — zauważył kwaśno Bastom — i że wypędziliśmy go z Rady zanim rozpoczęła się dyskusja na ten temat.

— Cóż z tego? — spytał Paulin. — Nikt go stąd nie wypraszał, a poza tym, podobnie jak my wszyscy, dostał kopię porządku obrad. — Uderzył pięścią w stół. — Wniosek przeszedł. Powiedz swojemu inżynierowi, że może zaczynać budowę. Przywódco Dalekich Rubieży, Przywódco Telgaru — zwrócił się po kolei do G'dona i K'vina — czy możecie zapewnić transport?

Obaj Przywódcy Weyrów wyrazili zgodę. Kiedy powstaje nowa Warownia, trzeba zaznajomić jak najwięcej jeźdźców z ukształtowaniem terenu.

— Nie będziecie mieli z naszą osadą zbyt dużo roboty podczas Opadów — Kalvi uśmiechnął się do smoczych jeźdźców. — Wszystkie urządzenia będą albo pod ziemią, albo w jaskiniach. Świeżą zieleninę od samego początku będziemy mieć z hodowli hydroponicznych.

— Czy ktoś ma jeszcze inne wnioski? — Spytał Paulin.

Clisser uniósł rękę i, zaproszony do głosu, wstał rozglądając się po zgromadzonych. Pewnie wchodzi w trans nauczycielski, pomyślał K'vin.

— Poglądy Lorda Chalkina wcale nie są aż tak nietypowe — zaczął, a zaskoczeni słuchacze natychmiast skupili uwagę na jego słowach. — Przynajmniej, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy przyszłości. Wydarzenia z czasów Pierwszego Przejścia są już dla nas zbyt odległe. Mamy nagrania wideo z tamtych czasów i na ich podstawie możemy oceniać, jak szybko wędrowną planetą zbliża się do Pernu. Wiemy, że to przybłęda, gdyż znamy rezultaty badań przeprowadzonych przez kapitanów Keroona i Tilleka, które niezbitnie dowodzą, że planeta ta nie mogła od początku należeć do rodziny naszego słońca. Zresztą potwierdza to jej orbita, która leży na innej płaszczyźnie eliptycznej niż pozostałe satelity Rukbatu.

— Dokładam wszelkich starań, by nauczyć podstaw astronomii i korzystania z sekstansu przynajmniej sześciu studentów z każdej grupy. Ponadto, muszą oni posiadać wystarczającą wiedzę matematyczną, by wyliczyć wschody, zachody i dokładny czas obiegu

dowolnej planety układu. W dalszym ciągu mamy trzy sprawne teleskopy do obserwacji nieba, choć kiedyś mieliśmy ich więcej. — Przerwał na chwilę. — Niestety, trzeba przyznać otwarcie, że tracimy coraz więcej urządzeń, które odziedziczyliśmy po przodkach. Nie przez złą konserwację i błędy w obsłudze — uniósł dłoń, by uciszyć protesty — lecz z powodu ich wieku. Nadto, mimo wysiłków, nie jesteśmy w stanie wznieść się na poziom techniczny naszych pradziadów.

Kalvi skrzywił się, niechętnie potwierdzając jego słowa.

— W tej sytuacji proponuję, abyśmy postarali się wykorzystać pozostałe nam środki techniczne tak, by zostawić możliwie jak najtrwalszy, niezniszczalny zapis naszej wiedzy dla przyszłych pokoleń. Wiem, że niektórzy z nas — tu przerwał i spojrzął znacząco na drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Chalkin — wolą sądzić, iż nasi przodkowie błędnie kojarzyli Opad Nici ze zbliżaniem się Czerwonej Planety do Pernu. Trudno jednak zignorować niezwykle zjawiska, które od pewnego czasu zachodzą na powierzchni — poczynając od gwałtownych wahań pogody i wybuchów wulkanów, a kończąc na innych zmianach zachodzących w kosmosie. Jeśli w dalekiej przyszłości znajdzie się silna grupa osób, które zakwestionują nadejście Opadów, nie chcąc przygotowaniami do nich naruszać kwitnącej gospodarki i burzyć zadowolenia społecznego, wtedy to wszystko, co osiągnęliśmy ciężką pracą, co zbudowaliśmy gołymi rękami — tu dramatycznie uniósł dłonie — to wszystko, co nas otacza — wskazał na okno, skąd dobiegały ledwie słyszalne dźwięki muzyki — to wszystko obróci się w niebyt. Rozległy się głośne zaprzeczenia.

— Zapewniam was — podniósł rękę ponad głowę — to naprawdę może się zdarzyć. Lord Chalkin jest żywym dowodem. Już straciliśmy tak wiele wiedzy technicznej. Wartościowi, utalentowani ludzie, których wykształcenie i umiejętności były dla nas bezcenne, w końcu umierają, ze starości lub choroby. Musimy stworzyć zabezpieczenie przeciw Niciom, które przetrwa i nauczy naszych potomków, jak się przygotować i przetrwać.

— Czy jest jakakolwiek szansa, by odnaleźć wreszcie ten budynek administracyjny? — spytał Paulin S'nana.

— Nie teraz, kiedy zbliżają się Opady — odpowiedział mu M'shall. — Zresztą na południu zaczynają się upały, co prawie uniemożliwi kopanie. Ale całkowicie zgadzam się z Clisserem. Naprawdę potrzebujemy zabezpieczeń. Musimy wymyślić coś, co przekonałoby niedowiarków takich jak Chalkin, że Nici to nie mit wymyślony przez przodków.

— Prowadzimy kroniki... — wtrąciła Laura z Weyru Ista.

— Dużo ci zostało arkuszy plastiku? — spytał zadziornie Paulin. — Wiem, że zapasy Fortu się kurczą. Poza tym, wszyscy wiecie, co się stało w Archiwum.

— To prawda. Ale mamy papier... — tu spojrzała na lordowską parę Telgaru, Tashviego i Salde.

— Tylko że trudno ocenić, ile akrów lasu przetrwa inwazję Nici — odpowiedział Tashvi, z powątpiewaniem unosząc ręce. — Drwale ścinają drzewa bez przerwy, a tartak i młyny pracują pełną parą.

— Wszyscy wiecie, że będziemy robić, co w naszej mocy, by ochronić lasy — włączył się K'vin, choć na własny użytek zastanawiał się, czy tej mocy wystarczy na długo, gdyż jedna Nić potrafi w kilka minut zniszczyć szeroki pas roślinności.

— Nikt nie ma co do tego wątpliwości — odpowiedziała ciepło Salda — a my postaramy się przed Opadami wyprodukować jak najwięcej papieru. — Spoważniała. — Nikt z nas jednak nie wie, co przetrwa Nici, a co zostanie zniszczone. Z opisu Tarviego Andiyara, sporządzonego tuż po objęciu Warowni, wynika, że większość stoków była niezalesiona. Na dziesięć lat przed końcem Opadów miał już dość sadzonek, by zagospodarować każdą piędź ziemi. Mamy również szczęście, że w trzydzieści lat po zakończeniu Pierwszego Przejścia nastąpiło naturalne wysiewanie się lasu.

— To także musimy zachować na pożytek przyszłych pokoleń — oświadczył Clisser.

— Organizacja odbudowy — podsumowała Mari z Dalekich Rubieży.

— Przepraszam, co?

— Działania, jakie należy podjąć po Przejściu są znacznie ważniejsze od tego, co robi się w czasie Opadu — powiedziała, jakby to było oczywiste.

— Najpierw trzeba przetrwać pięćdziesiąt lat — zaczęła Salda.

— Wróćmy do tematu — Paulin wstał z miejsca. — Przewodniczący, podsumowując, oświadcza, że niezbędna nam jest trwała, niezniszczalna, jednoznaczna i prosta metoda obwieszczająca powrót wędrownej planety. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

— Można wygrawerować metalowe tablice i umieścić je w każdym Weyrze, Warowni i Siedzibie Rzemiosła, w takich miejscach, by bez trudu je zauważano — powiedział Kalvi.

— Wypiszemy na nich odczyty sekstansów, oznaczające Przejście.

— Świetnie, pod warunkiem że zawsze będą sekstansy i ludzie, którzy będą umieli się nimi posługiwać. Ale co się stanie, gdy popsuje się ostatecznie urządzenie? — zauważył Lord Bastom.

— Są tak proste, że łatwo je zrobić — odpowiedział mu Kalvi.

— A jeśli nikt nie będzie wiedział, jak się nimi posługiwać? — wtrąciła Salda.

— Kapitanowie na moich kutrach używają sekstansów na co dzień — odrzekł Bastom.

— Są niesłychanie przydatne na morzu.



— Wszyscy studenci przerabiają podstawy matematyki — dodał Clisser. — Nie tylko rybacy.

— Żeby uzyskać potrzebne odpowiedzi trzeba znać metodę i wiedzieć, kiedy się nią posłużyć — odezwała się po raz pierwszy Corey, Naczelny Medyk. Podlegający jej lekarze z trudem walczyli o zachowanie wysokiego poziomu medycyny mając do dyspozycji coraz mniej i mniej sprzętu. U nich stosowanie niecodziennych metod od dawna wrosło w tradycję rzemiosła.

— Musi być jakiś sposób, by przekazać tę decydującą o życiu lub śmierci wiadomość, następnym pokoleniom — z tymi słowy Paulin spojrział wpierw na Clissera, a potem omiół wzrokiem wszystkie twarze. — Trzeba się dobrze zastanowić... Jednym ze sposobów może być wytrawienie wiadomości na metalu... i umieszczenia tablic na widocznym miejscu w każdym Weyrze i Warowni, by nikt nie mógł ich wepchnąć na dno magazynu i zapomnieć, że kiedykolwiek istniały.

— Coś w rodzaju kamienia z Rosetty? — z ust Clissera padło raczej stwierdzenie, niż pytanie.

— Co to takiego? — zainteresował się Bridgely. Clisser miał denerwujący zwyczaj odwoływania się w rozmowie do pojęć znanych tylko jemu samemu, po czym chętnie udzielał długich wyjaśnień, jeśli tylko mu na to pozwolono.

— Na ziemi, pod koniec osiemnastego stulecia, odnaleziono kamień z inskrypcją w trzech starożytnych językach, dzięki czemu udało się te języki rozszyfrować. My, naturalnie, zachowamy czystość języka.

— A więc powraca temat grawerowanych płyt — uśmiechnęła się Corey.

— Jeśli to jedyny sposób... — Clisser nagle przerwał i zmarszczył brwi. — Nie, musi być jakaś niezawodna metoda. Zajmę się tym.

— Doskonale, Clisserze, ale nie odkładaj tego na później — poprosił Paulin. Wolę, żeby we właściwym czasie odezwały się setki alarmowych syren, dzwonek i brzęczyków, niż by nasi potomkowie polegali tylko na jednym zawodnym systemie.

Twarz rektora powoli rozjaśnił uśmiech.

— Dzwonki i brzęczyki to nie problem. Najwięcej czasu zajmie nam ta syrena.

— Doskonale — powtórzył Paulin i jeszcze raz powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. Rytmiczna muzyka taneczna znów napłynęła przez okna i młodzi Lordowie Warowni i Przywódcy Weyrów z trudem mogli usiedzieć. — Czy są jeszcze jakieś wnioski? — Nie czekając na odpowiedź zakończył spotkanie uderzeniem drewnianego młotka w stół. — W takim razie, to wszystko na dzisiaj. Bawcie się dobrze, przyjaciele.

Sala opustoszała w jednej chwili, gdyż wszyscy pośpieszyli uczynić zadość jego życzeniu.

## ROZDZIAŁ II

### ZGROMADZENIE W FORCIE

— Cliss, co w ciebie wstąpiło, do licha? — zdenerwował się Sheledon, dziekan Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu, który bez przerwy walczył, by zachować dla siebie nieco wolnego czasu na komponowanie.

— Widzisz — powiedział Clisser, unikając jego twardego, oskarżycielskiego wzroku — my naprawdę mamy więcej kronik niż ktokolwiek inny; lepiej też potrafimy je analizować. Uniwersytet powstał właśnie po to, by udostępniać informacje i szkolić.

— Naszym głównym zadaniem jest uczenie młodych ludzi, którzy woleliby dosiadać smoków albo zdobywać kolejne przydziały ziemi niż rozwijać wrodzoną sprawność umysłu — przyłączyła się do narzekań Danja, która w wolnym czasie dyrygowała kwartetem smyczkowym. — Nadto naszym obowiązkiem jest namówić tylu młodych ludzi, ilu zdołamy, by poszli w świat przekazywać wiedzę coraz bardziej rozproszonej ludności Pernu.

Wokół rozbrzmiewała muzyka taneczna, ale Sheledona i Danję ogarnęła irytacja tak wielka, że nie docierał do nich rytm, który sprawiał, że pozostała trójka siedząca przy stole wybijała takt stopami lub dłońmi. Danja popatrzyła na Lozella z irytacją, więc natychmiast przestał stukać po stole stwardniałymi od strun harfy opuszkami palców.

— Moim zdaniem bez trudu znajdziemy jakiś sposób, by ostrzec przed powrotem planety — bąknął, próbując ułagodzić gniew Sheledona i Danji.

— Nie chodzi o trudności — odparła cierpko zirytowana kobieta. — Chodzi o to, kiedy znajdziemy na to czas! — Wycelowała palcem w nie dokończony budynek uniwersytetu. — Tym bardziej że trzeba zdążyć przed zimowym przesileniem — tu rzuciła jadowite spojrzenie Clisserowi.

— Ach, tak — skrzywił się Lozell. — Racja.

— Ostatnio każdą godzinę wolną od zajęć zajmuje nam wszystkim praca nad różnymi zagadnieniami, jakoby nie cierpiącymi zwłoki — podjęła Danja i gestykułując dramatycznie zaczęła nerwowo spacerować wzdłuż stołu. W obliczu zagrożenia Sheledon zamykał się w sobie, zaś Danja, buchając energią, rwała się do działania. Nieopatrznie potrafiła krzesło, na którym wcześniej położyła skrzypce, po czym błyskawicznie schwyciła cenny instrument, by nie upadł na kocie łby. Kolejne oburzone spojrzenie trafiło Lozella, jakby to on był winny.

Sheledon wyciągnął rękę, odebrał jej skrzypce i smyczek i położył je na stole, gdzie stały jedynie ich szklanki. Nie patrząc, wytarł kroplę wina obok bezcennego instrumentu, jednego z niewielu przedmiotów z czasów Lądowania, które wciąż nadawały się do użytku.

— Dziś na przykład — podjęła nerwowy spacer — rano uczyliśmy młodzież, potem udało nam się coś przełknąć i zabraliśmy się za malowanie pomieszczeń, żeby choć część była gotowa na letni semestr. Mieliśmy pięć minut, by się przebrać i mimo to nie zdążyliśmy na smoczą paradę, którą na przykład ja — tu dziabnęła się kciukiem w okolice mostka — bardzo chciałam obejrzeć. — Występowaliśmy już dwa razy — mówiła z przekonaniem — i niewątpliwie będziemy dalej przygrywać, aż do wschodu słońca, a jutro zaczniemy wszystko od nowa, tyle że nie będzie Zgromadzenia i pewnie uda nam się wypaść, żeby nabrać sił i na okrągło wykonywać prace jak wyżej, a w przerwach przygotowywać się do nowego semestru. Który, nota bene, zaczyna się za tydzień, a potem już w ogóle nie będzie na nic czasu, bo trzeba będzie pracować z nauczycielami, którzy wkrótce opuszczą uniwersytet, by nieść Słowo na najdalsze rubieże kontynentu — wskazała na wschód z aktorską swadą, po czym padła na krzesło, gdzie wcześniej leżały skrzypce. — Kiedy, twoim zdaniem, mamy znaleźć czas na dodatkowe badania, Clisser?

— Dotąd zawsze jakoś znajdowaliśmy czas — cicha odpowiedź rektora kryła w sobie delikatną krytykę jej gwałtownej wypowiedzi.

— Może niech grupy uczniów popracują nad tym w ramach zajęć z historii? — zaproponował Lozell.

— To jest rozwiązanie — ucieszyła się Bethany, która jak zwykle zadowolila się obserwacją wybuchów Danji, jakby to był atrakcyjny pokaz ogni sztucznych. — Moim pierwszacom przyda się trochę samodzielnej pracy.

— Póki starczy nam prądu dla biblioteki — dodała kwaśno Danja.

— Starczy, starczy — Clisser uśmiechnął się. — Podczas pokazów Kalvi posłał techników na dach, żeby naprawili ogniwa słoneczne. Jutro podłączą je do głównych banków pamięci. Wyobraź sobie, że nie tylko ty dzisiaj pracowałaś.

— Wielka mi pociecha — odcięła się Danja.

Rektor dołał jej wina.

— A do tego coś mi się zdaje, że przydałoby się trochę chwytliwych melodii i dobrych tekstów. Niech małe dzieci nauczą się na pamięć wszystkich oznak zapowiadających Przejście, zanim staną się na tyle dorosłe, by je kwestionować.

— Jeden plus jeden to dwa, a dwa dodać dwa to cztery? — Danja zaśpiewała starą piosenkę uczącą dodawania, po czym uśmiechnęła się przebiegle.

— Bardzo skuteczne narzędzie dydaktyczne, sami przyznacie — teraz Clisser napełnił własny kieliszek. — Shel, czy mógłbyś zabrać się za komponowanie i dostarczyć nam paru prostych, ładnych melodyjek?

Sheledon przyklasnął entuzjastycznie.

— Od lat powtarzam, że powinniśmy przekazywać podstawowe wiadomości w formie muzycznej. Jemmy potrafi pisać niezłą popularną muzykę.

Na twarzy Bethany zajaśniał szeroki uśmiech. Jemmy był jej ulubionym uczniem i zawsze z wielkim zapałem go popierała. Nawet Danję to nieco ułagodziło.

— Dobrze — powiedział Clisser, rozwiązawszy jedną z palących kwestii. — To co, wchodzimy na scenę następni?

— Już skończyłeś dyskusję? — zdenerwowała się Danja. — Zaczekaj chwilę! Clisser, czy ty kiedyś spoważniejesz?

Rektora wyraźnie ubodły te słowa. Bethany przysunęła się i pogładziła jego dłoń, starając się ułagodzić go uśmiechem.

— O co ci chodzi, Danja? — zapytał.

— Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, jak ogromną odpowiedzialnością obarczyłeś nas przed chwilą ot, tak sobie... — Danja szeroko rozłożyła ramiona, a dłonie uniosła do góry w geście pełnym rozpacz.

— Na pewno damy sobie z tym radę, kochanie — odpowiedziała uspokajająco Bethany — trzeba nam tylko trochę czasu i pomysłu.

— No właśnie, czasu. Czy starczy nam czasu? — włączył się ponownie Lozell. — Jak sobie damy radę, jeśli zima będzie choć w połowie tak sroga jak w zeszłym roku? Chociaż pewnie będzie gorsza, bo ta przeklęta Czerwona Planeta szczyrzy się do nas z coraz bliższej odległości.

— Jakoś się uda. Zawsze się udawało — westchnął Sheledon z rezygnacją. — Paulin nam pomoże. Weyry na pewno też coś dadzą.

Danja rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Już gramy na inną melodię, co? Jeszcze niedawno twierdziłeś, że cierpimy na brak czasu, czy też mi się wydawało?

Sheledon wyzywająco wzruszył ramionami.

— Moim zdaniem pomysł Lozella, żeby uczniowie szukali rozwiązania w ramach samodzielnej pracy, rozwiązuje jeden kłopot. A jeśli Jemmy wygwizdże nam jakieś melodyjki, ja z pewnością coś do tego zrymuję. A może Jemmy zrobi jedno i drugie, gdy znajdzie chwilę — twarz Sheledona złagodniała, rozciągnięta przez suchy uśmiech.

Zwalczał w sobie zazdrość o Jemmy'ego, który wyróżniał się wszechstronnym talentem i choć jeszcze oficjalnie nie ukończył uniwersytetu, już prowadził kilka grup studentów i wyglądało na to, że potrafi świetnie podołać każdemu zadaniu, które przed nim postawią. Clisser przezywał go Mistrzem Złotą Rączką.

— A jeśli studenci, którzy z natury są obojętni wobec tematu badań, przegapią właśnie tę najważniejszą kwestię? — spytała Danja.

— Kochanie, jesteśmy ich nauczycielami właśnie po to — odparła Bethany — by sprawdzać, czy aby nie umknęło im jakieś oczywiste rozwiązanie. Przynajmniej oszczędzą nam przekopywania się przez tony materiałów i przedstawią najbardziej sensowne pomysły. Jemmy może ich nadzorować. Najszybciej czyta i ma najmłodsze oczy.

W tym momencie instrumentalisci na estradzie skończyli ostatni utwór i kłaniali się do wtóru entuzjastycznych braw, którymi nagradzali ich spoceni tancerze na równi z widzami popijającymi wino przy stołach. W końcu zeszli ze sceny.

— No dobrze, co gramy, Clisser? — spytał Sheledon. Wychylił resztkę wina i wstał.

— Nasi starsi uczniowie wykonali dużo szybkich tanecznych melodii — odpowiedział zapytany. — Niech sobie ludzie trochę odetchną i posłuchają czegoś wolniejszego... na przykład wiązanek starych przebojów. Zacznijmy od „Długiej krętej drogi”, żeby od razu stworzyć nastrój.

— Hm... a potem zjemy kolację, kiedy młodszy uczniowie będą grać to coś, co mylnie określamy jako muzykę — dodała Danja, która z wielką pogardą traktowała popularną w tym czasie hałaśliwą muzykę diatoniczną.

— Wszystkich naraz nie zadowolisz — oznajmił sentencjonalnie Clisser i sięgnął po gitarę. Pomógł Bethany odsunąć krzesło i podał jej ramię. Uśmiechnęła się nieśmiało w odpowiedzi na uprzejmy gest, wzięła flet poprzeczny w sztywnym, zniszczonym futerał, flety proste w skórzanych etui i małą fujarkę z trzciny, która w tym roku otrzymała nagrodę za najlepszy instrument. Miała specyficzną, słodką i czystą barwę tonu, którą Jemmy od tej pory starał się osiągnąć, robiąc inne fleciki. Potem pokuśtykała na estradę, z pozoru nie dbając o zniekształconą stopę i niezgrabny krok. Głowę uniosła wysoko i usilnie patrzyła wprost przed siebie.

Jemmy podszedł do nich od swego stołu i machinalnie odebrał jej futerał z fletami. Grał w ich zespole na bębenu, choć innym muzykom wtórował na gitarze. Wyglądał niepozornie: blada cera i płowe włosy nie łagodziły ostrych rysów. Zachowywał się bardzo skromnie i nigdy nie chełpił się osiągnięciami naukowymi. Choć nie był atletycznie zbudowany, przez ostatnie trzy lata wygrywał maraton na Letnich Igrzyskach. Nie potrafił

nawiązywać kontaktu z rówieśnikami. „Mamy zupełnie odmienne sposoby myślenia” powiadał, dokonując w ten sposób nieśmiałej samooceny.

Naturalnie, miał rację, gdyż nie zmieścił się w skali zwykłych testów na inteligencję, sprawdzających zdolności kandydatów na nauczycieli. Nie znalazł także zrozumienia w rodzinie. Prości rybacy z Warowni Tillek w pewnym momencie nawet uznali, że jest opóźniony w rozwoju. Jako czternastolatek zaczął wraz z rówieśnikami uczyć się rodzowego rzemiosła. Wytrzymał trzy rejsy. Choć okazał się świetnym nawigatorem, cierpiał nieustannie na morską chorobę i nigdy nie opanował „marynarskiego chodu”, nie nadawał się więc do pracy na kutrze, przynosząc tym wielki wstyd rodzinie. Chłopcem zainteresował się sam kapitan Kizan. Zaproponował, żeby wyuczyć go na nauczyciela i posłał go do Warowni Fort na okres próbny. Clisser z radością przyjął kandydata, gdyż nastrój ogromnie mu się poprawił po spotkaniu z kimś tak gorąco pragnącym wiedzy. A gdy rektor dowiedział się, w jakim tempie Jemmy przerabia nawet najtrudniejszy materiał, sam ułożył dla niego indywidualny tok studiów. Okazało się, że Jemmy, mimo absolutnego głosu, nie ma dobrego głosu, więc zaczął nadrabiać ten brak grą na różnych instrumentach i każdy bez wyjątku opanowywał w kilka godzin.

Choć rodzina, a nawet Lord Bastom mieli nadzieję, że chłopak wróci do Tilleku jako nauczyciel, Clisser twardo obstawał przy tym, że dzieci w Warowni może uczyć każdy, niekoniecznie geniusz. Zaproponował, że dostarczy doskonale wyszkolonego kandydata, jeśli Jemmy będzie mógł dalej studiować na Uniwersytecie, z korzyścią dla całego kontynentu.

O jednej rzeczy na jego temat wspomniano w uniwersyteckich kolegiach tylko w ścisłym gronie: Jemmy intuicyjnie wiedział, jak wypełnić luki w dokumentach powstałe w wyniku niestarannego przepisywania lub zniszczeń. Sporządzane przez niego notatki, krótkie i treściwe, stanowiły wzór przejrzystości. Uniwersytet z trudem by sobie radził bez jego umiejętności i inteligencji. Jemmy nie był dobrym nauczycielem, gdyż drażniły go procesy myślowe o wiele wolniejsze niż jego własne, lecz potrafił układać podręczniki i kompendia podstawowych tekstów, które przywieźli ze sobą osadnicy. To on wymyślił, by zmieniać nazwę Ziemia na Pern.

Rówieśnicy nie przepadali za jego towarzystwem, a on wolał przebywać z wykładowcami... choć prędko przewyższył ich wiedzą i umiejętnością jej zastosowania w praktyce. Ponadto wszystkim było wiadomo, choć taktownie pomijali to milczeniem, że bezgranicznie uwielbiał Bethany. Ona zaś, niezmiennie uprzejma i zyczliwa, odrzucała wszystkich mężczyzn. Dawno już postanowiła, że nie zaryzykuje urodzenia zdeformowanego dziecka i zrezygnowała ze wszystkich związków, nawet tych, które gwarantowały

bezdziwność.

Kiedy tak Clisser szedł u jej boku na estradę, zastanawiał się, czy Jemmy w końcu nie zburzy dziewiczego muru, który otaczał tę kobietę. Rektor doskonale zdawał sobie sprawę, że Bethany bardziej zależy na tym chłopaku z Tilleku niż na jakimkolwiek innym mężczyźnie, którego znała w ciągu tych trzydziestu lat, gdy Clisser miał możliwość obserwowania jej, najpierw jako studentki, a potem wykładowczyni. Była tak cudownie łagodna... stworzona do tego, by kochać i być kochaną. Znano różne sposoby zapobiegania ciąży, więc w tej kwestii nie miałyby powodów do niepokoju. Różnica wieku jest tu bez znaczenia, pomyślał, a Jemmy rozpaczliwie potrzebuje równowagi emocjonalnej, jaką dałoby mu poznanie pełni życia.

Obaj z Jemmy pomogli jej wejść na pozbawione balustrady schody wiodące na scenę. Potem, zgrabnie układając fałdy długiej spódnicy kryjącej ortopedyczny but, usadowiła się na krześle. Ułożyła pod ręką flety w pokrowcach, a fujarkę umieściła na stojaku nutowym. Ten zespół muzyczny nie potrzebował partytur, lecz inne nie potrafiły się bez nich obejść.

Danja przyłożyła skrzypce do podbródka, uniosła smyczek i spojrzała na Jemmy'ego, który zanucił „la”, by mogła się dostroić. Sheledon wziął cichy akord na gitarze, sprawdzając harmonię, a Lozell przebiegł palcami po strunach dużej harfy.

Jedno jedyne pianino pozostałe na kontynencie — jego ulubiony instrument — było akurat w naprawie. Coś niedobrego działo się z młoteczkami; nie udało się odtworzyć dokładnego odpowiednika oryginalnego filcu.

Clisser kiwnął głową do Jemmy'ego, ten odegrał na tamburynie werbel, by zwrócić uwagę słuchaczy, rektor podał tempo i popłynęła muzyka.

Upłynęło kilka dni, zanim Clisser znalazł czas, by porozmawiać z Jemmy o nowym projekcie.

— Od dawna zastanawiam się, dlaczego nie piszemy ballad ułatwiających naukę historii — odpowiedział Jemmy.

— Nie zamierzamy nadawać formy muzycznej historii.

— Właśnie, że tak — Jemmy zaprzeczył w zwykły, bezpośredni i niegrzeczny sposób, do którego Clisser przez długi czas nie potrafił się przyzwyczaić. — A przynajmniej tak potraktuje nasze pieśni kolejne pokolenie... i wszystkie następne.

— Racja, racja.

Jemmy coś zanucił, przerwał, podbiegł do stołu, złapał zapisaną kartkę papieru i odwrócił ją na czystą stronę. Szybkimi pociągnięciami nakreślił pięciolinie, dodał klucz i od razu zaczął zapisywać nuty. Clisser przyglądał mu się, zafascynowany.

—Ach — powiedział chłopak mimochodem, podczas gdy jego dłoń biegła w górę i w dół po pięciolinii — ta melodia męczy mnie od kilku miesięcy. To niemal ulga przelać ją na papier teraz, gdy wreszcie może mi się do czegoś przydać.

Zaznaczył następny takt. Pióro na moment zawisło nad papierem, po czym podjęło dalszą wędrówkę.

— Można z tego zrobić coś w rodzaju wzorca. Zaczyna się partią sopranu, naturalnie chłopięcego, który opisuje miejsce akcji. Potem wchodzi tenory, naturalnie jeźdźcy smoków, i barytony, czyli Lordowie Warowni, a do tego parę basów — przedstawiciele grup zawodowych... każda grupa opowiada o swoich obowiązkach wobec Weyru... a potem w końcowym refrenie, przetworzeniu pierwszej linijki, cały Pem opiewa swą wdzięczność wobec smoków. Tak, to będzie niezły kawałek.

Clisser wiedział, kiedy jego obecność jest zbędna i z uśmiechem opuścił pomieszczenie. Jeśli Bethany miała rację i studenci bieżącego semestru sprawnie uporają się z zadaną pracą, będzie można spełnić śmiałą obietnicę, jaką złożył Radzie. Miał szczerą nadzieję, że komputery wytrzymają jeszcze tyle czasu, ile potrzeba do starannego przeczesania banków danych. Ostatnio stały się tak chimeryczne, że operatorzy przestali im ufać. Część danych była nie do odczytania, albo uległa zniekształceniu. Co gorsza, nikt nie wiedział, skąd wziąć części zamienne. Naturalnie, komputery były tak wiekowe i zniszczone, że cudem dotrwały do dziś dnia. Czy prowadzenie wykładów z elektroniki miało w ogóle jakikolwiek sens?

Przypomniał sobie, że musi porozmawiać z dwiema parami rodziców, którzy upierają się, by zapisać dzieci na kurs obsługi komputerów, jako najbardziej prestiżowy na Uniwersytecie. Ta dziedzina wymagała również najmniej wysiłku, gdyż pozostało już bardzo niewiele sprzętu. Gdzie ci młodzi ludzie mają wykorzystywać nabyte tu umiejętności? Co gorsza, żaden z tej dwójki nie zdradzał najmniejszych predyspozycji do pracy z mechanizmami. Po prostu wydawało im się, że wiedzą, czego chcą. Co roku zdarzały się takie przypadki. A jeszcze ci rodzice z Warowni, którzy nie życzyli sobie, by córeczka zadawała się z „niżej urodzonymi”, jak to ładnie ujął Sheledon.

Tak, jakby mieli miejsce i sprzęt, by prowadzić więcej kolegów nauczycielskich, albo mogli dostarczać prywatnych nauczycieli, jak życzyliby sobie tego niektórzy Lordowie Warowni. Ha! Wędrowni nauczyciele i tak krążyli po kontynencie jak rok długi, trudząc się, by dzieci z najdalszych nawet osad nie były pozbawione podstawowej wiedzy. No cóż, może kiedyś, w przyszłości, powstanie drugie uniwersyteckie miasteczko — tak to kiedyś określano, prawda? — na wschodnim wybrzeżu. Naturalnie teraz, gdy nadchodzą Nici, trzeba



będzie pozmieniać wszystkie trasy i kalendaria, a także pouczyć wędrowców, jak ratować życie. Kiedyś, zanim popsuł się projektor, Clisser oglądał zdjęcia Opadu. Zadrżał na samo wspomnienie. Choć przez całe życie zdawał sobie sprawę z nadchodzącego niebezpieczeństwa, nie potrafił przyjąć do wiadomości, że jest ono nieodwracalne. Rzeczywistość wkrótce rzuci się ludziom do gardła.

Przywódcy Weyrów mogą sobie głądzić o tym, jak dobrze przygotowane są Warownie i Weyry, o pełnej obsadzie smoczycich siedzib, doskonałej organizacji załóg naziemnych i dostawach sprzętu, ale czy ktoś naprawdę zdaje sobie sprawę, co się będzie działo? Zaklął pod nosem i pośpieszył w stronę pomieszczeń, które trzeba było w ciągu pozostałych pięciu dni przygotować na przyjęcie nowych mieszkańców. Podczas posiłku trzeba będzie popracować nad programami.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Zatrzymał się, przez moment zapominając nawet postawić stopę na kolejnym stopniu. Przede wszystkim należy wypracować całkowicie nowe podejście do nauczania!

Po co uczyć młodzież przedmiotów, które tu, na Pernie, stały się całkowicie bezużyteczne, jak na przykład programowanie komputerowe i naprawa sprzętu elektronicznego? Do czego perneńskim dzieciom przyda się wiedza o dawnych geograficznych i politycznych podziałach na starej Ziemi? Bezużyteczne informacje. Przecież oni nigdy tam nie pojedą! Jakie to wszystko odległe od tutejszej codzienności...

Trzeba koniecznie zrewidować wszystkie cele nauczania i dostosować je do potrzeb ludzi, którzy bezpowrotnie i nieodwołalnie osiedlili się na tej planecie. Po co komu teraz wiedza o pośrednich przyczynach Kosmicznej Wojny z Ludem Nathi? Tutaj nikt się nie wybiera w kosmos — nawet zasięg lotu smoków jest ograniczony groźbą niedoboru tlenowego. Czy nie lepiej byłoby analizować satelitarne mapy Pernu, a zapomnieć o Ziemi i jej koloniach? Nie ciekawiej będzie zagłębić się w postanowienia Karty, dotyczącej perneńskiego społeczeństwa, niż analizować prehistoryczne rządy i społeczeństwa? Naturalnie, niektóre ważniejsze fakty można wkomponować w program nauczania, by pokazać, w jaki sposób rozwinął się obecny model rządów. Trzeba pozbyć się oczywistych nonsensów! Nic dziwnego, że nauczyciele z trudem realizują programy, a studenci umierają z nudów, gdy tak niewiele wiedzy, którą tu zdobywają, ma choćby śladowy związek z ich własnym życiem i planetą, którą zamieszkują. Tak naprawdę, wykłady z historii powinny zaczynać się od Lądowania na Pernie... bez przesady, trzeba wspomnieć o pojawieniu się homo sapiens, ale po co zawracać sobie głowę wiadomościami o obcych cywilizacjach, na które natrafili ziemscy badacze, jeśli żadna z nich najprawdopodobniej nie zjawi się w

systemie Rukbatu?

Ponadto, postanowił Clisser, zafascynowany nową ideą, należy postawić na specjalizację i podnieść rolnictwo, a także weterynarię do godności nauk równie prestiżowych jak kursy komputerowe. Hodowla zwierząt w perneńskim środowisku i walka z tutejszymi pasożytami są o wiele ważniejsze niż choroby dokuczające inwentarzowi kiedyś tam, na starej Ziemi. Trzeba poinformować górników i hutników, gdzie na zdjęciach satelitarnych występują rudy żelaza, i jaka jest ich jakość. Należy zapomnieć o historii sztuki, tym bardziej że dzieła sztuki na starych przezroczach przypominają w większości rozmazane plamy, a zacząć uczyć stosowania lokalnych pigmentów, materiałów, wzorów i wykrojów. Rybacy potrzebują wiedzy o prądach, oceanografii, przetwórstwie ryb, nawigacji, budowie statków i meteorologii... a właściwie, czemu by nie pooddzielać od siebie tych wszystkich dyscyplin, by uczniowie dowiadywali się tego, czego im rzeczywiście potrzeba, a nie steku zbędnych faktów, cyfr i teorii?

Na przykład, niech Kalvi weźmie sobie... jak to się kiedyś nazywało?... właśnie, czeladników i niech nauczy ich hutnictwa i obróbki metalu. Górnictwo trzeba koniecznie oddzielić od metalurgii. Musi powstać osobny system nauki dla tkaczy, rolników i rybaków. I naturalnie, dla nauczycieli. Edukacja w czystej postaci zawsze ma za zadanie uczyć rozwiązywania problemów dnia codziennego, ale przy tego rodzaju specjalizacji można naprawdę ograniczyć zakres wiedzy tak, by obejmował tylko najpotrzebniejsze zagadnienia. Właściwie, obecnie i tak działa coś w rodzaju systemu cechowego... rodzice uczą dzieci rodowego rzemiosła, albo oddają je na naukę sąsiadom. Obaj synowie Kalwiego w tej chwili nadzorują jego zakłady w Telgarze. System ten powinien także umożliwić nieprzystosowanym dzieciom, takim jak Jemmy, naukę rzemiosła odmiennego od tradycyjnych zajęć rodu. Każdy sześciolatek będzie musiał przejść podstawowe testy na inteligencję, a każdy jedenasto- albo dwunastolatek podda się bardziej specjalistycznym badaniom. W ten sposób najlepiej poznamy zdolności dzieci i umieścimy je tam, gdzie nauka i szkolenie pozwoli im w pełni wykorzystać wrodzone zdolności.

Nawet w medycynie trzeba stworzyć nowy program nauczania, opierający się na surowcach dostępnych na Pernie, a nie na tym, co przywieźli ze sobą Ojcowie Założyciele. Wszyscy wiedzą, że Corey ciągle narzeka na brak tego czy innego lekarstwa, sprzętu czy też techniki, przydatnych do ratowania ludzkiego życia, tyle że już od dawna niedostępnych.

Clisser parsknął pogardliwie. Za dużo czasu marnujemy rozpaczając, że czegoś tam już nie ma, a czegoś innego zabrakło, zamiast jak najlepiej wykorzystać to, co jest dostępne tu i teraz. Jak brzmiało to starożytne powiedzenie?

Nie nam osądzać, czy los szczodroliwy,  
Lecz tym, co nam zsyła, będziem sobie radzić.

Wprawdzie nie pamiętał już, kto to napisał, ani czego dotyczyło, ale jakże to było aktualne! Pern miał ogromne bogactwa, o których zapominano, rwąc szaty nad przeszłością. Nawet Corey przyzna, że tutejsze zioła okazały się pomocne przeciw wszelkim typowym dolegliwościom, a w niektórych przypadkach sprawdziły się nawet lepiej, niż przywiezione z Ziemi, troskliwie przechowywane chemikalia.

Podstawy matematyki oraz historii, jak również pojęcia odpowiedzialności i obowiązku rzeczywiście można przełożyć na język muzyki, pomocny przy przekazywaniu wiedzy i jej zapamiętywaniu. Wtedy każdy, kto ledwie umie brzdąkać na instrumencie, będzie mógł uczyć dzieci w Warowniach czytania, pisania i podstaw arytmetyki. Na tym koniec, i niech dzieciaki zajmą się tym, co im życie przyniesie. A muzyka przecież zawsze była bardzo ważna dla tutejszego ludu!

Postawił wreszcie nogę na stopniu schodów, zadowolony, że wpadł na tę genialną myśl. Oto całkowicie nowe podejście do uczenia i szkolenia młodzieży, idealnie dostosowane do potrzeb i charakteru planety. Tak, trzeba będzie spokojnie usiąść i dobrze to wszystko przemyśleć... jak tylko znajdzie trochę wolnego czasu.

Zaśmiał się, kpiąc ze swych własnych genialnych idei. Zdawał sobie jednak sprawę, że rzeczywiście trzeba wreszcie zmienić i zreformować wiele dawnych pojęć, więc dlaczego zmiany nie miałyby objąć metod dawkowania wiedzy? Czy dawkowanie to odpowiednie słowo? Brzmi tak jakby wiedza była lekarstwem. Westchnął. Szkoda, że tak wiele osób trzeba zmuszać, by ją przyjmowały. Oczywiście, jednostki takie jak Jemmy dowodzą, że nauka może być przyjemnością, ale rzadko zdarza się napotkać kogoś tak bardzo głodnego wiedzy samej w sobie.

Gdy dotarł do szczytu schodów, jego dobry humor niemal całkiem powrócił. Ach, na wszystkie świętości, musi znaleźć czas na to wszystko. I to koniecznie.

### **ROZDZIAŁ III**

#### **PÓŻNA JESIEŃ W WEYRZE TELGAR**

— Tym razem przeszła samą siebie, nie sądzisz? — Rozpromieniona Zulaya popatrzyła na Paulina, a potem odwróciła się i obdarzyła serdecznym spojrzeniem swoją złotą

królową, która władczo rozpościerała skrzydła, strzegąc pięćdziesięciu jeden jaj, z których, sądząc ze wszystkich znaków na niebie i ziemi, dziś miały się wykluć smoczęta. Przez całe rano smoki zwoziły gości i kandydatów.

— Czy Weyry przypadkiem nie przesadzają z takimi ilościami jaj? — spytał Paulin. W Bendenie i Iście Wylęgi odbyły się zaledwie kilka miesięcy temu. W czasie Poszukiwań wybrano spośród jego ludzi dwóch dobrze zapowiadających się gospodarskich synów. Nielatwo było mu pogodzić się z tą stratą, tym bardziej że jeźdźcom ograniczano swobody, jakimi cieszyli się w czasie Przerwy w Opadach; nie mogli już dzielić czasu pomiędzy Weyr a Warownię i uczyć się jakiegoś rzemiosła.

— Częste Wylęgi i wiele jaj to kolejny, niezawodny znak zapowiadający Przejście — oświadczyła Zulaya, wyraźnie rada, że już wkrótce pemeńskie smoki zajmą się tym, do czego przystosowali je genetycy. — Słyszałeś nową pieśń, nadesłaną z Uniwersytetu?

— Mhm, słyszałem — uśmiechnął się. — Od tej pory prześladowuje mnie jej melodia.

— Clisser obiecał, że dziś wieczorem usłyszymy więcej takiej muzyki.

— I nic ponadto? — Paulin zmarszczył brwi. — Prosiliśmy przecież o urządzenie, dzięki któremu nikt nie wątpiłby w zagrożenie, jakie niosą Przejścia.

Zulaya uspokajająco poklepała go po ręce.

— Już niedługo będziesz mógł go spytać, czy praca posuwa się naprzód.

Za ich plecami nagle wyrósł K'vin i niby to mimochodem położył dłoń na ramieniu swej partnerki. Władczy gest przypominał kubek w kubek niedawne zachowanie smoczycy. Paulin zachichotał i oddalił się pospiesznie.

— Niepokoi się o te zabezpieczenia — powiedziała Zulaya, kryjąc rozbawienie zazdrosnym zachowaniem spiżowego jeźdźca.

— Pięknie wyglądasz w tej nowej sukni — wyznał, przyglądając się jej z uwagą.

— Naprawdę? Dziękuję, Kev. — Kokieteryjnie poruszyła biodrami, aż tkanina zawirowała. — Dobrze, że mi przypomniałeś — i podała mu zwój brokatu, bogato ozdobionego purpurowym haftem, który przygotowała na ten Wylęg. — Fredig zaproponował, by we wszystkich Weyrach i Warowniach powiesić gobeliny przedstawiające powrót Czerwonej Gwiazdy, a na obramowaniu umieścić wzory matematyczne. Może wyjść z tego całkiem niebrzydka tkanina.

— Kolory blakną, gobeliny z czasem się rozpadają...

— Wisi u nas jeszcze kilka tkanin, które ozdabiały domy na Ładowisku. Ten pejzaż kosmiczny Ziemi i Księżycy...

— Powiedziano mi, że utkano je syntetyczną nicią, znacznie trwalszą niż nasza

bawelna, len czy wełna. A mimo to wyglądają już staro i tracą kolory.

—Każę je wyprać...

— I nici z tego wyjdą... o, przepraszam — zaśmiał się z przypadkowego skojarzenia.

— ... co wcale nie jest moim celem. Kev, nie rozumiem, dlaczego nie można by przekazać tego ostrzeżenia pod wieloma różnymi postaciami.

— Najlepiej kuć w skale... — Przywódca Weyru spoważniał.

— Skały też się poruszają.

— Ale dopiero przed samym Przejściem. Tylko w jaki sposób utrwalić tę najważniejszą wiadomość?

— Za bardzo się tym przejmujecie. Popatrz wokół siebie — tu Zulaya szerokim gestem ogarnęła Wylęgarnię i Weyr. — Po co hodowano smoki? Po co tworzono by Weyry, nie mając po temu bardzo ważnych powodów? Przecież to jedyna skuteczna obrona planety.

Nagle zaalarmował ich dźwięk, bardziej wyczuwalny niż słyszalny. Wydawała go Meranath. Smoczyca uniosła się na tylnych łapach, rozpostarła szerokie skrzydła, a jej oczy zalśniły jasną zielenią i zaczęły wirować z emocji.

— Ach, zaczyna się! — uśmiechnęła się radośnie jej jeźdźczyni. — Uwielbiam Wylęgi!

Przywódcy Weyru, trzymając się za ręce, pośpieszyli do wyjścia i ogłosili radosną wieść. Nie było to właściwie potrzebne, bo telgarskie smoki także usłyszały matczyne gruchanie i odpowiedziały na nie głębokim, męskim pomrukiem.

Niecka Weyru zapełniła się podnieconymi smokami, które latały we wszystkich możliwych kierunkach, nieraz o włos unikając zderzenia. Opiekunowie młodych jeźdźców pomagali kandydatom dotrzeć do Wylęgarni, dorośli jeźdźcy podwozili na gorące piaski przed samym Amfiteatrem rodziców i przyjaciół, kibicujących szczęśliwym wybrancom. Wszyscy starali się znaleźć dla siebie najlepsze miejsca, by bez przeszkód przyglądać się Naznaczaniu.

K'vin posłał Zulayę z powrotem do legowiska Meranath, by dotrzymywała jej towarzystwa, a sam zapraszał gości do środka, po czym zatrzymał się przy grupce zdenerwowanych, odzianych na biało kandydatów, których zatrzymano przy wejściu do chwili, aż wszyscy widzowie usadowią się na miejscach.

— I tak czeka was długie stanie na gorącym piasku — uspokajał ich T'dam, Mistrz Weyrzątek, czyli opiekun młodych jeźdźców i smocząt. — Poparzylibyście sobie w końcu stopy...

Przez cały czas smocze nucenie przybierało na sile; Meranath towarzyszył chór

wszystkich pozostałych smoków, które wydawały tony, jakie Sheledon i inni na próżno starali się naśladować. Gardziel smoczycy aż wibrowała od pieśni, brzmiącej cały czas z równym nasileniem, jakby królowej nie potrzebna była przerwa na zaczerpnięcie oddechu. Po chwili zanuciła jeszcze głośniejsze; wtedy jej brzuch i pierś również zaczęły rezonować głębokim mruzeniem. K'vin uświadomił sobie, że jak zwykle w odpowiedzi na smoczą pieśń odczuwa plątaninę emocji: radość, od której serce niemal wyrывало się z piersi, dumę, nadzieję, lęk, pragnienie — a jego częścią, co dziwne, był głód, a także smutek, który już nie raz pobudzał go do płaczu. Zulaya zawsze płakała przy Wylęgach — lecz uspokajała się przy Naznaczeniach. Wtedy ogarniał ją szampański nastrój. Wyraźnie udzielało jej się zadowolenie królowej z doboru jeźdźców dla smocząt.

W archiwach Warowni Fort zmagazynowano całe pudła wypełnione rejestrami pierwszych profili psychicznych, analizami wpływu Wylęgu najeźdźców, smoki i świeżo Naznaczonych jeźdźców. Między młodymi partnerami powstawała wszechstronna i głęboka więź, nieporównywalna z żadnym innym związkiem, z początku wprost oszołamiająca; najniezwyklejsze przeżycie, jakiego do tej pory doświadczyli młodzi kandydaci w ciągu całego życia. Niektórzy z nich bez trudu akceptowali niezwykle głęboki związek, ogarniający najintymniejsze sfery życia, inni zaś ulegali zwątpieniu i poczuciu własnej małości. Każdy Weyr miał własne środki, stosowane w różnych przypadkach. Kandydaci przechodzili staranne szkolenie, a przez pierwsze miesiące po Naznaczeniu otaczano ich troskliwą opieką. Samodzielność uzyskiwali dopiero, gdy Przywódcy Weyru i Mistrz Weyrzątek uznali, że psychika Naznaczonej młodej osoby ustabilizowała się i może ona przyjąć odpowiedzialność za siebie i smoka.

W końcu jeździec i smok stawali się niemal jednym jestestwem, a więź między nimi krzepła tak, że przerwanie jej kończyło się samobójstwem smoka, który stracił partnera. W odwrotnej sytuacji, nieszczęsny jeździec również często odbierał sobie życie. Jeśli postanowił pozostać, przez resztę życia był cieniem człowieka, a poczucie ogromnej straty nie opuszczało go nawet na chwilę. Kobiety rzadziej decydowały się pójść w ślady zmarłego smoka; miały przynajmniej możliwość ukoić swój żal macierzyństwem.

Gdy jeszcze małe ogniste jaszczurki — które dostarczyły inżynierom genetycznym materiał do stworzenia wielkich smoków — żyły w bliskości ludzi, osieroceni jeźdźcy znajdowali w ich towarzystwie nieco pociechy. Niestety, przez ostatnich pięćdziesiąt lat znaleziono w Iście tylko trzy jaszczurcze gniazda. Prawdopodobnie więcej ich było na Kontynencie Południowym, ale poszukiwania okazały się bezowocne. Weterynarze doszli do wniosku, że stworzenia na pomocnych ciepłych plażach przetrzebiła jakaś nieznana zaraza,

która zdziesiątkowała żywe osobniki lub zniesione jaja, a może i jedno i drugie. Niezależnie od powodów, jaszczurki ogniste przestały towarzyszyć ludziom.

Gdy większość gości przebyła już pas gorącego piasku, T'dam ustawił kandydatów w luźnym kręgu wokół jaj. W tym Wylęgu zabrakło złotych królewskich jaj, co jednocześnie martwiło i cieszyło Przywódców Weyru. W Telgarze mieszkało już pięć młodych królowych, a to w zupełności wystarczało do utworzenia skrzydła nadziemnego. W zasadzie w żadnym z Weyrów nie brakowało królowych, lecz bezpieczniej byłoby mieć dodatkowe matki, by zapewnić ciągłość hodowli.

Pośród kandydatów stała piątka dziewcząt. Powinno być ich sześć, ale rodzina jednej nie zgodziła się oddać jej jeźdźcom podczas Poszukiwania. Argumentowano, że ma już narzeczonego i nie można odwołać danej obietnicy. K'vin przewidywał, że z co najmniej jednej trzeciej jaj, a może nawet z połowy wyklują się zielone smoczyce i miał nadzieję, że wystarczy kandydatów do ich Naznaczenia. Zielone ceniono w Weyrach za szybkość i zręczność, choć były mniej wytrzymałe od większych pobratymców. Podczas walki z Nićmi były jednak najbardziej chimeryczne. Jeśli dosiadali ich mężczyźni, podniecone Opadem często ignorowały rozkazy przywódców Weyru. Krótko mówiąc, niepotrzebnie popisywały się odwagą przed resztą eskadr. Z drugiej strony, jeźdźczynie zielonych, choć bardziej stateczne, zachodziły w ciążę jeśli choć na chwilę zapomniały o środkach zapobiegawczych, gdyż zielone smoczyce były zwykle bardzo aktywne seksualnie. Nawet naturalne poronienia, spowodowane zimmem pomiędzy, wymagały pewnego czasu na rekonwalescencję, więc zielone jeźdźczynie ciągle zwalniano od obowiązków. Eufemizmem „krótka przejażdżka na smoku” określano w owych czasach usunięcie niechcianej ciąży. Jednak mimo wszystko, K'vin wolał, by zielone smoczyce Naznaczały kobiety, jeśli tylko odnaleziono podczas Poszukiwania odpowiednie kandydatki.

Smocze nucenie, które Clisser nazywał prenatalną kołysanką, brzmiało już z nieznośną natarczywością. Osiągnęło szczyt, gdy zaczęło pękać pierwsze jajo. Widzowie okazywali zwykle w takich razach podniecenie: podskakiwali, płakali, śpiewali do wtóru smokom, chociaż i oni uspokajali się w miarę, jak smoczęta się Wykluwały.

Zaczęło się. Jednocześnie pękły trzy skorupy, odłamki poleciały na inne jaja, które rozpadły się od uderzeń. K'vin naliczył dziewięć mokrych smoczków, z czego sześć zielonych i uznał, że małych smoczych będzie co najmniej połowa, a nie trzecia część.

Pisklęta zaraz po wykluciu były niebezpieczne, rozpaczliwie głodne po długim okresie zamknięcia w skorupie, więc niektórzy z blisko stojących kandydatów pośpiesznie usunęli się im z drogi. Dwie zielone kierowały się do Jule, dziewczynki z Weyru, ale blondynka z Isty,

wyróżniająca się inteligencją, podeszła do jednego z piskląt i obie Naznaczyły. Kolejne trzy ruszyły do chłopców, którzy okazywali w Warowniach preferencje homoseksualne. Ostatnia zielona wygramoliła się ze skorupy, stanęła i kołysała głową w przód i w tył, zanosząc się rozpaczliwym płaczem.

Na znak Tdama, otoczyły ją pozostałe dziewczęta. Jakaś brunetka z Isty ruszyła przed siebie i natychmiast pisklę dobiegło do niej, ćwierkając z ulgą.

K'vin przełknął ślinę, by ukryć wzruszenie; moment wzajemnego rozpoznania zawsze przypominał mu wstrząs, jaki przeżył, gdy Naznaczył Charantha: niewiarygodnie cudowne uczucie stapiania się w jedno z przepelnionym miłością umysłem oraz świadomość, że od tej pory sercem, mózgiem i duszą stanowią nierozdzielalną całość.

I dalej tak jest, prawda? powiedział Charanth głosem zgrubiałym ze wzruszenia na myśl o minionych przeżyciach. Choć siedział razem z pozostałymi smokami z Weyru na skalnej półce pod sufitem, K'vin bez trudu dosłyszał jego westchnienie.

Zulaya uśmiechnęła się do niego, bo odgadła, co się dzieje bardzo przeżywała Wylęg, że po twarzy spływał jej strumień łez.

K'vin pomyślał, że lśniące ciało Meranath stanowi doskonale tło dla pięknej nowej sukni, w którą Zulaya ubrała się na tę okazję: czerwień na złocie.

W tym momencie znów pękło kilkanaście jaj i po całej Wylęgarni poniósł się echem przeraźliwy skrzek głodnych smoczków. Płakały przenikliwie. Po spotkaniu z Naznaczonym kandydatem skrzek natychmiast ustawał i zmieniał się w głębokie gruchanie, które szybko ustępowało miejsca żalostnemu popiskiwanemu z głodu. Rozpaczliwe skargi robiły na widzach jeszcze większe wrażenie niż wcześniejsza agresja. Przy takich okazjach K'vin nieodmiennie czuł, że żołądek skręca mu się z głodu, jakby współczując z pisklętami.

Podczas Wylęgu panuje niespotykany harmider, pomyślał. Na szczęście trwa krótko, gdyż ludzkie bębniarki uszne nie wytrzymałyby długo takiego natężenia dźwięku i kakofonii. Pod koniec zawsze czuł się z lekka ogłuszony i obolały.

Nagle zdał sobie sprawę, że gdzieś poza piaskiem Wylęgarni pojawił się nieznan, niespokojny ton, zwiastujący zamieszanie. Przez chwilę próbował sprawdzić, co tam się stało, ale dostrzegł, że T'dam ruszył w stronę zbiegowiska. Skoncentrował się więc na ostatnich smoczkach, dwóch brązowych i jednej zielonej. Do zielonej podeszło dwóch chłopców o zaciętych minach. Pisklę jednak zdecydowanie odwróciło się od nich i popędziło w kierunku dziewczynki, która właśnie weszła na piasek. K'vin oniemiał. Przecież miała być tylko piątka dziewcząt. Prawdę mówiąc, ucieszył się z tej szóstej. W dodatku, zielone smoczątko pragnęło właśnie jej, bo odepchnęło chłopca, który chciał zawrócić je z drogi.



W tym momencie na teren Wylęgarni weszło trzech mężczyzn o zagniewanych twarzach, choć T'dam próbował ich trzymać z dala od świeżo Naznaczonej zielonej pary.

— Debero! — huknął pierwszy z intruzów. Siłą oderwał dziewczynkę od smoczątka.

I to był jego pierwszy błąd, pomyślał K'vin, pędząc przez piaski, by zapobiec wypadkowi. Ach, do licha! Dlaczego brutalnie przerwano tę cudowną chwilę? Wylęgi powinny być święte.

Zanim zdążył dobiec, zielona smoczyca zareagowała na próbę oderwania jej od nowo wybranej partnerki. Wyprostowała się nieco niepewnie na chwiejnych jeszcze tylnych łapach, wysunęła pazury i rzuciła się na mężczyznę.

K'vin zdążył tylko spostrzec przerażenie na jego twarzy i lęk dziewczyny, gdy młoda smoczyca powaliła natręta na ziemię i rozdziawiła paszczę, w której bez trudu zmieściłaby się jego głowa. T'dam, który znalazł się bliżej, skoczył na ratunek. Dziewczyna, Debera, również próbowała odciągnąć smoka od ojca.

— Ojczy! Ojczy! Morath, proszę zostaw go! Teraz już mnie nie tknie. Jestem jeźdźczynią smoka. Morath, czy ty mnie słyszysz?

K'vin, choć zaniepokojony, że młodzianka zielona Morath mogła już poranić tego człowieka, niemal zaśmiał się, słysząc stanowczość w głosie Debery. Dziewczynka instynktownie wybrała właściwy sposób postępowania ze swą nowo wyklutą podopieczną. Nic dziwnego, że ją Odszukano... w jakimś gospodarstwie, jak widać, nie bardzo odległym od Weyru. K'vin zajął się Deberą, podczas gdy T'dam wyniósł leżącego mężczyznę z zasięgu smoczyczych łap. Towarzysze odciągnęli go, ale Morath dalej skrzeczała i rwała się do walki.

Chciał cię skrzywdzić. Chciał cię na własność. Ty jesteś moja, a ja jestem twoja, i nikt nie może stać między nami, mówiła Morath tak rozpaczliwie, że słyszeli ją wszyscy jeźdźcy.

Zulaya podeszła i pochyliła się, by sprawdzić, jakie rany odniósł ojciec Debery, a potem przywołała medyków, zajętych opatrywaniem drobnych skaleczeń i otarć, zwykle zdarzających się w czasie Naznaczenia. Na szczęście Morath jeszcze nie miała prawdziwych szponów, więc skórzana kamizela nieco osłoniła mężczyznę, choć na twarzy i piersi miał szerokie szramy wyorane obnażonymi, miękkimi pazurami.

Większość nowo wyklutych smoków opuściła już Wylęgarnię, śpiesząc na pierwszy posiłek z ręki wybranych towarzyszy życia. Widzowie, schodząc z wyższych rzędów amfiteatru, rzucali spojrzenia na rannego. Niewątpliwie będą opowiadać o tym wydarzeniu przy każdej okazji. K'vin miał tylko nadzieję, że ich wersje nie okażą się zanadto przesadzone. Teraz jednak musiał zająć się tym, co właśnie się zdarzyło.

— Możesz powiedzieć nam, o co tu chodzi? — spytał Deberę, która postawiona oko w

oko z Przywódcami Weyru nagle ugięła się pod brzemieniem zwątpienia i wyrzutów sumienia.

— Wybrano mnie w czasie Poszukiwania — powiedziała, nerwowo gładząc Morath, która próbowała wtulić się w nią główką. — Miałam prawo tu przyjść. Chciałam tu przyjść. — Wskazała z urazą na leżącego ojca. — A oni nawet nie pokazali mi listu z zaproszeniem. On chce, żebym wyszła za męża, bo zawarł umowę z Borysem w sprawie nowej kopalni, a za to Ganmar miał mnie dostać za żonę. A ja nie chcę Ganmara i nie interesuje mnie górnictwo. Wybrano mnie w czasie Poszukiwania i do rnie należy decyzja — pełne żalu słowa padały gwałtownie, a na twarzy dziewczyny malował się niesmak, uraza i gniew.

— Tak, Debero, przypominam sobie, że widziałam twoje imię na liście — powiedziała Zulaya. Ustawiała się nieco za plecami dziewczyny, wyrażając w ten subtelny sposób swoje poparcie. Nie uszło to uwagi starszego z dwóch mężczyzn pochylonych nad leżącym przyjacielem. — Ty jesteś Borys? — spytała, — W takim razie ty musisz być Ganmar — zwróciła się do młodszego. — Czyżbyście nie wiedzieli, że Deberę wybrano w czasie Poszukiwania?

Ganmar niepewnie spuścił oczy. Zmarszczka na czole Borysa pogłębiła się, gdy zażarcie wysunął szczękę.

— Lavel powiedział mi, że odmówiła.

W tym momencie podszedł do nich Maranis, lekarz Weyru, by obejrzyć rannego. Po chwili posłał pomocnika po noszowych i zaczął badać poszkodowanego. Ściągnął podartą kamizelkę, aż półprzytomny mężczyzna jęknął z bólu.

— Słuchaj, Borysie! — Zulaya była uosobieniem surowości. — Jak widać zdajesz sobie sprawę, że Debera ma prawo...

— Wy, ludzie z Weyrów ciągle to powtarzacie. Ale to my cierpimy z powodu tego, co nazywacie „prawem”.

— W dalszym ciągu powodujesz zamieszanie, Borysie? — spytał Tashvi, podchodząc do nich wraz z Salda.

— Dałeś zgodę, Tashvi. — Borys nie wysiłał się na uprzejmości w stosunku do Lorda swojej Warowni. — Powiedziałeś, że możemy założyć tę nową kopalnię. Cieszyłeś się, że idę z synem do tej roboty. A Lavel chciał, żeby Ganmar wziął sobie jego córkę...

— Tylko że, jak się wydaje, córka nie za bardzo go chciała — zauważyła Lady Salda.

— Chciała, chciała, nieprawdaż, Deb? — Borys rzucił dziewczynie gniewne, oskarżycielskie spojrzenie. Debera w odpowiedzi dumnie uniosła podbródek.

— Odmieniło jej się gdy przybyli ludzie z Weyru na Poszukiwania...

— Poszukiwania są ważniejsze — odparł Tashvi. — I ty, Borysie, o tym wiesz.

— Wszystko już mieliśmy umówione — odezwał się ojciec, gdy Maranis wtarł mu w rany balsam z mrocznika kojącego ból. — Mieliśmy umowę jak się patrzy! — Spojrzenie, które rzucił córce, było pełne wściekłości i gorzkiej urazy.

— Tak, rzeczywiście wszystko już umówiliście — odparła Debera z równą goryczą — ale tylko między sobą, bez mojego udziału, nawet jeszcze przed Poszukiwaniem!

Gniewną odpowiedź przerwał żalony pisk Morath.

— Jest głodna. Muszę ją nakarmić. Chodźmy stąd — poprosiła o wiele bardziej serdecznym tonem i nie obejrząwszy się ani razu, wyprowadziła zieloną smoczycę z Wylęgami.

— Zdaje się, że ta umowa miała całkiem spore niedociągnięcia — skomentował Tashvi.

— Wszystko było dobrze — odpowiedział Lavel, wygrażając pięścią jeźdźcom — póki oni nie przyszli i nie zaczęli zawracać głowy dziewczynie. Przedtem była spokojna, ciężko pracowała i zawsze słuchała ojca. A panowie jeźdźcy powiedzieli jej, że nadaje się dla smoków. Nadaje się! Ja dobrze wiem, co panowie jeźdźcy wyprawiają, a Debera to dobra dziewczyna. Nie taka, jak wy...

— Wystarczy tych bzdur — obrażona Zulaya wyprostowała się gwałtownie.

— Tak, dość! — Tashvi gniewnie zmarszczył brwi. — Władczyni Weyru na pewno zrozumie, że nie jesteś sobą, człowieku, odniosłeś ranę i...

— Rana nie ma nic wspólnego z moim słusznym gniewem, Lordzie Warowni. Prawdą jest, że wszystko żeśmy między sobą umówili, a ty powinieneś bronić swoich ludzi, a nie tych z Weyru i ich podłych obyczajów i sztuczek, co teraz będą je próbować na mojej biednej córeczce — tu zalał się łzami z bezsilnego gniewu raczej niż z bólu, gdyż znieczulenie działało już z pełną mocą. — Dobra dziewczyna z niej była, póki do niej nie przyszli. Dobra, posłuszna dziewczyna!

Tashvi stanowczym gestem polecił noszowym, by zabrali mężczyznę z Wylęgami, po czym odwrócił się do Przywódców Weyru.

— Rzeczywiście zgodziłem się, by Borys i Ganmar zostali właścicielami nowej kopalni, ale nie miałem pojęcia, że Lavel też jest w to wplątany. Ten człowiek od samego początku sprawia mi kłopoty — powiedział, nieświadomie przestępując z nogi na nogę na gorącym piasku.

Zulaya skinęła ręką, zapraszając ich do wyjścia z Wylęgami. Mimo dodatkowej wkładki, którą rano włożyła sobie do butów, piasek ją parzył, a Tashvi miał tylko lekkie

mokasyny.

— Nie myśl tylko, że on nie ma innych córek — dodała Salda, biorąc męża pod rękę, by szedł szybciej. — Ma ponad tuzin dzieci i właśnie wziął sobie drugą żonę. Jak tak dalej pójdzie, cała rodzina zagarnie dość ziemi, żeby założyć własną Warownię, tyle że nikt o zdrowych zmysłach nie odda się pod opiekę takiego Lorda.

Zatrzymali się na chwilę u wyjścia z Wylęgarni. K'vin i Zulaya instynktownie stanęli w miejscu, skąd mogli mieć na oku nowo wyklute smoczęta, które z pomocą jeźdźców objadały się kawałkami mięsa, pokrojonymi i ułożonymi w wielkich stosach, by ułatwić pierwsze karmienie.

Przypadek Debery był nietypowy. Większość rodzin radowała się, gdy wybrano ich dziecko podczas Poszukiwania. Oprócz prestiżu dla całego rodu, jeździec przynosił rodzinie także namacalne korzyści, w razie potrzeby przewożąc ludzi i towary na grzbiecie swego smoka.

Zjadliwa krytyka życia Weyrów, którą usłyszeli z ust Lavela, przygnębiła Przywódców Weyru i Lordów Warowni. To prawda, że w Weyrach panowały specyficzne obyczaje, gdyż jeźdźcy musieli dostosować się do potrzeb smoków, lecz bynajmniej nikogo nie zachęcano do rozwiązłości. Wręcz przeciwnie, ściśle przestrzegano praw. Wprawdzie jeźdźców nie wiązały pisemne kontrakty małżeńskie jednak żaden mężczyzna nie śmiał złamać słowa danego swojej partnerce, albo unikać łożenia na dziecko. Bardzo niewiele dzieci urodzonych w Weyrach po osiągnięciu dojrzałości, nawet jeśli nie było im dane Naznaczyć, przenosiło się do dziadków w Warowniach.

W Głównej Jaskini rozpoczęła się już zabawa. Muzycy zagrali wesołą melodię, odzwierciedlającą radość z udanego Wylęgu. Nowi jeźdźcy jeszcze karmili swoich podopiecznych, lub odprowadzali ich do kwater w pomieszczeniach Weyrzątek. Dopiero gdy najedzone smoczki zasnęły, mogli przyłączyć się do swoich krewnych.

Zulaya zastanawiała się, czy nie powinna przypomnieć Lavelowi o tym, że młode jeźdźczynie i jeźdźcy mieszkali w osobnych budynkach. Gospodarz wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, ile troski wymaga młody smok. Młodziutcy jeźdźcy zwykle padali wieczorem na łożka jak nieżywi, marząc jedynie o odpoczynku. Rano zaś opiekun musiał wyciągać ich z pościeli, bo zwykle spali twardo, nie słysząc narzekań głodnych smoczków.

Ten młody człowiek, Ganmar, stał chmurny i wyraźnie czuł się nieswojo. Zulaya bardzo wątpiła, by niespodziewane wydarzenia złamały mu serce. Naturalnie, ciężko pracował wraz z ojcem przy budowie nowego gospodarstwa, więc ładna dziewczyna w łożku co noc byłaby pewną rekompensatą.

— Ja zaś chciałabym wiedzieć — mówiła Salda — dlaczego Debera dojechała tu tak późno, sama i niewątpliwie ścigana. Naturalnie zdajecie sobie sprawę — Zulaya bardzo dobrze znała surowy wyraz oczu Saldy — że nam, Lordowi Tashviemu i mnie, nie spодoba się, że dziewczynie próbowano odebrać prawa gospodarskie.

— Gospodarskie? — parsknął Lavel i jęknął, gdy nierozsądny ruch sprawił mu ból. — Teraz nie będzie miała żadnego gospodarstwa! Jest dla nas na zawsze stracona.

— A ty nie masz żadnych szans, by wsadzić sobie do kieszeni przysługujący jej udział w ziemi, co ? — odparowała Salda z fałszywym współczuciem. Lavel warknął i próbował się od niej odwrócić. — I tak zagarnąłeś więcej, niż przeciętny gospodarz. Mam nadzieję, że Gisa jeszcze czuje się dobrze? Czy może już zrobiłeś jej następne dziecko? Wykończysz ją tak samo jak Millę. Niestety, niektóre kobiety są tak głupie, że kusi je twoja stale rosnąca posiadłość ziemska. Tfu — odwróciła się od niego z niesmakiem. — Zabierzcie mi go z oczu. Jego obecność mnie obraża. I psuje radosną atmosferę.

— Nie odniósł aż tak poważnych ran, by przeszkodziły mu w podróży — usłudnie wtrącił się lekarz.

— W podróży? — wykrzyknął Borys z udawanym przerażeniem i spojrzał w kierunku Niższej Jaskini, gdzie podawano pieczeń.

— Mogę znaleźć mu jakieś miejsce na nocleg — zaproponował z wahaniem Maranis.

W tym momencie jednak czwórka młodych jeźdźców podprowadziła konie gości, które schwyтали podczas rozmowy dorosłych.

— Oto wasze podjezdki, Borys — rzekła Zulaya. — Nie będziemy opóźniać waszego wyjazdu. Bez trudu dotrzecie do domu przed zmrokiem. Maranis, podaj Lavelowi dość soku fellisowego, by znieczulić go na czas jazdy. Chodźmy, K'vinie, już od dawna powinniśmy składać gratulacje szczęśliwym rodzicom.

Wzięła pod ramię K'vina, a z drugiej strony Lady Salde, i poprowadziła ich na przeciwną stronę Niecki.

— Powiedziałyby, że mieliśmy bardzo udany Wylęg — zaczęła rozmowę, nie zaszczycając odprawionych gospodarzy nawet jednym spojrzeniem. — Dziewiętnaście zielonych, piętnaście niebieskich, jedenaście brunatnych i siedem szpizowych. Coraz bardziej jestem przekonana, że smoki z każdym kolejnym Wylęgiem są nieco większe.

— Smoki przecież jeszcze nie osiągnęły maksymalnych rozmiarów — podjął wątek K'vin. — Wątpię, by stało to się za naszego życia.

— Chyba i tak są już wystarczająco duże? — Salda rozwarła szeroko oczy. Zulaya roześmiała się. — Ach, nie, ale już są o wiele dłoni większe niż ich przodkowie, którzy

pierwsi walczyli z Nićmi. Ich wzrost z pewnością ułatwi nam zadanie.

— Tak, a wy wiecie, czego się spodziewać. — Tashvi kiwnął głową z aprobatą.

Zulaya i K'vin wymienili krótkie spojrzenie. Dobrze by było, gdyby rzeczywiście wszystko okazało się zgodne z oczekiwaniami i nie przytrafiły się żadne niemiłe niespodzianki, mówiły ich oczy.

— Ano cóż, i w tym mamy przewagę nad praszczurami — odpowiedział K'vin stanowczo.

Zulaya lekko uściśniła jego ramię, potem je puściła i podeszła do pierwszego stołu, gdzie siedziały rodziny dwóch nowych brunatnych jeźdźców. K'vin odprowadził Saldę i Tashwiego do honorowego stołu i obiecał, że wraz z Zulaya dotrzymają im towarzystwa, gdy tylko wypełnią miły obowiązek zamienienia kilku słów z rodzicami nowych jeźdźców. Skierował się ku przeciwnej ścianie obszernej jaskini i w myśli założył się sam ze sobą o pewną drobnostkę.

Przy czwartym stoliku wygrał zakład. Wiadomość o niezwykłym Naznaczeniu ostatniej zielonej smoczycy już obiegnęła zgromadzonych.

— Czy to prawda — spytała jakaś gospodyni, matka spiżowego jeźdźca — że ta dziewczynka musiała uciekać z domu? — Kobieta była wstrząśnięta, podobnie jak inni przy jej stoliku.

— Dotarła tu na czas, a to najważniejsze. — K'vin gładko uniknął niewygodnych wyjaśnień.

— Co by się stało, gdyby nie przyjechała? — spytała żarliwie jedna z dziewcząt. — Czy smok by...

Przerwała nagle. K'vin odgadł, że ktoś kopnął ją w kostkę pod stołem.

— Nic takiego. Na pewno widziałaś, ilu chętnych chłopców otoczyło smoczka — powiedział, by zamaskować niezręczną pauzę. — Maleńka smoczyca wybrałaby któregoś z nich.

Ale to nie była prawda. Właśnie po to, żeby uniknąć podobnych sytuacji, każdy Weyr starał się, aby do Naznaczania przystąpiło jak najwięcej kandydatów. W przeszłości odnotowano pięć przypadków, gdy smocze pisklę nie znalazło osoby o odpowiedniej psychice. Za każdym razem śmierć maleństw doprowadzała cały Weyr niemal do załamania i od tej pory ze wszystkich sił starano się nie dopuszczać do takiej sytuacji. Zgadzano się nawet, by smoczęta Naznaczały widzów.

Zdarzały się również nie wykłute jaja. W dawnych czasach, gdy były jeszcze dostępne środki techniczne, dokonywano sekcji zwłok, by zbadać przyczynę. W większości

zanotowanych przypadków była to dysfunkcja żółtka albo deformacja płodu, które i tak uniemożliwiłyby smoczęciu przeżycie Wylęgu. Jednakże w trzech przypadkach nie rozpoznano przyczyny zgonu, a płód był idealnie zdrowy, bez widocznych deformacji i niedorozwoju. Z pokolenia na pokolenie przekazywano radę, by takie jaja natychmiast pozostawiać pomiędzy; ten smutny obowiązek wypełniali zwykle Przywódca Weyru i jego spizowy smok.

— Widziałam, jak nadjeżdża i jak tamci chcą ją zatrzymać — powiedziała dziewczynka, zachwycona, że znalazła kolejnego słuchacza.

— A zatem siedziałas na najlepszym miejscu w całym amfiteatrze — uśmiechnął się K'vin.

Dziewczynka z urazą popatrzyła na pozostałych członków rodziny.

— Właśnie, że tak! Widziałam wszystko! Nawet to, że młody smok chciał kogoś zjeść. Czy to był jej ojciec?

— Suze, dość tego — skarcił ją ojciec, a siedzący obok brat chyba ją uszczypnął, bo wyprostowała się gwałtownie i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Tak, to był jej ojciec — odparł K'vin.

— Nie zdawał sobie sprawy, na co się naraża uderzając jeźdźca? — spytał ojciec Suze, wyraźnie wstrząśnięty zachowaniem napastnika.

— Zdał sobie sprawę, lecz po niewczasie — odrzekł sucho K'vin, obserwując zaskoczenie na twarzy dziewczynki. — Powiedz mi, przyjacielu, jakie twój syn — tu Charanth, jak zwykle, podpowiedział imię chłopca tak prędko, że przerwa była niemal niezauważalna — Thomas, wybrał sobie jeździeckie imię?

— Chłopiec w najśmielszych snach nie przypuszczał, że Naznaczy — powiedziała matka. Na jej twarzy malowała się duma ze skromności syna i radość z jego sukcesu.

— Nigdy nie lubił swojego imienia — wtrąciła nieujarzmiona Suze. — Wybierz sobie całkiem nowe — rzuciła rodzicom pogardliwe spojrzenie spod oka.

— A oto i on, jeśli się nie mylę. — K'vin wskazał chłopca, zmierzającego w ich stronę po kamiennej posadzce grotu. Przywódca Weyru pouczał kandydatów o obowiązkach jeźdźców względem smoków, i zdążył poznać część z nich. Thomas, czy jak mu tam, był bardzo podobny do siostry i brata, więc łatwo go było rozpoznać. K'vin miał nadzieję, że jedynie z twarzy przypomina tę małą złośnicę.

— Dobra robota, młody człowieku — powiedział, wyciągając rękę. — Jak będziesz się od tej pory nazywać?

— S'mon, panie — odparł chłopiec, w dalszym ciągu zarumieniony z emocji.

Odwzajemnił się mocnym, stanowczym uściskiem dłoni. — Zastanawiałem się nad T'omem, ale nigdy specjalnie nie lubiłem tego imienia.

— A mówiłeś, że... — Suze wyraźnie zarobiła kolejnego kopniaka pod stołem, bo aż pisnęła i łzy stanęły jej w oczach.

— Łatwiej to wymówić — stwierdził S'mon. — Tiabethowi też się podoba — dodał tym chwytającym za serce tonem, w którym duma przeplatała się z radością posiadacza, tak typowym dla młodych jeźdźców, przyzwyczajających się do nowych warunków i obowiązków. — A w dodatku był już jeden T'mas, w pierwszej bendeńskiej grupie jeźdźców.

— Od dawna nie żyje. — Ojciec me był zachwycony wyborem. — w naszej rodzinie zawsze któryś z synów nosi to imię. Ja też nazywam się Thomas, dziewiąty z kolei.

Chłopiec spojrzał na ojca z pewną wyższością i niezależnością, właściwą dla wszystkich weyrzątek, jakby chciał powiedzieć: „od dzisiaj nie będziesz mnie pouczał”, albo „to moja sprawa, tato. I tak byś tego nie zrozumiał”.

— Za Tiabetha i S'mona! — K'vin uniósł kieliszek, który niósł ze sobą od stołu do stołu i wypił zdrowie smoczych partnerów. Pozostali pośpieszyli w jego ślady. — Jedz, S'monie. Teraz nie tak łatwo ci będzie znaleźć czas, by najeść się do syta — dodał i zostawił chłopca z rodziną, by skorzystał z życzliwej rady.

Przy kolejnych stołach słyszał coraz ciekawsze plotki dotyczące spóźnionego przybycia Debery. Już zaczęto koloryzować wydarzenie: według jednej z wersji, dziewczynka zostawiła ojca, który wykrwawił się na śmierć. Inni opowiadali, że to Debera odmówiła udziału w Naznaczeniu, ale rodzina zmusiła ją do wyjścia na piaski Wylęgarni. Jednak to młoda Suze miała najlepsze miejsce w amfiteatrze, bo choć siedziała z daleka od areny i nie widziała Naznaczeń, nikt jej nie zasłaniał tego, co się dzieje na zewnątrz. Dzięki temu K'vin mógł podać swoją wersję wydarzeń i nie dopuścić, by plotki wymknęły się spod kontroli. Na szczęście muzyka i słowa pieśni pochłaniały uwagę zebranych. Prawie wszystkie utwory były nowe. Artyści Clissera rzeczywiście wykonali kawał dobrej roboty.

Starał się, by nie dolewano mu wina zbyt często i przegryzał pieczenia z whera i wołu obowiązkowe toasty za zdrowie młodych jeźdźców.

Obszedł już prawie wszystkie stoły, gdy zauważył, że jacyś gospodarze z Telgaru razem z T'damem prowadzą Deberę do głównego stołu. Salda i Tashvi wstali i podeszli do niej. Debera nadal miała nieprzytomny wyraz twarzy. Spłoszona, rozglądała się po zatłoczonej jaskini. Ktoś odział ją w zieloną suknię, która uwydatniała krągłe, kobiece kształty jej ciała. Głęboka jasna zieleń podkreślała piękną cerę dziewczyny i kręcone, brązowe włosy, teraz już starannie uczesane, a nie zwisające w strąkach wokół spoconey,



przeróżonej twarzy. Niewątpliwie gospodyni Weyru, Tisha, miała znaczący udział w tej przemianie. Zulaya kiedyś powiedziała, że Tisha traktuje wszystkie dziewczęta z Weyru jak żywe lalki, tak lubi je przebierać i czesać. Choć Tisha miała własne dzieci, głęboki macierzyński instynkt kazał jej się opiekować całą młodzieżą, z wielkim pożytkiem dla Weyru.

Salda otoczyła Deberę ramieniem i pochyliła głowę, gdyż dziewczynka była od niej niższa. Rozmawiała z nią żywo, wyraźnie chcąc zadośćuczynić młodej jeźdźcy za nieobecność rodziny na uczcie, która zwykle była radosnym wydarzeniem w życiu gospodarzy czy też rzemieślników. Czy to było ostatnie spotkanie Debery z rodziną? Mało ważne; teraz należy do wielkiej rodziny Weyru, do smoczego bractwa, i znajdzie sobie miłszych i bliższych przyjaciół.

Zulaya przedstawiła Deberę Sarrze, dziewczynie z Isty o wypłowiałych na słońcu blond włosach, która opowiadała coś z takim ferworem, że na twarzy Debery pojawił się uśmiech, przelotny, lecz w opinii K'vina znamionujący rosnącą pewnością siebie.

— Morath grzecznie zasnęła? — spytał, podchodząc do kobiet.

— Myślałam, że nigdy nie przestanie jeść — odpowiedziała Debera, marszcząc niespokojnie brwi. Suknia pięknie podkreśla zieleń jej oczu, ocenił K'vin. Tisha doskonale się sprawiła.

— Och tak, to straszne żarłoki — roześmiała się serdecznie Zulaya. — Tak samo, jak ja. Siadajmy, bo nic dla nas nie zostawią.

Salda prychnęła zabawnie i uśmiechnęła się do Debery.

— Niemożliwe. Od tygodnia przysyłamy wam najtłuszczej cieleta ze wszystkich stad— gestem przekazała K'winowi opiekę nad Debera i zwróciła się do niej: — Jedno jest pewne, dziewczyno: tutaj w Telgarze, na pewno będziesz jadać lepsze kawałki mięsa niż w domu. I w dodatku to nie ty będziesz gotować.

Bezceremonialność Saldy tak wyraźnie zbiła dziewczynę z tropu, że K'vin ujął ją za rękę i podprowadził do schodów wiodących na płytę skalną, gdzie ustawiono stół.

— Debero, będziesz tu bardzo szczęśliwa ze swoją przyjaciółką Morath — powiedział łagodnie.

Twarz dziewczynki natychmiast złagodniała i pojaśniała z radości, a do oczu napłynęły łzy. Bezbronny zachwyty, malujący się w jej oczach, tak wzruszył Przywódcę Weyru, że potknął się, idąc za nią po schodach.

— Ona jest dla mnie kimś więcej niż przyjaciółką — odpowiedź brzmiała bardziej jak modlitwa lub zwykłe stwierdzenie faktu.

— Chodź, siadaj ze mną — zawołała Zulaya. Odsunęła krzesła i zaprosiła gestem K'vina na dalsze miejsce. Nie siedzieli, jak zwykle, pośrodku biesiadników, lecz szybka wymiana spojrzeń z Salda i Tashvim sprawiła, że lordowska para Warowni zajęła miejsca obok, jakby nigdy nic. — Posłuchaj tej melodii. Jaka piękna... — dodała, przechylając głowę. Po pierwszych taktach muzyki, różnej, choć nie bojowej, w ogromnej jaskini zamilkły wszystkie rozmowy.

— A co za słowa... — oczy zasłuchanej Saldy rozszerzyły się ze zdziwienia i zachwytu. Gdy jej mąż chciał coś powiedzieć, uciszyła go w pół słowa.

K'vin również słuchał, uradowany.

Sheledon, który uparł się, aby część nowych utworów wykonać po raz pierwszy podczas Naznaczenia w Telgarze, był bardzo zadowolony, że ucichły rozmowy i wszyscy się zasłuchali. Teraz nadszedł czas, by uderzyć w wielki dzwon. Gdy tylko skończyli kodę pieśni, którą Jemmy nazwał „Smocza miłość”, położył na stojaku nuty „Ballady o Powinnościach” i wskazał je swej żonie, sopranistce, która miała śpiewać partię chłopięcego dyszkantu. Nie znaleźli jeszcze chłopca z odpowiednim sopranowym głosem, ale Sydra potrafiła rozjaśnić ton na tyle, by osiągnąć potrzebny efekt. Na sygnał Sheledona Bethany odegrała na flecie czarujący wstęp, a Sydra wstała i rozpoczęła swoją partię.

Nie mieli dość wyszkolonych głosów, by rzeczywiście zauroczyć publiczność Balladą. Sheledon słyszał w myślach, jak zabrzmiałaby w wykonaniu pełnego chóru, lecz doskonała akustyka jaskini bardzo im pomogła. Utwór rzeczywiście chwycił za serce. W głosie Sydry dźwięczała młodość i autentyczne zauroczenie... Z kolei Gollagee odśpiewał cudownym tenorem partię smoczego jeźdźcy, Sheledonowi też nieźle udało się partia barytonu, a potem nastąpił finał, w wykonaniu altu Bethany, kontrapunktowanego chórem śpiewaków z Weyru.

Na ułamek sekundy zapanowała kompletna cisza, tak miła sercu każdego wykonawcy, a potem wszyscy zerwali się na nogi i zaczęli bić brawo, krzyczeć i tupać z zachwytu. Nawet smoki, porwane zapalem jeźdźców, przyłączyły się do ogólnego entuzjazmu. Sydra kłaniała się bez przerwy i zachęcała pozostałych, by wstawali i przyjmowali owacje. Nawet Bethany wstała, a po jej policzku stoczyło się kilka łez, wywołanych wspaniałym, zgodnym odbiorem pieśni.

Bisowali Balladę pięć razy, a pod koniec wszyscy umieli jej już refren na pamięć i przyłączali się do śpiewaków. Gdy Sheledon niechętnie odmówił szóstego bisu, zaczęto wywoływać „Smoczą miłość”, pieśń jakby stworzoną na ten wieczór.

Fantastyczny debiut, pomyślał Sheledon, obserwując roześmianą twarz Sydry. Jemmy przeszedł sam siebie, a Clisser będzie w siódmym niebie. Może rektor ma rację i trzeba się

zabrać za przekształcenie szkolnictwa? Uczniowie rzeczywiście nie powinni tracić czasu na zdobywanie bezużytecznej wiedzy, lecz od razu poznawać Prawdziwy Sens Życia.

## ROZDZIAŁ IV

### WEYR TELGAR I UNIWERSYTET

Władczynie Weyru Zulaya zauważyła, że Debera jest coraz bardziej zdenerwowana.

— Wracaj do Morath, kochanie. Jesteś wyczerpana i musisz się wyspać.

— Dziękuję, pani...

— Tu w Weyrze, nie używamy tytułów — pouczyła ją Zulaya. — Zmykaj. Masz moje pozwolenie, jeśli to na nie tak grzecznie czekasz.

Debera wyszeptała podziękowanie i wstała, pragnąc wymknąć się z sali niepostrzeżenie. Wydawała się sobie okropnie niezgrabna i nieobyta towarzysko, choć wszyscy, nawet Lord i Pani Warowni, byli dla niej tak niesłychanie dobrzy i mili. Myślała, że będzie trzeba im się długo tłumaczyć z niezwykłego zachowania, tymczasem oni natychmiast stanęli po jej stronie. Naprawdę czuła, że jakby jej prawdziwe życie zaczęło się w chwili, gdy napotkała spojrzenie Morath.

I tak było rzeczywiście, uznała, wędrując wzdłuż groty ze spuszczoną głową, by nie napotkać niczyjego wzroku. Ale wszyscy mijani ludzie tylko uśmiechali się do niej i byli bardzo uprzejmi. Nie zauważyła wcale wszeteczności, która zdaniem jej ojca przenikała cały Weyr.

Ojciec naopowiadał jej dużo różnych rzeczy. A o innych nawet nie wspomniał. Na przykład o tym, że do domu przyszło oficjalne zawiadomienie o wynikach Poszukiwania, opatrzone jej nazwiskiem i zawierające datę Wylęgu, żeby wiedziała, kiedy ma się stawić.

Nie, ten list musiała znaleźć sama, wciśnięty na półkę w kredensie, gdzie przechowywano papier do ponownego użytku. Nikt w gospodarstwie Balan, a już szczególnie ojciec i macocha, nie wyrzuciłby całej karty papieru, zapisanego tylko po jednej stronie, a więc zdatnego do ponownego użytku. Ach, jakże ona nienawidziła tego zwrotu! Ponowny użytek, przetwarzanie, przerabianie. Ta mania opanowała każdy aspekt życia na farmie. A przecież nie byli ubodzy w sensie materialnym. Niektórym gospodarzom wiodło się o wiele gorzej. Jednak od śmierci matki wszystkich trapiło większe nieszczęście: ubóstwo duchowe.

Znalazła list przypadkiem, szukając czegoś innego. Nie mieli kalendarza, ale było oczywiste, że dokument leży już od dłuższego czasu, może nawet od tygodni, bo był poplamiony i musiał być wielokrotnie rozkładany i składany. Zgodziła się na małżeństwo z

Ganmarem, bo miała dość życia na ojcowskiej farmie. Wiedziała, że czeka ją praca, może jeszcze cięższa niż w domu, przy budowie nowej siedziby, którą trzeba będzie wykuć w skałach nad kopalnią, ale nowy dom przynajmniej stanie się jej własnością — i Ganmara — i będzie mogła go urządzić po swojemu. Nie wierzyła bynajmniej w szalone, nierealne obietnice Ganmara i Borysa. Potrzebowali tylko silnej kobiety, zdolnej do ciężkiej pracy.

Poprzedniego dnia jednak widziała na niebie wiele smoków, przeważnie z pasażerami. Gospodarstwo Balan leżało niedaleko od Weyru Telgar, nawet jeśli chciało się podróżować konno. Więc gdy tylko przeczytała wiadomość, miała już gotowy plan i nie wahała się ani chwili. Wybrano ją podczas Poszukiwania. Ma prawo tam jechać. Życie w Weyrze na pewno nie jest gorsze niż harówka na farmie. A gdyby została jeźdźczynią...

Wsadziła list do kieszeni na biodrze i zatrzasnęła drzwiczki kredensu. Była sama w kuchni, zalanej słonecznym blaskiem. Jasne światło umocniło powzięte postanowienie. Nawet nie wróciła do pokoju, który dzieliła z trzema przyrodnimi siostrami. Złapała kurtkę i ruszyła na pastwisko, gdzie trzymano konie pod wierzch. Na podwórku nie było nikogo; wszyscy pracowali poza obejściem. Przy śniadaniu każdemu wyznaczano zadania i trzeba było pokazać ojcu ukończoną pracę. W przeciwnym razie nie dostawało się południowego posiłku.

Nie śmiała iść do stodoły po siodło i uzdę, bo starsi bracia przekładali tam siano, gdyż za pierwszym razem nie dość przyłożyli się do pracy. Złapała tylko rzemień. Kantar wystarczy do powodowania koniem osobie, która jeździ tak dobrze jak ona.

Najszybszy będzie Bilwil. Południowy posiłek zacznie się pewnie za jakieś trzy godziny i dopiero wtedy zauważą jej nieobecność, zaś ona będzie już dojeżdżała do Weyru.

Spojrzała przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje, a potem szybkim krokiem poszła na pastwisko, jakby miała tam do zrobienia coś pilnego. Bilwil pał się niedaleko miejsca, gdzie przeskoczyła przez płot — brama była za blisko warzywnika, w którym dwie przyrodnie siostry wrywały zielsko. Ach, byłyby zachwycone, mogąc donieść swojej matce albo ojcu, że Debera się leni. Dwaj bracia pracowali w stodole, następna dwójka poszła z ojcem do lasu, a matka robiła sery w mleczarni. Debera mełła pszenicę na mąkę, gdy pękła złączka. Właśnie dlatego zajrzała do kredensu. Szukała jakiegoś gwoźdźca, by naprawić żarna i dalej pracować. Tak więc Gisa nie od razu zaalarmuje pozostałych; jeśli nie zmiela mąki, nie będzie chleba, a Gisa, będąc w ciąży, nie zechce sama obracać ciężkiego kamienia.

Bilwil zarżał cicho, gdy podeszła i schwytała go za grzywę. Poprzedniego dnia nikt nie zatroszczył się, by go wyczesać i sierść miał sklejoną potem po ciężkiej pracy przy zwózce drzewa. Może wziąć innego? Ale Bilwil opuścił łeb, czekając, aż włoży mu do pyska rzemień. Nie mogła ryzykować pościgu po całym pastwisku za innym, wypoczętym, i mniej

skłonny do współpracy wierzchowcem, więc skręciła rzemień wokół jego dolnej szczęki, złapała go za grzywę i skoczyła na grzbiet. Czy jutro będzie dosiadać smoczego grzbietu? Położyła się płasko na końskiej szyi na wypadek, gdyby ktoś przypadkiem spojrzął na pastwisko, i kolanami skierowała zwierzę naprzód, w stronę lasu.

Gdy dojeżdżała do splątanego żywopłotu na granicy posiadłości, po raz ostatni popatrzyła na budynki gospodarstwa, okna wykute w litej skale, nierówne wejście do pomieszczeń mieszkalnych i szerokie wrota do stajni i obór. Ani żywego ducha.

— Jazda, Bilwil, zabieramy się stąd — mruknęła, uderzyła go piętami w boki, by ostro zaklusował i skierowała się do płotu, tam, gdzie po drugiej stronie prowadziła leśna ścieżka.

Na szczęście koń lubił skoki, bo dała mu bardzo mało miejsca do wybicia. Mimo to zręcznie przefrunął nad płotem i wsparł się na przedniej lewej nodze, obracając się w prawo przy lądowaniu w odpowiedzi na pociągnięcie wodzami i ucisk pięty. W jednej chwili znaleźli się między drzewami i szybko dotarli do dróżki. Raz spróbował zawrócić w lewo, do domu, ale wymierzyła mu ostrego kopniaka i ruszył na prawo. Oddalili się od gospodarstwa tak bardzo, że do rodziny nie dotarłby tętent kopyt, chyba, żeby ktoś przyłożył ucho do ziemi, co było całkiem nieprawdopodobne. Wszyscy pewnie szukali jej w pomieszczeniu z żarnami, a ona już gdzie indziej zostawiała tropy. Uśmiechnęła się, choć w dalszym ciągu groził jej pościg.

Gdy ścieżka zmieniała się w leśny trakt, puściła Bilwila klusem, radując się jedyną czynnością, która sprawiała jej przyjemność.

Kilka razy zatrzymywała się, by dać odpoczynek własnym i końskim mięśniom, a także spróbować późnych jagód. Szkoda, że nie zabrała na drogę resztek sera ze śniadania, albo choćby kilku jabłek.

Dopiero pod samym Weyrem Telgar zorientowała się, że ją ścigają, bo wypatrzyła na drodze trzech jeźdźców. Mogli to być goście zaproszeni na Wylęg, lecz wolała wziąć pod uwagę najgorszą możliwość. Być może jeden z nich to ojciec, a pozostali dwaj to Borys i Ganmar. Musiała dotrzeć do bezpiecznego Weyru, zanim ją dopadną. Jak udało im się ją doścignąć w tak krótkim czasie? Czyżby ktoś ją mimo wszystko dostrzegł i pobiegł zawiadomić Lavela?

W najcieńszej ścianie telgarskiego krateru wykuto długi, oświetlony żarami tunel dla ruchu naziemnego. Bilwil był zmęczony po wspinaczce i wczorajszej ciężkiej pracy. Wydawało jej się, że słyszy męskie głosy i zmusiła wierzchowca do strudzonego truchtu. Choć zachęcała go bębnieniem pięt po zebrach, nie mógł już iść szybciej. Potem usłyszała nucenie, od którego wibrowały wszystkie ściany wokół. Wiedziała, co to oznacza. Krzyknęła

rozpaczliwie.

Mimo wszystkich poświęceń, jest za późno, nie pozostał ani jeden smok do Naznaczenia... choć przecież ją wybrano. Jak teraz wrócić do domu? O nie, nic z tego. Znała swoje prawa. Zwrócono na nią uwagę w czasie Poszukiwań. Mogła pozostać w Weyrze do następnego Wylęgu. Wszystko, tylko nie wracać do tego, co pozostawiła za sobą. Małżeństwo z Ganmarem nic by nie zmieniło, choć od początku starała się ustawić związek z młodym górnikiem na właściwej płaszczyźnie. Był bardzo przystojny. Matka mówiła jej, że są różne sposoby na kierowanie mężczyzną tak, by nie zdawał sobie z tego sprawy. Niestety jej matka, Miła, umarła, zanim zdążyła podzielić się z nią swoją wiedzą. A Gisa, która chyba porzuciła wszelką nadzieję na szczęśliwy związek, skoro w ostateczności zdecydowała się na ślub z ojcem, była typem ofiary i lubiła dominację.

W tunelu rozległ się tętent koni i Debera, w rozpaczliwym pragnieniu dotarcia do celu, jeszcze raz popędziła Bilwila. Dzielne stworzenie ruszyło ciężkim kłusem, który mało nie wytrząsał jej wszystkich kości z ciała, ale dotarli do Niecki.

W Wylęgarni był już tłum ludzi i pełno młodych, niezgrabnych smocząt, ale ujrzała jeszcze kilka niewyklutych jaj. Nie musiała zatrzymywać Bilwila przy wejściu. Stał natychmiast, gdy przestała go kopać. Zsunęła się z jego grzbietu i popędziła na gorące piaski, w chwili, gdy dogonili ją ojciec, Borys i Ganmar krzyżąc, by się zatrzymała i oprzytomniała... Wyrwała się im z rąk i wpadła prosto na Morath. Wreszcie dopięła swego.

Teraz, gdy wędrowała z powrotem do pomieszczeń przeznaczonych dla weyrzątek, ogarnęło ją zmęczenie jakiego nie doznała jeszcze nigdy w życiu, nie była taka szczęśliwa: Narobiła hałasu, próbując gorączkowo otworzyć drzwi. Z sąsiedniego budynku dla chłopców wysunął głowę. T'dam.

— Wróciłaś już? Śpi mocno, nawet nie drgnęła. Ty chyba też padasz ze zmęczenia?

Pokiwała głową, zbyt strudzona by mówić. Uchyliła skrzydło drzwi, tak szerokich, by zmieściły się w nich podrośnięte smoczki i wśliznęła się do środka. Chciała zamknąć wrota, ale za nią wszedł T'dam, sięgnął w górę i otworzył koszyk z żarami. Gdyby tego nie zrobił, potłukłaby się o pierwsze z brzegu smocze legowisko.

Były to proste drewniane platformy, wzniesione pół metra nad ziemią, wystarczająco duże dla smocząt dopóki nie dorosły na tyle, by przenieść się do własnej jaskini w Weyrze. Jeźdźcy sypiali na pryczach na kółkach, ustawionych obok platformy. Pod każdą pryczą było miejsce na rzeczy osobiste, a w nogach stała pojemna skrzynia.

Ominęła pryczę, rada, że nie obudziła śpiącego smoka i dotarła do Morath, leżącej na następnej platformie. I do własnego łóżka. Na skrzyni leżała jakaś odzież.

— Tisha przysłała ci coś do ubrania, bo zobaczyła że nie masz nic ze sobą — wyjaśnił T'dam. — Chyba jest tam i piżama. Otwórz żary nad swoim łóżkiem, to zgaszę górne światło.

Gdy usłuchała, zamknął duży kosz z żarami i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Natychmiast zaczęła oglądać Morath, zwiniętą w kłębek i przykrywającą oczy skrzydłami. A więc tak śpią smoczki? Rozpamiętując wszystkie szczęśliwe wydarzenia tego dnia, Debera zapatrzyła się w śpiącą smoczykę tak czule, jak matki patrzą na nowo narodzone, upragnione dzieciątko. Brzuch Morath wciąż wypychały kawałki mięska, które zjadła wieczorem. T'dam zaśmiał się tylko, gdy Debera niepokoiliła się, że mała pochoruje się po takim obżarstwie.

— Przez pierwszy miesiąc najadają się tak sześć, a nawet siedem razy dziennie — ostrzegł. — Po paru dniach uznasz, że przez resztę życia będziesz kroiliła dla niej kawały mięsa... w końcu jednak zacznie jadać trzy razy dziennie. Nic się nie martw, bo pod koniec pierwszego roku będzie potrzebowała tylko dwóch posiłków tygodniowo, a w dodatku sama zacznie polować.

Debera uśmiechnęła się na wspomnienie tej rozmowy, bo T'dam wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że taka praca będzie dla niej wypoczynkiem, darem miłości przyjmowanym z serdeczną wdzięcznością. Uniosła rękę nad grzbietem swej ukochanej Morath, ale bała się, by pieszczotą nie przerwać wypoczynku maleństwa, tym bardziej że sama niemal zasypiała na stojąco. Mimo zmęczenia wpatrywała się jeszcze w swą podopieczną, obserwując, jak zebra Morath unoszą się i opadają w rytmie sennego oddechu, W końcu zmęczenie wzięło górę.

Była jedyną ludzką istotą w stodole... ależ nie, w kwaterze weyrzątek. No cóż, pozostali jeźdźcy świętowali wraz z rodzinami. Kto by pomyślał, że tej nocy Debera z Balanu będzie spać wśród smoków? Sama by w to nie uwierzyła. Wyśliznęła się z pięknej sukni, gładząc zieloną tkaninę, gdy składała ją po raz ostatni. Świetnie się w niej czuła, a kolor był taki twarzowy... nigdy nie miała na sobie nic piękniejszego. Gisa zabrała dla siebie wszystkie suknie matki, które zwyczajowo należały do Debery. Wzruszyła ramionami i włożyła piżamę, czując słodki zapach ziół, którym tkanina przesiąknęła na półce. Kiedyś z matką miały czas, by zbierać pachnące kwiaty i liście, a potem zaszywać je w torebki.

Naciągnęła grubą wełnianą koc, czując pod palcami jego miękkość. Nie tęskniła ani trochę za spraną, cienką narzutą, którą dzieliła z przyrodnimi siostrami. Pod policzkiem miała miękką poduszkę, która także słodko pachniała. O niczym więcej nie zdołała już pomyśleć.

Sheledon, Bethany i Sydra wrócili na smoczym grzbiecie na Uniwersytet, przepełnieni radością z powodu entuzjastycznego przyjęcia ich muzyki w Telgarze.

— Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nie pomyśleliśmy o Balladach

Instruktażowych — powiedziała Sydra, nieco zachrypnięta po wieczornym śpiewaniu.

— Szkoda, że nie zdążyliśmy z nimi na dwa wcześniejsze Wylęgi. — Sheledon zawsze musiał wypatrzeć jakąś wadę. — Czy zapowiadają się jeszcze jakieś okazje?

— Będzie Święto Końca Roku... — pocieszyła go Bethany.

— Zwykle tu je obchodzimy — zaprotestował, gdyż wcale nie pragnął rezygnować z delicyj, które Chrislee przygotowywał z tej okazji. Profesorowie uniwersyteccy zawsze byli zapraszani do Fortu i wszyscy przyjmowali zaproszenia, przedkładając gościnę u Paulina nad trzydniowe wakacje z rodzinami.

— Może tym razem powinniśmy rozjechać się do domów, by głosić Słowo — Sydra popatrzyła na niego z prośbą.

Bethany zmarszczyła brwi: — Jednak tylko duży chór i akompaniament całej orkiestry nadają pieśni prawdziwą wymowę...

— Z pewnością uda nam się zorganizować odpowiednie grupy wykonawców dla wszystkich większych Warowni — zastanawiał się Sheldon marszcząc brwi. — Jeźdźcy i tak zawsze się tam zjeżdżają w gości, więc wszyscy mogliby usłyszeć... — pochylił się z uśmiechem ku żonie. — Bardzo dobrze wyszła ci partia chłopięcego sopranu. Ale chyba lepiej będzie, jeśli postaramy się znaleźć jakiś młody głos przed Nowym Rokiem. Całkiem zachrypląś.

— Hej, hej, tam w dole! — Na ten okrzyk wszyscy spojrzeli w górę, gdzie Clisser wychylał się z okna na piętrze i machał do nich ręką. — Podobały się ballady?

Muzycy spojrzeli po sobie, Sheledon podał tempo i wyskandowali chórem w odpowiedzi: — By-li za-chwy-ce-ni!

Clisser uniósł do góry kciuki w geście radosnej akceptacji, a potem machnięciem dłoni zaprosił ich do swojego gabinetu w starej części budynku.

Dotarli tam wcześniej od Clissera. Radość z udanego występu natychmiast się ulotniła, gdy zobaczyli wyraz jego twarzy.

— Co się stało? — spytała Bethany.

— Komputery padły i zdaniem Jemmy'ego, nic już im nie pomoże — poinformował ich ponuro Clisser i padł na fotel za biurkiem w pozie wyrażającej całkowitą rozpacz.

— Ale dlaczego? Przecież wszystko było dobrze — zdenerwował się Sheledon. — Co ten Jemmy...

Clisser podniósł rękę do góry: — To nie był Jemmy...

— Pewnie jakiś student buszował po katalogach... — mina Sheledona sugerowała surową karę.



Rektor pokręcił głową: — Błyskawica...

— Błyskawica? Miało nie być burzy!

— Spaliły się też wszystkie baterie słoneczne, choć akurat to można łatwo zastąpić. A Corey straciła resztki swego systemu, włącznie z diagnostyką, którą tak gorączkowo przepisywała.

Sheledon, oniemiały w obliczu takiej katastrofy, ciężko usiadł na brzegu biurka. Niepocieszona Sydra oparła się o ścianę.

— Ile programów uległo zniszczeniu? — Bethany chciała ocenić rozmiar nieszczęścia.

— Wszystkie — Clisser strzelił palcami, złożył ręce na piersi i spuścił wzrok.

— Ale... ale na pewno to tylko kwestia...

— Z głównych płyt zostało tylko trochę węgla i kleju — powiedział rektor martwym głosem. — Jemmy posprawdzał wszystkie zapasy chipów, które nam zostały. Okazało się, że nie starczy ich na odbudowę choćby jednego komputera, a zresztą to i tak nie pozwoliłoby uruchomić całego systemu, czy nawet jego części. Wszystko przepadło — kolejne machnięcie ręki wyrażało bezradność i rozpacz.

Przez moment panowała cisza, bo wszyscy starali się przyjąć do wiadomości rozmiar straty.

— A ile studenci zdążyli... — spytała Bethany, ale przerwała w pół zdania, gdy Clisser uciszył ją zirytowanym gestem. — Przecież coś się musiało uratować.

— Coś tam zostało, ale to kropla w morzu potrzeb, nic w porównaniu z materiałem przeznaczonym do skopiowania, zaledwie ułamek niezbędnej wiedzy...

— Słuchaj, Clisser, co naprawdę straciliśmy? — spytała łagodnie Bethany.

Poderwał głowę i spojrzał na nią z furją.

— Jak to, co naprawdę straciliśmy? Wszystko!

A Sheledon i Sydra patrzyli na nią, jak na szaloną.

— Straciliśmy wiadomości historyczne, ale one, jak się okazało, nie mają żadnego związku z naszym życiem — powiedziała Bethany cicho. — A oprócz tego opisy archaicznych urządzeń i technik, których nie potrzebujemy na Pernie, bo nie ma tu zaawansowanego technicznie społeczeństwa. Czy przypadkiem od pewnego czasu nie planowałeś podobnej czystki, przyjacielu? Chciałeś zmienić orientację szkolnictwa na miarę naszych potrzeb na tej planecie, chciałeś zignorować nie wiadomo ile gigabajtów informacji, które naprawdę są zbędne! Nie musimy się już więc fatygować — machnięciem ręki zbyła stratę — i zamartwiać, w jaki sposób przetłumaczyć te głupstwa na język zrozumiały dla potomności. Teraz zajmijmy się tym, co jest przydatne tutaj. Pytam więc, co naprawdę

straciliśmy?

Zapanowało milczenie, które w końcu przerwał ostry śmiech Sheledona.

— Wiecie co, ona chyba ma rację. Do utraty sił przepisywaliśmy informacje, które i tak tu, na Pernie byłyby bezużyteczne. Tym bardziej — jego głos stwardniał — że nikogo na Ziemi najwyraźniej nie interesuje, co się z nami dzieje.

Sydra puściła do niego perskie oczko: — Znów zaczynasz od nowa o powrotnej kapsule Tubbermana?

— No cóż, wiemy z... — zaczął się bronić Sheledon.

— Z raportów na dyskietkach — weszła mu w słowo Sydra, uśmiechając się złośliwie, aż się zaczerwienił — że wiadomość w kapsule nie została opatrzona podpisem admirała Bendena. A bez tego nikt na Ziemi nie potraktuje jej poważnie. Jeśli w ogóle dotarła na Ziemię.

— Ale ktoś mógłby przylecieć i sprawdzić, co się dzieje — odpowiedział j ej mąż.

— Och, daj spokój, Shel — przerwała im Bethany, rozbawiona nagłą zmianą poglądów kolegi, który zawsze wyśmiewał się z Teorii Kapsuły Tubbermana. — Pern jest za biedny, by ktoś się nim przejmował.

— Tak mówią nasze bezcenne raporty, ale moim zdaniem tylko po to, by zachować twarz. Powinni sprawdzić, jak nam się tu wiedzie... Wobec shaviańskich kolonii, które były głównym powodem wojny kosmicznej z Ludem Nathi, okazali się bardzo opiekuńczy.

— To było ponad sto lat temu, Shel — odpowiedziała Bethany opanowanym tonem, którego używała na lekcjach.

— I nie ma nic wspólnego z tym, co się właśnie wydarzyło — dodała Sydra. — Słuchajcie, zniszczenie komputerów to niewątpliwie poważna strata, ale jakoś ją sobie powetujemy...

— Ach, te wszystkie dane! — Clisserowi znów napłynęły łzy do oczu.

— Clisser, przyjacielu — Bethany pochyliła się ku niemu i łagodnie pogładziła po rękę — w dalszym ciągu mamy komputery najwyższej jakości — tu poklepała się w czoło — naładowane mnóstwem danych. Jest ich więcej, niż nam potrzeba do życia.

— Ale... ale teraz nigdy się nie dowiemy, jak zachować dla potomnych informacje o żywotnym znaczeniu, takie jak termin powrotu Czerwonej Planety!

— Na pewno coś wymyślimy — odpowiedziała stanowczo, nieco rozpraszając jego przygnębienie. Na chwilę odrobinę się rozpogodził, po czym popadł w jeszcze głębszą rozpacz.

— Ale zawiedliśmy pokładane w nas zaufanie, że zachowamy dostęp do tych

danych...

— Bzdura! — zirytował się Sheledon i huknął pięścią w biurko. — Komputery dawno już przekroczyły maksymalny okres eksploatacji. Wiem, bo czytałem dużo starych podręczników. Od pięćdziesięciu lat każdy kolejny dzień funkcjonowania komputerów graniczył z cudem. A poza tym, jak mówi Bethany, wcale nie utraciliśmy wszystkiego. Zawiodło kolejne sprytnie urządzenie z przeszłości. Teraz po prostu trzeba będzie pożegnać się z łatwym dostępem do danych i pracownicy przebijają się przez książki! Tak, książki! Ogromne ilości książek, które czekają na półkach.

Clisser zamrugał i potrząsnął głową, jakby jego umysł nie chciał się pogodzić z jakąś myślą.

— Przecież zamierzaliśmy pominąć mnóstwo starych informacji — dodała łagodnie Bethany. — Przepisaliśmy już to, co dla nas najważniejsze — zakreśliła ręką krąg, oznaczający teraźniejszość Pernu — no, powiedzmy, większość — poprawiła się, widząc, że Clisser otwiera usta. — A reszta nigdy się nam nie przyda, jeśli do tej pory po nią nie sięgaliśmy.

— Ale utraciliśmy całość ludzkiej... — zaczął rektor.

— Ha! — przerwała mu Sydra. — Całość historii starożytnej, mój panie. Przetrwaliśmy tu już tyle lat... Tylko Pern jest ważny. Bethany ma rację. Jeśli jakieś dane do tej pory nie były nam potrzebne, możemy o nich zapomnieć, więc uspokój się wreszcie.

Clisser drapał się w głowę obiema rękami.

— Jak ja mam to powiedzieć Paulinowi?

— Czy w Forcie burza też spowodowała jakieś uszkodzenia? — spytał Sheledon i sam sobie odpowiedział: — Widziałem robotników przy panelach słonecznych...

— Powiedziałem mu, że sprawdzamy, co uległo zniszczeniu... — I okazało się, że wszystko? — upewnił się Sheledon.

— Wszystko! — Clisser po raz kolejny spuścił głowę na piersi, poddając się nieuniknionemu losowi.

— Słuchaj, Cliss, przecież to nie ty wywołałeś tę burzę, prawda? — stwierdziła Bethany.

Popatrzył na nią gniewnie.

— Czy ktoś uruchamiał system w czasie wyładowań? — spytał Sheledon.

— Naturalnie, że nie — uniósł się Clisser i spojrzał na niego wojowniczo. — Znasz przecież regulamin. Podczas każdej burzy wyłączają się wszystkie urządzenia elektroniczne.

— I tym razem też wyłączyliście?

— Tak.

Bethany wymieniła z Sheledonem spojrzenie, nie całkiem przekonana o prawdziwości tych zapewnień. Oboje wiedzieli, że Jemmy nieraz pracował do późna w noc, aż zasnął nad klawiaturą.

— Mówię wam, padły wszystkie urządzenia elektryczne — opowiadał Clisser. — Całe szczęście, że generatory mają zabezpieczenia przed przeciążeniem sieci, ale komputerom nic to nie pomogło. Wszystko poszło w wewnętrzne obwody, a nie w sieć zasilającą.

— Komputery i tak już ledwo dyszały. Teraz nie żyją na dobre i już — powiedział Sheledon twardo. — Niechaj spoczywają w pokoju. Jeśli nie chcesz rozmawiać z Paulinem, mogę iść i powiedzieć mu o tym.

— Ja do niego pójde — Clisser uderzył pięścią w stół. — Mam obowiązek sam mu to wyznać.

— NO to powiedz mu jeszcze, że stosujemy już nowe techniki nauczania i nie straciliśmy nic, co mogłoby się przydać przyszłym pokoleniom — powiedziała Sydra.

— Ale... skąd wiadomo, co im będzie potrzebne? — sądząc po tym retorycznym pytaniu, Clisser w dalszym ciągu był w rozpacz. — Nie wiemy nawet połowy tego, co powinniśmy wiedzieć.

Bethany wstała i podeszła do automatycznego baru.

— Też nie działa — ostrzegł ją Clisser z niesmakiem i machnął ręką, jakby awaria obrażała go osobiście.

— Szkoda, bo był wygodny — odpowiedziała.

— Będzie nam brakowało wielu wygod — zauważył, gwałtownie wydechając powietrze z płuc i po raz kolejny przeczesał włosy niecierpliwymi palcami.

— No cóż, trzeba będzie wrócić do kuchenki gazowej — wzruszyła ramionami Sydra. — Też umie zagrzzać wodę, choć może robi to wolniej. Wszystkim należy się filiżaneczka dla poprawy nastroju, prawda? — Wzięła Clissera za rękę i zmusiła do wstania z fotela. — Szczególnie tobie by się to przydało.

— Uskrzydla was udany występ — odpowiedział oskarżycielsko, jednak wstał.

— To prawda, ale dzięki temu możemy cię skuteczniej pocieszyć, przyjacielu — odpowiedział Sbeledon.

— Clisser — zaczęła Bethany miękkim, przekonującym głosem — wiemy z odczytów, że sztuczna inteligencja, SIWSP, wyłączyła się sama. Wiemy także, dlaczego. W mądrości swej zdała sobie sprawę, że ludzie zaczęli uważać ją za nieomylną wyrocznie,

znającą odpowiedzi na wszystkie nasze problemy. Niekoniecznie dotyczące historii. Co gorsza, ludzie zaczęli na niej polegać do tego stopnia, że stało się to nierozsądne. Więc się wyłączyła, dla naszego dobra.

— Za długo kierowaliśmy się pozostawioną nam w spadku wiedzą z komputera. Uzależniliśmy się od niej. Czas już, byśmy mocno stanęli na własnych nogach... — przerwała i kapryśnie wydeła usta, podkreślając kontrast tych słów z własnym kalectwem — ... i sami zaczęli podejmować decyzje. Tym bardziej, że to, co przekazywały nam komputery, coraz mniej przystawało do naszych obecnych potrzeb.

— Dobrze powiedziane, Bethany. — Sheledon pokiwał głową z aprobatą, choć cierpko się przy tym skrzywił.

Clisser znowu przeczesał włosy i uśmiechnął się żałośnie.

— Lepiej by było, gdyby to wszystko przytrafiło się odrobinę później. — Rozstawił kciuk i palec wskazujący, by pokazać, jak niewiele czasu było mu potrzeba. — nie zdążyliśmy znaleźć informacji, potrzebnej smoczym jeźdźcom.

— Chodzi ci o niezawodny system ostrzegania przed powrotem Czerwonej Planety i Opadami? — spytał Sheledon, wruszając ramionami. — Nad tym zagadnieniem pracują najlepsze umysły na całym kontynencie.

— Na pewno znajdziemy rozwiązanie — w głosie Bethany znów zabrzmiał dziwny spokój i determinacja. — Jak wiesz, ludzkość zawsze w końcu jakoś sobie daje radę.

— I na dodatek mamy smoki — dodała Sydra. — Oszaleję, jeśli natychmiast nie dostanę filiżanki klahu.

## **ROZDZIAŁ V**

### **KOSZARY WEYRZĄTEK I WAROWNIA BITRA**

Z głębokiego snu wyrwało Deberę uczucie dojmującego, narastającego głodu. Poczula się zupełnie zdezorientowana. Łóżko wydało jej się za miękkie, leżała w nim sama, a zapachy i dźwięki były kompletnie obce.

Naprawdę jestem strasznie głodna. Wiem, że bardzo się dziś zmęczyłaś, ale mój brzuch jest już pusty, pusty, pusty...

Morath! Debera usiadła gwałtownie i uderzyła głową w smoczą szczękę, gdyż Morath pochylała się nad jej łóżkiem.

Auuu! zabrzmiał głos w jej myślach.

— Ach, najdroższa, nie zrobiłam ci krzywdy, prawda?

Debera stanęła na łóżku i objęła Morath na przeprosiny, gładząc ją po policzkach i wypustkach usznych. Cichym szeptem wyrażała swój żal i obiecywała, że to się już nie powtórzy.

Oczy smoczątka zmieniły barwę: wirowały coraz wolniej, a cień czerwieni, oznaczającej ból i strach szybko zniknął po tak gorących przeprosinach.

Twoja głowa wcale nie wyglądała na taką twardą, odpowiedziała Morath, lekko potrząsnąwszy łbem.

Debera podrapała smoczą szczękę, tam, gdzie przedtem niechcący ją uderzyła.

— Tak cię przepraszam, kochanie — powiedziała i nagle usłyszała z tyłu śmiech. Odwróciła się na poły z gniewem, na poły instynktownym, obronnym ruchem. Okazało się, że już nie jest sama w koszarach weyrzątek. Blondynka z Isty — zdaje się, że miała na imię Sarra — siedziała na brzegu łóżka i chowała ubrania do skrzyni. Jej smok w dalszym ciągu leżał zwinięty w ciasny kłębek, z którego dochodziło lekkie pochrapywanie.

— Oj, nie chciałam cię urazić — Sarra uśmiechnęła się tak serdecznie, że Debera natychmiast się uspokoiła. — Szkoda, że nie widziałas, jakie miałyście miny. Morath dostała strasznego zęza, gdy ją huknęłaś w szczękę.

Debera skrzywiła się i

— Spałam tak głęboko... Z początku nie pamiętałam, gdzie jestem...

— Morath bardzo chciała być delikatna — odpowiedziała Sarra, — T'dam kazał się ubrać do ciężkiej pracy. Po pierwszej drzemce mamy je wykapać.

Debera przypomniała sobie o stosie ubrań, których nie zdołała obejrzeć poprzedniego wieczora.

Czy ubieranie się długo trwa? spytała grzecznie Morath.

— Wcale nie, najmilsza — odpowiedziała Debera i odwróciła się od Sarry na wypadek, gdyby koleżanka poczuła się skrępowana. Ściągnęła pizamę i rzuciła na kupkę odzieży, używanej ale odpowiedniej do pracy. Usiadła i zaczęła się ubierać.

Skarpetki były nowe, zrobione z solidnej, bawełnianej dzianiny. Bardzo się ucieszyła na ich widok, bo te, w których przyjechała, nosiła już od kilku dni. Włożyła własne buty i wstała.

— Już jestem gotowa — powiedziała do zielonej smoczycy, która zeszła z platformy i natychmiast przewróciła się na nos.

Sarra zeskoczyła z łóżka, o które miała się potknęła i pomogła jej wstać, z trudem pohamowując śmiech, tak, że niemal się krztusiła. Gdy Debera spostrzegła, że jej podopiecznej nie stała się krzywda, odpowiedziała koleżance uśmiechem.

— Czy one wszystkie są takie...

— Tak mówił T'dam — przytaknęła Sarra. — Za drzwiami jest wiadro z jedzeniem dla smocząt... Dziś rano jeszcze dadzą nam spokój — tu zmarszczyła nos z zabawnym grymasem — ale od jutra trzeba będzie wstawać o świcie i kroić mięso na śniadanie dla naszych pieszczoszków...

Smoczyca Sarry wydała długie, parsające chrapnięcie i dziewczyna natychmiast odwróciła się do niej, sprawdzić, czy się nie obudziła. Chrapnięcie jednak zmieniło się w cichutkie, piskliwe „ooooch” i oddech powrócił do poprzedniego rytmu.

— Przez całą noc tak piszczała? — spytała Debera.

Jestem już TAKA głodna...

Dziewczynka gorąco przeprosiła Morath, a Sarra przyłączyła się do przeprosin i pobiegła otworzyć oba skrzydła drzwi, po czym wykonała głęboki ukłon, zapraszając je do wyjścia. Morath w jednej chwili znalazła się obok Debery i zaczęła ją popychać w prawo, gdzie młody smoczy nos wyczuł zachwycający zapach unoszący się nad dwoma przykrytymi wiadrami, wiszącymi na hakach w ścianie.

Debera uniosła wiadro i postawiła je na ziemi. Morath niecierpliwie zepchnęła nosem pokrywkę i zaczęła wsysać kawałki mięsa jak pompa. Debera pozwoliła jej napelnić paszczę, a potem zasłoniła sobą wiadro.

— Morath, pogryź to, co masz w pysku, dobrze? Zadławisz się na śmierć i co będzie?

Smoczyca posłała jej w odpowiedzi spojrzenie tak pełne zboląłego zdumienia i urazy, że dziewczyna z trudem zachowała powagę.

— Gryź — poprosiła, wpychając garść okrawków do otwartego pyska.

— No, gryź! — powtórzyła, a Morath posłusznie poruszyła szczękami, zanim je rozwarła w oczekiwaniu na kolejną porcję. Debera w gospodarstwie poznała niejedną sztuczkę przy odchowывaniu osieroconych młodych zwierząt.

Ten ktoś, kto napełniał wiadra, dokładnie znał pojemność smoczego żołądka, pomyślała, bo Morath zwolniła tempo połykania gdy w naczyniu ukazało się dno. Smoczyca westchnęła, zanim zjadła ostatni kęs.

— Już po śniadaniu, co? — usłyszała głos T'dama, który tak niespodziewanie pojawił się z tym, że zaskoczona Morath pisnęła, a Debera chciała wstać. Opiekun położył jej dłoń na ramieniu i zmusił, by usiadła.

— Tu, w Weyrze nie musisz zanadto przejmować się manierami, Debero — wyjaśnił łagodnie. — Zaprowadź ją teraz do jeziora — dodał, wskazując na prawo, gdzie dostrzegła spore wzgórkę, które okazały się zarysami śpiących smoczątek. — Kiedy się obudzi po tym

karmieniu, będziecie miały blisko do kąpieli, a potem nasmarujesz ją oliwką. — Uśmiechnął się.

— Ale zanim ją znów nakarmisz, trzeba... — tu wskazał na lewo —... brzydzisz się tego?

Spojrzała uważnie w tamtym kierunku. Na rzeźniczych trójnogach kołysało się sześć odartych ze skóry zwierzęcych tusz, wokół których uwijali się młodzi jeźdźcy z nożami. Odcinali mięso od kości, a potem na pobliskim stole kroili je na kawałki, odpowiednie dla smoczków.

— Ja? — parsknęła cynicznie. — Skądże znowu.

— To dobrze — ucieszył się T'dam. — Niektórzy twoi rówieśnicy nie mogą tego znieść. Chodź, Morath — dodał zupełnie innym tonem, z łagodną, serdeczną perswazją — musisz trochę odpocząć, a plaża przy jeziorze nagrzała się już od słońca...

Morath uniosła głowę i ogarnęła Opiekuna Weyrzątek zielononiebieskawym spojrzeniem.

Jaki on miły — powiedziała i podreptała do jeziora, a pełen mięsa brzuch kołysał się w rytm jej kroków.

— Kiedy się tam usadowi, Debero, nie zapomnij o własnym śniadaniu. Czeka w kuchni. To dobrze, że nie brzydzisz się takiej pracy — powiedział, odwracając się od nich, ale do uszu Debery dotarł jeszcze jego dobroduszny śmiech.

Do jeziora jest strasznie daleko, prawda, Debero?— spytała zasapana Morath.

— Nie tak bardzo — odpowiedziała. — A tu jest za dużo kamieni i będzie ci niewygodnie spać.

Morath opuściła drugi nos i popatrzyła pod nogi, a potem kopnięciem lewej odrzuciła z drogi spory kamień. Westchnęła i ruszyła dalej. Debera zachęcała ją po każdym kolejnym, powolnym kroku, aż dotarły do piasków wokół jeziora. Ktoś je niedawno grabił, bo między odciskami smoczyczych łap i ogonów zostały jeszcze ślady. Udało jej się namówić smoczycę, by weszła nieco dalej na plażę, gdzie ujrzała wolne miejsce między dwoma spizowymi. Skapane w blasku jesiennego słońca, leżały zwinięte w ciasne kłębki i skrzydłami osłaniały oczy przed nadmiarem światła.

Morath z ciężkim westchnieniem złożyła zad na piasku. Jej mina świadczyła o tym, że nie ruszy się stąd ani na krok. Powoli ułożyła się na prawym boku, otoczyła się ogonem, zgięła szyję, wsunęła łeb pod prawe skrzydło, wydała z gardzieli głęboki odpowiednik niemowlęcego gruchania i zasnęła.

Debera z zalem odsunęła się od smoczątka. Była szczęśliwa, że pokochało ją tak



cudowne, drogie jej sercu stworzenie.

Przez całe życie była samotna i niekochana — od śmierci matki i odejścia z domu najstarszego rodzonego brata. Teraz miała Morath, wyłącznie dla siebie, a lata osamotnienia stały się nic nie znaczącą chwilką.

Mała jest tu zupełnie bezpieczna, uznała wreszcie. Zmusiła się, by odejść od Morath i pośpieszyła do jaskiń kuchennych po drugiej stronie Niecki. Zachęcający zapach świeżego chleba i innych wiktuałów sprawił, że przyspieszyła kroku, nie całkiem przekonana, czy uda jej się pochłaniać jedzenie z mniejszą żarłocznością, niż smoczyca.

Jaskinia kuchenna w Weyrze Telgar składała się z szeregu grot różnej wielkości, szerokości i wysokości. Debera zatrzymała się przy wejściu do najbliższej i najmniejszej. Wzdłuż wewnętrznej ściany rozmieszczono paleniska i piece, których kominy przebijały skałę i wychodziły na zewnątrz. Po drugiej stronie stało znacznie mniej długich stołów niż poprzedniego wieczoru wystawiono na ucztę dla gości, jednak było przy nich dość miejsca dla stałych mieszkańców Weyru. Wewnątrz panowała krzątanina: mężczyźni i kobiety przygotowywali jedzenie.

— Śniadanie jest tam — uśmiechnęła się jakaś kobieta, wskazując Deberze właściwy stół. — Owsianka jeszcze nie wystygła, a i klah jest świeży. Częstuj się.

Debera spojrzała w lewo, ku najdalszemu palenisku, gdzie zapraszająco ustawiono stoły i krzesła.

— Zaraz przyniosę wam świeży chleb, jak tylko wyjdzie z pieca — dodała kobieta i zajęła się pracą.

Ledwie Debera zdążyła nałożyć sobie solidną porcję owsianki — gładziutkiej, bez grudek i w ogóle nie przypalanej — i nalać kubek klahu, gdy do jaskini weszło dwóch onieśmielonych chłopców, którzy wyraźnie nie wiedzieli, co dalej ze sobą począć.

— Miski są tam, kubki obok — pokazała im. — I przytrzymajcie garnek z owsianką przez ścierkę, jak będziecie sobie nakładać, bo jest gorący.

Uśmiechnęli się niepewnie. Chyba dopiero co osiągnęli odpowiedni wiek do Naznaczenia, pomyślała, czując się trochę starsza i mądrzejsza. Udało im się napełnić kubki klahem, ale trochę owsianki wylądowało w palenisku, płomienie zasyczały i rozszedł się swąd. Obaj odskoczyli, ale talerze mieli już pełne.

— Siadajcie obok, ja nie gryzę — poklepała blat stołu. Wcale nie wyglądali na ponuraków ani marudy, jak jej młodszy przybrani bracia.

— Masz zielonego smoka, prawda? — spytał pierwszy. Jego gęste czarne włosy niedawno obcięto prawie do samej skóry.

— Oczywiście, że ma zielonego, ty głupku — drugi wymierzył mu sójkę w bok. — Jestem M'rak, jeździec spizowego Canetha — dodał z całkowicie usprawiedliwionym, dumnym uśmieszkiem.

— Mój spizowy nazywa się Tiabeth — powiedział czarnowłosy, równie dumny ze swojego smoka i dodał skromnie: — A ja jestem S'mon. A jak ma na imię twoja smoczyca?

— Morath. — Debera uświadomiła sobie, że uśmiecha się szeroko. — Czy wszyscy nowo Naznaczeni jeźdźcy są tak zauroczeni smokami?

Chłopcy usiedli przy stole i zaczęli jeść prawie tak samo żarłocznie jak małe smoczki. Debera celowo zwolniła tempo. Owsianka była naprawdę za dobra, by łykać ją pośpiesznie, nie czuła w niej ani jednej plewy albo nie wymłóconego ziarna. Telgar rzeczywiście dostarczał Weyrowi wszystko, co najlepsze — nawet owies. Westchnęła, wdzięczna losowi nie tylko za wczorajsze Naznaczenie Morath.

Chłopcy nagle zastygli z łyżkami w pół drogi do ust. Ostrzeżona ich zachowaniem Debera prędko się odwróciła. Bez trudu rozpoznała masywną postać Tishy, gospodyni Weyru, która właśnie zbliżała się do ich stolika. Jej szeroka twarz jaśniała uśmiechem, w którym malowała się cała dobroduszość tej kobiety.

— Jak się macie? Zadamawiacie się powoli? Może trzeba wam czegoś z magazynów? Rodzice zwykle dają młodzieży najlepsze ubranie, jak na Zgromadzenie, a tak naprawdę powinni spakować najgorszą, jak do pielienia — powiedziała głębokim kontraltem, w którym wprost kipiało zadowolenie z życia. — Smakuje śniadanko? Właśnie wyjmują świeży chleb, możecie się najeść ile dusza zapagnie.

Zatrzymała się przy krześle Debery i pogładziła ją delikatnie po ramieniu kształtnymi dłońmi o długich, silnych palcach, jakby chciała w ten sposób przekazać coś wyłącznie dla dziewczyny. — Jak ci czegoś będzie brakło, zaraz mi powiedz, albo zawiadom T'dama. Wy, młodziaki, nie powinniście zajmować sobie głów niczym poza opieką nad smokami. To bardzo ciężka praca, zobaczysz sama, więc mi się tu nie kryguj —jeszcze raz poklepała ramię Debery, zanim opuściła rękę.

— Nie pomyślałam, żeby przynieść tu suknię, którą mi pani wczoraj pożyczyła na wieczór — odpowiedziała Debera, niepewna, czy przypadkiem gospodyni nie chciała jej o tym delikatnie przypomnieć.

— Wielkie nieba, dziecko! — Już i tak ogromne oczy w okrągłej twarzy Tishy rozszerzyły się jeszcze bardziej ze zdziwienia. — Przecież ta suknia była szyta na ciebie, nawet jeśli wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że ktoś taki do nas przyjdzie. — Od głębokiego śmiechu zakochały się jej piersi i brzuch.

— Ale ta sukienka jest za dobra... — zaczęła protestować Debera. Tisha znów poklepała ją po ramieniu.

— Idealnie na ciebie pasuje. Uwielbiam szyć nowe rzeczy. Wprost to kocham. Sama się przekonasz, zawsze nad czymś pracuję. — Znów klepięcie, potem następne. — Ale w zeszłym roku skroiałam ją i uszyłam nie mając nikogo konkretnego na myśli. Nie sprawiłabym się lepiej, nawet z przymiarkami. Bierz ją, jest twoja. Każdy z nas lubi Siódmego Dnia mieć na sobie coś ładnego. Umiesz szyć? — spojrzała na nią z nadzieją.

— Niestety, nie — odpowiedziała Debera, spuszczać oczy. Przypomniała sobie, jak matka wieczorami siadywała z robótką w rękę, haftując lub kładąc piękne ścięgi na świątecznych ubraniach. Macocha Gisa, z trudem radziła sobie z prostą łataniną, więc jej córki nie miały od kogo nauczyć się cerowania i szycia.

— No cóż, w takim razie sama nie wiem, czego gospodynie uczą dzieci w dzisiejszych czasach. Ja tam pierwszy raz dostałam igłę do ręki, gdy skończyłam trzy lata... — zaczęła.

Widać było, że chłopców nudzi ta rozmowa.

— Wy też, moi młodzi przyjaciele, prędko nauczycie się szyć uprząże — pogroziła im palcem. — A do tego buty i kurtki, jeśli będziecie umieli sami zaprojektować sobie ubiór do łatania.

— He? — zdumiał się M'rak. — Szycie jest dla kobiet.

— Nie w Weyrach — odparła twardo Tisha. — Wkrótce sami się o tym przekonacie. To jedno z normalnych zajęć jeźdźców. Nauczycie się. O, jest już chleb, masło i słoik dżemu.

Rzeczywiście, następna zażywna kobieta postawiła wyładowaną tacę na stole, uśmiechnięta i zadowolona, że może im dać tyle dobrych rzeczy.

— To powinno wystarczyć, dziękuję ci, Allie — zwróciła się do niej Tisha, a gdy Debera półgłosem mruknęła podziękowanie, S'mon też przypomniał sobie o dobrym wychowaniu. M'rak nie tracił czasu na głupstwa, tylko złapał kronikę parującego chleba i wsadził sobie do ust.

—Jejku, jaki dobry!

— Uważaj, byś go nie zmarnował, jak będziesz przygotowywać następny posiłek dla swojego smoka — skomentowała Tisha i oddaliła się, zanim zdziwiony spizowy jeździec zrozumiał, o co jej chodzi.

— Dlaczego tak powiedziała? — spytał pozostałych. Debera uśmiechnęła się.

— Jesteś z gospodarstwa?

— Nie, rodzice są tkaczami — odpowiedział chłopiec. — Z Warowni Keroon.

— Musimy sami dzielić mięso dla smoków, prawda? — spytał S'mon z lekkim

niepokojem w głosie. — Z tych... tych ciał, które tam wiszą?

— To znaczy, każą nam zdejmować mięso z... z niezwywych zwierzaków? — M'rak nieco zbladł i przełknął ślinę.

— Tak tu właśnie jest — potwierdziła Debera. — Jeśli chcecie, mogę odcinać duże kawałki, a wy wszystko pokroicie. Umowa stoi?

— Nie ma sprawy — zgodził się z wielką radością M'rak i znów przełknął ślinę. Jakby zapomniał o chlebie, który przed chwilą zajadał z takim zapałem. Teraz kromka tkwiła w osłabłych palcach. Odłożył ją. — Nie wiedziałem, że to też obowiązek jeźdźca.

— Wkrótce pewnie wszyscy przekonamy się, że jeźdźcy muszą robić coś więcej, niż tylko rozpierać się na smoczych szyjach i jeździć, gdzie im się zamarzy — zaśmiała się Debera.

Jak się okazało, była to niezwykle trafna przepowiednia. Choć nie żałowała umowy zawartej z chłopcami, gdyż był to sprawiedliwy podział pracy, przez następnych kilka tygodni miała wrażenie, że spędza czas wyłącznie na dzieleniu mięsa, karmieniu smoczycy i kąpaniu jej, a pomiędzy tymi zajęciami zostaje jej zaledwie tyle czasu, by się przespać. To prawda, opiekowała się przedtem małymi zwierzętami, ale żadna z sierotek nie była tak wielka, ani tak żarłoczna jak Morath. A smoczyca rosła w oczach, jakby w jednej chwili przetwarzała posiłki w tkankę —co oznaczało, że znów będzie więcej skóry do szorowania i smarowania, a także napychania coraz większą ilością krojonego mięsa.

— Ciagle sobie powtarzam, że warto było — pewnego dnia mruknęła znużona Sarra i padła na łóżko.

— I to ci pomaga; — spytała Grasella. Jęknęła i przewróciła się na bok.

— Co za różnica? — odparła Mesla i zrzuciła buty z nóg.

— Ta cała oliwka zmiękczyła mi dłonie — zauważyła mile zdziwiona Debera, po raz pierwszy od przybycia do Weyru przyjrawszy się rękom.

— A mnie splątała włosy w kołtun — uzupełniła Jule, spojrzawszy na koniec zmechaconego warkocza. — Ciekawe, kiedy znajdę wreszcie czas, żeby umyć głowę.

— Poproś Tiszę, a zrobi ci cudowny masaż. — Angie przeciągnęła się na łóżku i ziewnęła. — Noga już mnie prawie wcale nie boli.

Razem z Plath potknęły się i przewróciły, a Angie naciągnęła sobie wszystkie mięśnie prawej nogi tak paskudnie, że z początku obawiano się złamania. Plath szalała ze zdenerwowania, póki Maranis nie orzekł, że to tylko bolesna kontuzja. Wszystkie koleżanki pomagały pechowej jeźdźczyni w opiece nad smokiem.

— Takie właśnie jest życie jeźdźców — skomentował T'dam. Zawsze jednak starał się

być w pobliżu kontuzjowanej Angie, w razie gdyby potrzebowała pomocy i w ten sposób wyrażał współczucie. — Kiedyś będziecie się z tego śmiać — dodał.

Choć w komnacie, w której Lord Chalkin pozował do portretu nowo mianowanemu Artyście imieniem Iantine było i tak ciepłej, niż w pozostałych pomieszczeniach Warowni Bitra, znanych malarzowi, ten westchnął cicho ze znużenia. Chwycił go kurcz ręki i był bardzo zmęczony, lecz przezornie starał się nie okazywać tego swemu odpychającemu modelowi.

Trzeba błyskawicznie namalować portret, albo utkwę w tej żalostnej Warowni aż do wiosny. Na szczęście pierwszy śnieg właśnie topniał, więc jeśli skończy obraz, będzie mógł odjechać zanim wyschnie farba. Z obiecanyimi markami w kieszeni, nie inaczej!

Nie miał pojęcia dlaczego kiedyś mu się wydawało, że poradzi sobie ze wszystkimi problemami związanymi z zamówieniem. W dodatku ostrzegano go, wprawdzie głównie przed grami hazardowymi w Bitrze... zresztą, nie miał tu nawet marki przy duszy. Koledzy mówili jednak zbyt ogólnie. Dlaczego Ussie nie opowiedział, ile osób padło ofiarą oszustw Lorda tutejszej Warowni? Naprawdę wydawało mu się, że kontrakt wygląda prawidłowo, a jednak okazał się katastrofalny w skutkach. Oto kara za arogancję, brak doświadczenia i nadmiar wiary w siebie. Widocznie Mistrz Domaize na próżno próbował wbić w jego tępą głowę nieco mądrości zdobytej przez lata doświadczeń. Niestety, Mistrz zazwyczaj pozwalał swoim podopiecznym uczyć się na własnych błędach, szczególnie, gdy nie miały związku ze Sztuką.

— Lordzie Chalkinie, proszę się nie ruszać jeszcze przez chwilę. Szkoda takiego dobrego światła — powiedział Iantine widząc, że jakiś mięsień bezustannie drga w tłustej twarzy modela. Pan Bitry nie miał bynajmniej nerwowego tiku, ale nie potrafił długo usiedzieć na tym pięknym fotelu, zupełnie jak jego dzieci.

Iantine przekornie zastanawiał się, czy by nie domalować efektów skurczu mięśni, ale za wiele trudu kosztowało go doprowadzenie tej twarzy do porządku. Maślane, brązowe, osadzone za blisko oczy modela uparcie zezowały na mostek mięsistego, bułowatego nosa, który malarz nieco uszlachetnił.

Mistrz Domaize często powtarzał uczniom, że przy portretowaniu potrzebna jest również uprzejmość i życzliwość wobec modela, ale Iantine spierał się z nim w tej mierze: realizm jest konieczny, jeśli ktoś chce mieć wiemy portret.

— Wierne portrety nigdy nie bywają realistyczne — tłumaczył mistrz studentom w przestronnej sali, gdzie odbywały się zajęcia. — Realistycznie powinniście malować

krajobrazy i historyczne freski, ale nie ludzi. Nikt nie chce widzieć siebie takim, jakim go widzą inni. Dobry portrecista powinien odznaczać się taktem i współczuciem.

Iantine pamiętał, jak oburzał się wtedy na nieuczciwość i schlebianie ludzkiej miłości własnej. Mistrz Domaize popatrzył ponad połówkowymi szklami, które musiał teraz nosić, jeśli chciał spojrzeć dalej niż na czubek własnego nosa, i uśmiechnął się tym swoim łagodnym, mądrym uśmiechem.

— Ci z nas, którzy nauczyli się, że portrecista musi być także dyplomata, zarabiają nie najgorzej. Ci, którzy chcą portretować prawdę, łądają w cechu rzemiosł i do końca życia malują bordiury.

Kiedy Akademii Mistrza Domaize zlecono namalowanie miniatur młodszych dzieci Lorda Chalkina, nikt nie chciał przyjąć zamówienia.

— Co jest złego w tej umowie? — denerwował się Iantine, gdy oferta wisiała na tablicy już od trzech tygodni bez niczyjego podpisu. Wkrótce czekały go końcowe egzaminy w Akademii Mistrza Domaize i miał nadzieję, że mu się powiedzie.

— Zleceniodawca, ot, co — prychnął cynicznie Ussie.

— Och, znam jego reputację. — Iantine beztrąsko machnął ręką, pokrytą plamami farby. — Wszyscy ją znamy. Ale przecież daje takie warunki — postukał w dokument — jakich podobno powinniśmy wymagać przy zleceniach.

Ussie przysłonił dłonią pogardliwy uśmieszek i spojrzał na młodego malarza pobłaźliwie, co zawsze irytowało Iannne'a. Doskonale wiedział, że Ussie nawet po najdłuższym życiu nie będzie lepszym rysownikiem i kolorystą niż on, a jednak tamten zawsze zachowywał się z wyższością, Iantine zdecydowanie przewyższał go ogólnymi umiejętnościami, i w dodatku stawał się coraz lepszy. Był tego doskonale świadomy, bo przecież w studio można było podpatrywać pracę kolegów. Anatomiczne szkice Ussiego wyglądały tak, jakby pozował do nich mutant... a kolorystyka wydawała się co najmniej dziwaczna. Pejzaże wychodziły mu znacznie lepiej, a wręcz mistrzowsko potrafił projektować tarcze herbowe, symbole i podobne dzieła sztuki użytkowej.

— Tak, tylko że podczas pracy będziesz musiał mieszkać w Warowni Bitra, a początek zimy to nie najlepszy okres, by tam gościć.

— Co? Na czas pracy nad czterema miniaturami? Ile to może potrwać? — Iantine myślał o siedmiodniu. Powinno to wystarczyć, nawet, jeśli dzieci będą bardzo małe i ruchliwe.

— Dobrze, dobrze, zawsze udaje ci się namówić dzieciaki do spokojnego pozowania. Ale to potomstwo Chalkina, i jeśli są choć odrobinę do niego podobne, dostaniesz szału,

zanim posadzisz je choćby na tyle, by oddać ogólne podobieństwo. Jednak, szczerze wątpię, żeby rodzice chcieli mieć wierne portrety. A ciebie znam nie od dziś, Ian... — Ussie pogroził mu palcem. — W życiu nie uda ci się upiększyć tych małych piśczoszków na tyle, by zadowolić ich kochającego papcia.

— Ale...

— Kiedy ostatni raz nasza Akademia dostała zlecenie od Chalkina — do rozmowy przyłączył się Chomas — Macartor siedział w Bitrze dziewięć miesięcy, zanim jego dzieło uznano za „zadowalające”. — Chomas wskazał palcem paragraf, zaczynający się od słów „po przestawieniu zadowalających prac” — i dodał: — Gdy wrócił, wyglądał jak swój własny duch i był biedniejszy, niż przed przyjęciem zamówienia.

— Macartor? — Iantine znał tego zdolnego czeladnika, obdarzonego umiejętnością wychwytywania szczegółów, który obecnie pracował przy freskach w nowej Wielkiej Sali w Neracie. Spróbował znaleźć jakiś powód, dla którego Macartor nie zadowolili Chalkina. — Mistrzowsko maluje szczegóły, ale portrety nie wychodzą mu najlepiej.

Brwi Ussiego podjechały wysoko, przez co twarz wydała się jeszcze dłuższa. W szarych oczach studenta zabłyśły złośliwe chochliki.

— Jeśli tak sądzisz, to weź to zlecenie i sprawdź na własnej skórze, jak na tym wyjdiesz. Sam wiesz, że niektórym z nas przydałoby się kilka dodatkowych marek przed Końcem Obrotu, ale nie aż tak, aby zarabiać je w Bitrze. Mówiono ci, jacy to hazardziści? Łatwiej przeżyją bez powietrza niż bez szulerki.

— Ach, na pewno nie jest aż tak źle — odparł Iantine. — Szesnaście marek plus koszty podróży i utrzymanie to całkiem niezła kwota.

Ussie zaczął odliczać kolejne kwestie na palcach.

— Podróż? No cóż, sam będziesz musiał zapłacić za przejazd do Warowni...

— Ale on wymienia podróż — sprzeciwił się Iantine, postukując palcem w odpowiedni paragraf umowy.

— No, tak, ale przedtem sam opłacisz przejazd, a zanim dostaniesz zwrot za wydatki, będziesz musiał rozliczyć się z każdej wydanej ćwierćmarki. Już tylko to zajmie parę dni. Chalkin jest tak skąpy, że nic wytrzyma u niego żaden porządny kucharz, ani gospodyni, kamerdyner i inna służba, więc pewnie będziesz musiał sam sobie gotować... a może jeszcze policzy ci za opał. Warownia nie ma centralnego ogrzewania, a o tej porze roku trzeba już palić w kominku. I jeszcze jedno, zabierz ze sobą futra do spania, bo on nie wydaje pościeli zwykłym robotnikom.

— Robotnikom? Portrecistów z Akademii Domaize nie traktuje się jak zwykłej siły

roboczej — odparł Iantine z urazą.

— Mój drogi przyjacielu, w Bitrze wszyscy są traktowani w ten sposób — wtrącił Chomas. — Chalkin w życiu nie podpisał przyzwoitej umowy. Przynajmniej uważnie przeczytaj słowo po słowie, skoro naprawdę zwariowałeś i chcesz przyjąć to zlecenie. Jeśli jednak zostało ci choć trochę oleju w głowie, z pewnością się na to nie zdecydujesz. — Chomas kiwnął stanowczo głową i ruszył ku swojemu stanowisku pracy, gdzie zajmował się delikatną inkrustacją biurka.

Iantine jednak bardzo potrzebował marek, które przyniosłoby mu to zlecenie. Miał już dyplom niemal w ręku i pragnął spłacić rodzicom zaciągnięty dług. Ojciec chciał wykorzystać jego przydział ziemi, i powiększyć pastwiska, lecz brakło mu marek, by zapłacić Radzie za przeniesienie praw. Kwota nie była wielka, ale gdyby rodzina Iantine'a musiała ją zebrać sama, trzeba byłoby zrezygnować ze wszystkich drobnych przyjemności. Dla młodego człowieka stanowiło to więc kwestię dumy i godności własnej.

Rodzice zapewnili mu dobry start życiowy, lepszy, niż na to zasługiwał, bo od ukończenia dwunastego roku życia rzadko pracował w rodzinnym gospodarstwie. Matka, która do zamążpójścia była nauczycielką, pragnęła, by syn poszedł w jej ślady. Nauczyła podstaw wiedzy jego samego, dziewięcioro rodzeństwa, a także góralskie dzieci w sąsiednich bendeńskich fermach owczych i gospodarstwach rolniczych. Ponieważ Iantine nie tylko objawiał wielki zapał do nauki, lecz także wyraźny talent rysunkowy — wypełniał każdy centymetr miejsca w swym cennym szkicowniku rysunkami z natury, przedstawiającymi życie w górskim gospodarstwie — postanowiono, że pójdzie na Uniwersytet. Ojciec, choć niezadowolony, że ubędzie para rąk do pracy, niechętnie musiał przyznać, że chłopak lepiej sobie radzi z piórkiem i ołówkiem, niż z laską pasterską. Jeden z młodszych braci, który upodobał sobie pracę przy owcach, szalał z radości, że przypadną mu w udziale obowiązki Iantine'a.

Na Uniwersytecie natychmiast poznano się na jego niezwykłym talencie i zmyśle obserwacji, więc zachęcano go do pracy. Rektor Clisser zalecił mu sporządzenie teczek szkiców „organizmów zwierzęcych i roślinnych oraz przedmiotów nieożywionych”. Nic było to trudne zadanie, gdyż Iantine rysował bez przerwy i zdążył już sportretować wielu nie podejrzewających niczego kolegów, zwykle w czasie przeznaczonym na inne lekcje. Mistrzowi Clisserowi szczególnie spodobał się rysunek Bethany z gitarą, lekko pochylonej, by chwycić jakiś skomplikowany akord. Wszyscy byli nim zachwyceni, nawet sama artystka.

Teczkę wysłano do kilku prywatnych Szkół Rzemiosł, które kształciły w różnego rodzaju umiejętnościach, od tłoczenia kurdybanów, poprzez rzeźbę w drzewie,



wydmuchiwanie szkła, aż po kamieniarstwo. Żadna ze szkół na Zachodnim Wybrzeżu nie miała wolnych miejsc, ale Mistrzynie tkacka z Południowego Bollu obiecała skontaktować się z Mistrzem Domaize z Keroonu, jednym z najznamienitszych portrecistów Pernu, gdyż jej zdaniem talent chłopca rozwijał się w tym właśnie kierunku.

Ku zdumieniu Iantine'a, pewnego ranka na Uniwersytet przybył jeździec z zielonym smokiem, by zawieźć go na oficjalną rozmowę u samego Mistrza Domaize. Iantine nawet nie wiedział, co było bardziej emocjonujące: lot pomiędzy na smoku, perspektywa spotkania z Mistrzem, czy nadzieja, że będzie pracował jako artysta. W czasie spotkania musiał naszkicować portret samego Domaize, a Mistrz przyjął go na naukę i tego samego dnia Wysłał wiadomość do jego rodziców z propozycją warunków umowy.

Rodzina Iantine'a oniemiała na tę wieść. Jeszcze bardziej zdumiała ich wiadomość, że lordowska para Warowni Benden chce opłacić ponad połowę czesnego za młodego artystę.

Teraz zaś Iantine pragnął zarobić ile się da i to jak najprędzej, by udowodnić swoim bliskim, że ich poświęcenie nie poszło na marne. Lord Chalkin z pewnością okaże się trudnym klientem. Niewątpliwie będą problemy. Ale marki obiecano za wypełnienie zlecenia opłacać przeniesienie tytułu własności. Tak więc Iantine podpisał umowę, kopię przekazano do akt Mistrza Domaize, a oryginał powrócił do Chalkina.

Chalkin zażądał zaświadczenia Mistrza o umiejętnościach studenta i otrzymał je, po czym odesłał podpisaną umowę.

— Przeczytaj ją jeszcze raz, Ian — ostrzegł Ussie, gdy Iantine triumfalnie pomachał mu dokumentem przed nosem.

— Dlaczego? — Iantine spojrzał na stronicę i wskazał dolne linijki: — Tu jest mój podpis, tu Mistrza Domaize, a dalej Chalkina, o ile ten zygzak ma pełnić taką funkcję. — Podał kartkę Ussiemu.

— Hmm, chyba wszystko w porządku, choć nigdy jeszcze nie widziałem podpisu Chalkina. Do licha, skąd oni wzięli taką maszynę do pisania? Wybija nierówno co najmniej połowę liter. — Ussie oddał mu umowę.

— Sprawdzę w aktach, może są tam jeszcze inne podpisy Lorda Chalkina — zgodził się Iantine — chociaż nie mam pojęcia, dlaczego i po co miałby zmieniać tekst, który sam zaproponował?

— To Bitrańczyk, a oni są dziwni. Jesteś pewien, że to twój podpis? — Ussie wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy kolega podejrzliwie przyglądał się własnemu imieniu, a potem zachichotał.

— Pewnie, że mój. Popatrz na krzywą kreskę przy t. Ja tak zawsze piszę. O co ci

chodzi, Ussie? — Iantine’a zaczęło irytować to ciągle dogadywanie.

— Widzisz, Bitrańczycy doskonale fałszują dokumenty. Pamiętasz podrabiane dowody przekazania praw własności do ziemi, pięć lat temu? Nie, ty pewnie nic o tym nie słyszałeś. Jeszcze wtedy chodziłeś do szkoły. — Ussie machnął ręką i poszedł sobie, a zaskoczony Iantine nieco się zaniepokoił.

Gdy opowiedział o wszystkim Mistrzowi, Domaize pokazał mu wzór podpisu Chalkina na pogniecionym, wytartym dokumencie, a nadto włożył okulary i dobrze przyjrzał się własnemu nazwisku na nowej umowie.

— Nie, to na pewno moja ręka, a poza tym poznaję twoje ukośne t — uspokoił go i włożył dokument do skrzynki na „pisma przychodzące”. — Trzeba zrobić kopię do księgi zamówień. Jeśli będziesz miał jakieś kłopoty w Warowni Bitra, daj mi natychmiast znać. Łatwiej zaprowadzić porządek od razu na początku. I nie daj się wciągnąć do gry, nawet jeśli sądzisz, że chytrus z ciebie — tu pogroził palcem.

— Bitrańczycy w ten sposób zarabiają na życie. Nie masz szans wobec ich umiejętności.

Iantine szczerze obiecał, że nie będzie w nic grał. Nigdy go to specjalnie nie interesowało, a gdyby znalazł się w towarzystwie graczy, pewnie wolałby ich szkicować, niż przyłączyć się do zabawy. Mistrzowi nie chodziło jednak o hazard. Dopiero teraz zaczął rozumieć, jaki był sens jego słów... szczególnie zaś dała mu się we znaki specyficzna interpretacja terminu „zadowolający”. Takie proste słowo, a tak źle można je zrozumieć. Na tym właśnie polegał jego błąd.

Nie namalował czterech miniatur, lecz bez mała dwadzieścia, nie tylko zużył wszystkie przywiezione materiały, lecz jeszcze posłał do Akademii po więcej, gdyż drewno pod miniatury musiało być specjalnie sezonowane, by farba się nie niszczyła, szczególnie jeśli obrazy miały zawisnąć w tak wilgotnym miejscu jak Bitra.

Pierwsze cztery zrobił na blejtramach, które przywiózł ze sobą. Wkrótce przekonał się że płótno, podobnie jak wiele innych kwestii dotyczących malowideł, nie jest „zadowolające” dla Lorda Chalkina i Lady Nadony, jego małżonki.

— Jeśli nie jest najlepszej jakości, to długo nie przetrwa — stwierdziła i przejechała po obrazie paznokciem przypominającym smoczy szpon, rozrywając materiał tak, że przestał nadawać się do użytku. — Życzymy sobie drewna z nieboszczotki.

— Nieboszczotka jest droga...

— A my szczerze płacimy za te miniatury — odparła. — Proszę przynajmniej użyć materiałów najwyższej jakości.

— W umowie nie było wzmianki o nieboszczotce...

— A była konieczna? — spytała z pogardą. — Upewniłam się, że Akademia Domaize oferuje usługi najwyższej jakości.

— Mistrz Domaize wyposażył mnie w najlepsze płótno — Iantine odsunął pozostałe obrazy z jej zasięgu. — Powiedział, że takie proponuje wszystkim klientom. Jeśli pani życzyła sobie malowideł na nieboszczotce, trzeba było uczynić o tym wzmiankę w kontrakcie.

— Naturalnie, że sobie tego życzyłam, młody człowieku. Dla moich dzieci nadaje się tylko to, co najlepsze.

— Czy w Warowni jest takie drewno? — spytał. Przynajmniej nieboszczotki nie można zniszczyć, jeśli malowidło znów okaże się „niezadowolające”.

— Naturalnie.

To był jego pierwszy błąd, ale wtedy jeszcze chciał wykonać pracę najlepiej, jak umiał. Pokazano mu drewno — niezgrabne kłocę, wysezonowane z przeznaczeniem na meble i za cienkie na miniatury — „miniatury”, które do tej pory już urosły, dwukrotnie przekraczając zwyczajową wielkość.

Jedną z ważniejszych pozycji na liście „niezadowolających” kwestii było ustawienie dzieci, choć sama Pani Warowni na początku zaproponowała takie właśnie pozy.

— Chaldon wygląda całkiem nienaturalnie — narzekała. — Zupełnie niepodobny. Wydaje się zdenerwowany, kiedy tak opuszcza ramiona. Dlaczego mu nie kazałeś siedzieć prosto?

Iantine zdusił odpowiedź, że robił to często, jak zresztą sarna słyszała.

— W dodatku, tak się brzydko krzywi. Taki był „naturalny” wyraz twarzy chłopca.

— W takim razie, może na stojąco? — zaproponował. Na myśl o tym, że będzie musiał zmusić dzieciaki, by pozowały stojąc, po plecach przebiegł mu dreszcz. Miał dość kłopotów z nakłonieniem ich, by siedziały spokojnie. Zgodnie z przepowiednią Ussiego, były nieposłuszne i nie potrafiły skupić uwagi choćby na tak długo, by udało mu się namówić je do przyjęcia odpowiedniej pozy, albo zrobienia nieco bardziej pogodnej miny.

— Dlaczego, u licha, namalowałeś to na takim małym płótnie? Potrzeba do tego szkła powiększającego. — Lady Nadona odsunęła od siebie podobiznę Chaldona na długość ramienia. Iantine poznał już tę kobietę na tyle, by nie wspominać jej o dalekowidztwie.

— To zwyczajowa wielkość dla miniatury...

— To ty tak twierdzisz — oddaliła jego tłumaczenie. — Chcę obrazu, który będę mogła oglądać nawet z najdalszego końca pokoju...

Potrzeba ta była wielce zrozumiała, gdyż Lady zwykle starała się przebywać w najdalszym końcu pomieszczenia, gdy w pobliżu pojawiała się jej potomstwo. Były to najbardziej niechlujne dzieci, jakie Iantine widział w życiu; tłuste z powodu wrodzonego niezgultwa, zawsze w niedopasowanych ubraniach, gdyż krawcowa Warowni niezbyt dobrze znała się na swoim rzemiośle, a poza tym ciągle jadły coś co ciekło, lepilo się, rozmazywało albo kruszyło na buzie i ubrania. Żadne z nich nie kapało się niezbyt często, więc źle podcięte włosy miały długie i przetłuszczone. Jedna z dziewcząt ciachnęła je nożem... oprócz jednego długiego loka na plecach, w który wplotła paciorki i dzwoneczki. Reszta miała grube warkocze, rozplatane tylko wtedy, gdy zgubiły to, czym akurat był związany koniec.

Iantine ciężko pracował nad prosiaczkowatym Chaldonem i w końcu zrozumiał, że nie może sportretować go tak, aby wyglądał „naturalnie”. Postanowił więc zachować tylko tyle podobieństwa, by rodzina mogła rozpoznać, kogo obraz przedstawia. Ale portret i tak okazał się „niezadowolający”. Tylko miniatura najmłodszego, krępego trzylatka, który wymawiał jedno jedyne słowo, czyli „nie” i nie rozstawał się z pluszową zabawką, została uznana za „w miarę zadowolającą”. Właściwie najlepszy z całego portretu był nie Briskin, lecz jego wypchany miś, o ile to był miś.

Iantine próbował nadać nieco romantyki niezwykleму uczesaniu jednej z córek, ale poinformowano go, że Luccha znacznie lepiej wygląda „z normalnymi włosami”, które każdy malarz wart tej nazwy dodałby sam, bez podpowiadania. A poza tym, dlaczego Luccha ma taką niewyraźną minę, kiedy w rzeczywistości uśmiecha się ślicznie i ma uroczy charakter? Który najpełniej ujawniał się, gdy próbowała związać razem ogony wszystkich kotów w Warowni, skomentował w myśli Iantine. W ogóle, w Warowni Bitra ze świecą nie znalazłoby się zwierzęcia bez okaleczeń, a chłopak stajenny kiedyś mu powiedział, że w tym roku jedynie siedem psów zginęło w różnych „wypadkach”.

Usta Lucchy, nieco skośnie osadzone, zwykle były zaciśnięte w cienką, nieprzyjemną kreskę. Młodsza od niej Lonada miała obrzmiałą twarz i małe czarne szparki w miejsce oczu, a do tego nos ojca; nieładny w przypadku mężczyzny, lecz wprost fatalny dla kobiety.

Iantine musiał także „kupić” kłódkę od zarządcy, by futra do spania nie wywędrowały z maleńkiej klitki, w której go zakwaterowano. Miał świadomość, że jego bagaże przeszukano już pierwszego dnia, pewnie kilka razy, sądząc po zamazanych odciskach palców, które pozostały na słoikach z farbami. Nie przejmował się tym, gdyż nie zabrał ze sobą nic cennego; nieliczne wartościowe rzeczy pozostawił w Akademii. W każdej Warowni był jakiś sługa, którego na widok cudzej własności swędziały ręce. Nadzorca zwykle wiedział, kto to taki i bez trudu odzyskiwał to, co zniknęło z gościnnych pokoi. Ale gdy Iantine zobaczył, że

ze słoików ktoś beztrąsko pozdejmował wieczka i farba wyschła, w końcu się zdenerwował i „zapłacił” za kłódkę. Nie do końca poprawiło to jego poczucie bezpieczeństwa, bo mogło być do niej kilka kluczy, ale jednak futra pozostały na swoim miejscu. Bardzo się cieszył, że je zabrał, gdyż dano mu tylko dziurawy koc, który od dawna powinien zostać podarty na szmaty.

Były to najmniejsze trudności, z jakimi spotkał się w Warowni. Wysłuchawszy wszystkich krytycznych uwag na temat kolejnej serii miniatur, trzykrotnie większych niż pierwsze, wreszcie zaczął się nieco orientować, w jaki sposób rodzice widzą swoje pociechy. Piąta wersja nieomal została uznana za „zadowolającą”. Nieomal...

Wtedy dzieci, jedno po drugim, zapadły na jakąś zakaźną chorobę, wywołującą taką wysypkę, że w żaden sposób nie mogły pozować.

— No cóż, lepiej weź się za jakąś robotę, by zarobić na utrzymanie — powiedział Chalkin portreciście, gdy Lady Nadona poinformowała, że dzieci muszą zostać w swoich pokojach.

— Według umowy mam zapewnione mieszkanie i wyżywienie... Chalkin uniósł tłusty palec z uśmiechem, w którym nie było najmniejszego śladu wesołości.

— Tylko wtedy, gdy wypełniasz jej warunki.

— Ale przecież dzieci są chore. Lord wzruszył ramionami:

— To nie ma nic do rzeczy. Nie jesteś w stanie wypełnić konkretnych warunków tej umowy, a zatem nie masz prawa do wyżywienia i mieszkania na koszt Warowni. Naturalnie, zawsze mogę odjąć wolny czas od należnej zapłaty... — uśmiech stał się mściwy.

— Wolny czas... — Rozwścieczony Iantine przez chwilę nie był w stanie się pohamować. Nic dziwnego, że nikt inny w Akademii Domaize nie chciał podpisać zamówienia z Bitry, pomyślał, trzęsąc się z tłumionego gniewu.

— No cóż — kontynuował Chalkin, jakby to było najnormalniejsze w świecie zachowanie — jak inaczej nazwać czas, w którym nie wykonujesz zleconej ci pracy?

Iantine zaczął się zastanawiać, czy pracodawca wie, jak bardzo potrzebna jest mu dokładnie taka kwota, jaką przewidziano w umowie. Nie wdawał się w Warowni w żadne rozmowy: wszyscy tu byli ponurzy i małowówni, nawet w chwilach najlepszego nastroju — czyli zwykle przy posiłkach. Miał nadzieję, że nigdy nie trafi na zły humor służby. Uparcie odmawiał, gdy kucharze albo strażnicy proponowali mu „maleńką partyjkę” i z tego względu wszyscy traktowali go z niechęcią. Skąd więc ktoś miałby wiedzieć coś o jego życiu osobistym albo o powodach, dla których przyjął pracę w Bitrze?

Tak więc, zamiast wracać do domu po wykonaniu dobrej roboty z kieszenią ciężką od

marek, Iantine spędzał „czas wolny” retuszując twarze przodków Chalkina na freskach w wielkiej sali.

— Z pewnością przyda ci się takie ćwiczenie — powiedział Chalkin z fałszywą sympatią podczas codziennej inspekcji prac. — Będiesz lepiej przygotowany, gdy przyjdzie czas na malowanie zadowolających portretów obecnego pokolenia.

Wszyscy mają świńskie twarze, podsumował Iantine, i rodowe mięsiste nosy. O dziwo jedna czy dwie prababki były całkiem przyjemne, o wiele za młode i za ładne dla mężczyzn o wąskich wargach, którym je oddano. Szkoda, że męskie geny zdominowały ród.

Naturalnie, musiał sporządzić specjalne farby do fresków, gdyż jadąc do Warowni nie miał pojęcia, że nakłonią go do tej pracy. Zorientował się również, że ilość farb olejnych gwałtownie zmalała, bo zużył zbyt wiele na kolejne, niezadowolające portrety. Miał wybór: albo posłać do Akademii Domaize po nowe farby, zapłacić za transport i długo czekać na dostawę, albo samemu znaleźć surowce i zrobić barwniki. Doszedł do wniosku, że to lepsze wyjście.

— Ile? — wykrzyknął zdumiony, gdy kuchmistrz powiedział mu, jak wiele musi zapłacić za jajka i olej, potrzebne do rozmieszania pigmentów.

— Ano tyle, a jeszcze dodatek za pożyczenie garnków, nie? — oświadczył kucharz i kichnął. Miał nieustający katar, który nieraz spływał mu na górną wargę... jednak nie skapywał do przygotowywanych właśnie dań, Iantine przekonywał sam siebie z wielką stanowczością.

— Muszę od ciebie pożyczać miski i garnki? — młody malarz był zdumiony, jak bardzo zaraźliwa była chciwość Chalkina.

— Ano, jak ja w nich nie robię, tylko ty, to należy się za najem, nie? — tu kichnął tak gwałtownie, że w zatokach nie pozostało mu chyba wreszcie ani trochę wydzieliny. — Jak się czegoś potrzebuje, to się zabiera ze sobą, nie? Lord zobaczy, że masz u siebie statki z kuchni i za to policzy. Ale nie mnie! — i znów kichnął, podkreślając swe słowa wzruszeniem ramienia w brudnobiałym kitlu.

— Przybyłem tu z odpowiednim zapasem narzędzi i materiałów do pracy, do której mnie wynajęto — odpowiedział Iantine, pohamowując gorące pragnienie, by wcisnąć twarz tego człowieka w cienką zupkę, którą mieszał chochlą.

— No i co?

Malarz wyszedł, sztywny z wściekłości. Próbował się pocieszać, że właśnie przechodzi najsurowszą z możliwych lekcję postępowania z klientami.

Poszukiwanie surowców na pigmenty było równie trudne, gdyż na bitrańskich

wzgórzach zadomowiła się już ostra zima. Znalazł solidny kawał kamienia, zaokrąglony na jednym końcu, doskonały na tłuczek, a potem skałę z zagłębieniem, która posłużyła jako moździerz. Jedno z górskich zboczy było całe porośnięte krzewami sabsab, z których korzeni wyrabiano żółty barwnik; w okolicy było dość kobaltu na błękity, a liście łapiej jagody po ugotowaniu dawały cudownie czystą czerwień, bez śladu fioletu lub pomarańczy. Szczęśliwie trafił również na błota zawierające ochrę. Zamiast „wypożyczać” garnki, użył poszczerbionych naczyń, które wygrzebał ze śmietnika. Musiał kupić olej podrzędnej jakości za cenę pierwszorzędnego surowca; w dodatku był pewien, że zapłacona za to marka nigdy nie powędruje do kieszeni Lorda Chalkina.

Znalazł dość kubków i spodków — naczynia w Bitrze były marnej jakości — by wystarczyło na wszystkie potrzebne kolory. Jeszcze nie skończył pracy, gdy Chaldon wydobrzał na tyle, by pozować po raz kolejny.

Chłopiec schudł z powodu gorączki, która pojawiła się jednocześnie z wysypką, a nadto bardzo osłabł i stał spokojnie, póki Iantine opowiadał mu różne zabawne historie. Malarz, wyzywając się w duchu od najgorszych pochlebców, nadał dziecku podobieństwo do najprzystojniejszego z przodków na odnowionym fresku. Mały był z tego ogromnie zadowolony i pobiegł po matkę, wykrzykując, że wygląda zupełnie jak pradziadzio, tak jak to mamusia zawsze powtarza.

Ta sama sztuczka nie najlepiej udała się w przypadku Lucchi, która wyzdrowiała następną. Cera dziewczynki zżółkła, włosy się przerzedziły i zanadto wychudła, co bynajmniej nie poprawiło jej przeciętnej urody. Postanowił upodobnić ją do praprababki, ale nie miała odpowiedniego kształtu twarzy, i sam musiał przyznać, że rezultat jest niezadowolający.

— To przez tę chorobę — mruknął, gdy Chalkin do spółki z Nadoną recytowali długą listę różnic między portretem a modelką.

Lepiej mu poszło z Lonadą i Briskinem który, o kilka kilo lżejszy, przypominał brata pradziadka — mężczyznę o wychudłej twarzy, wydatnej dolnej wardze i ogromnych uszach. Przewidując zmniejszył je na swoim malowidle, zastanawiając się, jakiej sztuczki użył kolega artysta z dawnych czasów, by model pogodził się z takimi niepoehlebnymi przydatkami na swym portrecie.

Gdy skończył tę dwójkę, poprawił Lucchę: trochę przybrała na wadze i miała nieco lepszą cerę. Nie bardzo, ale wystarczająco. Odrobinę szerzej rozstawił oczy w malowanej twarzy, co niesłychanie dodało jej urody. Szkoda, że modelce nic już nie mogło pomóc. Przypomniawszy sobie, jak mówiono, że Ojcowie Założyciele potrafili zmieniać kształt nosów i

odstających uszu...

W końcu, z wielką niechęcią, zaproponowawszy tyle drobnych poprawek do czterech portrecików, bynajmniej nie miniaturowych na tym etapie, doprowadzając artystę do stanu, w którym był bliski połamania czegoś — najchętniej karku swym gospodarzom — Lord i Lady Bitry uznali, że obrazy są zadowalające. Ostatnia krytyczna sesja potrwiała aż do późnej nocy, ciemnej i burzliwej; wycie wiatru słyszało się nawet przez trzymetrowe skalne ściany.

Tak więc, znużony, lecz wielce odprężony zszedł do swej komnatki na dolnym piętrze i dopiero tam poczuł przenikliwe zimno. W wielkiej sali, gdzie ogień huczał w czterech kominkach, panowała znośna temperatura, lecz na dole nie było ogrzewania. Zimno przenikało do kości, więc jedynie rozluźnił pas, zdjął buty i wpełznął na twarde siennik, zwany tu materacem, który wyglądał i woniał jak coś wydobytego ze statku po Pierwszej Przeprawie. Zwinął się w kłębek pod futrami, bardziej niż zwykle wdzięczny losowi, że zabrał jeź sobą i zasnął.

Obudził go lodowaty podmuch. Twarz zeszywniała mu z zimna i mimo ciepłych futer, zaboląły go mięśnie, gdy próbował się przeciągnąć. Nabawił się skurczu szyi — ciekawe, czy w nocy w ogóle się poruszył. Było tak zimno, że zapewne instynktownie szukał ciepła. Ale teraz musiał pójść do toalety.

Wcisnął stopy w skórzane buty, sztywne od mrozu, otulił się ciasno futrami i ruszył korytarzem przed siebie. Z ust unosił mu się pióropusz pary, mróz kąsał w policzki i nos. Skończył jak najprędzej i pobiegł do siebie, by założyć najgrubszy wełniany sweter. Zastanowił się, czy nie narzucić nań jeszcze futer, dla lepszej ochrony przed zimnem, ruszył w górę po schodach, wśród ścian, ociekających wilgocią. Zatrzymał się przy pierwszym oknie na piętrze: było kompletnie zasypane śniegiem. Wszedł na wyższą kondygnację i otworzył drzwi do kuchni, w której powinno być nieco cieplej.

Czy w nocy wygasły wszystkie kominki w Warowni? Czy chłopcy, odpowiedzialni za palenie ognia, poprzymarzali w nocy do swych wąskich prycz? Gdy odwrócił głowę, by spojrzeć w ich stronę, prześliznął się wzrokiem po kolejnym oknie: zasypane na wysokość dłoni. Podeszedł i wyjrzał na dziedziniec: zobaczył nieskalanie białą, śnieżną płaszczyznę. Tam, gdzie dziedziniec łączył się z drogą, powinno być zagłębienie, ale śnieg pokrył je równą warstwą. Na dworze nie było nikogo. Nie dostrzegł też żadnych śladów na dziedzińcu, które oznaczałyby, że ktoś z sąsiednich gospodarstw próbował dostać się do Warowni.

— Jeszcze tego mi brakowało — powiedział, kompletnie załamany tym widokiem. — Przecież mogę tu utkwic na całe tygodnie!

I płacić za utrzymanie i kwaterę. Gdyby te dzieciaki nie zachorowały na odrę... gdyby



nie pośpieszył się tak z freskami... Jak on to przetrwa? Czy z umówionej zapłaty — zdawało by się, tak szczodrej — zostanie choć parę groszy w dniu, kiedy opuści już tę nieszczęsną Warownię?

Tego samego ranka, gdy na pół zamarznięci ludzie poczęli likwidować szkody wyrządzone przez śnieżycę, zawarł kolejny układ z Władcami Warowni; tym razem wyrażał swoje propozycje niezwykle szczegółowo. Otóż podjął się namalować dwa portrety, jeden przedstawiający całą postać Lorda Chalkina, drugi — Lady Nadony, oboje w świątecznych szatach. Obrazy miały być malowane na deskach z nieboszczotki o powierzchni metra kwadratowego, dostarczonych przez Chalkina, podobnie jak wszystkie materiały i sprzęt do wyrobu potrzebnych pigmentów. Zastrzegł też sobie wyżywienie i mieszkanie w komnacie na piętrze, z ogniem na; kominku rozpalanym rano i wieczorem.

Bez trudu skończył portret Lady Nadony — chętnie siadywała bez ruchu, gdyż dawało jej to znakomitą wymówkę, by oddawać się ulubionemu nieróbstwu. Wprawdzie w połowie pracy postanowiła zmienić suknie, gdyż doszła do wniosku, że błękit bardziej pasuje do jej cery niż czerwień. Miała rację, ale jakoś jej to wyperswadował i delikatnie zmienił czerwona z natury twarz na łagodny rumieniec, a do tego przyciemnił barwę białych oczu tak, że dominowały w całej twarzy. Tyle nasłuchał się już o podobieństwach między Panią Warowni a Luczą, że nie omieszkał odmłodzić nieco matki.

Gdy chciała zmienić kołnierzyk u sukni, domalował go na wzór fali koronek, którą widział na jednym ze starych portretów. Doskonale ukrywała obwisły podbródek, który zresztą już wcześniej zlikwidował, a do tego nadawała twarzy łagodniejszy wyraz.

Z Chalkinem nie miał tyle szczęścia. Psychika tego człowieka nie pozwalała mu usiedzieć spokojnie ani przez chwilę — bez przerwy postukiwał palcami, zakładał nogę na nogę, podrygując nerwowo, podrzucał ramionami, krzywił twarz i w ogóle nie był w stanie przyjąć nieruchomej pozy.

Iantine niemal dostawał obłędu, pragnąc wreszcie z tym skończyć i opuścić to straszne miejsce przed następną śnieżycą. Zastanawiał się, czy wszystkie opóźnienia powodowane przez Chalkina i rzadkie momenty, kiedy łaskawie zgadzał się na pozowanie, nie są przypadkiem kolejną sztuczką obliczoną na to, by opóźnić jego odjazd i odliczyć sobie część należnej zapłaty. Chalkin nieraz zapraszał go do kasyna, zajmującego najcieplejsze i najelegantsze pomieszczenia w Warowni. Iantine zawsze potrafił znaleźć jakąś wymówkę.

— Proszę się nie ruszać, Lordzie Chalkinie, pracuję nad pańskimi oczami i nie uda mi się, jeśli będzie pan nimi w ten sposób poruszał — powiedział, ostrzej niż kiedykolwiek przedtem.

— Przepraszam — odparł Chalkin i gniewnie podrzucił ramionami.

— Lordzie Chalkinie, proszę wreszcie usiąść spokojnie na pięć minut, chyba że chce pan mieć zeza na tym portrecie. Bardzo proszę!

Zdenerwowanie Iantine'a chyba wreszcie dotarło do świadomości Lorda, bo nie tylko się uspokoił, lecz także zaczął świdrować go wściekłym wzrokiem. I to znacznie dłużej, niż przez pięć minut.

Iantine, najszybciej jak mógł, skończył precyzyjną pracę przy oczach modelu. Poszerzył je trochę i zlikwidował spuchnięte worki pod nimi. Wyszczuplił prosiakowatą twarz o obwisłych policzkach i ujął nieco mięsistego nosa, nadając mu z lekka rzymski kształt. Poszerzył za to i podwyższył ramiona, czyniąc je bardziej atletycznymi, a także przyciemnił włosy. Pracowicie oddał też ogień, rzucanie przez kamienie w licznych pierścieniach. Właściwie, te ostatnie zdominowały obraz, co zdaniem artysty powinno spodobać się Chalkinowi, który, jak się zdaje, miał więcej pierścieni niż było dni w roku.

— Proszę! — powiedział, odłożył pędzel i cofnął się by objąć wzrokiem obraz, ucieszony, że wykonał pracę najlepiej jak było można, biorąc pod uwagę konieczność „zadowolenia” klientów i jak najszybszego opuszczenia tego straszego miejsca.

— Najwyższy czas — odparł Chalkin, zsunął się z krzesła i podszedł do malarza.

Iantine obserwował jego twarz, na której zadowolenie na moment zastąpiło zwykły, ponury grymas. Chalkin przyjrzał się bliżej, jakby szukając śladów po pociągnięciach pędzlem. Iantine, jako kompetentny artysta, od dawna ich nie zostawiał na swych pracach.

— Uwaga na farbę. Jeszcze nie wyschła — ostrzegł szybko malarz i wyciągnął rękę, żeby Chalkin nie dotknął obrazu.

— Phi — odpowiedział pan Warowni i wzruszył ramionami, by poprawić grubą kamizelę. Udawał obojętność, ale sposób, w jaki spoglądał na własną twarz, powiedział Iantine'owi, że w końcu udało mu się zadowolić tego człowieka.

— I jak? Zadowolający? — spytał, nie wytrzymując napięcia.

— Niezły, wcale niezły, ale... — Chalkin znów wyciągnął paluch.

— Proszę nie rozmazywać farby, Lordzie Chalkinie. — Iantine obawiał się, że będzie musiał odbyć kolejną sesję, by naprawić ewentualne szkody.

— Jesteś grubiański, malarzu.

— Noszę oficjalny tytuł Artysty, Lordzie Chalkinie i proszę mi powiedzieć, czy ten portret jest zadowolający, czy nie!

Chalkin rzucił mu szybkie, nerwowe spojrzenie. W twarzy zadrgał mu jakiś mięsień. Nawet Lord Bitry wyczuwał, gdy zdarzyło mu się posunąć wobec kogoś za daleko.

— Nie jest zły...

— Czy jest zadowolający, Lordzie Chalkinie? — Iantine włożył w to pytanie cały gromadzony tygodniami niepokój i zdenerwowanie.

Chalkin podniósł rękę, wykrzywił się, nie mogąc podjąć decyzji, po czym pośpiesznie ułożył twarz w grymasie przydającym jej nieco godności, prawie tak jak na portrecie.

— Tak, sądzę, że jest zadowolający.

— W takim razie — Iantine ujął go za łokieć i poprowadził do drzwi — ruszajmy do biura i podpiszmy umowę.

— Zaraz, trzeba jeszcze...

— Jeśli jest zadowolający, wypełniłem warunki umowy i możecie się teraz rozliczyć ze mną za miniatury, panie — oświadczył Iantine i dalej prowadził go zimnym korytarzem do biura. Niecierpliwie tupał, czekając, aż Chalkin wyjmie klucze z kieszeni i otworzy drzwi.

Na kominku buchał taki ogień, że Iantine natychmiast się spocił. Na władczy gest Chalkina odwrócił się, by nie patrzeć, jak pan Warowni majstruje przy sejfie. W końcu, z nieskończoną ulgą, usłyszał zgrzyt klucza w metalowym zamku i zapanowała cisza. Trzasnęło zamykane wieko.

— Proszę bardzo — powiedział zimno Chalkin.

Iantine przeliczył marki. Szesnaście. Wszystkie farmerskie, ale nie miał nic przeciwko temu, gdyż takie przyjmowano w Bendenie.

— Umowy?

Chalkin zmierzył go gniewnym spojrzeniem, lecz otworzył szufladę, wyciągnął papiery i niemal rzucił je na biurko przed artystą. Iantine podpisał się i oddał je Chalkinowi.

— Proszę, moje jest dobre — powiedział, gdy Lord udawał, że nie może znaleźć dobrze piszącego pióra wśród nieporządnie porzrzuconych przedmiotów na biurku.

Chalkin nabazgrał swoje imię.

— Jeszcze data — dodał Iantine, by uniknąć późniejszych zażaleń.

— Za dużo sobie pozwalasz, malarzu.

— Artysto, Lordzie Chalkinie — odparł z uśmiechem pozbawionym wesołości i odwrócił się. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę i ostrzegł: — Proszę nie dotykać farby jeszcze przez czterdzieści osiem godzin. Nie wróćę, jeśli ktoś ją rozmaże. Gdy opuszczaliśmy salę, obraz był zadowolający. I lepiej, żeby taki pozostał.

Iantine wrócił do sali, by zabrać pędzle, które jeszcze nadawały się do użycia, ale zostawił wszystkie farby własnej roboty. Poprzedniej nocy w przypiływie nadziei spakował pozostałe rzeczy. Teraz, skacząc po dwa, a czasem trzy stopnie, wbiegł na schody, starannie

owinał pędzle, wetknął podpisane i opatrzone datą umowy do worka, wskoczył w kurtkę, zwinął futra, złapał oba worki w dłoń i był już znowu na połowie schodów, gdy spotkał wchodzącego Chalkina.

— Nie możesz teraz wyjechać — zaprotestował Lord, chwytając go za ramię. — Musisz poczekać, aż żona zobaczy mój portret i potwierdzi, że jej się spodobał.

— Ależ skądże, wcale nie muszę — Iantine odepchnął rękę swego gospodarza.

Zanim Chalkin zdążył coś jeszcze dodać, malarz był już za drzwiami i pobiegł przed siebie drogą wśród zasp. Uznał, że nawet jeśli nocą chwyci go śnieżycy na drodze, i tak będzie bezpieczniejszy, niż gdyby został choćby jeszcze godzinę w Warowni Bitra.

Miał szczęście, gdyż następną śnieżną burzę przeczekał w chatce drwala, odległej o kilka klików od Warowni.

## ROZDZIAŁ VI

### WEYR TELGAR, WAROWNIA FORT

— Zgadnijcie, co znalazłem? — zawołał P'tero, gestem zapraszając gościa do kuchennej jaskini. — Tisho, on jest na pół zamarznięty i umiera z głodu — dodał młody zielony jeździec, zaciągnął wysoką, zawiniętą w futra postać do najbliższego paleniska i posadził ją w fotelu. Na stole ułożył jakieś paczki. — Dajcie mu prędko kłahu, na miłość małych smoczków, bardzo was proszę...

Podbiegły do nich dwie kobiety, jedna z klahem, a druga z pośpiesznie napełnioną miską zupy. Z drugiego końca jaskini nadeszła wielkimi krokami Tisha, dopytując się, o co chodzi, kogo uratował P'tero i gdzie to było.

— W ogóle nie powinno się wychodzić na dwór w taką pogodę — powiedziała i wzięła zamarzniętego człowieka za przegub dłoni, by wyczuć puls.

— Prawie zamarzył na śmierć.

Odwinęła jego twarz z futer i dopiero wtedy podała mu kubek. Objął go zaczerwienionymi dłońmi, podmuchał i w końcu ostrożnie pociągnął łyk. Nie był w stanie opanować dreszczy.

— Wypatrzyłem sygnał SOS na śniegu. Miał szczęście, że cienie kładły się od słońca, bo inaczej nie dostrzegłbym znaków — opowiadał P'tero, wielce zadowolony z siebie. — Znalazłem go niedaleko od Warowni Bitra...

— Nieszczęsny człowiek — przerwała mu Tisha.

— Och, masz zupełną rację — skomentował P'tero z ironicznym zapalem. — On nie

zamierza tam wracać. Opowiedział mi wszystko — młody jeździec padł na krzesło, a ktoś podał mu kubek klahu. — Wyrwał się z pazurów Chalkina, nietknięty — dodał, uśmiechając się złośliwie — a potem przetrwał trzy noce w gospodarstwie jakiegoś drwala... mając do jedzenia jedynie kubek owsianki...

Słuchając opowiadania, Tisha poleciła przynieść butle z gorącą wodą, ogrzane koce, a gdy dobrze przyjrzała się rękonom mężczyzny, także mrocznik i balsam przeciw odmrożeniom.

— Chyba tylko solidnie zmarzły — powiedziała, ujęła jedną z jego dłoni, które gorączkowo zaciskały się na kubku z klahem i rozcapierzyła palce, szczypiąc czubki. — Nie, nic złego się nie stało.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odpowiedział mężczyzna, z powrotem ujmując kubek. — Strasznie zmarzłem, wydeptując ten napis...

— Kto wychodzi na taki mróz bez rękawiczek! — skarciła go gospodyni.

— Kiedy wyruszyłem do Bitry z Akademii Domaize, była jesień — wychrypiął.

— Jesień? — powtórzyła jak echo, wytrzeszczając ze zdumienia piękne oczy. — To ile czasu spędziłeś w Warowni Bitra?

— Siedem koszmarnych tygodni — odpowiedział, wyrzucając z siebie słowa z wielkim niesmakiem. — Myślałem, że zajmie mi to najwyżej siedmiodzień...

Tisha zaśmiała się, aż jej brzuch skakał pod szerokim fartuchem.

— Przede wszystkim, cóż u licha spowodowało cię do Bitry? Jesteś artystą, prawda?

— Skąd wiesz? — w jego spojrzeniu malowało się zaskoczenie.

— Masz farbę za paznokciami...

Iantine przyjrzał się im i zaczerwienioną od mrozu twarz pokrył ciemniejszy rumieniec.

— Nawet się nie zatrzymałem, by umyć ręce — odparł.

— I bardzo dobrze zrobiłeś, biorąc pod uwagę ceny, jakich Chalkin sobie życzy za takie luksusy jak mydło — zaśmiała się cicho.

Jakaś kobieta przyniosła rzeczy, o które Tisha przed chwilą prosiła. Nawet, gdy kobiety się nim zajmowały, zaciskał to jedną dłoń, to drugą na kubku z klahem, a później na misce z zupą. Futra, które uchroniły go przed zamarznięciem na śmierć, zabrano do wysuszenia przed kominkiem; zdjęto mu buty i sprawdzono, czy nie odmroził palców u nóg. Szczęśliwie nic się im nie stało, więc na wszelki wypadek kobiety nasmarowały je balsamem i owinęły w ciepłe ręczniki; resztę ciała otulono rozgrzanymi kocami. W ręce i twarz także wmasowano balsam i dopiero wtedy mógł dokończyć gorący posiłek.

— A teraz podaj nam swoje imię i powiedz, komu przekazać wiadomość, że cię

odnaleźliśmy? — spytała Tisha, gdy zadbała już o jego zdrowie.

— Jestem Iantine, portrecista z Akademii Domaize — odpowiedział dumnie, ale i z lekką kpina. — Zlecono mi namalowanie miniatur dzieci Chalkina...

— I to był twój pierwszy błąd — zaśmiała się Tisha. Zaczerwienił się.

— Masz wiele racji, ale potrzebowałem pieniędzy.

— I co, dostałeś choć część? — oczy P'tera błysnęły złośliwie.

— Ach, co do grosza — odparł z taką mocą, że wszyscy wokół się uśmiechnęli. — Ale musiałem się rozstać z jedną ósmą marki w chacie drwala — westchnął. — Podzielił się ze mną wszystkim, choć sam miał mało.

— Skorzystał na tym, to pewne...

Iantine przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Miałem szczęście, że udało mi się przeczekać tę burzę u niego. I naprawdę się ze mną podzielił... — szybko wrzucił ramionami i na moment na jego twarzy odmalował się smutek. — Poza tym, to on wymyślił ten znak na śniegu, dla smoczycy jeźdźców. Dobrze, że jeden z nich go zauważył — skłonił głowę w stronę P'tera.

— Nie ma sprawy — odpowiedział tamten beztrząs. — Cieszę się, że cię spotkałem. — Pochylił się przez stół do Tishy. — Jeszcze jeden dzień, a zamarzęby na śmierć.

— Ile czasu czekałeś?

— Dwa dni od kiedy minęła śnieżycyca, ale na noc chodziłem do starego Fendlera. Jak człowiek jest głodny, nawet wąż tunelowy mu smakuje — dodał zastanawiając się, kiedy to ostatni raz jadł porządny posiłek.

— Ach, biedny chłopiec — wrzuciła się Tisha i poleciła przynieść mu podwójną porcję gulaszu, chleba, dżemu i kilka owoców przysłanych z Isty.

Pod koniec posiłku Iantine poczuł, że chyba nadrobił zaniedbania z ostatnich czterech dni. Ręce i stopy szczypały, mimo mrocznika i balsamu. Kiedy wstał, by pójść do toalety, zachwiał się tak, że musiał przytrzymać się krzesła.

— Uważaj, chłopcze, pusty żołądek to była zaledwie połowa twoich kłopotów — ostrzegła Tisha i skoczyła mu na pomoc znacznie żwawiej, niż można było się spodziewać po kobiecie o tak potężnych kształtach. Poleciła gestem P'terowi, by podparł malarza z drugiej strony.

— Ale ja muszę... — zaczął Iantine.

— W porządku, jest po drodze do sypialni — odparła i zarzuciła sobie jego rękę na ramię. Byli tego samego wzrostu.

P'tero wziął bagaże i razem pomogli mu dojść do łazienki, a później do łóżka w pustej

komnatce. Tisha ponownie obejrzała mu stopy, nasmarowała je po raz drugi mrocznikiem i wyszła na paluszkach. Iantine upewnił się tylko, że jego worki — i ciężko zarobiona zapłata — są przy łóżku i zapadł w głęboki sen.

Gdy spał, wysłano wiadomości do Akademii Domaize, oraz Weyru i Warowni Benden, gdyż Iantine oficjalnie podlegał Bendenowi. Choć malarzowi nic się nie stało, M'shall uznał jego przypadek za kolejną nieuczciwość Chalkina. Irena jakiś czas temu sporządziła listę wykroczeń Bitrańczyka, które głównie uderzały w tych, którzy nie potrafili stawić oporu jego żądaniom. W jego Warowni nie było sądu, rozstrzygającego spory ani też uczciwych arbitrow, wydających decyzje.

Poważni kupcy, na których bezstronnych raportach zawsze można było polegać, omijali Bitrę i przytaczali liczne przypadki nieuczciwego postępowania, które nagromadziły się przez piętnaście lat, od czasu gdy Chalkin objął Warownię. Nieliczni drobni kupcy, którzy odważyli się tam pojechać, rzadko odwiedzali to miejsce po raz drugi.

Po pamiętnym Zgromadzeniu, na którym podjęto decyzję o zdjęciu Chalkina ze stanowiska, M'shall polecił jeźdźcom — zwiadowcom odwiedzić wszystkie pomniejsze gospodarstwa w Bitrze i dowiedzieć się, czy Chalkin, zgodnie ze swymi obowiązkami, powiadomił ludzi o zbliżaniu się Nici. Żaden z gospodarzy nic nie wiedział, choć wszyscy musieli płacić Warowni podwyższoną daninę. Sądząc ze sposobu pobierania dodatkowych dóbr, Chalkin gromadził zapasy wyłącznie dla siebie, nie dla całej społeczności. Samotne gospodarstwa niewątpliwie odczują brak nawet podstawowej żywności. Stanowiło to jawne nadużycie stanowiska Władcy Warowni.

Paulin przeczytał raport M'shalla i spytał, czy gospodarze Chalkina zaświadczą przeciw niemu. Jeździec odparł, że wstępny rekonesans wykazał kompletny brak poczucia obywatelskiej odpowiedzialności u większości drobnych farmerów. Chalkin zastraszył ich do tego stopnia, że bali się go oskarżać — szczególnie wobec nadchodzącego Przejścia — gdyż w dalszym ciągu mógł zgodnie z prawem eksmitować buntowników.

— Może zmienią zdanie, gdy Nici zaczną opadać — skomentował to K'vin w rozmowie z Zulayą.

— Obawiam się, że wtedy będzie już za późno, by ich jakoś przygotować do obrony.

K'vin wzruszył ramionami.

— Na szczęście to nie nasz problem i naprawdę się z tego cieszę. Przynajmniej udało nam się uratować Iantine'a.

— Biedaczek. Postanowił rozpocząć w Bitrze karierę zawodową? Nie najlepiej trafił.  
— Zulaya zaśmiała się sardonicznie.

— Może na więcej nie ma szans — zastanawiał się jej partner.

— Niemożliwe, jeśli kształcił się w Akademii Domaize — odpowiedziała ostro. — Ciekawe, kiedy odzyska pełną sprawność w dłoniach?

— Chciałabyś nowy portret? — spytał, rozbawiony.

— No cóż, brakuje mu ósemki do potrzebnej kwoty...

K'vin spojrział na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma: — Chyba nie chcesz...

— Oczywiście, że nie — odparła z irytacją. — Przyda mu się też trochę grosza na własne potrzeby. Podziwiam każdego, kto wytrzymał tyle czasu w Bitrze, niezależnie od powodów. W dodatku, Iantine okazał się honorowym chłopcem, chciał zapłacić za przejazd.

— Włóż do pozowania tę czerwoną suknię, którą miałaś na sobie w dzień Wylęgu — zaproponował K'vin. Potarł podbródek. — Wiesz co, może i mnie przydałby się jakiś portret?

Rzuciła mu długie spojrzenie.

— Ciekawe, czy chłopak opuści Weyr Telgar szybciej, niż Bitrę.

— Za to w dniu odjazdu będzie miał wypchaną sakiewkę i nikt nie odliczy mu opłat za utrzymanie...

— Za mydło, gorącą wodę i porządne jedzenie — dodała. — Tisha twierdzi, że trzeba go odkarmić. Została z niego skóra i kości.

Iantine zupełnie zdezorientowany, otworzył oczy słysząc jakąś piosenkę. W Bitrze przecież nikt nie śpiewa. I było mu ciepło! Na dodatek, w powietrzu unosił się zapach dobrego jedzenia. Usiadł. Skóra na rękach, stopach i twarzy zeszywniała, ale przestała boleśnie pulsować. Poczul dojmujący głód.

Zaszeleściła kotara po drugiej stronie pokoiku i wyjrzała zza niej chłopięca główka.

— Obudziłeś się już, panie Artysto Iantine? — spytało dziecko.

— Ano, obudziłem się — odpowiedział i rozejrzał się za odzieżą. Ktoś go rozebrał i zabrał gdzieś ubranie.

— Mam ci pomóc panie, jeśli będziesz czegoś potrzebował — chłopiec wysunął się zza kotary. — Tisha przygotowała ci czyste rzeczy — dodał i zmarszczył nos. — Powiedziała, że twoje już dość dawno dojrzało.

Iantine zaśmiał się.

— Z pewnością miała rację. Mydło do prania skończyło mi się trzy tygodnie temu.

— Byłeś, panie w Bitrze. Tam trzeba za wszystko płacić — chłopiec uniósł ręce w geście niesmaku. — Jestem Leopold — przedstawił się, a potem wyjął miękkie kapcie spod stosiku ubrań na stołku. — Tisha powiedziała, żebyś włożył je zamiast butów. Ale najpierw



masz posmarować się balsamem... — podał mu słoik. — Obiad już na stole... — oblizwał się.

— A ty musisz poczekać z jedzeniem, aż się ubiorę, co? Leopold kiwnął poważnie głową, ale zaraz się uśmiechnął.

— To nic. Dostanę więcej, bo czekałem.

— Czy w tym Weyrze skąpi się jedzenia? — zażartował Iantine, przebierając się w czystą odzież. Dziwne, że coś tak zwyczajnego jak świeżo wyprane ubranie, zaczyna wydawać się szczytem luksusu, kiedy przez jakiś czas go brak.

Leopold pomógł mu posmarować balsamem stopy, wciąż wrażliwe na dotyk. Po wmasowaniu maści zaczęły go natychmiast swędzieć. Szczęśliwie mrocznik, czy inny składnik lekarstwa, szybko zlikwidował nieprzyjemne uczucie.

Po powrocie z łazienki, gdzie rażno parszając umył twarz i ręce, poszedł za Leopoldem do niższej jaskini, w której podawano wieczorny posiłek.

Usiedli przy bocznym stoliku obok kominka, nakrytym dla dwóch osób i natychmiast pojawili się kucharze z półmiskami pełnymi mięsa, winem dla Iantine'a i klahem dla Leopolda.

— Bardzo proszę jeść, panie Artysto — kucharz z zadowoleniem obserwował, jak Iantine z zapalem zabiera się za pieczeń. — Później Przywódcy Weyru chcieliby z tobą porozmawiać, jeśli nie będziesz zbyt zmęczony.

Mruknął coś na znak, że dziękuje i rozumie i bez reszty poświęcił się jedzeniu. Chętnie wzięłyby kilka dokładek, ale po długim niedojadaniu żołądek sprzeciwiał się nadmiarowi dobrego mięsiwa. Leopold przyniósł mu dużą porcję deseru, ale i tego nie mógł przełknąć, bo gardło go piekło i drapało. Najchętniej wróciłby do łóżka, ale w tym momencie podeszli do niego Przywódcy Weyru. Leopold oddalił się dyskretnie, uśmiechem dodając mu pewności. Iantine spróbował wstać, by dwornie powitać swych gospodarzy, ale zachwiał się na pozbawionych czucia stopach i z impetem siadł na krzesło.

— Nie przejmujemy się tu ceremoniałem — uspokoiła go Zulaya i gestem poleciła mu siedzieć dalej. K'vin podał jej krzesło, a potem napelnił wszystkim kubki winem z bukłaka, który przyniósł ze sobą. Iantine z grzeczności upił łyk i choć wino było smaczne i ożywcze, nawet ta odrobina sprawiła, że poczuł kwas w żołądku.

— Wysłaliśmy wiadomości o uratowaniu ciebie i dostaliśmy potwierdzenia odbioru — powiedział K'vin z uśmiechem. — Mistrz Domaize już się zaczynał martwić, więc dzięki nam oszczędzi kurierowi wycieczki do Bitry.

— Bardzo dziękuję, Zulayo i K'vinie — odpowiedział, wielce zadowolony, że w Akademii nauczono go między innymi nazwisk ważnych osobistości ze wszystkich Warowni, Weyrów i Cechów. — P'tero w sam czas przybył mi na ratunek.

— Będzie się tym chełpił do wiosny — odpowiedziała Zulaya z uśmiechem. — Ale to dowodzi, jak bardzo potrzebne są powietrzne patrole, nawet w czasie Przerwy.

— Powinnaś wiedzieć, Pani, że Lord Chalkin nie wierzy w nadejście Przejścia — wyrzucił z siebie Iantine.

— Naturalnie, że nie wierzy — odparł gładko K'vin. — Opady są mu nie na rękę. Jednak Bridgely i M'shall byliby ci wdzięczni za sprawozdanie z pobytu w Bitrze.

— To znaczy, że można coś przeciw niemu zrobić? — zdumiał się malarz. Lordowie Warowni cieszyli się pełną niezależnością w granicach swych posiadłości. Nie wiedział, że i przeciw nim można podejmować jakieś kroki.

— Sam się wrobi — Zulaya wykrzywiła usta w gorzkim grymasie.

— Ach, to byłoby cudowne — ucieszył się Iantine, ale uczciwość kazała mu dodać: — Tylko on właściwie nic złego mi nie zrobił...

— Być może Artyście z naszego Weyru brak wykszolenia — odparł K'vin — ale poinformował mnie, że malowanie czterech miniatur rzadko kiedy zajmuje siedem tygodni...

— Właściwie namalowałem dwadzieścia dwie, aż w końcu cztery im się spodobały — odchrząknął ponuro. — Haczykiem w umowie było słowo „zadowolający”.

— Ach — odparli zgodnie Zulaya z K'vinem.

— Skończyły mi się farby i płótno, bo zabrałem ze sobą tylko tyle, ile moim zdaniem było potrzeba.... — uniósł ręce i zaraz zaczął je rozcierać, bo zaswędziały. — Potem wszystkie dzieci pochorowały się na odrę, a ponieważ nie chciałem, by mi odliczono z honorariów pieniądze za mieszkanie i wyżywienie, zgodziłem się odnowić freski w Warowni... tylko że nie miałem odpowiednich farb i musiałem je zrobić...

— Czy policzył sobie opłatę za wypożyczenie narzędzi? — spytała Zulaya, ku jego zdumieniu.

— Skąd o tym wiecie? Roześmiała się tylko i machnięciem ręki poleciała, by opowiadał dalej, więc podjął wątek:

— Wygrzebałem ze śmietnika wszystkie potrzebne naczynia.

— Doskonale... — klasnęła w ręce, uradowana jego pomysłowością.

— Na szczęście, większość surowców na farby można znaleźć bez trudu. Trzeba je tylko przetworzyć. Zresztą, i tak musiałbym to zrobić. Mistrz Domaize świetnie uczy takich technik.

W końcu nakłoniłem go, by uznał miniatury, które wtedy już bynajmniej nie były miniaturowe, ale w nocy śnieżycy odcięła mi drogę do domu — Iantine zaczerwienił się. Z opowieści wyraźnie wynikało, jaki z niego głupiec.

— A potem? Jak się miały sprawy kontraktu?

— Trochę zmadrzałem. A raczej tak mi się wydawało — skrzywił się i streścił punkty umowy, jakie udało mu się wywalczyć.

— Trzymał cię w Bitrze na piętrze dla służby? — Zulaya była wstrząśnięta. — Dyplomowanego Artystę? Oczywiście, że to powód do protestu! Większość Warowni, Cechów i Weyrów ma zwyczaj świadczyć pewne uprzejmości wędrownym czeladnikom rzemiosł, a już na pewno Artystom!

— Tak więc, gdy Lord Chalkin w końcu zaakceptował swój portret, ruszyłem w drogę najprędzej, jak mogłem!

K'vin poklepał go po ramieniu, rozbawiony zapalem, z jakim malarz wygłosił ostatnie zdanie.

— Nie za bardzo to poprawiło moją sytuację — dodał prędko Iantine — aż do czasu, gdy P'tero mnie uratował. — Chrypę miał coraz większą, więc znów musiał odchrząknąć. — Chciałbym wam za to gorąco podziękować. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem mu w pełnieniu ważnych obowiązków.

— Ależ skąd — uspokoił go K'vin. — Widzisz, nie jestem pewien, po co on latał wtedy nad Bitrą, ale dobrze się złożyło.

— Jak tam ręce? — spytała Zulaya, patrząc, jak zaciera swędzące palce.

— Nie powinienem podrażniać skóry, prawda?

— Leopold, przynieś Iantine'owi mrocznika, dobrze? — powiedziała Władczyni przez ramię.

Młody czeladnik nie zauważył dyskretnej obecności chłopca, ale cieszył się, że nie musi sam iść po słoik do odległej komnatki.

— To pozostałość po przemarznięciu i tyle — powiedział, spoglądając na palce. Zauważył to samo, co Tisha: farbę za paznokciami. Podkurczył palce, zawstydzony, że siedzi za stołem w Weyrze z brudnymi rękoma. Po plecach przeszedł mu zimny dreszcz.

— Zastanawiałam się, Iantine — zaczęła Zulaya — czy nie miałbyś ochoty znowu namalować portretu, albo dwóch. Weyr płaci ustaloną cenę i nie odlicza żadnych dodatkowych opłat.

— Z radością namaluję twój portret, Władczyni, bo chyba siebie masz na myśli, prawda?

W ślad za pierwszym dreszczem wstrząsnął nim drugi. Starał się go w miarę możliwości ukryć.

— Tak, ale pod warunkiem że przyjmiesz godziwą zapłatę, młody człowieku —

odparła surowo.

— Ale...

— Żadne ale — wtrącił K'vin. — Ponieważ zbliża się Przejście, ani Zulaya, ani ja nie mieliśmy czasu by zajmować się portretami. Ale skoro już tu jesteś... i masz ochotę do pracy?

— Naturalnie, że tak, ale nie znacie moich prac, a w dodatku dopiero niedawno przyznano mi...

Zulaya ujęła jego dłonie w swoje, gdyż gestykulował szeroko, z jednej strony pełen entuzjazmu, a z drugiej — pragnąc ukryć kolejny dreszcz.

— Czeladniku Iantine, jeśli udało ci się wykonać cztery miniatury i dwa portrety dla Chalkina, a nadto odświeżyć freski w jego Warowni, twoje kwalifikacje są bardziej niż wystarczające. Nie wiedziałeś, że Macartor przez pięć miesięcy nie mógł skończyć obrazu, przedstawiającego dzień ślubu Chalkina?

— W dodatku musiał pożyczyć marki od mechanika, żeby spłacić resztę swego „długu” — dodał K'vin. — Pozwól przedstawić sobie Waine'a. Tylko nie zaczynaj pracy, póki całkowicie nie dojdiesz do siebie po tym przemarznięciu.

— Już doszedłem do siebie, naprawdę — odpowiedział Iantine i wstał, podobnie jak Przywódca Weyru. Zmusił się, by opanować kolejny atak dreszczy.

Gdy przedstawili go niewysokiemu Waine'owi, odeszli by porozmawiać z ludźmi odpoczywającymi przy innych stołach. Pod ścianą ktoś zaśpiewał przy wtórze gitary, więc wkrótce wesołe dźwięki zaczęły górować nad gwarem swobodnych rozmów. Iantine dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w Bitrze czegoś takiego w ogóle nie znano: muzyki, rozmów, wspólnego odpoczynku po pracowitym dniu.

— Słyszałem, że nadziejeś się na Chalkina? — Waine z uśmiechem pochylił głowę, a potem wyjął zza pleców plik starannie przewiązanych dużych kart papieru i garść ołówków. — Mówili mi, że wszystko zużyłeś w Bitrze.

— Och, dziękuję. — Iantine z zadowoleniem pogładził doskonały papier; zauważył też, że ołówki były różnej miękkości. — Ile to będzie kosztować?

Waine roześmiał się, ukazując przerwy między zębami.

— Za długo byłeś w Bitrze. Mam też barwniki, ale nie za dużo. Same podstawowe.

— A zatem pozwól, bym zrobił dla ciebie całą paletę — odparł z wdzięcznością Iantine, zaciskając zęby, bo zaczęły podzwaniać w kolejnym paroksyzmie.

— Doskonała wymiana — ucieszył się Waine. Wyciągnął rękę do Iantina i mało nie pogruchotał mu palców z radości. Wyczuł też atak dreszczy, tak silny, że Iantine nie zdołał go

opanować.

— Słuchaj, jesteś przeziębiony.

— Ciągłe się trzęsę, choć siedzę pod samym paleniskiem — odpowiedział Iantine, przestał napinać mięśnie i pozwolił, by dreszcz wstrząsał nim z całą siłą.

—TISHA!

Iantine poczuł się zakłopotany tym, że Waine tak głośno wzywa pomocy, ale nie opierał się, gdy otulono go z powrotem w koce i odprowadzono do łóżka, wezwano lekarza, a Tisha poleciła przynieść więcej futer, butelek z wrzącą wodą i aromatycznych olejków, które rozpuszcza się w gorącej wodzie, by ich zapach ułatwiał oddychanie. Bez oporu przyjął przepisane lekarstwa, bo zaczęła go potężnie boleć głowa. Podobnie jak kości.

Zanim zapadł w niespokojny sen, usłyszał jak Maranis, lekarz z Weyru, powiedział do Tishy:

— Miejmy nadzieję, że sami w Bitrze też to złapią, za karę, że go zarazili.

Później Leopold opowiadał Iantine'owi, że Tisha czuwała przy jego łóżku przez trzy noce, gdy trawiła go górską gorączka, którą zaraził się w Warowni. Chorobę pogorszyły jeszcze trzy dni, spędzone w górach na mrozie. Maranis był zdania, że to stary drwal jest nosicielem choroby; sam się na nią uodpornił, lecz zarażał innych.

Kiedy gorączka opadła, malarz zobaczył przy łóżku swoją matkę. Oczy miała czerwone od łez, a widząc, że syn oprzytomniał, ponownie wybuchnęła płaczem. Dowiedział się od Leopolda, że to Tisha po nią posłała, gdy gorączka nie chciała minąć.

Ku jego zdumieniu, nie przyjęła pieniędzy na opłaty za prawa do ziemi z taką radością, z jaką je oddawał.

— Twoje życie nie jest tego warte — powiedziała mu na koniec, gdy zaczął się martwić, że powodem jej niezadowolenia jest brak jednej ósmej marki, którą zapłacił drwalowi. — Przez tę ósemkę o mało cię nie zabił.

— Twój syn to dobry chłopak — wtrąciła się zirytowana Tisha — i ciężko pracował, żeby zarobić te pieniądze u Chalkina.

— To prawda — matka przytaknęła pośpiesznie, zorientowawszy się, że wcale nie okazała wdzięczności. — Choć nie pojmuję, dlaczego starałeś się zadowolić tego starego dusigrosza.

— Bo dobrze płacił — odparł cicho Iantine.

— Nie przejmuj się tak bardzo, Ian — powiedziała Tisha, gdy matka musiała już wracać do domu. — Po prostu, bardziej jej zależy na tobie, niż na tych markach. Wiesz,

zmarzwieni ludzie potrafią wygadywać dziwne rzeczy — wytłumaczyła i poklepała młodego człowieka po ramieniu. — Chciała cię zabrać do domu i tam kurować — uspokajała go dalej. — Nie mogliśmy jednak wystawić twoich płuc na zimno pomiędzy. Wcale się jej nie spodobało, że sami będziemy się tobą zajmować! — uśmiechnęła się. — Widzisz, matki nigdy nie ufają obcym.

Udało mu się odpowiedzieć jej uśmiechem.

— Zdaje się, że masz rację.

W końcu Leopold przywrócił mu spokój umysłu.

— Masz bardzo miłą matkę, panie — powiedział, przycupnąwszy na brzegu łóżka. — Od zmysłów odchodziła, że cię tu zostawia samego, póki P'tero nie obiecał, że przywiezie ją natychmiast, w razie gdyby ci się pogorszyło. Nigdy przedtem nie jeździła na smoku.

Iantine zachichotał.

— Nie, nie sędzę. Pewnie strasznie się bała.

— Bardziej niepokoiła ją twoja choroba, tak ciężka, że aż po nią posłano. Ale mówiła P'terowi, że ojciec ogromnie się uraduje z tych pieniędzy, które zarobiłeś. Naprawdę się ucieszysz. P'tero mało nie ogłuchł, kiedy wykrzykiwała mu w samo ucho o tym, że zawsze w ciebie wierzyła i że dobrze się spisałeś, wyduszając z Chalkina całe honorarium.

— Naprawdę tak było? — aż usiadł z wrażenia. Matka się nim chwaliła?

— Pewnie, że tak — Leopold energicznie pokiwał głową na potwierdzenie.

Chłopiec wiedział niemal o wszystkim, co się działo w Weyrze. Nigdy też nie skarżył się, że musi biegać na posyłki przez cały czas powolnej rekonwalescencji Iantine'a.

Mistrz Domaize także odwiedził swojego ucznia. I to właśnie Leopold wyjaśnił choremu powód tej wizyty.

— Ten Lord Chalkin wysłał skargę do Mistrza Domaize, że uciekłeś z jego Warowni nie okazując mu należnego szacunku i on teraz poważnie rozważa, czy by się nie ubiegać o zwrot części zapłaty, bo widać, że jesteś nowy w Cechu, a opłata była przeznaczona dla doświadczonego mistrza, a nie żółtodzioba. — Leopold zaśmiał się, widząc gniewną reakcję Iantine'a. — Ach, nie martw się proszę. Twój Mistrz, zna życie. Sam M'shall zawiózł go do Bitry i obaj powiedzieli, że nie mają najmniejszych zastrzeżeń co do twojej pracy dla Lorda Chalkina — tu Leopold przechylił głowę i obrzucił go taksującym spojrzeniem. — Zdaje się, że bardzo dużo różnych osób chce ci pozować, panie. Wiedziałeś o tym?

Iantine potrząsnął głową, próbując się pogodzić z niesprawiedliwymi zarzutami Chalkina. Furia odebrała mu mowę. Leopold uśmiechnął się.

— Nie przejmujcie się, panie Iantine. To Chalkin powinien się martwić, że cię tak

potraktował. Wasz Mistrz i Przywódca Bendenu też mu to powiedzieli. Masz kwalifikacje i należą ci się wszystkie wygody, których nie dostałeś w Warowni Bitra. Dobrze, że pochorowałeś się dopiero wtedy, gdy K'vin i Zulaya usłyszeli już twoją wersję opowieści. Chociaż Chalkinowi i tak pewnie nikt by nie uwierzył, żeby nie wiem co. Wiesz, że nawet whery nie zakładają gniazd w Bitrze?

Rekonwalescencja Iantine'a po zapaleniu płuc potrwała jakiś czas, więc malarza denerwowała własna słabość.

— Ciągłe zasypiam — skarżył się Tishy pewnego dnia rano, gdy przyszła z lekarstwami. — Jak długo mam to jeszcze brać?

— Póki Maranis nie uzna, że masz czyste płuca — odpowiedziała karcąco. Potem wręczyła mu papier do szkicowania i ołówki, które dostał od Waine'a pierwszego wieczoru w Weyrze. — Zaczynaj ćwiczyć sprawność palców. Na szczęście w twoim wypadku możesz zajmować się ulubionym zajęciem na siedząco.

Dobrze było poczuć znów w palcach papier i ołówek. Dobrze było rozglądać się po Niższej Jaskini i szkicować, szczególnie, gdy model nie był tego świadomy. Jego oczy nie straciły bystrości, a palce, choć od czasu do czasu bezwładne po chorobie, były coraz silniejsze. Zapomniał o upływie czasu i nie zauważył, że za plecami zgromadził się dumek osób, ciekawych, co rysuje.

Waine przyniósł moździerz, tłuczek, olej, jaja i kobalt, znakomity do sporządzenia błękitu. Nauczył się kilku technik na własną rękę, ale nie mogło to zastąpić twardej szkoły, jaką przeszedł Iantine; kiedyś się na nią zżymał, lecz teraz docenił ją w pełni, widząc, jakie są skutki braku tych umiejętności.

Zima rozgościła się na dobre, ale pierwszego słonecznego dnia Tisha zawinęła go w futrzany kokon i posadziła w Niecce, by „nałykał się świeżego powietrza”. Ponieważ akurat wypadła pora kąpieli młodych smoków, Iantine'a natychmiast zafascynowały ich figle, a poza tym zdał sobie sprawę, jak wiele ciężkiej pracy trzeba włożyć w wychowanie smoczków. Na dobrą sprawę widział je po raz pierwszy w życiu. Poznał już urok i potęgę dorosłych smoków i podziwiał ich wygląd. Teraz obserwował młode, przekorne, a nawet złośliwe stworzenia — właśnie jeden wepchnął swego jeźdźca do jeziora — obdarzone niesłychaną pomysłowością. Żaden z ostatnio wyklutych smoczków nie dojrzał jeszcze do latania, ale kilka z poprzedniego wylęgu już zaczęło podejmować dorosłe obowiązki. Miał więc pierwszorzędną okazję, by oglądać ich niezgrabne wyczyny.

Następnego dnia spostrzegł P'tera i błękitnego Ormontha w środku licznej grupy

uczniów. Gdy podszedł bliżej okazało się, że zgromadzili się tam nie tylko jeźdźcy z ostatnich trzech Wylęgów, lecz również cała młodzież powyżej dwunastu lat. Ormonth rozłożył jedno skrzydło i przyglądał mu się z niejakim zdziwieniem, jakby go nigdy przedtem nie widział. Tego było za wiele dla Iantine'a; zauroczony wyrazem smoczego pyska wyjął szkicownik i natychmiast narysował całą scenę. P'tero go zauważył, ale pozostali uczniowie całkiem skoncentrowali się na treści wykładu. Słowa T'dama powoli docierały do artysty, pochłoniętego pracą nad liniami i kompozycją.

— Wiemy z kronik, że najgroźniejsze są rany na brzegu skrzydeł, szczególnie gdy Nici opadają w kłębach, a smok wraz z jeźdźcem poruszają się zbyt wolno, by ich uniknąć. Smok może latać przy uszkodzeniach wielkości jednej trzeciej zewnętrznego płata... — T'dam przesunął dłonią wzdłuż brzegu Ormonthowego skrzydła. Jednakże... Ormonth, czy byłbyś tak dobry i zwinął nieco skrzydło? — zwrócił się do smoka. — Dziękuję.

Teraz T'dam musiał stanąć na palcach, by dosięgnąć powierzchni wewnętrznego skrzydła.

— Jednakże rany tego płata są znacznie poważniejsze, gdyż w zależności od kąta padania, Nic może przedostać się przez skrzydło do ciała. — Schylił się pod skrzydłem i poklepał smoczy bok. — Tutaj są płuca, i rana w tym miejscu może okazać się... śmiertelna.

Stojący w półkolu słuchacze aż westchnęli z przerażenia.

— Dlatego w locie nie można sobie pozwolić nawet na chwilę rozluźnienia. Wchodźcie w pomiędzy nawet jeżeli tylko podejrzewacie Pobrużdzenie.

— Skąd mamy to wiedzieć? — spytał ktoś.

— Ha! — T'dam wsunął kciuki za gruby skórzany pas i przerwał na chwilę. — Smoki są bardzo odważnymi stworzeniami, biorąc pod uwagę wszystko, czego od nich wymagamy. Ale — przepraszająco pogładził Ormontha — niezwykle szybko reagują... szczególnie na ból. Doskonale będziecie wiedzieli! — znów przerwał. — Niektórzy z was byli tutaj, gdy Missath złamała kość ramieniową, prawda? — rozglądał się, wypatrując uniesionych rąk. — Pamiętajcie, jak skrzeczała?

— Ten dźwięk przeszywał mnie do szpiku kości, jak piła — powiedział jakiś rosty chłopak i zadygotał na samo wspomnienie.

— Zaczęła skrzeczeć w momencie, gdy straciła równowagę, jeszcze przed złamaniem kości. Zanim upadła, wiedziała już, że będzie ją bolało. W czasie Opadu dzięki wysokiemu poziomowi adrenaliny, smoki nie będą reagować aż tak gwałtownie, ale i tak będziecie wiedzieć. Dochodzimy więc do kwestii, którą bezustannie podkreślamy przy każdym szkoleniu: zawsze, ale to zawsze, zachowajcie w myśli wyobrażenie jakiegoś miejsca.



Podczas Opadu powinien to być raczej Weyr, bo wszyscy tutaj — objął gestem grupkę osób, które nie dosiadały smoków — będziemy przygotowani do pomocy. Nie popełniajcie błędów, wychodząc z pomiędzy zbyt nisko. Zimno pomiędzy powstrzyma Nici od wgrzyzania się w smocze ciało... — w odpowiedzi rozległy się stłumione pomruki wyrażające lęk i niechęć — ...więc wylądujcie tak gładko jak tylko pozwolą okaleczenia. Nie wolno dopuścić do upadku przy lądowaniu, bo to tylko pogorszy szkody wyrządzone przez Nici. Zaczniście dodawać otuchy smokowi, gdy tylko zorientujecie się, że został ranny. Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że wy również możecie zostać trafieni, ale jesteście jeźdźcami i oczywiście potraficie opanować własny ból i zadbać o smoka. Pamiętajcie, z was dwojga on jest ważniejszy. Bez niego przestajecie być jeźdźcami.

— Cała sztuka w tym, by wetrzeć dużo balsamu — ponownie objął wzrokiem słuchaczy. Wyjął z wiadra szeroką szczotkę i zaczął przesuwać ją raz za razem po skrzydle Ormontha. Oczy błękitnego smoka lekko wirowały, gdy z uwagą obserwował całą operację.

— Nacierać, nacierać i jeszcze raz nacierać! — T'dam podkreślał każde powtórzenie długim pociągnięciem szczotką. — Przekonacie się, że wasz smok, albo smoczyca — tu uśmiechnął się do zielonych jeźdźców — będzie tym bardziej zadowolony lub zadowolona, im więcej mrocznika znajdzie się na ranie. Rana zostanie znieczulona dokładnie w trzy sekundy... przynajmniej na zewnątrz. Dopiero po pewnym czasie ból przeniknie przez naskórek do głębszych warstw skóry, więc postarajcie się przekonać smoka, że nie jest aż tak poważnie ranny, jak jemu lub jej się wydaje. W takiej chwili potrzebna im będzie cała wasza pewność siebie... Niezależnie od tego, jak poważna jest waszym zdaniem rana, nie przekazujcie tych myśli smokowi. Powtarzajcie, że jest wspaniały i dzielny, a mrocznik działał i ból wkrótce przeminie.

W przypadku, gdy Nici przejdą przez kość...

— Ach, P'tero wyszedł całkiem jak żywy... — pełen podziwu szepnął to wprost w ucho Iantine'a. Obejrzał się. Za nim stał wysoki młodzieniec: M'leng, jeździec zielonej Sith i szczególnie bliski przyjaciel P'tera. Iantine widywał ich obu, nierozłącznych, w jaskini kuchennej.

— Czy mógłbym dostać od ciebie ten kawałek rysunku? — jeździec postukał w część szkicu, przedstawiającą P'tera i Ormontha.

M'leng był przystojnym chłopcem, o migdałowych oczach i pociągłej twarzy. Lekki wiaterek błądzący po Niece rozwiwał jego ciemnobrązowe loki.

— Ponieważ zawdzięczam mu życie, narysuję dla ciebie większy szkic...

— Och, naprawdę? — uśmiech rozjaśnił poważną twarz jeźdźcy. — Podaj mi proszę,

cenę. Mam dość marek, by potraktować cię lepiej, niż Chalkin.

Iantine próbował protestować, tłumacząc, że jest dłużnikiem P'tera.

— Spełnił swój obowiązek, i tyle — odparł M'leng szorstko. — Tak naprawdę, chciałbym mieć jego prawdziwy portret. Wiesz, zbliżają się Nici, a ja chciałbym mieć coś na wypadek... — przerwał, przełknął ślinę i gorąco powtórzył prośbę.

— Muszę najpierw namalować portrety Przywódców Weyru — odparł Iantine.

— Tylko ich dwojga? — M'leng był zaskoczony. — Myślałem, że cały Weyr już ustawił się do ciebie w kolejce...

— Tisha jeszcze nie wypuściła mnie spod opieki — odparł rozbawiony malarz.

— Ach, Tisha — M'leng skwitował wiadomość machnięciem ręki. — Czasem zanadto się przejmuję. Ale oczy masz w porządku i ręce też... spójrz, jak ten P'tero na twoim rysunku opiera się o Ormontha! Wypisz, wymaluj on!

Komplement bardzo ucieszył Iantine'a. Szkic błękitnego jeźdźca rzeczywiście był dobry — lepszy, niż zakłamane portrety malowane w Bitrze. W dalszym ciągu wstydził się przed samym sobą, że zgadzając się tam na wymuszone pochlebstwa, pogwałcił swoje przekonania. Miał nadzieję, że już nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji. Uwaga M'lenga była jak balsam dla strapionej duszy.

— Mogę zrobić coś lepszego...

— Ale ta poza bardzo mi się podoba. Czy mógłbyś namalować go właśnie tak? — M'leng unikał wzrokiem spojrzenia artysty. — Wolałbym, żeby P'tero nic o tym nie wiedział... To znaczy...

— To ma być niespodzianka?

— Nie, chcę ten obraz dla siebie! — M'leng z wyzwaniem w oczach postukał się kciukiem w pierś. — Chcę coś mieć...

Nie wiedząc, co począć z takim uporem, Iantine zgodził się pośpiesznie, by niepotrzebnie nie zasmucać jeźdźca. Oczy M'lenga zwilgotniały, a wargi zacisnęły się stanowczą kreskę.

— Naturalnie, nie ma problemu, choć lepiej byłoby z pozowaniem...

— Ach, mogę wszystko urządzić tak, żeby się nie zorientował. Ty i tak bez przerwy szkicujesz — zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

Dzięki wysłuchanemu przed chwilą wykładowi, Iantine o wiele lepiej niż przedtem zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa wkrótce zagrażą smokom i ich jeźdźcom. Mógł przynajmniej trochę uspokoić jednego z nich, malując portret jego przyjaciela.

— Dziś wieczorem — oświadczył M'leng, zmierzając prosto do celu — postaram się,

byśmy usiedli blisko ciebie. Namówię go, żeby założył świąteczną tunikę, wygląda w niej najlepiej.

— Ale w jaki sposób... — zaczął Iantine, nie wiedząc, jak ma pracować, by jeździec nie spostrzegł się, że go maluje.

— Zajmij się portretem, a ja się zajmę P'terem — M'leng uspokajająco poklepał go po ramieniu. — Póki go jeszcze mam — dodał półszepem.

Ta ostatnia uwaga sprawiła, że Iantine wstrzymał oddech. Dlaczego

M'leng zachowywał się, jakby wiedział, że P'tero umrze?

— Postaram się z całego serca, uwierz mi!

— Och, jestem tego pewien — M'leng ruchem głowy odrzucił loki z twarzy i uśmiechnął się, zaciskając jednocześnie usta. — Nie na darmo obserwowałem cię przy pracy.

Wyciągnął dłoń, miękką od oliwy, którą jeźdźcy nacierają smoki. Iantine ujął ją i zdumiał się, jak silny był uścisk zielonego jeźdźca.

— Waine powiada, że dobra miniatura, bo o coś takiego właśnie mi chodzi — poklepał się po kieszeni na piersi, by określić wielkość obrazka — malowana przez czeladnika, kosztuje cztery marki. Prawda?

Iantine kiwnął głową, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. M'leng z pewnością dramatyzuje. A może nie? W tle dalej było słychać T'dama opisującego słuchaczom różne rodzaje poważnych smoczycich ran i kontuzji i wyjaśniającego, jak w każdym wypadku powinna wyglądać pierwsza pomoc.

Cóż za dziwaczne, okrutne nauki pobierają tu młode weyrzątka! A jednak, czy nie lepiej i uczciwiej jest powiedzieć im o tym teraz, by zmniejszyć szok, gdy coś takiego wydarzy się naprawdę?

— A więc, dziś wieczorem? — powiedział stanowczo M'leng.

— Tak jest, dziś wieczorem, M'lengu — odparł Iantine, kiwnąwszy głową. Po odejściu zielonego jeźdźca potrzebował dobrych kilku minut, nim się znów zabrał do szkicowania.

No cóż, jednak była taka rzecz, którą mógł podarować Weyrowi w podziękę za okazaną dobroć: mógł sporządzić galerię portretów wszystkich jego mieszkańców.

## **ROZDZIAŁ VII**

### **WAROWNIA FORT**

Tego dnia w Warowni Fort również odbywało się szkolenie. W auli Uniwersytetu

Naczelny Lekarz, Corey prowadziła seminarium dla uzdrowicieli z całego Pemu, których smoki przywozły na trzydniowe zajęcia. Między innymi zorganizowała dla nich kurs pierwszej pomocy, udzielanej ludziom i smokom. Pomagał jej medyk z Weyru Fort, N'ran, który studiował weterynarię, zanim przypadkowo nie Naznaczył brązowego Galatha. Galath wygrzewał się na słońcu na zewnątrz budynku, a do środka zaproszono zieloną smoczycę, na tyle małą, by zmieścić się w sali, i pokazywano na jej ciele miejsca możliwych uszkodzeń, podobnie jak na Ormonthu w Weyrze Telgar.

— Udało nam się wreszcie skopiować sprawozdania doktorów Tomlinsona, Marchane i Lao, zawierające wyblakłe już zdjęcia autentycznych ran. Na szczęście do posiłku zostało nam jeszcze sporo czasu — powiedziała z krzywym uśmiechem. — Opisy słowne są jeszcze gorsze, ale niestety konieczne, by uświadomić wszystkim, którzy będą mieli do czynienia z okaleczeniami na ziemi, jak niewiarygodnie szybkie — tu zagięła jeden palec — i niszczące — dołączyła drugi — są Nici, i jak błyskawicznie należy działać — tym razem pauza była dłuższa — by zmniejszyć cierpienia.

Odpowiedziały jej pomruki. Widziała, że niektórzy spośród słuchaczy pobledli. Inni spoglądali zuchowato.

— Z badań, które przeprowadził nasz zespół — wskazała na słuchaczy w pierwszym rzędzie — wynika, że niewiele więcej można zrobić. My, na ziemi, nie będziemy mieli możliwości skoku w pomiedzy na grzbiecie smoka... tak?

— Dlaczego? Jeśli to możliwe...

— Dla nich tak, dla nas nie — odparła twardo. — Wszystkie sprawozdania podkreślają niewiarygodną szybkość, z jaką Nici pochłaniają materię organiczną. Zbyt gwałtownie, by wezwać smoka, nawet jeśli w pobliżu znajdzie się jakiś. Duża krowa znika w ciągu dwóch minut.

— Ależ, nie będzie nawet czasu, by... — zaczął jakiś mężczyzna i gwałtownie umilkł.

— Waśnie — potwierdziła Corey. — Jeśli to kończyna zostanie pobrużdżona, istnieje możliwość amputacji, zanim pasożyt rozprzestrzeni się w ciele...

— Do diaska! Nie można tak po prostu... — zaczął ktoś inny.

— Jeśli utrata kończyny daje szansę na przeżycie, to można.

— Pod warunkiem, że ktoś z nas będzie pod ręką...

Corey przypomniała sobie, że to lekarz z dużego gospodarstwa w Neracie.

— Wielu z nas będzie jednak pod ręką — odpowiedziała stanowczo — z patrolami naziemnymi, dzieląc grożące im niebezpieczeństwo... aby uratować tak wiele osób, jak się da — udało jej się z lekka uśmiechnąć. — Pomocna może być nawet najmniejsza sadzawka,

gdyż Nici toną, i to szybko, jeśli wierzyć kronikom. W zależności od miejsca urazu, woda może zahamować proces pochłaniania na tyle, by można było dokonać amputacji. Nawet świńskie koryto się nada — spojrzała w notatki. — Niciom niezbędny jest tlen, na równi z materią organiczną. Toną w trzy sekundy.

— A jeśli już wgrzyły się w ciało?

— Też w trzy sekundy. W ciele nie ma dość wolnego tlenu niezbędnego im do życia. Łód również może spowolnić proces, ale nie zawsze jest dostępny.

— Załóżmy więc, że udało nam się w jakiś sposób powstrzymać rozwój pasożyta, lecz mamy brzydką bruzdę i ewentualną konieczność amputacji. Mrocznik, mrocznik i jeszcze raz mrocznik! Niech będzie błogosławiona nasza planeta za to, że zrodziła coś, co jest nam tak ogromnie potrzebne. Naturalnie, przy amputacji należy postępować jak zwykle w takich przypadkach, włącznie z przyżeganiem. To przynajmniej ostatecznie wyeliminuje wszelkie możliwe pozostałości Nici. Ponieważ zabieg wywołuje wstrząs, zalecany jest sok fellisowy... jeśli pacjent do tej pory nie straci przytomności.

Ponownie zajrzała do notatek.

— Tomlinson i Marchane podają również, że duży procent przypadków terminalnych spowodowanych przez Nici następuje z powodu zapaści lub ataku serca. Lao, który praktykował pod koniec pierwszego Przejścia, zauważa, że częstokroć lekko pobrużdzeni pacjenci, leczeni w sposób prawidłowy, umierali z powodu szoku. Przygotowując zespoły do pracy starajcie się podkreślać, że bruzdy po Niciach można skutecznie leczyć.

— Jeśli zdążymy dobiec — zażartował ktoś z sali.

— Dlatego właśnie zależy nam, żeby jak najwięcej załóg naziemnych miało w swoim składzie lekarza, Z tego powodu również musicie nauczyć pierwszej pomocy wszystkich mieszkańców gospodarstw i siedzib cechów w swojej okolicy. Jest nas mało, lecz możemy wielu przeszkolić i zmniejszyć liczbę wypadków śmiertelnych.

— Poza tym należy nalegać — mówiła dalej — by wszyscy pracownicy, którzy nie są niezbędni do walki, pozostawali pod dachem, dopóki załogi naziemne nie ogłoszą, że teren jest bezpieczny.

— Teraz przejdziemy do kontuzji, jakie odnoszą smoki, gdyż i to może się zdarzyć, a wtedy ci z nas, którzy będą obecni na miejscu, posłużą pomocą smokowi i jeźdźcowi. Mają oni nad nami jedną przewagę — zawsze mogą uciec pomiędzy i zamrozić atakującego pasożyta. Mimo tego, bruzda będzie równie bolesna.

— Najbardziej narażoną na Nici częścią smoczego ciała są skrzydła... bądź tak miła, Balzith — zwróciła się do cierplivej zielonej smoczycy, która posłusznie rozwinęła skrzydło,

by lekarka mogła prowadzić dalszą część wykładu.

W przerwie na posiłek, po którym miała nastąpić zmiana tematu, czyli dyskusja o higienie i czystości w małych i średnich gospodarstwach, gdzie pod tym względem panowały gorsze warunki niż w większych siedzibach ludzkich, do Corey podeszli dwaj starsi stopniem lekarze, Joanson z Południowego Bollu i Frenkal z Warowni Tillek.

— Corey, jakie zajmujesz stanowisko w sprawie... miłosierdzia? — spytał bardzo rozważnie Joanson.

Długo wpatrywała się w wysokiego, szczupłego mężczyznę.

— Takie jak zawsze, Joansonie. Jak sam dobrze wiesz, wielu z naszych dzisiejszych słuchaczy nie odebrało pełnego medycznego wykształcenia. Nie mogę prosić ich o to, co dla mnie samej byłoby bardzo, bardzo trudne: by udzielili pacjentowi miłosierdzia — znów omiotła go długim spojrzeniem, a potem przeniosła wzrok na Frenkala, którego bawiła etyczna pułapka, w jakiej znalazła się kobieta.

— Przysięgaliśmy chronić życie. Przysięgaliśmy też, że zapewnimy naszym pacjentom życie na przyzwoitym poziomie — czuła, jak drgają jej usta na myśl, że w pewnych sytuacjach te dwa postulaty mogą stać w sprzeczności. — Każde z nas musi przemyśleć, jak zamierza zachowywać się w sytuacji ostatecznej: czy konieczne, a nawet etyczne jest skrócenie agonii. Nie sądzę, że w chwili, gdy będziemy zmuszeni do podjęcia.., działania, znajdziemy czas na rozważania moralne i etyczne, albo zastanawianie się, czy nasz uczynek jest dobry, czy też okrutny — przerwała i wzięła głęboki oddech. — Doskonale pamiętam film, który kiedyś Szpital miał w swoich zasobach: pokazywał, jak Nici pochłaniają żywcem jakieś zwierzę... — zauważyła, że Joanson się skrzywił. — Tak, żywcem, gdyż spadły na jego zad. Moim zdaniem, gdyby zamiast tego stworzenia był wasz znajomy, staralibyście się położyć temu jak najszybszy koniec.

Ponieważ wielu innych słuchaczy chciało rozstrzygnąć podobne wątpliwości, nieledwie z radością powitała koniec przerwy na posiłek. Mogła teraz rozpocząć wykład na nieco mniej drażliwy temat amputacji. Każdemu przyda się odświeżenie wiadomości, szczególnie że operacje będą musiały się odbywać bez chwili zwłoki, i nie będzie czasu na zwykłe przygotowania, dzięki którym uzyskiwało się prawidłowy kikut. Później miała rozdać nowe piły do kości, które raczej przypominały topory niż tradycyjne narzędzia chirurgiczne. Przywiózł je Kalvi.

— Najlepsze chirurgiczne ostrza, jakie kiedykolwiek wyszły z naszych zakładów, Corey — powiedział z pewną dumą. — Testowaliśmy; je w rzeźni. Tną ciało i kość jakby to był ser, ale trzeba je ostrzyć. Zrobiłem też zabezpieczenia na ostrza, żeby nikt sobie przez

pomyłkę nie uciał paluszka.

Nie tylko chirurdzy lubią czarny humor, uznała lekarka.

W Wielkiej Sali w Forcie w pierwszym rzędzie krzesel siedział Lord Paulin i przysłuchiwał się, jak tenże Kalvi demonstruje słuchaczom, którzy mieli tworzyć patrole naziemne, działanie i obsługę cylindrów z kwasem azotowym. Zaczął od opisu budowy, a potem szybko wyliczył najczęstsze i najpoważniejsze awarie, zdarzające się podczas pracy w terenie. Obecni byli wszyscy drobni gospodarze podlegający Warowni; wielu zabrało ze sobą najstarszych synów i córki. Przyszli pieszo albo przyjechali konno, gdyż Weyr Fort, podobnie jak inne, zaczął ograniczać przejazdy na smokach. Lord Paulin rozumiał to i akceptował.

— Ach, szliśmy na łatwiznę, korzystając ze smoków tak, jak nasi przodkowie z sań i pojazdów powietrznych — powiedział podobno do dzierżawcy, który skarżył się, że odmówiono mu przelotu. — Wiesz, konie hoduje się nie tylko na wyścigi. A jeźdźcy i tak byli aż nazbyt uprzejmi. Dobrze nam zrobi trochę spacerów i przejażdżek. Rozbudowałeś, oczywiście swoje stajnie, aby pomieściły cały inwentarz?

To, że trzeba było wykonać tę pracę powodowało kolejne narzekania. Wszyscy mieli pretensję do mechaników, że zbyt mało czasu poświęcają na odtworzenie wspaniałych maszyn do cięcia skały, za pomocą których przodkowie budowali schronienia w górskich jaskiniach. Kalvi przetrwał prawdziwą burzę pretensji i skomentował ją jedynie wzruszeniem ramion.

— Nasza lista priorytetów nie zawiera takiego punktu. To niemożliwe. W dalszym ciągu mamy dwie pary ślizgaczy na pomocy, ale brak nam paliwa. Nie wiemy, czym je napędzali — powiedział. — Z pewnością nie ma też sposobu, by odtworzyć źródło napędu, gdyż w przeciwnym wypadku starożytni by to zrobili, zamiast projektować smoki. Poza wszystkim innym, zasoby, które można odnawiać, mają więcej sensu, niż wyrafinowane, egzotyczne, ale jednorazowe przedmioty.

Gdy główny wykład dobiegł końca, poproszono wszystkich, by po południowym posiłku zbrali się na ćwiczenia w terenie. Było to o wiele ciekawsze, niż słuchanie gadaniny Kalwiego o przykręcaniu dysz miotaczy kwasu azotowego tak, by dawały długi, wąski język ognia, albo krótszy, szeroki płomień, i o oczyszczaniu rur z niepalnych pozostałości.

— Miotacze dają płomień niemal tej samej siły co smoczy — tłumaczył głosem nieco stłumionym przez zabezpieczenia, zarzucając jednocześnie cylinder na plecy. — Słuchaj, ty tam, ten hełm jest po coś potrzebny. Włóż go natychmiast i opuść osłonę na twarz!

Skarcony mężczyzna bez chwili wahania wykonał polecenie.

— Przy najwęższym ustawieniu zasięg sprzętu wynosi sześć metrów, przy najszerszym — dwa. Lepiej nie podchodzić bliżej... — Kalvi majstrował coś przy dyszy. — Co za uparta bestia... — wziął śrubokręt i lekko nim poruszył. — Zawsze, ale to zawsze trzymajcie wylot dyszy z dala od siebie i stojących w pobliżu osób — dodał bardzo głośno, odsuwając rurę od własnego ciała. — Mamy palić Nici, a nie ludzi. — Nigdy, ale to nigdy nie wolno wam odblokować strumienia obu gazów, zanim nie spojrzycie, na co kierujecie dyszę. Możecie nieświadomie spalić, spopielić, oparzyć smoka lub jeźdźca. Nieprawdaż, Laland? — zwrócił się do jednego z własnych czeladników, który w odpowiedzi uśmiechnął się niepewnie i przestąpił z nogi na nogę, unikając jego wzroku.

— Paulinie, proszę, daj sygnał ludziom na wzgórzu — powiedział Kalvi. Mówiąc to zaparł się w ziemię i wycelował dyszę do góry.

Paulin machnął czerwoną chustką i nagle kłębek jakiejś dziwnej materii zaczął opadać ze szczytu skały, zaskakując wszystkich widzów z tyłu. Niektórzy, wyposażeni w cylindry, unieśli rury obronnym gestem, a reszta westchnęła, bo kłębek rozdzielił się na długie srebrzyste pasma, cienkie i grube, opadające ze zróżnicowaną szybkością. Gdy materia znalazła się w zasięgu rażenia, Kalvi uruchomił miotacz.

Przez ułamek sekundy wydawało się, że płomień zamarł na końcach włókien, lecz niemal natychmiast przebiegł po nich, pozostawiając tylko dymiący popiół, który opadł na ziemię wraz z kamykiem, obciążającym kłębek podczas wystrzału. Rozległy się hałaśliwe wiwaty i brawa.

— Całkiem niezłe — skomentował Paulin, zadowolony z czujności zgromadzonych ludzi.

— Tak, staraliśmy się uzyskać właśnie ten efekt — Kalvi wyłączył obie butle. — Użyliśmy także spowalniacza. Mieliliśmy do dyspozycji mnóstwo opisów Opadu; nasza symulacja jest możliwie najbliższa rzeczywistości.

— Słuchajcie — odwrócił się do zgromadzonych. — Najlepiej jest dopaść Nici zanim opadną na was lub na ziemię. Wiemy, że dzielą się one na dwa rodzaje: pierwszy, częściej występujący, zjada sam siebie, więc; nie stwarza problemu, tylko zaciemnia obraz. Kroniki powiadają, że drugi rodzaj szuka do zjedzenia czegoś, co pozwoli im przejść na kolejny etap cyklu rozwojowego. Niestety, naszym przodkom nigdy nie udało się przeprowadzić wyczerpujących badań. Wiedzieli tylko, że takie Nici występują. My również o tym wiemy, gdyż tu, na Północy w dalszym ciągu istnieją obszary wyjałowione ponad dwieście lat temu, w czasie ostatniego Przejścia. Jeśli ta odmiana uzyska potrzebny jej rodzaj pożywienia, czyli przede wszystkim materię organiczną, może się rozmnażać, dzielić, czy też rozwijać w jakiś



inny sposób. Po to są s potrzebne patrole naziemne. Nie możemy pozwolić, by ten gatunek Nici tu pozostał, zagrzebał w ziemi i zniknął z oczu. Nasi przodkowie uważali, że Nici muszą znaleźć jeszcze w ziemi jakieś pierwiastki śladowe lub cząsteczki, ale nigdy się tego nie dowiemy na pewno, gdyż im się to nie udało — westchnął z żalem. — Wszystko jedno, trzeba palić całe draństwo, które umknie smokom — podkreślił swoje słowa szerokim machnięciem ręki, przerwał na chwilę i spojrzął na szczyt urwiska, gdzie czekała obsługa wyrzutni.

— GOTOWI? — zawołał przez zwinięte w trąbkę dłonie. Niemal natychmiast w odpowiedzi na całej długości urwiska pojawiły się czerwone flagi.

— Dobrze, proszę podzielić się na grupy po pięć osób i ustawić na wprost tych czerwonych flag. Kiedy wszyscy będziemy na miejscu — poza zasięgiem dysz — uśmiechnął się ironicznie — podam sygnał i zobaczymy, jak sobie dacie radę.

Wyniki były nierówne: niektórzy błyskawicznie opanowali obsługę cylindrów, inni zaś nie potrafili nawet uzyskać odpowiedniej mieszanki gazów, by buchnął płomień.

— Ano, zdarza się — podsumował Kalvi spokojnie, choć z rezygnacją. — Powinni za karę sami zanieść te nici powrotem na urwisko — dodał.

— Dobrze im to zrobi.

— Ale zajmie za dużo czasu. ZRZUCIĆ SIECI! — ryknął i uśmiechnął się do Paulina. — Przewidziałem, że będą kłopoty. Zaraz wciągniemy modele Nici na górę i zużyjemy ponownie.

— Ile wam jeszcze zostało?

— Całe kilometry — uśmiechnął się ponownie.

Gdy minęło krótkie zimowe popołudnie i zapadł zmierzch, wszyscy gospodarze przeciwczyli już wypalanie Nici, choć czasem płomień z dysz dostawał czkawki, a czasem pudłowali haniebnie. Sztuczne Nici skończyły się, zanim ludziom znudziło się strzelanie.

— Tylko nie przesadzajcie z ćwiczeniami w domu — Paulin ostrzegł ludzi idących najbliższej niego, gdy wracali do Warowni. Prowizoryczny poligon znajdował się w pewnej odległości na pomoc od zabudowań, by ogień nie uszkodził chat i nie poparzył zwierząt. — Kwas azotowy stosunkowo łatwo wyprodukować, ale miotacze są skomplikowane. Nie poniszczcie ich, zanim będziecie musieli z nich naprawdę skorzystać.

— Jutro wyczyścimy sprzęt — oświadczył Kalvi, gdy podawano klah. — Tak długo będziecie rozbierać i składać miotacze, aż uznam, że naprawdę potraficie to robić. Najszybszy i najdokładniejszy mechanik dostanie nagrodę od Lorda Paulina.

W odpowiedzi zabrzmiały głośnie wiwaty.

— Doskonałe nastroje — powiedział Paulin. Kalvi kiwnął głową, zadowolony z powodzenia pierwszego szkolenia.

Gdyby wszystkie treningi zaplanowane w pozostałych Warowniach poszły równie sprawnie, mógłbym wziąć parę dni wolnego i wybrać się do Isty na ryby, pomyślał. Podczas gorączkowego przeszukiwania składów, by znaleźć jakieś zapomniane zapasy, które mogłyby się nadać przy Opadach, natrafiono na kilka kłębków solidnej nylonowej nici. Kody kreskowe na pudełkach były zamazane, więc nikt nie wiedział, kiedy linki zostały wyprodukowane, ale Kalvi miał wielką chęć wypróbować je na paru wielkich sztukach, nierzadko trafiających się w tropikalnych wodach. Tego rodzaju sztuczne włókna bywają niezwykle wytrzymałe i z pewnością nie zerwą się pod ciężarem pakfisa, co nierzadko ma zasadnicze znaczenie.

Trzecia grupa, złożona z samych nauczycieli — nowicjuszy i doświadczonych praktyków — zebrała się w przestronnym uniwersyteckim refektarzu. To zgromadzenie było poświęcone przyjemniejszym tematom zapamiętywaniu i ćwiczeniu nowych Ballad, przeznaczonych do uczenia dzieci. Drugiego dnia Przywódca Weyru Fort miał wytłumaczyć wędrownym nauczycielom, gdzie najlepiej skryć się przed Nićmi, gdyby zaskoczył ich w drodze. Clissera zasypywano skargami, że Weyry ograniczają przeloty na smokach, co do tej pory było najczęstszym sposobem podróżowania. Nie wszyscy nauczyciele potrafili dosiadać krępych, silnych koników, hodowanych specjalnie do długich podróży, również w górach; niewielu też potrafiło się nimi zajmować. Musiał więc pozmieniać przydziały starszym nauczycielom, co było ogromnie kłopotliwe.

Na szczęście, przez najbliższe trzy dni miano się zajmować głównie muzyką i nowym programem nauczania. Nie oznaczało to jednak, że wszystkim się on spodobał. Rektor zaczął podzielać zdanie Bethany, że obecnie, podobnie jak w czasach Ojców Założycieli, ludzie są zbyt uzależnieni od łatwego dostępu do informacji. O dziwo, niektórzy starzy nauczyciele zdecydowanie popierali nowy program.

— Najwyższy czas dopasować wszystko do życia, jakie prowadzimy tu i teraz, a nie do tego, co przodkowie dawno temu zostawili poza sobą — powiedział Layrence z Tilleku. — Nigdy nie będziemy mieli tych wszystkich rzeczy, więc po co mieszać dzieciom w głowach?

— Ale trzeba przestrzegać naszych tradycji — zmarszczyła czoło Sallisha. Clisser natychmiast uświadomił sobie, że nie bez racji uważano ją za niezwykle zasadniczą osobę. — Wszyscy muszą zrozumieć tradycje, by właściwie docenić to, co jest nam dane...

— Ach, Sallisho — Bethany uśmiechnęła się kojąco — włączamy przecież te wszystkie tradycje do Ballad, tyle że kładziemy nacisk na zrozumienie współczesności.

— Ale nasza chwalebna przeszłość... — zaczęła kobieta.

— Dawno minęła — przerwał jej z naciskiem Sheledon, wpatrując się w nią z chmurną miną. — Wszystko przeminęło, skończyło się, więc po co rozwodzić się nad związkami, które nasi przodkowie przecięli, mając po temu ważne powody?

— Ale... ale... ludzie powinni wiedzieć... — znów zaczęła Sallisha.

— Jeśli zechcą dowiedzieć się czegoś więcej, mogą to wyczytać z książek — odparł Sheledon — i w ten sposób pogłębiać wiedzę. Na razie jednak, trzeba się uporać z problemem Nici...

— I jest to o wiele ważniejsze, niż wiedza o tym, które planety przetrwały bombardowanie Nathi, albo kto był Przywódcą Świata w roku 2089 — dodał Shulse. — Albo, jak wykreślić kurs paraboliczny wokół centralnej gwiazdy układu. Sallisha spoglądała wyzywająco na nauczyciela matematyki.

— Naturalnie — mówił dalej — zgadzam się na wzmianki tego rodzaju, gdy mówimy o naszej gubernator, Emily Boli, albo o admirale floty Paulu Bendenie, ponieważ oni odegrali niekwestionowaną rolę w perneńskiej historii.

— Musimy przecież przedstawić studentom obraz ogólny... — upierała się nauczycielka.

— Jestem pewien, że niektórzy z nich będą żywo zainteresowani — odparł Shulse. — Zgadzam się jednak z Clisserem, że powinniśmy ukierunkować nauczanie tak, by odnosiło się do tego świata i naszej cywilizacji.

— Cywilizacji? — Sallisha pozwoliła sobie na gryzącą ironię.

— Cóż to? Czyżbyś wahała się określić nasze dokonania mianem cywilizacji? — Sheledon uwielbiał dokuczać Sallishy, która wszystko traktowała dosłownie.

— Tak, w porównaniu ze środkami, które mieli do dyspozycji nasi przodkowie.

— Razem ze wszystkimi wadami społeczeństwa zaawansowanego technicznie, na przykład przestępczością nieletnich, gangami miejskimi, przedziwnymi epidemiami i oszustwami na takim poziomie technicznym, że ludzie woleli wypychać kredytami materace, niż oddawać dochody do banku, a do tego...

— Daj sobie spokój — przerwała wzgardliwie Sallisha — i zamiast tego skoncentruj się na wszystkich dobrych stronach...

Sheledon zachichotał.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak niebezpieczny był na starej Ziemi zawód nauczycielski?

— Bzdura! Nasza cywilizacja — położyła specjalny nacisk na te słowa — szanowała

profesorów i nauczycieli każdego stopnia.

— Dopiero, gdy zezwolono na zaprowadzenie w klasach dyscypliny — zaczął Sheledon.

— I na użycie paralizatorów — skończył za niego Shulse.

— Tego rodzaju problemy nie istnieją na Pernie — odparła z godnością. — I niech tak już zostanie — podsumował twardo Clisser. — Dlatego włączymy do programu więcej tematów interesujących naszych uczniów i usuniemy z niego rzeczy niepotrzebne.

Sallisha gwałtownie zwróciła się w jego stronę.

— To znaczy rzeczy, które twoim zdaniem są niepotrzebne, prawda?

Rektor wskazał na teczki z dokumentami na półkach zajmujących ścianę biblioteki, w której toczyła się rozmowa.

— Rozesłałem ankiety do wszystkich zarejestrowanych nauczycieli oraz do większych i mniejszych dzierżawców, prosząc o informacje. Na podstawie uzyskanych odpowiedzi ułożono nowy program — uniósł gruby tom. — Wszyscy otrzymaliście egzemplarze. Ballady Instruktażowe znajdziecie w materiałach, które rozdamy w czasie konferencji.

Sallisha usiadła, niezadowolona i naburmuszona, niby niepokorna studentka. Ciekawe, czy sama zauważyła to podobieństwo, pomyślał Clisser. Mimo swoich wad, była doskonałą nauczycielką, potrafiła jednakowo dobrze uczyć dzieci jak i studentów, więc powierzono jej nadzór nad południowo-wschodnim Pernem. Miała jednak swoje dziwactwa, jak każdy.

Uczenie się Ballad Instruktażowych na pamięć rozszerzy słownictwo dzieci; Clisser zdawał sobie sprawę, że on sam nie potrafi już zmusić swojego umysłu do zapamiętywania większych dawek informacji, gdyż zbyt uzależnił się od pamięci komputerów. No cóż, koloniści przybyli na Pern, planetę ubogą w bogactwa mineralne, między innymi po to, by stworzyć społeczeństwo w mniejszym stopniu zaawansowane technicznie. Czytał kiedyś, że na Ziemi niektórzy ludzie w ogóle przestali wychodzić z domów, kontaktując się ze światem jedynie za pośrednictwem elektroniki, nie dlatego, że świat zewnętrzny ich przerażał, ale po prostu z lenistwa. Na Pernie nikt nie odważyłby się lenić, powiedział Clisser do siebie i uśmiechnął się. Jakież puste byłoby życie, gdyby człowiekowi przyszło przesiadywać dzień za dniem w jednym miejscu! Cóż, może rzeczywiście siły natury tu, na Pernie, spowodowały, że społeczeństwo znalazło się na nieco niższym poziomie technicznym, niż przewidywali pierwsi osadnicy, lecz ludzie w końcu przystosowali się do nowego domu i dopasowali planetę do swoich potrzeb, teraz zaś byli gotowi walczyć z zagrożeniem z pomocą w pełni rozwiniętej, samoodtwarzającej się siły powietrznej.

Miejmy nadzieję... Clisser wciągnął powietrze z cichym świstem. Wszyscy

mieszkańcy planety — z wiadomym wyjątkiem — przepasali lędźwie i zabezpieczyli domostwa przed atakiem. Przygotowania to jedno, ale przetrwać pięćdziesiąt lat nalotów to zupełnie inna sprawa. Przekartkował sprawozdania opublikowane przez kolonistów z Syriusza III i Wegi IV, otoczonych i bombardowanych przez Lud Nathi. Historyczne zapisy mówiły o tym, jak dzień w dzień spadały na tamte światy pociski zakazające... po takich atakach powierzchnia planet nie nadawała się do zamieszkania. Całe pokolenia wyrosły w głębinowych schronach,.. Clisser uśmiechnął się do siebie, zauważając podobieństwo do perneńskich grot mieszkalnych. Rzeczywiście, koloniści skorzystali na doświadczeniach z Syriusza i Wegi: ogrzewali swe siedziby energią ciepłą podziemnej magmy, a światło dawały im baterie słoneczne. Rasa ludzka nie raz już przetrwała gorsze warunki niż te, które panują na Pernie. Tu przynajmniej wiadomo kiedy i gdzie będą opadać Nici, co ułatwia skuteczną obronę. Jednakże, skala inwazji jest przerażająca, a klęska może przynieść straszliwe konsekwencje.

Jak niemal każda kląska.

Clisser miał nadzieję, że muzyka, skomponowana jako psychiczne wsparcie dla ludzi, wywrze na słuchaczach odpowiedni efekt; wzmocni morale i zachęci ich do dalszych wysiłków. Przez chwilę zastanawiał się, co by się stało na starej Ziemi, gdyby w okresie narodowościowym nie pojawił się wspólny pozaziemski wróg, który zjednoczył zwaśnione rasy.

Muzyka Jemmy'ego i Sheledona rzeczywiście była bojowa i optymistyczna. Niektóre mniej ambitne melodie tak słuchaczowi wchodziły w ucho, że zaczynał dzień od pogwizdywania upartego motywu, albo przynajmniej słyszał go w myślach; zdaniem Clissera była to cecha dobrej muzyki. Rozpisali też swoje utwory na pojedyncze lub połączone popularne instrumenty tak, że nawet najmniej doświadczeni muzycy w odległych warowniach bez trudu mogli akompaniować śpiewakom.

„Zagadka” Jemmy'ego była po prostu urocza. Clisser jeszcze nie znał wszystkich odpowiedzi, ale piosenka na pewno będzie doskonałym sposobem na odprężenie dla ludzi zamkniętych w Warowniach podczas Opadów. Następny w programie miał być „Lament” Bethany, jej pierwsza pieśń, więc Clisser usiadł wygodnie, by posłuchać.

Niestety, nie potrafił skupić myśli na muzyce; jego umysł pracował na najwyższych obrotach, niepokojąc się, jak ludzie zareagują na nowy program nauczania. Poza tym, co tu zrobić z Warownią Bitra? Nowy nauczyciel, którego tam skierował, już zdążył zrezygnować i całkowicie anulował kontrakt z Chalkinem. Clisser nie winił Issony'ego, gdy dowiedział się, że rozbisurmanione dzieciaki z Warowni poniżały swego preceptora i groziły mu, ale dzieci

mimo wszystko musiały otrzymać podstawowe wykształcenie. Nie można pozwolić, by cały region popadł w analfabetyzm.

Naturalnie, dzieci mają zróżnicowane tempo uczenia się, a zajęcia powinny być prowadzone jak najciekawiej, by zachęcić młodzież do dalszej nauki, a właściwie nawet poznawania życia. Oto cel edukacji; rozwijać umiejętności pod kątem rozwiązywania problemów, i wykorzystać do maksimum potencjał, obecny w każdym uczniu — nawet u Bitrańczyków, dodał kwaśno.

Może trzeba znów przydzielić ten region Sallishy, pomyślał i zachichotał. Niestety, szansę na to były niewielkie. Wspięła się tak wysoko w hierarchii, że mogła teraz odmówić mu wprost.

Wtedy zdecydował się, znajdując wsparcie w kojących frazach muzyki skomponowanej przez Bethany, by poruszyć sprawę Chalkina, Lorda Bitry, na następnym Zgromadzeniu. Z tym człowiekiem trzeba wreszcie coś zrobić.

Podczas ostatniego wieczornego posiłku, wydanego jednocześnie dla wszystkich trzech grup na dziedzińcu Warowni, podano trzy pieczone woły. Clisser usłyszał, że ktoś wymienił nazwisko Chalkina i skierował się do grupki rozmawiających.

— Nie dość tego! — denerwował się M'shall, gniewnie marszcząc łagodną zazwyczaj twarz. — Postawił strażę na granicy i ci, którzy chcą odejść, mogą zabrać tylko odzież. Nie wolno im wziąć nic innego, muszą zostawić nawet zwierzęta, które sami wyhodowali.

Clisser nie wiedział, że Przywódca Weyru Benden już przybył, lecz jego obecność była niewątpliwie szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

— Rozmawiacie o Chalkinie? — spytał, gdy rozsunęli się i zrobili mu i miejsce w kręgu.

M'shall zaśmiał się gorzko: — A kto inny wyganiałby teraz ludzi z Warowni?

— Dostałem właśnie wiadomość od jednego z wędrownych nauczycieli, Issony'ego, że rezygnuje z pracy i nikt go nie namówi do powrotu do Bitry. Ale nawet oni muszą mieć podstawowe wykształcenie.

— Ha! — skomentował M'shall, a pozostali go poparli.

— Zajęcia w szkole zajmują Bitrańczykom czas, w którym mogliby zarobić więcej marek dla swojego Lorda. Co on zrobił Issony'emu?

— Sam ci powie, jeśli go spytasz. Właściwie, dobrze by mu to zrobiło. Zdaje się, że to jeden z waszych jeźdźców go uratował.

— Sporo ludzi ratujemy teraz w Bitrze — M'shall wcale nie był z tego j zadowolony.

— Ale tylko tych, którzy pochodzą z innych Warowni — zastrzegł się.

— Słuchajcie — Bridgely wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć — nie zamierzam przyjmować do siebie wszystkich jego uciekinierów. I nie kiwnę palcem, gdy Nici zaczną opadać na jego Warownię.

— Tylko, widzisz — M'shall uniósł z namaszczeniem rękę — on nie wierzy w nadchodzące Opady.

— Byłoby śmiesznie, gdyby okazało się, że ma rację — zaśmiał się Farley, jeden z pomniejszych dzierżawców Fortu. — Oj, chyba powiedziałem coś niewłaściwego — zreflektował się, gdy na dowcip odpowiedziano zimnymi, pogardliwymi spojrzeniami.

— Chalkin jest z natury przekorny — odparł Clisser — ale nigdy nie zachowywał się jak głupiec.

— Moim zdaniem, teraz zaczyna popełniać cholerne głupoty — zauważył Bridgely. — Jest tu ten twój nauczyciel, Issony? Bardzo dobrze, niech przyjdzie do Fortu. Trzeba postanowić coś konkretnego w sprawie Chalkina.

— Teraz, zaraz? — Clisser nie potrafił powstrzymać się od spojrzenia na piekące się mięso, które pachniało zniewalająco.

— Też mam zamiar coś zjeść — Bridgely uspokoił się nieco.

— Ja przed chwilą skończyłem kolację w Bendenie — powiedział M'shall, ale i jego nos chciwie łowił zapachy. — Ach, no cóż, zjemy po kawałku, do towarzystwa.

— Doskonałe wyczucie czasu, prawda? — zauważył Farley, komentując żywe zainteresowanie piekącym się mięsiwem. — Czy naprawdę można coś zrobić w sprawie nieodpowiedzialnego Lorda Warowni?

— Przeczytaj sobie na nowo Kartę, Farley — poradził mu Clisser.

— Od jak dawna stoi ta... straż graniczna? — Paulin był oburzony takim postępowaniem.

Wszyscy zainteresowani zebrali się po jedzeniu w jego gabinecie w Warowni. Issony był w pobliżu na wypadek, gdyby zechcieli usłyszeć jego opowieść.

— Od jakiś siedmiu dni — odparł M'shall. — Jak wiecie, odwiedzaliśmy wszystkie gospodarstwa, żeby sprawdzić, kto z ludzi Chalkina został poinformowany o nadejściu Nici.

— Przecież musieli o tym usłyszeć na Zgromadzeniach... — zaczął Paulin.

— Ha! — wykrzyknął Bridgely. — Mało kto tam wie, kiedy i gdzie odbywają się Zgromadzenia, a prawie nikt na nich nie bywa.

— To niesprawiedliwe — Paulin potrząsnął głową.

— Szczerze mówiąc, Paulinie, uważam, że nakłada na swoich ludzi wygórowane opłaty dzierżawne. Nie spotkałem nikogo, kto miałby markę na zbyciu, nawet kiedy przywożą swoje wyroby na sprzedaż do Bendenu. Zresztą, wcale nie są zachęceni do podróży.

— Nawet na Zgromadzenia? — spytał Paulin i sam sobie zaraz wiedział: — Nie, przecież mu to nie na rękę, prawda?

— Obawia się, że zaczną porównywać warunki, panujące w innych! Warowniach. Poza tym nie lubi, żeby bitrańskie marki były w obiegu poza granicami jego posiadłości.

— I odbiera, co może, gdy ludzie biorą udział w tych milusich grach i zabawach, które tak chętnie organizuje — dodał M'shall.

— Muszę przyznać, że nie wiedziałem o tych ograniczeniach — powiedział Paulin z wielką powagą.

— A skąd miałeś wiedzieć? — usprawiedliwił go Bridgely. — Jesteś z Zachodniego Wybrzeża. My wiemy, gdyż na naszych Wschodnich Zgromadzeniach pojawiają się tylko nieliczni Bitrańczycy. Oprócz, oczywiście, bukmacherów i graczy, którzy żadnego nie opuszczają...

— Tak, są wszędobylscy, to prawda — mruknął Paulin pod nosem. — Tak więc, zamyka granice, co oznacza, że niektórzy dzierżawcy wpadli w panikę na wieść, że naprawdę spodziewamy się Opadów?

— W rzeczy samej — potwierdził Bridgely z ponurą miną. — W dodatku, gdy ludzie odważyli się pójść do niego z petycją, pobił ich i wyrzucił z Warowni. Oglądałem ślady po kańczugach, więc wiem, że nie kłamią. Mówili, że takiego ataku furii nie widzieli, jak żyją. Kłął też na czym świat stoi, że otwieracie nową kopalnię w Ruathcie, a przecież kochani Bitrańczycy mogliby uruchomić na nowo szyby w Dolinie Stenga.

— Twierdzi, że świat zwrócił się przeciwko Bitrze? — spytał Paulin sucho.

— Właśnie — odparł M'shall.

— Odmówił także przyjęcia cylindrów z kwasem azotowym... — dodał Kalvi.

— To znaczy, powiedział, że nie zapłaci — poprawił go M'shall. — Tak opowiadali jeźdźcy z Telgaru moim ludziom.

— Tak, czy owak, nie będą mieli patroli naziemnych. Moim zdaniem posunął się za daleko i należy zdjąć go ze stanowiska — powiedział Paulin powoli, rozważnie. — Jako Lord Warowni ma obowiązek informować swoich ludzi i przygotowywać ich do Opadów. Po to właśnie powstał system podziału na Lordów Warowni i dzierżawców; aby ludzie na czas Opadu mieli silnego przywódcę, który nimi pokieruje i zapewni pomoc w sytuacjach zagrożenia. Zamykając granice pogwałcił także jedną z podstawowych wolności



zagwarantowanych w Karcie: swobodę poruszania się. Autonomię obrócił w despotyzm. Wysłał szczegółowy raport do wszystkich Lordów Warowni i Mistrzów cechowych... ajaj... — tu spojrział z niepokojem na Clissera — teraz już nie możemy szybko kopiować dokumentów, prawda?

— Jeden jeździec może odwiedzić wszystkie Warownie — odpowiedział M'shall. — Jeszcze lepiej, niech jeden posłaniec obleci zachodnie wybrzeże, a drugi nasze. Dzięki temu wystarczą tylko dwie kopie.

— Poproszę, by S'nana przydzielił mi jeźdźca. — Paulin sięgnął po notes.

— Będzie zachwycony — zapewnił go M'shall. — Bynajmniej nie spodobała mu się bezczelność Chalkina. Tak się po prostu nie robi, panowie. — M'shall uśmiechnął się, naśladując wyniosły ton S'nana.

— Musimy bezzwłocznie podjąć działania przeciw Chalkinowi — stwierdził Paulin — nie czekając na kolejne oficjalne Zgromadzenie na Koniec Obrotu. Czas ucieka — tu zwrócił się do Clissera: — Co mi przypomina, Cliss, że mieliście znaleźć jakąś niezawodną metodę określania pory powrotu Nici. Poszczyliście się?

— Są różne możliwości — odpowiedział Clisser, starając się nadać swemu głosowi więcej pewności, niż rzeczywiście odczuwał. — Ponieważ straciliśmy dostęp do komputerów, bardzo dużo czasu zajmuje nam przeszukiwanie źródeł i badanie różnych rozwiązań.

— No cóż, pracujcie nad tym — Paulin z uśmiechem dotknął ramienia rektora — podobnie jak nad pozostałymi licznymi zadaniami, którymi was obciążyliście. Tak na marginesie, te piosenki instruktażowe były naprawdę doskonałe — tu włożył palec do ucha, poruszył nim przez chwilę i uśmiechnął się jeszcze szerzej: — Dzieciaki śpiewają je bez ustanku, nie tylko na lekcjach.

— Tak miało być. — Clisser pękał z dumy, jednocześnie rozbawiony tym uczuciem. — Mam zaczekać na brudnopis?

— Najprzejmiej ci dziękuję, przyjacielu, ale ten dokument z wielką przyjemnością wypiszę sam — na twarzy Lorda Warowni Fort pojawił się uśmiešek. — Będę pamiętał, by zrobić kopię do archiwum. Tak przy okazji, czy starożytni nie mieli przypadkiem jakiegoś sposobu na kopiowanie? Czegoś, co by przenosiło pismo na stronę pod spodem?

Clisser przez chwilę zastanawiał się z pochyloną głową.

— Papier kopiujący, prawda? Nie mamy tego, ale może Pani Salda wpadnie na jakiś pomysł. Albo wymyślimy jakąś metodę wielokrotnego kopiowania, albo będziemy całymi godzinami biedzić się nad każdym dokumentem — westchnął ciężko i z żalem.

— Zastanów się więc i nad tym — zakończył Paulin. — Dziękuję wam wszystkim,

panowie. A teraz zmykajcie stąd wszyscy, i to już — uśmiechnął się do Przywódców Bendenu i do Kalwiego — i bawcie się dobrze przez resztę wieczoru, kiedy ja będę tu pracował. W pewnym sensie będzie to dla mnie przyjemność — stwierdził, podniósł pióro i przyjrzał się stalówce.

Po tak uprzejmym pożegnaniu, wyszli po kolei z biura. Clisser pomyślał, że Issony jest chyba rozczarowany, gdyż nie poproszono go o wygłoszenie litanii skarg na Lorda Chalkina. Postarał się więc, by nauczyciel wypił tego wieczoru tyle dobrego wina, ile tylko zdołał w siebie wlać.

## **ROZDZIAŁ VIII**

### **WEYR TELGAR**

Gdy znów zaświeciło słońce, Iantine ponownie poprosił Tiszę, by pozwoliła mu wyjść na powietrze, więc był w Niece, kiedy do Weyru zjechali wędrowni kupcy. Na ich powitanie wybiegli wszyscy mieszkańcy grot. Iantine gorączkowo szkicował wielkie, zakurzone wozy, zaprzężone w kilka par krzepkich, roboczych wołopodobnych stworzeń, wyhodowanych specjalnie do takiej pracy. Był to efekt jednego z ostatnich bioinżynieryjnych eksperymentów Wind Blossom, której babka, mistrzyni w tej sztuce, stworzyła perneńskie smoki.

Iantine od dziecka widywał wędrownych handlarzy na szlakach i z prawdziwą przyjemnością wspominał rzadkie przyjazdy bendeńskiej karawany do ich samotnego gospodarstwa. Najlepiej pamiętał smak konfitur, aromatyzowanych jagodami, których mnóstwo rosło w Neracie. Kupcy rozdawali je szczerze, a raz dali dzieciom świeży cytrusowy owoc, niewiarygodną ucztę dla podniebienia.

Dla mieszkańców odległych farm przyjazd karawany stanowił równie wielką atrakcję, jak Zgromadzenia. Ku zdumieniu Iantine'a, ludzie z Weyru okazali tak samo zachwyt. Mimo że bez trudu mogli podróżować na smoczym grzbiecie gdzie dusza zapagnie, powitali przyjazd kupców z jeszcze większym entuzjazmem niż przybycie wozów z daniną. Zresztą, wozy jako takie nie były szczególnie mile widziane, gdyż wszyscy musieli pracować przy rozładunku produktów żywnościowych, niezbędnych dla Weyru. Ale handlarze przywieźli również nowiny ze wszystkich mijanych po drodze gospodarstw i cechów. Iantine zauważył, że prawie tyle samo osób gromadzi się na pogawędkę, co ogląda towary wystawione na sprzedaż przez Lilienkampów. Z jaskiń kuchennych wyniesiono na powietrze stoły i krzesła; podawano kłah, świeży chleb i słodkie bułeczki.

Leopol, zawsze chętny do pomocy malarzowi, przyniósł mu kanapkę na drugie

śniadanie, przysiadł obok i zaczął przekazywać nowiny.

— Zbudowali kryte zajazdy przy drodze do nas — powiedział między! kęsami ciastka. — Nie zamierzają zrezygnować z wędrówek tylko dlatego, że mają opadać Nici. Ale muszą się do tego przygotować. Połowa! ładunku na tych wielkich wozach to materiały do budowy bezpiecznych! schronów. Mogą wykorzystać wszystkie jaskinie po drodze, jednak skończą się noclegi pod gołym niebem... pewnie wędrówka straci dla nich trochę uroku — uśmiechnął się szeroko — ale jak trzeba, to trzeba. — Widzisz? — pobrudzony miodem palec wycelował w grupę mężczyzn i kobiet, siedzących razem z Przywódcami Weyru nad mapami, porozkładanymi na stołach. — Zaznaczają te miejsca, żeby wszyscy u nas wiedzieli, gdzie ich szukać, jeśli wpadną w Opad.

— A kto jeździ do Bitry? — spytał Iantine z przekąsem. Leopold parsknął śmiechem.

— Nikt, kto ma olej w głowie. Szczególnie teraz. Słyszałeś, że Chalkin zamknął granice, aby mu ludzie nie pouciekali? Wiesz, że on nie wierzy w Nici? — Chłopiec szeroko otworzył oczy z przerażenia, że ktoś może być tak bezczelny. — I o tym, że nie powiedział swoim gospodarzom o grożącym Opadzie?

— Rzeczywiście, odniosłem dokładnie takie wrażenie podczas pobytu w Bitrze — odpowiedział Iantine. — A wnioski wyciągałem raczej na podstawie tego, czego nie mówiono i nie robiono. Widzisz, nawet w Akademii Domaize magazynowano żywność i materiały na okres Opadów, ale w Bitrze rozmawiano o zakładach i bukmacherach, zaś o Opadach i Niciach nie padło ani jedno słowo.

— Chcieli cię wciągnąć do gry? — Leopold chciwie czekał na odpowiedź, jakby spodziewał się potwierdzenia.

Iantine potrząsnął głową i uśmiechnął się do swego ciekawskiego słuchacza.

— Miałem się na baczności. Przecież wszystkich ostrzegają przed grą z Bitrańczykami na Zgromadzeniach, prawda? A poza tym, nie miałem pieniędzy na zakłady.

— Dobrze, bo byś przepuścił całą zapłatę — mruknął Leopold, ale wciąż z okrągłymi oczyma rozważał w myśli niebezpieczeństwa, jakich cudem uniknął Iantine.

— Moim zdaniem Chalkin stawia na złego konia uważając, że ignorowanie Nici zapobiegnie Opadowi. Będą musieli zbudować ogromne schrony — wskazał potężne pociągowe zwierzęta, które prowadzono do wodopoju w jeziorze.

Albo czworonogi były przyzwyczajone do smoczków, albo tak zimnokrwiste, że nie zwracały na nie uwagi. Natomiast młode smoki nigdy nie widziały czegoś takiego w swym krótkim życiu, więc z wielkiego przerażenia piszczały przeraźliwie, aż starsze smoki, wygrzewające się na półkach skalnych w chłodnym zimowym słońcu, obudziły się, by

sprawdzić, co się dzieje. Iantine uśmiechnął się i zaczął gorączkowo szkicować w rogu kartki. Pomyślał, że w tym tempie prędko mu się skończy papier, choć Waine był szczodry.

— Będą musieli zużyć metalu do pokrycia dachów, wiesz? — powiedział Leopold. — Weyr też pomaga Lilienkampom, bo nakładają drogi, żeby wspiąć się tu do nas, na górę.

Iantine nigdy nie zastanawiał się nad systemem danin na utrzymanie Weyru, jeźdźców i smoków. Zawsze wiedział, że Weyry korzystają z danin, ale dopiero teraz nabrał wielkiego szacunku dla organizacji całej siedziby i zarządzania nią. Kontrast z Bitrą był ogromny, gdyż wszyscy mieszkańcy Weyru radośnie podejmowali każdą pracę i byli dumni, że ktoś ich potrzebuje. Tu wszyscy pomagali sobie wzajemnie i wyglądali na szczęśliwych. Właściwie, Iantine dopiero niedawno zdał sobie sprawę, że jego dzieciństwo również było w miarę beztroskie i szczęśliwe. Nauka na Uniwersytecie także sprawiała mu przyjemność i wiele mu dała, gdyż terminowanie w Akademii Domaize minęło bez większych kłopotów, choć natrudził się, by doskonalić nowe techniki i w pełni zrozumieć sztukę.

Dopiero w Bitrze otworzyły mu się oczy. Podobnie zresztą, jak w Weyrze, ale tu doświadczenie było pozytywne. Z goryczą uznał, że dobro można docenić dopiero wtedy, gdy zaszło się zła. Uśmiechnął się ironicznie do siebie, podczas gdy jego prawa ręka szybko kończyła szkic, na którym Przywódcy Weyru prowadzili poważną naradę ze starszymi karawany Lilienkampów.

Ten Ród zapoczątkował wędrówki kupców, dostarczających do odległych gospodarstw towary i mniej pilne wiadomości. Pierwszy Lilienkamp należał do grupy najważniejszych Ojców Założycieli. Iantine przypominał sobie jego portret na wielkim fresku w Warowni Fort, do którego pozował wraz z innymi sygnatariuszami Karty: drobny, ciemny mężczyzna, czarnowłosy, bystrooki, z notesem zwisającym u pasa i — co dobrze wryło się w pamięć malarzowi — z różnymi przyborami do pisania wystającymi z kieszeni na piersi; jeden długopis nawet był zatknięty za uchem. Iantine'owi wydało się to tak logicznym miejscem na pióro, że sam nabrał podobnego zwyczaju.

Przyjrzał się bliżej przywódcom karawany. Tak, jeden z nich rzeczywiście miał za uchem coś, co wyglądało jak ołówek, a u pasa zwisał mu pusty worek, w którym pewnie zazwyczaj trzymał notes, który teraz leżał przed nim na stole.

Ciekawe, czy schrony będą wystarczającym zabezpieczeniem kupców, by przez następnych pięćdziesiąt lat Przejścia mogli dalej wędrować po drogach mimo niebezpieczeństwa Opadu Nici? Iantine niedawno przekonał się na własnej skórze, że planowanie i realizacja planu to dwie różne sprawy. Z drugiej strony, przewóz towarów bezpośrednio z Cechów do gospodarstw nastęrczałby poważnych kłopotów, tym bardziej że

smoki będą wykorzystywane wyłącznie do obrony ziemi przed Nićmi. Stworzono je, by pełniły funkcje obronne; transport ludzi i towarów to wyłącznie dodatkowe zajęcie na czas Przerwy.

Później spyta, czy kupcy przywieźli jakiś papier w tych swoich wielkich wozach. Tyle że w sakiewce nie pozostało mu nawet ćwierć marki. Może i jednak uda się dostać szkicownik w zamian za jeden czy dwa rysunki.

Szybko lecz starannie wypełnił ostatnią czystą kartkę montażem obrazków: wozy wjeżdżające do Niecki, ludzie wybiegający im na powitanie, towary na wystawie, dobijanie targu, a pośrodku kierownicy karawany rozmawiający z Przywódcami Weyru o schronach. Odsunął szkic na długość ramienia i przyglądał mu się krytycznie.

— Wspaniale! — powiedział ktoś za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie, zaskoczony. — Zrobiłeś to w jednej chwili!

Zielona jeźdźczyni w towarzystwie rozleniwionej smoczyca uśmiechała się nieśmiało, a w jej oczach lśnił nabożny podziw. Poprzedniego dnia Leopold pokazał mu tę dziewczynę i opowiedział o tym, jak gwałtownie wpadła do Wylęgarni w czasie niedawnej ceremonii Naznaczania.

— Debera? — spytał, przypomniawszy sobie, jak ma na imię. Gwałtownie westchnęła i cofnęła się, zaskoczona. Smoczyca natychmiast oprzytomniała, a zaniepokojenie sprawiło, że oczy jej zawirowały szybciej. Och, przepraszam, nie chciałem...

— Cicho, Morath, on nie zrobi mi krzywdy — powiedziała do smoczyca, a potem uśmiechnęła się do niego uspokajająco. — Zdziwiłam się po prostu, że wiesz, jak się nazywam.,

— To dzięki Leopoldowi. — Iantine wskazał ołówkiem na chłopca, który zawzięcie targował się z przybyszem, mniej więcej w tym samym wieku i co on. — Gdy dochodziłem do sił po chorobie opowiadał mi o wszystkim, co działo się w Weyrze.

— Ach, tak. — Dziewczyna chyba się uspokoiła i uśmiechnęła się z większą pewnością siebie. — Znam go. Wszędzie go pełno. Ale ma dobre serce — dodała pośpiesznie, podnosząc wzrok na Iantine'a. — Mówił mi, że ty też miałeś różne przygody. — Potem wskazała na szkic. — Tak ci to ładnie wyszło, i tak szybko... prawie słyhać, jak się targują — dodała, wskazując postać handlarza z otwartymi ustami.

Iantine przyjrzał się obrazkowi krytycznie.

— Och, szybkość nie zawsze pomaga, jeśli chce się uzyskać dobry efekt. — Sprawnie dodał fałdę na szacie przywódcy karawany, gdyż zauważył, że nad paskiem ubiór nieco się wybrzusza. — Zobaczmy, czy spodoba się modelowi. — Sam się zdziwił, słysząc

zdenerwowanie w swoim głosie.

Dziewczyna przyjrzała mu się z uwagą.

— Jeśli tak wygląda rysunek, zrobiony w pośpiechu — powiedziała łagodnie — chciałabym zobaczyć coś, co zajęło ci więcej czasu.

Nie mógł się oprzeć tym słowom, więc przewrócił kilka kartek i pokazał jej szkic, na którym przedstawił ją samą, gdy naciera oliwką skórę Morath.

— Och, wcale nie zauważyłam, jak to rysujesz... — wyciągnęła rękę, by dotknąć rysunku, ale on już szukał drugiego szkicu, na którym Debera razem z Morath przysłuchiwały się wykładowi T'dama. Dziewczyna zarzuciła ramię na szyję smoka... Iantine'owi wydawało się, że uchwycił subtelną więź, uwidoczniającą się w tym uścisku.

— To cudowne. — Iantine ze zdziwieniem spostrzegł łzy w jej oczach. Instynktownie ujęła go za ramię, by napawać się chwilę rysunkiem, zanim artysta przewróci kartkę.

— Ach, jakbym...

— Podoba ci się?

— Bardzo — gwałtownie puściła jego ramię, schowała ręce za siebie i zaczerwieniła się po same uszy. — Naprawdę bardzo... — przygryzła wargi, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

— O co chodzi? Zaśmiała się, skrepowana.

— Nie mam nawet złamanej marki.

Wyrwał szkic z notatnika i podał go dziewczynie.

— Ach, ja nie mogę... nie mogę — i odsunęła się o krok, choć błysk w jej oczach powiedział Iantine'owi, jak bardzo pragnęła mieć ten rysunek.

— Dlaczego nie? — próbował wcisnąć jej kartkę w dłoń, choć się opierała. — Debero, proszę cię, weź to. Muszę ćwiczyć odmrożone palce, a to przecież tylko szkic.

Znów podniosła na niego wzrok. Oprócz zdenerwowania, w głębi tych pięknych, zielonych oczu, czaił się jeszcze jakiś inny lęk.

— Wiesz, powinnaś mieć coś takiego, żeby nie zapomnieć, jak Morath wyglądała w młodości.

Jedna ręka wysunęła się zza pleców i sięgnęła po szkic.

— Jesteś taki dobry, Iantine... — szepnęła dziewczyna, trzymając kartkę koniuszkami palców, jakby się bała ją zabrudzić. — Ale nie mam czym ci zapłacić...

— Ależ masz — odpowiedział szybko w nagłym przypiływie natchnienia i wskazał kupców, w dalszym ciągu zgromadzonych wokół stołu. Możesz odegrać rolę zadowolonej klientki i pomóc mi wycygnąć nich blok rysunkowy w zamian za kilka szkiców.

— Tak, ale... — rzuciła handlarzom krótkie, spłoszone spojrzenie, a potem, jakby udzieliła sobie w myślach reprimendy, w jednej chwili jej nastrój się odmienił. Wolna ręka powędrowała na głowę smoczątka, szukając wsparcia. Stworzenie spojrzało na nią miłośnie, a wzrok Debery na chwilę utracił ostrość, co Iantine nie raz już zaobserwował u jeźdźców, przerywających rozmowę, by porozumieć się ze smokami. Odetchnęła głęboko i powiedziała rezolutnie: — Z radością powiem dobre słowo na twój temat Mistrzowi Jolowi. Prawdę mówiąc, to mój kuzyn, ze strony matki.

— Naprawdę? — uradował się Iantine. — Chodź, sprawdzimy, czy powiązania rodzinne przydają się w interesach.

— Naturalnie niczego ci nie mogę obiecać — powiedziała słodko, gdy ruszyli w stronę grupy. Z trudem radziła sobie ze szkicem, który trzepotał na wietrze.

— Zwiń go w rulon — zaproponował. — Pomóc ci?

— Dziękuję, dam sobie radę. — Zwinęła papier o wiele staranniej, niżby to zrobił Iantine.

Narada właśnie się kończyła, a zebrani zaczęli się rozchodzić.

— Mistrzu Jolu? — powiedziała Debera łamiącym się nieco, cichym głosem. — Mistrzu Jolu — powtórzyła bardziej stanowczo.

Obawia się, że handlarz jej w ogóle nie rozpozna, pomyślał Iantine.

— Czy to nie Debera? — spytał kupiec, wpatrując się w nią, jakby nie wierzył własnym oczom. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech i mężczyzna podszedł do nich szybkim krokiem, wyciągając ręce na powitanie. Deberę jakby onieśmieliła tak wielka serdeczność. — Kochanie, słyszałem, że Naznaczyłaś smoka.

Iantine opiekuńczo objął ją w pasie i niemal niedostrzegalnie pchnął do przodu.

— Tak. Oto Morath — w jej głosie nagle pojawiła się pewność siebie i duma. Jeźdźczyni i smoczyca wymieniły jedno z tych serdecznych spój rzeń, które zawsze wzruszały Iantine'a do głębi.

— Witam cię serdecznie, młoda Morath. — Handlarz oficjalnie skłonił się smoczycy. Jej oczy zaczęły wirować szybciej.

Debera dodała jej otuchy lekkim klepinięciem.

— Mistrz Jol jest kuzynem mojej matki — wyjaśniła smoczycy.

— A zatem i twoim, dziewczyno — przypomniał jej Jol. — Bardzo jestem dumny, że mam w rodzinie smoczego jeźdźca. Ach, jesteś taka podobna do matki. Wiedziałaś o tym?

Iantine zobaczył, że twarz dziewczyny spochmurniała.

— Nie chciałem cię zasmucać, dziecko — zreflektował się Jol, niezadowolony z

siebie. — Ach, byłaby tak szczęśliwa, gdyby wiedziała, że ty... Przerwał i odchrząknął. Iantine wiedział, że stara się pośpiesznie naprawić kolejną niezręczność — ... jesteś tutaj, zostałeś jeźdźczynią...

— I uniezależniłam się od ojca — skończyła za niego Debera z goryczą.

— Czy o tym również słyszałeś, Mistrzu Jolu?

— Tak, naturalnie. — Mistrz Jol uśmiechnął się jeszcze serdeczniej, a w jego oczach błysnęła iskierka złości. — Wielce uradowała mnie ta wiadomość, przyznaję. Co mogę dla ciebie zrobić? Świąteczne ubranie, dobre buty na futerku... mało co z sobą tu przywiozłaś, na ile znam twego ojca.

— Weyr dał mi wszystko, czego potrzebowałam, Mistrzu Jolu — odparła ze spokojną godnością.

— Mistrzu? A zatem jednak nie jestem twoim kuzynem, młoda kobieto? — spytał z żartobliwą surowością.

Uśmiech powrócił wreszcie na jej twarz.

— Och, kuzynie, dziękuję ci bardzo. Mam do ciebie inną prośbę.

— Cóż to takiego?

Debera rozwinęła rysunek i pokazała go handlarzowi.

— Iantine mnie narysował... i ciebie też — tu malarz podsunął Jolowi szkicownik, otwarty na montażu. — Tylko że skończyły mu się kartki, a podobnie jak ja, nie ma grosza przy duszy...

Mistrz Jol sięgnął po szkicownik, w jednej chwili zmieniając się w krytycznego handlarza. Rzucił tylko jedno spojrzenie na rysunek i zaczął uważnie przyglądać się artyście.

— Nazywa się Iantine, powiadasz? — Kiedy oboje przytaknęli, na szerokich wargach, zdradzających dobroduszny charakter, znów pojawił się uśmiech. — Wiem już, o kogo chodzi. To ty jesteś tym chłopakiem, który bez szkody wyrwał się z pazurów Chalkina? — Jol podał mu rękę. — Doskonale, chłopcze. Opowiadali mi o twoich przygodach — mrugnął z aprobatą. — My, kupcy, zawsze wiemy o wszystkim i nauczyliśmy się odróżniać żdźbła prawdy od sieczki kłamstw — dodał i wrócił do oglądania szkiców, wędrując oczyma od jednego rysunku do drugiego. Westchnął z rozbawieniem i z uwagą przyjrzał się swemu portretowi, z ołówki za uchem.

— To wypisz, wymaluj ja, nawet o ołówku nie zapomniałeś — dotknął swego narzędzia pracy, by się upewnić, czy gdzieś nie zginęło. — Można? — uprzejmie poprosił o pozwolenie przejrzenia rysunków na innych, kartach.

— Naturalnie — Iantine skłonił się wytwornie. Chętnie kopnęła się w kostkę, bo



nogi się pod nim nieco ugięły.

— Hejże, chłopcze, wiem, że dopiero niedawno wstałeś po chorobie — powiedział Jol i pośpieszył, by go podeprzeć. — Usiądźmy gdzieś, żebym mógł się dobrze przyjrzeć wszystkiemu, co tu narysowałeś.

Ignorując protesty Iantine'a, kupiec poprowadził go do stołu, który przed chwilą opuścił, i usadowił na krześle. Debera i Morath poszły za nimi. Dziewczyna wyglądała na bardzo zadowoloną z opiekuńczości kuzyna.

Jol przejrzał szkice równie dokładnie, jak uczyniłby to Mistrz Domaize. Rzucił różne uwagi na temat znajomych mieszkańców Weyru, uśmiechał się i bez przerwy kiwał głową. Potrafił również dostrzec, które rysunki pozostały nie dokończone.

— A więc, czego ci potrzeba, Artysto Iantine?

— Przede wszystkim więcej papieru — odparł młody człowiek z wahaniem.

Jol przytaknął ruchem głowy.

— Zdaje mi się, że mam jeden blok papieru tej jakości, ale trochę mniejszy. Od czasu do czasu przywożę je Waine'owi. Naturalnie, mogę się postarać o większe karty...

— Pewnie nie będzie mnie już w tym Weyrze, kiedy znowu przyjedziecie...

Mistrz Jol zbył tę uwagę.

— Mam magazyny w Warowni Telgar i mogę ci przysłać potrzebne towary za dzień lub dwa. — Rzucił Iantine'owi zamyślane spojrzenie. — Pewnie tak szybko stąd zresztą nie wyjedziesz — dodał. Wyjął zza ucha ołówek, a z mieszka przy pasie wyciągnął notes. — Teraz powiedz mi, czego ci konkretnie potrzeba, Artysto Iantine.

— Ja...

— Chce narysować wszystkich jeźdźców i wszystkie smoki w naszym Weyrze — powiedział Leopold, który niezauważenie podszedł na tyle blisko, by słyszeć całą rozmowę.

— Masz już więc mnóstwo zleceń, prawda? — spytał z zadowoleniem mistrz Jol. Jego ołówek zawisł nad czystą kartką papieru.

— Nno, nie całkiem... widzi pan... — zająknął się malarz.

— Wiem o trzech — wyręczył go Leopold. — P'tero dla M'lenga i Przywódcy Weyru...

Iantine chętnie ugryzłby go w nos.

— Przywódcy Weyru to inna sprawa. To będą portrety olejne. Szkice zaś mają być moim podziękowaniem dla wszystkich ludzi w Weyrze za to, że byli dla mnie tacy dobrzy.

— Sportretowanie wszystkich tutejszych mieszkańców to całkiem spore przedsięwzięcie. — Mistrz Jol zapisał kilka słów. — Potrzeba ci będzie dużo papieru i

ołówków. A może wolisz atrament? Mam bardzo dobry gatunek. Gwarantuję, że nie narobi kleksów — spojrzał na malarza wyczekująco.

— Ale mam tylko j eden rysunek na wymianę — odpowiedział Iantine.

— Chłopcze, Grupa Jola Lilienkampa właśnie otworzyła ci kredyt — powiedział łagodnie Jol, lekko klepiąc go po ramieniu. — Nie jestem Chalkinem ani ciałem, ani duchem, ani też uczynkami — tu wybuchnął tak zaraźliwym śmiechem, że Iantine też musiał się uśmiechnąć. — Dobrze, teraz już bez ceregieli złóż zamówienie. Ulżę twój emu sumieniu... jeśli zrobisz ten obrazek — koniec ołówka postukał w montaż szkiców — akwarelą, dam ci za niego dwie marki. Aha, i jeszcze chciałbym ten z wykładem T'dama —przekartkował notes, by znaleźć rysunek. — Niech wreszcie ludzie zobaczą na własne oczy, że jeźdźcy smoków nie tylko bujają w przestworzach. Za to mogę zapłacić półtorej marki...

— Ale... ale — wykrztusił z trudem Iantine, próbując jednocześnie uporządkować myśli i ułożyć listę potrzeb. Debera uśmiechała się radośnie, podobnie jak jej smoczyca. — Nie mam ze sobą akwarel — zaczął, próbując wyrazić, jak bardzo chce skończyć pracę nad montażem szkiców.

— Akurat tak się składa, że ja je mam i właśnie dlatego złożyłem ci taką propozycję — wyjaśnił Jol wesoło. — Zaiste, jak to się nam wszystko dziś szczęśliwie składa — dodał i uśmiechnął się także do Debery. — A to — ponownie postukał w montaż z dumą właściciela — pokolorowane farbą wodną i oprawione w szkło, będzie doskonale wyglądać w moim wędrownym biurze. Tak, tak. Zdaje mi się, że nasi przodkowie nazywali to reklamą.

— Mistrzu Jolu? Można prosić na moment? — zawołał jeden z członków karawany.

— Zaraz wrócę, chłopcze. Poczekaj tu na mnie. Ty także, Debero. Jeszcze z wami nie skończyłem, dzieciaki.

Gdy Iantine i Debera wymieniali osłupiałe spojrzenia, kuzyn dziewczyny różnym truchtem pobiegł zobaczyć, co się dzieje. Znow wsunął ołówek za ucho i w biegu zamknął notes.

— Nie mogę w to uwierzyć — Iantine potrząsnął głową. Czuł się osłabiony i z trudem łapał oddech.

— Dobrze się czujesz? — Debera pochyliła się ku niemu przez stół.

— Zatkano mnie — powiedział, przypominając sobie ulubiony zwrot ojca. — Kompletnie mnie zatkano.

— Mnie chyba też— przytaknęła Debera. — Nigdy bym nie pomyślała...

— Ja też nie.

— Dlaczego? Nie ufacie kupcom? — spytał Leopold, jakby nieco urażony.

Iantine zaśmiał się niepewnie.

— Kupcom można ufać. Ale nigdy nie spodziewałem się takiej szczodrości...

— Ile czasu spędziłeś w Bitrze? — spytała przekornie Debera, mierząc go długim spojrzeniem.

— Akurat tyle, żeby się nauczyć nowego znaczenia słowa „zadowolający” — skrzywił się Iantine.

W odpowiedzi lekko zmarszczyła czoło.

— Nieważne — mruknął. Potrząsnął głową i pogładził japo ręce. — Bardzo ci dziękuję, że przedstawiłaś mnie swojemu krewniakowi.

— Od momentu, kiedy zobaczył ten szkic wcale ci nie byłam potrzebna — odparła nieśmiało.

— Zamawiałaś to wszystko, prawda? — zabrzmiał czyjś baryton. Jeźdźczyni i malarz ze zdumieniem spoglądali na kupca, który ułożył przed nimi na stole całe naręcze przedmiotów: dwa bloki, jeden większy, drugi mniejszy, ładne kwadratowe pudełko z kałamarzem, garść piór i paczkę ołówków. — Dostawa specjalna — dodał posłaniec, uśmiechnął się, obrócił na pięcie i zniknął tam, skąd przyszedł.

— Mistrz Jol zawsze był dumny ze sprawnej obsługi. — Leopold uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Widzisz? Masz wszystko, czego pragnąłeś — powiedziała Debera.

— O tak, wszystko — odpowiedział Iantine, a jego słowa zabrzmiały jak modlitwa.

## **ROZDZIAŁ IX**

### **WAROWNIA FORT I GRANICE BITRY, WCZESNĄ ZIMĄ.**

Komunikat Lorda Paulina do pozostałych Lordów Warowni i Przywódców Weyrów przyjęto z mieszanymi uczuciami. Mimo zgromadzonych dowodów nie wszystkim podobało się usuwanie ze stanowiska jednego z Lordów. Paulin był zaniepokojony i zniechęcony, gdyż liczył na jednogłośnie decyzję, która pozwoli pozbyć się Chalkina zanim jego ludzie zdemoralizują się do reszty.

Jamson i Azury byli zdania, że cała sprawa może poczekać do Rady, zwoływanej na koniec Obrotu. Pierwszy z nich zawsze był konserwatystą, ale zastrzeżenia Azury’ego zaskoczyły Paulina. Mieszkańcy tropikalnych regionów nie rozumieli, co oznacza zimowa pogoda. Oczywiście, że trudniej będzie przygotować Bitrę do Opadu w środku zimy, twierdził Azury, ale przecież można podjąć pewne kroki, by być gotowym na lato, gdy zaczną opadać

mordercze Nici. W zasadzie pracę należało rozpocząć dwa lata temu, tak, jak zrobiły to pozostałe Warownie. Zaczęto w nich wysiewać więcej zboża, magazynować nadwyżki, naprawiać budynki, chronić uprawne pola, a nadto budować schrony przy głównych drogach i zabezpieczenia dla patroli naziemnych, nie wspominając o szkoleniach do walki z Nićmi, które przedostały się pod ziemię.

Co gorsza, ludzie Chalkina byli całkowicie bierni, choć nie należało korzystać z tego argumentu i odmawiać im informacji o zbliżających się trudnościach.

Kto miałby go zresztą zastąpić? Tu dopiero zaczynały się prawdziwe kłopoty.

Bastom odpisał, podając dobre rozwiązanie: należy natychmiast powołać zastępcę lub regenta, do czasu, gdy jeden z synów Chalkina osiągnie dojrzałość; synów zaś trzeba starannie kształcić w zakresie kierowania Warownią. Zresztą, nowy Lord niekoniecznie musi być z Rodu Chalkina, ale przestrzeganie zasad dziedziczenia nakreślonych w Karcie

z pewnością uspokoiłoby rozdrażnionych Lordów. Zdaniem Paulina dziedziczenie powinno w pierwszym rzędzie zależeć od zdolności i umiejętności, a władcy nie zawsze przekazywali te cechy jako spuściznę genetyczną.

Na przykład Sidny, najstarszy siostrzeniec Paulina zdecydowanie wykazywał cechy dobrego zarządcy. Lubił ciężką pracę, był uczciwym człowiekiem i dobrym sędzią ludzkich charakterów i zdolności. Paulina kusilo, by wyznaczyć młodego człowieka jako swego spadkobiercę, a co za tym idzie — Lorda Fortu. Do własnego syna, Mattewa, miał pewne zastrzeżenia, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że sam swoją rodzinę ocenia bardziej krytycznie niż obcy im ludzie.

Zdecydowanie należy przedstawić Radzie propozycję Bastoma; młodszym synom i córkom przyda się bezpośrednia praktyka w kierowaniu Warownią. Biorąc zaś pod uwagę, w jakim stanie jest Bitra, konieczne będzie powołanie całego zespołu do zarządzania nią. W ten sposób uniknie się także oskarżeń o nepotyzm, a jednocześnie da młodym okazję do wykazania się inicjatywą i umiejętnościami.

Kiedy Paulin otrzymał już wszystkie odpowiedzi, przekazał młodemu zielonemu jeźdźcowi wiadomość do M'shalla z Weyru Benden. Wiedział, że M'shall będzie równie rozczarowany wynikami ankiety, jak on sam. Próbował się przekonywać, że mimo wszystko jeszcze zdążą odpowiednio przygotować Bitrę do nadchodzących Opadów. Jednak im prędzej te przygotowania się zaczną, tym lepiej. Miał nadzieję, że M'shall odnajdzie tego wuja i sprawdzi, czy nadaje się on do kierowania Warownią. Jeśli nie, trzeba będzie przeprowadzić Poszukiwania uprawnionych spadkobierców...

— Ach, do diaska — mruknął. Odepchnął się od biurka i westchnął ze złością i

rozgoryczeniem. Nic z tego. Już nie można przeprowadzać szybkich Poszukiwań w ramach Programu Genealogicznego, obejmującego wszystkich członków Rodów. Jednak Clisser na pewno wydrukował ten program i skopiował go. — Tak, natychmiast potrzebujemy tych danych, wszystko jedno w jakiej formie — powiedział na głos i znów westchnął. Aby poprawić sobie humor, zabrał się za czytanie raportów o budowie nowej kopalni.

Założyciele chcieli ją nazwać CROM, od pierwszych liter swoich nazwisk: Chester, Ricard, Otty i Minerva. Paulin nie widział przeszkód, ale dla porządku należało przedstawić oficjalny wniosek Radzie. Podczas Przerwy w Opadach przestano się przejmować formalnościami i teraz zaczęło się to bardzo niekorzystnie na wszystkich odbijać, jak na przykład w przypadku powołania Chalkina na stanowisko Lorda Warowni. Paulina nieco pocieszała świadomość, że wtedy Warownię Fort reprezentował jego ojciec, Lord Emilin, a zatem on sam nie ponosił winy za ten błąd w ocenie. Teraz zaś miał okazję naprawić zło.

Nagle ktoś załomotał do drzwi. Zanim Paulin zdążył podejść, otworzyły się szeroko; M'shall, Przywódca Weyru Benden odsunął na bok Mattew i wszedł do komnaty.

— Paulin, trzeba coś z tym zrobić i to natychmiast — powiedział z ponurą miną, ściągając długie jeździeckie rękawice i rozpinając kurtkę.

— Mój list szybko do ciebie dotarł... Matt, przynieś kłahu — polecił Paulin, gestem prosząc syna, by się pośpieszył. Twarz M'shalla poczerwieniała od zimna pomiędzy... i od czegoś jeszcze.

— Dostałem go. Ale to nie wszystko. W Bitrze panuje fatalna pogoda, a ludzie zamierzają na śmierć, bo nie chcą odejść znad granicy — poinformował.

— Nie chcą? A może nie mogą?

— Tak, raczej nie mogą niż nie chcą. Chalkin wydał rozkazy, że żaden „niewdzięczny dysydent” nie dostanie z powrotem gospodarstwa. Ma to być kara za zdradę. A przecież on sam naraża życie i zdrowie swoich dzierżawców na niebezpieczeństwo.

— Ile osób wchodzi w grę? — zaniepokojenie Paulina rosło gwałtownie.

M'shall przyglądał gęstą siwiejącą czuprynę, zgniecioną pod hełmem.

— L'sur powiada, że przy głównym przejściu granicznym do Bendenu zgromadziła się ponad setka, w tym kobiety, dzieci i starcy. Przy innych przejściach jest ich tyle samo, a może nawet więcej. Nie mają żadnego schronienia, nie wpuszcza się ich do strażnic. Wszystkich zagnano do prowizorycznych zagród. Co gorsza, L'sur widział zwłoki powieszono głową w dół, na których strażnicy wyraźnie wprawiali się w strzelaniu. Paulinie — Weyr Benden nie może ignorować takiego barbarzyństwa.

— Naturalnie! Warownia Fort też się z tym nie pogodzi! — Paulin skoczył na równe

nogi i zaczął spacerować po komnacie. — Jeśli jego zdaniem na tym polega zarządzanie Warownią, należy go bezwzględnie usunąć!

— Tak jest — zdenerwowany M'shall ponownie przecesał włosy palcami. — Jeszcze jedna taka noc i ci ludzie poumierają z zimna i głodu. Przyleciałem do ciebie, by mieć za sobą autorytet Rady, gdyż Bridgely chce, aby wszystko odbyło się w miarę możliwości zgodnie z prawem. Przecież coś takiego nie powinno się w ogóle zdarzyć! — wykrzyknął z goryczą. — Ci ludzie wcale go nie zdradzili. Oni po prostu śmiertelnie się boją i rozpaczliwie pragną bezpieczeństwa... którego, jak widać, próżno im szukać w Bitrze. — Pochylił się w krześle. — Słuchaj, Paulinie, nawet jeśli dostarczymy im żywność, kto zaręczy, że strażnicy jej nie zgarną dla siebie, jak tylko odlecimy? Uważam, że trzeba będzie tam zostawić oddziały jeźdźców do ochrony... a to da Chalkinowi okazję do skarg, że Weyr się wtrąca w jego sprawy.

Paulinowi zrobiło się niedobrze. Sytuacja była taka, jakby odrodziła się prosto z kart krwawej ziemskiej historii, którą osadnicy z całą świadomością pozostawili poza sobą, tworząc kodeks postępowania i etyki, uniemożliwiający takie zachowania! Statut osadnictwa na tej planecie przyznawał każdemu, kto chciał pracować, tyle ziemi, ile mu się należało z racji urodzenia. Tak mówiła Karta.

— Nie będzie mowy o ingerencji, jeśli jeźdźcy zostaną po waszej stronie granicy. Poza tym, Warownia Bitra pozostaje pod ochroną Weyru Benden...

— Tylko w czasie Opadu Nici — poprawił go M'shall.

— W pewnym sensie jest to element ochrony przed Nićmi — Paulin uśmiechnął się ponuro. — Lord Warowni ma zobowiązania wobec ludzi, a kiedy ich nie dopełnia, do kogo mają się zwrócić? Oczywiście do Weyru. Nie masz racji — stanowczo uderzył pięścią w stół. — Będziecie działać w zgodzie z prawem... jeśli jeźdźcy na ochotnika zgłoszą się do tego zadania.

— L'sur tam został, tak przynajmniej jego smok powiedział Craigathowi.

— Ale nie używajcie ogniowego kamienia — Paulin surowo podniósł palec w górę. — Nawet w przypadku zastosowania przemocy.

— W tej sprawie wydałem stanowczy zakaz, zapewniam cię — M'shall wykrzywił usta z goryczą. — Ostatnio nie mieliśmy żadnych ćwiczeń w Bendenie, więc w smoczych pyskach nie pozostał nawet najmniejszy płomyk. Jeśli chodzi o strażników, najchętniej zastosowałbym szybki podrzut i długie spadanie w pomiędzy, ale... — uniósł obie dłonie, by pokazać Paulinowi, jaki jest zdyscyplinowany.

Mattew wrócił z tacą pełną parujących kubków z klahem, naczyń z zupą i gorących

pasztecików. Ustawił ją na stole i wyszedł.

M'shall nie czekał na zaproszenie gospodarza, lecz złapał miskę zupy, zaczął na nią dmuchać i wypił natychmiast, jak tylko się dało.

— To jest właśnie to. Jeśli masz cały gar, zabiorę go ze sobą— uśmiechnął się, oblizując wargi. — Jest taka gorąca, że nie ostygnie nawet w pomiedzy.

— Zabieraj wszystko, razem z garnkiem. L'sur tam został, powiadasz? A może posłać jeźdźców na wszystkie przejścia graniczne? — spytał Paulin, mieszając słodzik w kubku z klahem.

M'shall kiwnął głową.

— Dobrze. Ich obecność powinna przeciwdziałać dalszym brutalnym czynom.

Było to jedynie zabezpieczenie, a nie środek zaradczy. Paulin chciałby zrobić coś więcej, aniżeli przysyłać zupę, ale na tym etapie mogłoby to zaszkodzić jego pozycji jako Przewodniczącego Rady.

— Przynajmniej Weyr ma prawo rozpocząć działania, podobnie jak Bridgely — dodał z namysłem i znów uderzył pięścią w stół. — Za to ja osobiście porozmawiam z Jamsonem i Azurym. Odkąd Chalkin stosuje tak brutalne środki, zaistniała pilna potrzeba, żeby ich przywieść do rozsądku.

M'shall wzruszył ramionami.

— Lordowie Warowni mają wszelkie powody, by ci ufać, Paulinie. Bitrańczycy nigdy nie pokładali zaufania w Chalkinie.

— Najchętniej zabrałbym ze sobą niezdecydowanych, jak Jamson i Azury i pokazał im, co się dzieje w Bitrze. Prawdopodobnie wydaje im się, że przesadzamy.

— Przesadzamy? — M'shall, pełen urazy huknął pustą miską w stół. — Przepraszam. Co im strzeliło do głowy?

— Nigdy w życiu sami by czegoś takiego nie zrobili. Trudno im uwierzyć, że inny Lord Warowni mógłby tak postąpić.

— No cóż — M'shall nieomal warczał. — Mógłby to zrobić... i właśnie zrobił.

Rozległo się nieco grzeczniejsze pukanie do drzwi. Matt wpuścił K'vina.

— Właśnie dowiedziałem się o kłopotach na granicy, M'shallu. Zulaya poprosiła, by Meranath porozmawiała z Maruth, więc wiedzieliśmy z Charanthem, że tu jesteś — powiedział młody Przywódca, z równie pochmurną twarzą, jak jeździec z Bendenu.

— Czy to znaczy, że zablokował również zachodnią granicę?

K'vin kiwnął głową.

— Telgar nie ma powodów, by się sprzeciwiać zamykaniu granicy, ale ten człowiek z

premedytacją zabija swoich dzierżawców, wygnawszy ich na mróz w taką pogodę. Nie mogę pozwolić... nie pozwolę, by w ten sposób traktowano kogokolwiek — wbił w Paulina wzrok pełen nadziei.

— Właśnie rozmawialiśmy z M'shallem na ten temat. Nie można się zgodzić na coś takiego. Rozesłałem już do Lordów Warowni zapytanie dotyczące podjęcia natychmiastowych kroków. Nie otrzymałem jednogłośniejszej zgody, więc jako Przewodniczący Rady, niewiele mogę zrobić... to znaczy, oficjalnie. Ale, tak jak zauważył M'shall, Weyr odpowiada za ochronę ludzi. Naginając nieco rzeczywistość, można powiedzieć, że zagrażają im Nici — uśmiezek na jego twarzy był niemal złowieszczy gdyż porzucili nie przygotowane do Opadu gospodarstwa. Tak więc — Weyry mogą podjąć działania tam, gdzie Rada jest bezsilna.

— To chciałem wiedzieć! — K'vin uderzył się rękawicami po udzie, podkreślając zadowolenie.

— Naturalnie — Paulin pohamował go uniesieniem ręki — musisz być ostrożny i nie dać Chalkinowi pretekstu do powołania się na punkt o pogwałceniu autonomii Warowni...

— To chyba nieważne w sytuacji, gdy celowo krzywdzi ludzi, których przedtem z premedytacją okłamywał — zaniepokojony K'vin podniósł głos.

— Widzicie, nie czas teraz naruszać neutralność Warowni — Paulin popatrywał to na jednego, to na drugiego. — Nici jeszcze nie opadają.

— Dajże spokój, Paulinie... — zaczął M'shall.

— Duchem jestem z wami, ale jako Przewodniczący Rady, muszę wam — przypomnieć — wbrew moim osobistym poglądom — że nie mamy prawa wtrącać się do zarządzania Warownią.

— Może ty nie, Paulinie — odparł K'vin. — Ale my z M'shallem możemy i to zrobić. Miałaś rację, wspominając o tym, że Weyry muszą chronić ludzi przed zagrożeniami.

— Ze strony Nici... — Paulin przypomniał młodszemu jeźdźcowi.

— Przed zagrożeniami — odparł tamten twardo. — Zamarznięcie na śmierć bez dachu nad głową w niebezpiecznych warunkach pogodowych to takie samo zagrożenie, jak Opad Nici.

Paulin przytaknął z aprobatą.

— Chyba zapomnę o waszej dzisiejszej wizycie — powiedział z uśmiechem. — M'shallu, nie wiesz przypadkiem, gdzie mieszka ten jedyny wuj Chalkina?

— Już o tym pomyślałem... ale nie zastaliśmy go tam. Dom był pusty. Aż nazbyt pusty. A przecież wiem, że jesienią Vergerin żył i miał się dobrze.



— Co masz na myśli, mówiąc „aż nazbyt pusty”? — spytał Paulin, notując jednocześnie imię wuja na kartce.

— Za dokładnie tam posprzątano. Nie tak — M'shall podniósł rękę, powstrzymując nieuniknione pytanie Paulina — jak to się robi po śmierci człowieka, ale tak, by się wydawało, że nikt nigdy tam nie mieszkał. Ale Vergerin wypielił wszystkie rośliny na dziedzińcu, jak każdy rozsądny dzierżawca. Ktoś porozrzucił wszędzie śmieci, żeby to ukryć.

— Czyżby Chalkin nas ubiegł? — Paulin zadał retoryczne pytanie, a potem powiódł wzrokiem po twarzach jeźdźców. — Uratujcie tych ludzi, zanim zginą od mrozu lub z rąk Chalkinowych zbirów. Chciałbym też z nimi porozmawiać, jak tylko przestaną się obawiać obcych. — Gdy M'shall już położył rękę na klamce, Paulin dodał: — Tylko bardzo was proszę, żadnych płomieni. Ktoś mógłby całą sprawę rozdmuchać ponad wszelkie wyobrażenie. K'vin wytrzeszczył oczy, udając, że przeraża go sama myśl o tym. M'shall rozejrzał się wokół.

— Niczego nie słyszałem, Paulinie — stwierdził sztywno, z godnością.

— Tak, jakbyśmy mogli... — rozżalił się K'vin, gdy wyszli z Warowni.

— Ja bym chciał — odpowiedział starszy jeździec z wysiłkiem. — W tym cała rzecz. Widzisz, znam Chalkina dłużej, niż ty.

Craigath i Charanth już czekali na swoich jeźdźców, gotowi do lotu.

— Zajmiesz się zachodnimi i północnymi przejściami, K'vinie? — spytał M'shall, zanim wsiedli na swe spiżowe bestie. — Sprawdziłeś, ile tam jest osób?

— Tak, a poza rym prowadzimy loty patrolowe, od kiedy Chalkin zamknął granice. Zulaya ostrzeże Tashviego i Salde, że zaczynamy akcję. Najpierw zabierzemy wszystkich do Weyru. Jesteśmy do tego całkowicie przygotowani.

— Dobra nasza, K'vinie — M'shall uśmiechnął się do kolegi. — Do roboty! — wskoczył na smoczą łapę, sprawnie podciągnął się i usadowił między dwoma pierwszymi grzebieniami.

Lecimy na pomoc? spytał Charanth K'vina.

Tak jest. Powiedz Meranath, że Zulaya może zaczynać. Spotkamy się z naszym skrzydłem przy drodze do Wodospadów. Zabierzemy też ze sobą Iantine'a.

Gdy K'vin dotarł do Telgaru, pierwsza grupa ratowników była już gotowa do startu. Wylądował tylko po to, by zabrać ze sobą malarza, posadził go z tyłu na Charantha i dał sygnał do lotu.

— Iantine, zrób jak najwięcej czarno-białych szkiców. Chcę przygwoździć Chalkina tymi dowodami.

Iantine był szczęśliwy, że zwrócono się do niego z tą prośbą. Mógł w ten sposób odplacić aroganckiemu Panu Warowni za chciwość i podłość. Jednak, gdy wylądowali na zaśnieżonym punkcie granicznym, odczuwał już tylko przerażenie i niesmak. Oszczędną kreską naszkicował „zagrodę” — drzewa powiązane linami, a w środku tłum drżących z zimna ludzi, którzy musieli stać w lodowatym błocie i w tłoku, gdyż nie starczyło miejsca, aby usiąść. Rysował zacięte twarze, zmarznięte, skulone z zimna ciała, grupki ludzi przytulonych do siebie, by dzielić się odrobiną ciepła. Niektórych odarto z ubrania, zostawiając tylko bieliznę. Otaczali ich ciasno inni więźniowie, by uchronić ich od zamrznięcia. Inni stali boso na szmatach i butach współtowarzyszy niedoli, a ich odmrożone stopy przybrały niebezpieczny odcień fioleto i bieli. Dzieci snuły się płacząc z głodu i zmęczenia, albo leżały jak nieprzytomne, w błocie u stóp dorosłych. Obok zobaczyli zeszywniałe ciała trojga zmarłych starców. Niemal nie widziało się twarzy, które nie byłyby poznaczone sińcami i splamione krwią.

Za to strażnicy nie marzli: ubrani w kilka warstw odzieży, grzali się przy ogniskach, nad którymi obracały się na rożnach kawały mięsa zwierząt należących do uciekinierów. Pozostały inwentarz powiązano i zamknięto w zagrodach, do późniejszego wykorzystania. Rzeczy więźniów ułożono na stosach obok strażnicy. Z tyłu stały pełne wozy i taczki. Iantine wiernie odtwarzał pierścienie, bransolety, a nawet kolczyki, którymi przyozdobili się strażnicy.

Przeraziło ich przybycie smoków, więc ukryli się w kamiennym budynku. Tym łatwiej przyszło transportować uciekinierów, chociaż wielu z nich było tak zszokowanych, że lękali się smoków i jeźdźców niemal tak bardzo, jak brutalnych nadzorców.

Zulaya zabrała ze sobą kilku zwykłych mieszkańców Weyru, co pomogło więźniom nabrać zaufania. Koce i ciepłe kurtki też się do tego przyczyniły. Zupa również zrobiła swoje... dla wielu był to pierwszy posiłek od czasu, gdy opuścili domy.

Dwóch rzeczy Iantine nie potrafił oddać na papierze: dźwięków i zapachów. Starał się jednak... pokazał otwarte usta krzyczących z przerażenia ludzi, ich obłąkany wzrok, pozwijane z bólu ciała, okrywające je gałgany, ludzkie odchody spiętrzone w stosy, gdyż strażnicy naturalnie nie zadbali także i o te ludzkie potrzeby, porzucone przedmioty i wozy. Dopiero teraz, gdy zobaczył prawdziwe cierpienie, zdał sobie sprawę, jak wiele miał szczęścia podczas krótkiego kontaktu z Lordem Warowni Bitra.

Wrócił do Weyru razem z ostatnią grupą. Pozwolił ręce odpocząć tylko na czas skoku w pomiędzy, szkicując nawet podczas lotu w notatniku opartym o plecy P'tera.

— Nawet na chwilę nie przerwałeś — krzyknął jeździec przez ramię. — Ręka ci

odmarznie!

Iantine pomachał tylko dłonią, by pokazać, że wszystko w porządku i dalej rysował. Dodawał szczegóły do szkicu, przedstawiającego zwłoki powieszono głowami w dół, do których strażnicy strzelali dla rozrywki. Odcięto je natychmiast po lądowaniu, więc miał tylko tyle czasu, by zaznaczyć zarysy, ale szczegóły dobrze utkwily mu w głowie pomimo ogromu pracy, wykonanej tego dnia. Musiał utrwalic wszystkich na papierze, inaczej czułby, że ich zdradził.

Gdy młody niebieski jeździec wysadził go przed wejściem do dolnej jaskini, Iantine, w dalszym ciągu rysując, znalazł jakoś miejsce przy stole w pobliżu paleniska, by się nieco rozgrzać — i móc sprawniej pracować. Palce powoli tajały i ołówek coraz szybciej śmigał po papierze.

Ktoś dotknął jego ramienia, Iantine aż podskoczył na krześle.

— To ja, Debera — zielona jeźdźczyni postawiła przed nim klan i miskę gulaszu. — Wszyscy już dawno zjedli. Ty też powinienes — powiedziała srogo, wyjęła mu z jednej dłoni ołówek, a z drugiej szkicownik. — Wyglądasz strasznie — dodała, przyjrzawszy się mu bliżej.

Sięgnął po notatnik, ale trzepnęła go po ręce i zabrała papier.

— Najpierw masz zjeść. Będiesz potem lepiej rysował. Ojej! — spojrzała na to, co szkicował i zasłoniła usta, a oczy rozszerzyły jej się z przerażenia. — To chyba niemożliwe.

— Rysowałem, co widziałem — odparł krótko i westchnął głęboko, z całego serca. Gdy wciągał powietrze, poczuł kuszący zapach gulaszu. Popatrzył w miskę pełną kawałków warzyw i mięsa. Naprawdę, tutaj potrafią wyczarować cuda z wherowego mięsa. Wziął łyżką, zaczął jeść i dopiero wtedy poczuł, jaką pustkę miał w brzuchu. Jedzenie niemal bolało... a potem mało brakowało, by odsunął miskę. Więźniowie Chalkina nie jedli przez trzy, a nawet cztery dni.

— Już wszyscy są najedzeni — szepnęła Debera.

Spojrzał na nią zaskoczony, a dziewczyna uspokajająco dotknęła jego ramienia, takim samym gestem, jakim gładziła Morath.

— Kiedy przedtem sama jadłam, czułam się podobnie — powiedziała i usiadła przy stole. — Zaharowywaliśmy się wszyscy, żeby ich nakarmić, kiedy Tisha kazała nam przerwać pracę i też coś zjeść — zaczęła kartkować szkicownik i z każdym nowym tragicznym rysunkiem twarz jej coraz bardziej poważniała. — Jak on mógł coś takiego zrobić?

Iantine pochylił się, łagodnie odebrał jej notes i zamknawszy go, położył między nimi.

— Wydał rozkazy — zaczął tłumaczyć.

— I dokładnie wiedział, do czego doprowadzą, nieprawdaż? Widziałam jednego z tych... strażników. Nawet mój ojciec nie przyjąłby kogoś takiego do pracy — postukała w szkicownik. — Nikt nie może przejść obojętnie wobec takich dowodów.

— Tym bardziej że jeźdźcy smoków mogą wszystko potwierdzić! — prychnął Iantine.

Skończył gulasz, wyprostował nogi pod stołem i potarł dłońmi twarz, która ciągle go szczypała po długich godzinach spędzonych na mrozie nad granicą.

— Wiesz co, Iantine, idź do łóżka — poradziła mu Debera, wstając. Rozejrzała się po jaskini, w której ledwie kilku jeźdźców i mieszkańców Weyru kończyło wieczorny posiłek. — Wszystkich już rozlokowano, ale może uda ci się znaleźć gdzieś miejsce do spania. Ja chyba też pójdę odpocząć. Ta moja Morath! Budzi się głodna jak wilk, niezależnie od tego, ile jedzenia dostała poprzedniego dnia.

Iantine uśmiechnął się, słysząc serdeczne ciepło w jej głosie. Wstał i zachwiał się lekko.

— Masz rację. Trzeba się wyspać. Dobranoc, Debero. Obserwował jak odchodzi zdecydowanym krokiem, wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Bardzo się zmieniła od czasu Naznaczenia. Uśmiechnął się znowu, zabrał szkicownik i powoli powędrował do komnatki.

Nie przydzielono mu na kwaterę żadnego uciekiniera, ale na materacu pod ścianą leżał Leopold. Nawet nie drgnął, gdy Iantine przygotowywał się do snu.

Okazało się, że liczba uciekinierów przekracza początkowe wyliczenia. Zapasy w obu Weyrach były na ukończeniu, więc Lordowie Warowni natychmiast zaczęli nadsyłać żywność i ofiarowali się przyjąć ludzi pod swój dach. Niektórzy Bitrańczycy jednak poważnie się przeziębili i nie można ich było od razu przewieźć do schronień w Neracie, Bendenie i Telgarze.

Zulaya dowodziła skrzydłem ratunkowym złożonym z pozostałych królowych i zielonych jeźdźczyń. Po powrocie kipiała z gniewu.

— Wiedziałam, że to chciwy dureń i idiota, ale nie sadyłam, że również sadyta. Na granicy przy Leśnym Trakcie były trzy ciężarne kobiety i zgwałcono je, gdyż później, naturalnie, nie będą mogły udowodnić strażnikom ojcostwa.

— Czy doszły do siebie? — spytał K'vin, wstrząśnięty kolejnym aktem okrucieństwa. — Dotarliśmy na Północną Przełęcz w sam czas, by uchronić trzech chłopców przed... niepożądanymi względami strażników. Skąd Chalkin wziął takich ludzi?

— Inne Warownie wykluczyły ich za niespołeczne zachowania lub przestępstwa

kryminalne — odparła Zulaya, niemal zapluwając się ze złości. — I do tego nadchodziła śnieżycą. Ledwo zdążyliśmy. Gdyby nie my, większość tych ludzi rano już by nie żyła. Na nic im nie pozwolono! Nawet na rozpalenie ognia dla rozgrzewki!

— Wiem, wiem — powtarzał, równie rozgoryczony takim sadystycznym zachowaniem, jak ona. — Powinniśmy dać tym strażnikom odczuć nieskończone zimno. Niechby posmakowali długiego pobytu w pomiedzy. Ale to byłaby za łatwa śmierć.

— W dalszym ciągu możemy to zrobić — zazgrzytała. Popatrzył na nią ze zdumieniem. Odpowiedziała wściekłym spojrzeniem, zaciskając pięści. — Ach; wiem, że to niemożliwe, ale tak bym chciała! Zabrałeś ze sobą Iantine'a? Doszłam do wniosku, że robione na miejscu szkice bardzo by się nam przydały.

— Nie musiałem, sam poprosił, żeby go zabrać. Ma teraz co pokazać Lordowi Paulinowi i Radzie — powiedział K'vin i przełknął ślinę na wspomnienie brutalnych w swej bezpośredniości rysunków, które wypełniły cały szkicownik. Szybki ołówek Iantine'a uchwycił rzeczywistość i nadał jej dodatkową głębię dzięki oszczędnej kresce, którą przedstawiał sceny jawnego okrucieństwa.

Przywódcy Weyru poszli powitać uciekinierów i rozpoczęli rozmowę z parą starszków.

— Dziad mojego dziada przybył do Bitry z Panem Warowni, co wtedy nastąpił — powiedział mężczyzna, nerwowo przenosząc wzrok z K'vina na Zulayę i z powrotem. Bezustannie przebierał zabandażowanymi palcami, choć N'ran zapewnił go, że ból i swędzenie zostały stłumione sokiem fellisowym i balsamem z mrocznika. — Nazywam się Brookie, a moja kobieta to Ferina. Od tamtych czasów żeśmy robili w ziemi. Nie skarżyłim się, choć on ciągle chciał więcej dziesięciny a z pola rodzi się tyle, co ma się urodzić i już, żeby nie wiem kto brał się do pług. Ale takie to pańskie prawo.

— Ale maciory zabrać nie miał prawa, o nie — włączyła się kobieta, z buntowniczą miną. — Trzeba nam było więcej prosiaków, żeby zapłacić daninę, co on ją naznaczył — podobnie jak mąż, zaakcentowała zaimpek. — A i naszą córkę zabrał do roboty w Warowni, jak mu się zachciało ziemi, co jej była należna. Powiedział, że nie za dobrze robimy na tym, co mamy i więcej nijak nie dostaniemy.

— Naprawdę? — Zulaya spytała zwodniczo łagodnym tonem, rzucając K'winowi znaczące spojrzenie. — To bardzo ciekawe, gospodyni Ferino.

K'vin pozazdrościł jej pamięci do nazwisk.

Mogłeś mnie zapytać, stwierdził chętny do pomocy Charanth.

Słuchałeś rozmowy?

Ci ludzie potrzebowali pomocy smoków. Słucham ich. Wszyscy słuchamy.

Smoki okazały współczucie, a to wystarczające usprawiedliwienie dla tego, co się stało, na wypadek, gdyby Rada zajęła sztywne stanowisko, pomyślał K'vin. Koniecznie trzeba o tym powiedzieć Zulayi.

— Ale on mówi, że nam się coś pomyliło, a nigdzie nie ma nauczyciela, żeby się spytać — tłumaczył stary. — Ano właśnie, przecież dzieciom należy się nauczyciel.

— Pewnie. Muszą umieć przeczytać Kartę i poznać wasze prawa — potwierdziła stanowczo Zulaya. — Zaraz dam wam egzemplarz, żebyście sobie wszystko przypomnieli.

Starsi ludzie wymienili spłoszone spojrzenia.

— Właściwie — wybrnęła gładko Zulaya — lepiej, żeby ktoś je wam odczytał... będzie ci ciężko odwracać kartki zabandażowanymi palcami prawda, Brookie? Ty też nie najlepiej się czujesz, Ferino...

Kobiecie udało się przywołać na wargi nerwowy uśmiech.

— Ano, to by mi się spodobało, Władczyni Weyru. Bardzo, ale to bardzo. Nasze prawa są gdzieś wypisane? W tej całej Karcie?

— Wasze prawa, jako gospodarzy, są częścią Karty — Zulaya rzuciła K'winowi kolejne żalose spojrzenie. — Wszystko tam jest, w najdrobniejszych szczegółach. — Wstała gwałtownie. — Posiedźcie tu sobie na słońcu, przyjaciele — wskazała na ścianę, gdzie wygrzewali się w ciepłe zachodzącego słońca niektórzy starsi mieszkańcy Weyru. — Dopilnujemy, żebyście wszystko słyszeli, a potem możecie pytać, o co zechcecie.

Pomogła im wstać i podprowadziła kawałek przez Nieckę, a K'vin zawołał Leopola.

— Biegnij i przynieś mi egzemplarz Karty, dobrze, chłopcze?

— Mam ją im potem przeczytać? — spytał chłopak, a w jego oczach załśniła przekora i cień dumy, że udało mu się odgadnąć zamiary dorosłego.

— Niezły z ciebie mądrała, wiesz? — roześmiał się K'vin. — Nie, zdaje mi się, że powinien to zrobić T'lan — wskazał siwego spiżowego jeźdźca, który podawał uchodźcom kłah. — Leć już po tę Kartę. Sam poproszę T'łana o przy sługę.

Leopol popędził, jak zwykle, a K'vin podszedł do starszego pana, który doskonale radził sobie ze zdenerwowanymi, przerażonymi gospodarzami.

Bridgely przybył do Weyru Benden z twarzą nabiegłą krwią, nie wiedząc, czy ma wybuchnąć gniewem, czy śmiechem.

— Cóż za nieprawdopodobną bezczelność okazuje ten człowiek! Nieziemską, nieprawdopodobną bezczelność! — ryknął i rzucił na stół wiadomość.

Wylądowała bliżej Ireny, niż M'shalla, więc to ona ją podniosła. — Od Chalkina? — wykrzyknęła, spoglądając na Bridgely'ego.

— Przeczytaj... i poproszę o wino, M'shallu. Będziesz tak miły? — Lord Warowni osunął się na krzesło. — Wiedziałem, że ten człowiek odznacza się wyjątkową bezwstydną, ale coś takiego... to już szczyt.

— Cśś — uciszyła go Irena. W miarę czytania, jej oczy stawały się coraz okrągłejsze. — Ach, to niemożliwe! Posłuchaj tylko, M'shallu: „Ta Warownia ma prawo do korzystania z posłańców na smokach. Odpowiednia chorągiew w czerwone pasy została całkowicie zignorowana, choć moi strażnicy widywali smoki na tyle blisko, że jeźdźcy musieli wiedzieć o potrzebie wysłania pilnej wiadomości. Zatem, muszę dodać...” — Pochyliła się nad papierem. — Cóż za okropny charakter pisma... ach, „zaniedbanie obowiązków”... naprawdę, że też on ma śmiałość o tym pisać... „zaniedbanie ich podstawowych obowiązków, do innych skarg, które zmuszony jestem przedstawić. Nie tylko ingerują w zarządzanie naszą Warownią, lecz sięją bezczelne kłamstwa w umysłach mych lojalnych poddanych. Domagam się natychmiastowego ukrócenia tego procederu. Nie są dość odpowiedzialni, by wykonywać obowiązki, które przyjęli na siebie w ramach swych wielce ograniczonych środków”. Ograniczonych środków! — Irena aż zbladła ze złości. — Już ja mu wyznaczę granice!

— Szczególnie teraz, gdy wiemy co nieco o tym, jak traktuje swych lojalnych poddanych... — powiedział M'shall z miną bardziej ponurą, niż zwykle. — Zaraz, zaraz. Kiedy on to wysłał?

— Pięć dni temu — odparł Bridgely, uśmiechając się złośliwie. — Musiał poruczyć to konnemu. Z tego, co mi mówił kurier, podobne listy poszły również do Neratu i Telgaru. Gdy dojdiesz do końca, Ireno, dowiesz się, że życzy sobie — tu wskazał na odpowiedni fragment pisma — abym powierzył je odpowiedzialnemu posłańcowi i dostarczył do Lorda Paulina. Zamierza złożyć oficjalną skargę Przewodniczącemu Rady. Zdaje mi się — uśmiechnął się sucho — że dostanę następny taki list, gdy nasz przyjaciel dowie się o wczorajszej napowietrznej akcji ratunkowej.

— Ten człowiek... — Irena przerwała, nie mogąc znaleźć słów. — Kiedy pomyślę, jak potraktował tych nieszczęśników...

— A gdy będzie musiał udzielić wyjaśnień, pewnie zacznie skamlać, że strażnicy przekroczyli uprawnienia... a on ich wszystkich powyrzucał za karę. — Bridgely cynicznie wzruszył ramionami.

— Ach... nie wszystkich — odparł M'shall i podrapał się po głowie. — Wiecie...

pytali, dlaczego wozimy hołotę, a oni nie mogą się przejechać na smoku...

— Nie zrobiłeś tego chyba, M'shallu? — wykrzyknęła Irena, rozwierając szeroko oczy w radosnym oczekiwaniu. — Nie spuściłeś ich w dół z wysokości, prawda?

— Niestety — wzruszył ramionami z udawanym żalem. — Ale uznał że mądrze będzie... uprowadzić? Tak, to właściwe słowo... uprowadzić niektórych, na wypadek, gdyby musieli stanąć przed Radą i dokładnie wyjaśnić, jakie to rozkazy im wydano.

— Aha — Bridgely zamyślił się.

— No cóż, można powiedzieć, że działałem wybiórczo — M'shall w dalszym ciągu miał ponurą minę. — Najpierw dowiedziałem się, kto przyłożył ręki do zabójstw i zebrałem świadectwa pokrzywdzonych. Jak wiecie, nawet strażnicy działający z upoważnienia Lorda Warowni, nie mogą przeprowadzać egzekucji bez sądu.

— Ach, rzeczywiście byłeś niezwykle przewidujący — Bridgely pokiwał głową ze zrozumieniem. — Nie wolno nam z tym wszystkim czekać aż do końca Obrotu. Przekażę te informacje Jamsonowi i Azury'emu.

— Sam cię chętnie zawiozę i przedstawię stanowisko Weyru — oświadczył M'shall. — Właściwie — sięgnął po pismo Chalkina — możesz im to przy okazji dostarczyć, Bridgely.

— Jesteś niezwykle troskliwy, Przywódco Weyru — odparł Bridgely, skłonił się z eleganckim zawijaszem i przybrał niezwykle zadowoloną minę.

— Zawsze do usług, Lordzie Warowni — M'shall odpowiedział dworskim ukłonem.

— Kiedy znajdziesz chwilę wolną od obowiązków, Przywódco?

— Właśnie teraz mogę się oderwać od nich na godzinę lub dwie, gdyż jestem przekonany, że to odpowiednia pora, by odwiedzić zachodnią część kontynentu...

— Och, przestańcie pleść te bzdury i jedźcie wreszcie! — w głosie Ireny brzmiało rozbawienie, choć udawała, że udziela im nagany. Żarty te pozwoliły jednak nieco rozładować napięcie, panujące w Weyrze.

## **ROZDZIAŁ X**

WEYRY DALEKICH RUBIEŻY,

BOLL I ISTA; WEYR DALEKICH RUBIEŻY,

WAROWNIE FORT I TELGAR.

— Doprawdy, M'shallu, Bridgely — rzekł Jamson, poprawiając szatę, przygniecioną, gdy niespokojnie kręcił się na krześle. W Dalekich Rubieżach zawsze było zimno, a gabinet



Jamsonanie stanowił niestety wyjątku. Lord Bendenu cieszył się, że nie zdjął futer do jazdy na smoku i nawet nie próbował rozpinąć kurtki, ani zdejmować rękawicy z lewej ręki. Prawą obnażył, by powitać Jamsona zwyczajowym uściskiem dłoni. Zauważył, że M'shall poszedł w jego ślady. — Nie wierzę, by Lord Warowni mógł w ten sposób potraktować ludzi, od których przecież jest uzależniony. Nie w środku zimy.

— Widziałem to na własne oczy, Lordzie Jamsonie — powiedział M'shall stanowczo. — Uznałem też, że dobrze byłoby poprosić kilkunastu strażników o pozostanie w Weyrze, abyś sam mógł się dowiedzieć, jakie im wydano rozkazy.

— Ale w tym piśmie Chalkin uskarża się, że nie zapewniliście mu grzecznościowych usług przewozowych — Jamson zmarszczył brwi.

— Gdybyś zobaczył to, co ja, Lordzie Jamsonie, sam byś się nie śpieszył do świadczenia przysług temu człowiekowi — powiedział M'shall z nieruchomą twarzą.

— Jamson, przestań wreszcie strugać sztywniaka — Bridgely nie musiał przesadzać z uprzejmością wobec swego rówieśnika. — Nerat i Telgar przyjmują uchodźców, podobnie jak Benden. Możesz porozmawiać z kim zechcesz, a przekonasz się o niesłychanej perfidii Chalkina...

— Z przyjemnością zawiozę cię, gdzie tylko zechcesz — zaproponował M'shall.

— Mam własny Weyr — odparł sztywno Jamson — w razie konieczności podróży. Przy takiej pogodzie nie chciałbym jednak ruszać w drogę bez potrzeby.

Miał rację, gdyż Dalekie Rubieże były otulone śniegiem, a lód trzaskał pod stopami przy każdym kroku.

— Zgoda — odparł Bridgely. Z trudem powstrzymywał się od dygotania i zastanawiał się, czy to Jamson tak oszczędza na paliwie, czy też system ogrzewczy w Warowni także uległ awarii technicznej ze starości. — Bez trudu zrozumiesz więc, że tylko ostateczność przywiodła mnie tutaj z prośbą, byś zmienił decyzję co do podjęcia ostatecznych kroków przeciw Chalkinowi. Wczoraj w nocy ludzie pozamarzaliby na granicy z Bitrą! — gwałtownym gestem wskazał na wschód.

— Nie ma na ten temat nawet wzmianki — powiedział Jamson, wpatrując się w leżący na stole list.

— Bez wątplenia roześle dłuższe pismo w tej kwestii — odparł Bridgely z głęboką ironią. — Jednak to, co widziałem, skłoniło mnie do udzielenia natychmiastowej pomocy.

— Jak ci wiadomo, Lordzie Jamsonie — dodał M'shall — Weyry są również niezależne i mogą odmówić usług, jeśli istnieje po temu odpowiednie uzasadnienie. Jestem pewien, że miałem rację, podejmując taką decyzję. Chodź, Bridgely. Zajmujemy Lordowi

Jamsonowi jego cenny czas. Do widzenia panu.

Zanim oniemiały Pan Dalekich Rubieży zareagował na tę niesłychaną bezczelność, obaj mężczyźni wyszli z komnaty.

— Na honor! A ja zawsze sądziłem, że M'shall jest rozsądnym człowiekiem. Dzięki niebiosom, że G'don to solidny Przywódca Weyru i zachowuje się przewidywalnie... Po prostu nie usuwa się Lorda Warowni z dnia na dzień. W dodatku tuż przed Opadami Nici! — głębiej wsunął dłonie w rękawy podszytej futrem kurtki.

Azury był tak wstrząśnięty, że nawet nie skomentował rzekomego „odstąpienia od obowiązków przez M'shalla”.

— Naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, co się tam dzieje — powiedział.

W odróżnieniu od Dalekich Rubieży, w Południowym Bollu było gorąco. Bridgely pożałował, że nie założył lżejszej koszuli. Choć na ganku ozdobionym jakąś rośliną o długich kiściach pachnących, różowych kwiatów, byli dobrze osłonięci przed porannym słońcem musiał rozpiąć kołnierzyk i podwinąć rękawy, żeby się wreszcie poczuć swobodnie.

Azury zaproponował im napój owocowy. Zanim go przyniesiono, Bridgely'emu tak zaschło w gardle, że z przyjemnością pociągnął łyk chłodnego, aromatycznego płynu.

— Wiem, że na Chalkinie nie można... polegać, łagodnie mówiąc — Azury uśmiechnął się ironicznie. — Poza tym, straciłem tyle marek w urządzanych przez niego grach... losowych, że zacząłem się poważnie zastanawiać nad jego uczciwością. Ale... — pokręcił głową. — Lord Warowni po prostu nie ukrywa przed swoimi ludźmi faktów, od których zależy ich życie albo śmierć, takich, jak Opad Nici. Czy on rzeczywiście uważa, że nie opadną? Że wszyscy jesteśmy bezmyślnymi durniami?

— To on jest bezmyślnym durniem — odparł Bridgely. — Z jakiego innego powodu genetycy sprzed lat stworzyliby smoki? Po co rozwijałoby tę wyjątkową strukturę społeczną, która stwarza im warunki do rozwoju i treningu, gdyby nie myśleli o przyszłości? — spojrzał na M'shalla, który odpowiedział jedynie uniesieniem brwi. — Czyż nie mamy wizualnych dowodów na istnienie Nici, które nam wszystkim wyświetlano od dziecka? A może brak też całych ton dokumentów na ten temat, co? Nie, to wszystko sami sobie wymyśliliśmy, wyłącznie po to, żeby utrudnić życie Chalkinowi z Bitry!

— Nawracasz nawróconego, Bridge — zażartował Azury. — On jest niepospolitym durniem, jeśli myśli, że wygra walkę z resztą planety i przeprowadzi swoją wolę. Ale — pochylił się w przód na wiklinowym krześle, które cicho zaskrzypiało — gospodarze też potrafią zmyślać, oj, potrafią...

— A ja potrafię na odległość wyczuć łobuza i lenia, równie dobrze jak ty, Azury —

Bridgely przysiadł na brzegu fotela, który też zareagował skrzypieniem na przesunięcie się ciężaru. — Ładny mebel... Możesz porozmawiać po kolei ze wszystkimi, których zabraliśmy do siebie... im prędzej, tym lepiej, bo przekonasz się, w jakim byli stanie, zanim ich uratowaliśmy.

— Chyba rzeczywiście obejrzę to sobie na własne oczy — odpowiedział Azury i zważo uniósł dłoń. — Bynajmniej nie dlatego, że wątpię w twoje słowa, ale usunięcie kolegi z Warowni... zaniepokoi wszystkich.

— To możliwe, ale mnie o wiele bardziej niepokoi coś innego: Warownia, która jest całkowicie nieprzygotowana do Opadu Nici — Bridgely dotknął kciukiem jego piersi.

— Też racja — przyznał Azury. Spojrzał przez ramię i kiwnął palcem na sługę, nakazując mu przynieść strój do jazdy. — Mówisz, że Jamson się nie zgadza? Czy taką decyzję trzeba podjąć jednogłośnie?

— Tak — Bridgely zacisnął usta z wrogą miną.

Azury podziękował uśmiechem za przyniesienie odzieży.

— To pewnie byście chcieli, żebym swoją osobą wzmocnił drugą delegację, która pojedzie do Dalekich Rubieży, co?

— Jeśli uważasz, że uda ci się przekonać Jamsona. Azury tupnął, wdziewając buty.

— On może się upierać przy swoim zdaniu z czystej przekory, ale zobaczymy. Zajęli się tym Tashvi, Bastom i Franco, a wiem, że i Paulin się denerwuje. To kto nam zostaje? Richud z Isty? Dobrze, wystarczy nam większość. Wstał. — Lećmy już, bo zaraz będę pływał we własnym pocie.

Azury porozmawiał ze wszystkimi czternastoma uciekinierami, w dalszym ciągu pozostającymi w Bendenie. Byli zbyt słabi, by ich przewozić. Odpytał też trzech strażników.

— Nie za bardzo chcieli gadać — mówił potem, a jego błękitne oczy w opalonej twarzy jarzyły się gniewem — ale pewnie niedługo zaczną się zastanawiać, co im Chalkin da w zamian za taką lojalność. Twierdzą uparcie — uśmiechnął się błyskając białymi zębami — że napadł ich przeważający liczebnie tłum podnieconych szaleńców i wariatów, więc musieli użyć siły, żeby ich pohamować do czasu, gdy dostaną z Warowni odpowiednie rozkazy.

— Trochę to się nie zgadza z wersją podaną przez podnieconych szaleńców i wariatów, nieprawdaż? — odpowiedział M'shall.

— Zaiste, nie zgadza się. — W uśmiechu Azury'ego nie było śladu wesołości. — Ciekawe, że strażnicy wyszli z tej opresji bez jednej blizny, a tłum podnieconych szaleńców odniósł przeróżne rany i kontuzje. Widać, że prawdę nagina się tu na wszelkie możliwe sposoby. Mimo to jasno ją widać, jeśli ktoś ma oczy do patrzenia i uszy do słuchania.

— Dobrze powiedziane — przytaknął Bridgely.

— To jedźmy zobaczyć się z Richudem.

Lorda Warowni Ista było trochę trudniej znaleźć, bo wziął wolne popołudnie i wybrał się na ryby, co było jego ulubionym zajęciem.

Kapitan portu nie potrafił nawet powiedzieć, w jakim kierunku popłynął.

— Jest razem z delfinami... niech smok zacznie zataczać koła, to może go wypatrzycie. Mały jacht z czerwonym żaglem, otoczony wielkim stadem delfinów. Richud twierdzi, że one go rozumieją. Może i ma rację — stary człowiek podrapał się w głowę i uśmiechnął z rozbawieniem na samą myśl.

— To prawda, tak mówią kroniki — odpowiedział Azury. — Moi rybacy zawsze się za nimi rozglądają, gdy wpływają w Prąd.

— Ano, niech i tak będzie — zgodził się kapitan i wrócił do nudnego zajęcia: liczył saki na kryla, wyciągnięte na brzeg w ciągu poprzedniego tygodnia.

Craigath krążył ze swymi pasażerami wysoko, zataczając spiralę, której ośrodkiem był Port Ista. To on dostrzegł łódkę i zanurkował ku niej! w powietrzu, wykorzystując siłę potężnych skrzydeł.

Pomimo szerokich pasów bezpieczeństwa, którymi był przypięty do smoczego grzbietu, Azury rozpaczliwie uchwycił się Bridgely'ego, a ten z kolei zaniepokoił się, że smoczy jeździec będzie miał siniaki, tak mocno

go złapał w pasie.

M'shall tylko odwrócił głowę z uśmiechem i poruszał ustami, jakby coś mówił, ale pęd lotu porwał jego słowa. Bridgely patrzył na zbliżającą się z zawrotną szybkością powierzchnię morza i aż się przegiął do tyłu. Nie raz latał na smokach i nie przerażały go ich figle, ale nigdy nie opadał z taką szybkością i pod tak ostrym kątem. Złapał się mocniej pasów i tłumaczył sam sobie, że tchórzostwem byłoby zamknąć teraz oczy. W chwili, gdy wszystkim wydało się, że Craigath zaraz nadzieje się na maszt jachtu — który zdaniem Bridgely'ego wcale nie był taki mały — spiżowy smok wyrównał lot tak nisko, że przestraszył dwóch marynarzy, którzy obserwowali, jak Richud walczy z wędką, niemal zgiętą na pół od ciężaru ryby, którą złapał, a teraz starał się wciągnąć na pokład.

— Znajdź dla nas wolną chwilę, Lordzie Richudzie — zawołał M'shall, złożywszy dłonie przy ustach.

Richud spojrział przez ramię raz, potem drugi, i stracił kontrolę nad wędką i rybą. Kołowrotek zaczął szaleńczo wirować, gdyż puścił żyłkę.

— Przestańcie się tak skradać! Patrzcie, co narobiliście! Do diaska. Czy ja nie mogę sobie od czasu do czasu zrobić wolnego? Chyba stało się coś bardzo złego, jeśli wybraliście się aż w trójkę tak daleko na południe.

Podał wędkę marynarzowi i przeszedł na sterburtę. Od niespodziewanych gości dzieliła go wciąż spora odległość.

— Zaprosiłbym was na pokład, ale smok by nas zatopił — powiedział.

— Nie ma problemu — odpowiedział M'shall, a jego wzrok stracił ostrość, gdy rozmawiał ze swym smokiem. — Mógłbyś nas podwieźć trochę bliżej, Craigath?

Oczy smoka połśniewały błękitem i wirowały szybko, gdy wylądował na wodzie, złożony gładko skrzydła wzdłuż kręgosłupa. Lewą łapą chwycił reling i przyciągnął się, razem z pasażerami, do samego kadłuba. Pod jego ciężarem jacht zaczął przechylać się na burzę.

Żagle straciły wiatr i bom przelatywał z jednej strony na drugą, lecz już po chwili, równie niespodziewanie jak przedtem, płótno znów się wydeło i jacht ruszył przed siebie z poprzednią szybkością.

M'shall zaśmiał się i poklepał Craigatha po szyi, zachwycony całym manewrem.

— Co to jest? Jak on to robi? Co się dzieje, u licha? — zdumiony Richud patrzył to na smoka, to na jacht, a w końcu na M'shalla.

Wiosłuje łapami, żeby utrzymać nas na kursie — odpowiedział Przywódca Weyru.

Świetna zabawa. To lubię, Craigath poinformował swego jeźdźca.

— Mówi, że mu się to podoba — dodał M'shall.

— Nie złamie relingu, prawda? — Richud z pewnym niepokojem spoglądał na potężną łapę zaciśniętą na metalowym słupku.

Smok pokręcił głową. Jest łamliwy, więc będę trzymał go lekko.

— Bardzo dobrze. Mówi, że zdaje sobie sprawę z jego łamliwości — przekazał M'shall po chwili.

— Niemożliwe — Richud potrząsnął głową. — Chyba użył słowa „łamliwy”?

— Użył. Craigath ma bogate słownictwo. Wiesz, jak wyraża się Irena... No cóż, mój przyjaciel musi dorównywać Maruth, prawda?

Smok kiwnął głową.

— Mniejsza o to. Nigdy nie widziałem, żeby Ronelth albo Jemath tak pływali — mruknął Richud. — A więc, jakiej to pilnej sprawie zawdzięczamy waszą wizytę?

— Chalkinowi natychmiast trzeba odebrać władzę. Warownia jest autonomiczna, póki jej Lord nie przekroczy swych praw — zaczął Bridgely, a potem opowiedział Istańczykowi w

szczegółach o okrucieństwach Chaltona.

— Nie miałem pojęcia, że wygnał ludzi. Przecież tam jest zima i grozi im zamarznięcie na śmierć.

— Nie tyle grozi, ile już zagroziło — wyjaśnił M'shall.

— Byli w strasznym stanie, Richudzie — dodał Azury. — Poleciałem tam i widziałem wszystko na własne oczy. A strażnicy... — tylko machnął ręką. — Sam wiesz, jakich ludzi zatrudnia Chalkin.

— Wiem. Brutali, leni, łajdaków i podleców, takich jak ci artyści, co ich posyła na Zgromadzenia — odpowiedział Richud i zamyślił się. — Czy ktoś kiedyś skorzystał z punktu mówiącego o odebraniu Warowni?

— Nie, to miało być jedynie zabezpieczenie. A w Bitrze prawie wszyscy potrzebują zabezpieczenia... szczególnie teraz, gdy nadchodzą Nici.

Craigath puścił reling i nieco się oddalił od jachtu. Nagle zadrżał od ogona do głowy.

To miłe. Zrób tak jeszcze.

Z kim rozmawiasz, Craigath?— spytał M'shall surowo, zły, że musiał złapać smoka za grzebień na szyi i podnieść wysoko nogi, by nie zalała ich nagła fala. Pasażerowie reagowali równie szybko, by uniknąć zmożenia.

Delfiny mnie łaskoczą.

Chcą się bawić, co? Niestety, przyjacielu, innym razem. Mamy jeszcze dużo roboty. Przepraszam was za to. Delfiny łaskotały Craigatha.

— To smoki miewają łaskotki? — spytał zdumiony Bridgely.

— Pewnie, że tak. Na brzuchu.

Delfiny wypłynęły spod smoczego brzucha i wyskakiwały wysoko w powietrze, a potem nurkowały do wody i śpieszyły w ślad za jachtem.

— I co teraz? Znow bierzemy się za Jamsona? — spytał M'shall, gładząc serdecznie spizowego smoka po szyi. Z rozbawieniem zauważył, że Richud z powrotem wziął wędkę i właśnie zakładał na nowo przynętę.

— Trzeba będzie go zmusić, żeby poleciał z nami do Bendenu i zobaczył wszystko na własne oczy, tak jak ty, Azury. — Bridgely zadygotał na samą myśl, że trzeba będzie wracać do lodowatych Dalekich Rubieży.

Zabierzcie z sobą rysunki, zaproponował Craigath ku zdumieniu swego jeźdźca. Smoki rzadko udzielały rad nie prośzone, ale Craigath, zdaniem M'shalla był niezwykle inteligentny.

— Jakie rysunki? — spytał.

— Rysunki? Jakie rysunki? — powtórzył Bridgely jak echo.

Maruth mówi, że są rysunki. W Telgarze.

— W Telgarze?

— Ach, ten młody malarz — wykrzyknęli chórem Bridgely i M'shall.

— Jaki malarz? — chciał wiedzieć Azury.

Bridgely wyjaśnił, o kogo chodzi.

— Bardzo dobry pomysł, jeśli Jamson uzna szkice za autentyczne — odpowiedział Azury sceptycznie.

Miał zupełną rację.

— A skąd wiadomo, że tak było w rzeczywistości? — zapytał Lord Dalekich Rubieży, przekartkowawszy realistyczne, dokładne w szczegółach szkice z notatnika Iantine'a. — Zdaje mi się, że całą sprawę nieprawdopodobnie rozdmuchano — zamknął szkicownik w połowie, nie obejrzawszy do końca rysunku obnażonych wisielców.

— Wątpisz w moje słowa, Jamson? — spytał Azury. — Byłem tam niedawno i rozmawiałem z tymi ludźmi... — przewracał kartki aż natrafił na jednego ze swoich rozmówców. — Na przykład z nim. Jestem przekonany, że mówił prawdę. Przez cztery noce trzymano go na polu, jak zwierzę, bez jedzenia i picia. Zwilżał usta śniegiem, który zbierał z ziemi. Była z nim żona i wiekowi rodzice. Wszyscy zmarli z zimna, mimo że w Bendenie zajęto się nimi troskliwie.

— Nie pojmuję, Azury — powiedział Jamson swym najbardziej pompatycznym tonem — dlaczego ty nie zadowolasz się zarządzaniem własną Warownią. Niech Chalkin zajmuje się swoją. Ma prawo.

— Nie ma prawa do okrutnego traktowania swoich ludzi — odparł Azury gorąco.

Jamson odpowiedział zimnym spojrzeniem.

— Paru leniwych gospodarzy...

— Paru? — wybuchnął zdesperowany Bridgely, świadom, że w ten sposób kompletnie kładzie całą misję. — Raczej powiedz parę setek, Jamsonie. Gdy w grę wchodzi tyle osób, naprawdę trzeba coś zrobić!

— Na mnie nie licz, Bridgely. To moje ostatnie słowo — skrzyżował ramiona na piersi i patrzył wściekle na swych rozmówców.

— Jamsonie — zaczął Azury bardzo spokojnym, chłodnym głosem. Odsunawszy Bridgely'ego na stronę pochylił się nad okutany w futra Lordem. — Ja również byłem sceptyczny, gdy Bridgely do mnie przyjechał. Nie wierzyłem w to, co mówił i do głowy mi nie przychodziło, że proponuje słuszne rozwiązanie tego problemu. Odebranie władzy i

stanowiska komuś z naszego grona to poważna decyzja, więc nie pojmowałem, dlaczego Bridgely robi tyle hałasu o kilku mało ważnych gospodarzy. Poza tym Bitra znajduje się daleko od Południowego Bollu i nic, co tam się dzieje, nie ma wpływu na moją Warownię. Ale doskonale rozumiem argument, że żadna Nić nie może zakopać się w ziemię na Północnym Kontynencie. Uznałem więc, że moim obowiązkiem jest sprawdzić te pomówienia osobiście.

Teraz dysponuję świadectwem własnych oczu i uszu. Widziałem również rozbieżności między zeznaniami strażników a dowodami, które osobiście oglądałem. Sytuacja w Bitrze jest tragiczna i należy ją natychmiast naprawić. Jako inteligentni, odpowiedzialni przywódcy, nie możemy pozwolić, by coś takiego nabrzmiewało jak wrzód i w końcu rozlało się po całym kontynencie. Ta sytuacja godzi w istotę naszego społeczeństwa, w Kartę, w podstawę wszystkiego, co zbudowaliśmy. Nie możemy jej potraktować obojętnie, jako wewnętrznych problemów niezależnej Warowni. Jako człowiek honoru i Lord Warowni powinien osobiście zbadać tę sprawę, a potem wydać przemyślaną decyzję. Jedź z nami do Bendenu, przynajmniej rozwiejesz swe wątpliwości i dowiesz się o wszystkim z pierwszej ręki, tak jak ja.

— Ja nie mam wątpliwości — odparł na to Jamson. — Karta powiada jasno, że Lord Warowni jest niezależny w granicach swej posiadłości. Wszystko co robi, to jego prywatna sprawa i koniec. Proponuję więc, żebyście przestali w to wtykać ciekawskie nochale, skończyli z wydumanymi oskarżeniami, i to już! — Zadzwoił trzymanym w ręce dzwonkiem, a kiedy w odpowiedzi na sygnał jego najstarszy syn otworzył drzwi, powiedział: — Panowie odjeżdżają. Wyprowadź ich.

Bridgely nabrał powietrza, ale nagły kuksaniec Azury'ego w brzuch pozbawił go oddechu. Bez słowa pozwolił mu się wyprowadzić z komnaty.

— On cię i tak nie będzie słuchał, żebyś nie wiem co powiedział — wyjaśnił Azury, przepaszającym gestem wygładzając jego kurtkę.

— Obawiam się, że Lord Azury ma rację — przyłączył się M'shall.

— Przyjechaliście w sprawie Bitry? — spytał syn Jamsona, opierając się całym ciałem o ciężkie drzwi do komnaty, by je dokładnie zamknąć. — Jestem Gallian, jego najstarszy syn. Sprawuję funkcję majordoma.

— Słyszałeś wszystko?

— No cóż, drzwi były niedomknięte — odparł Gallian, wcale nie wstydząc się podsłuchiwania. — Poprzednio też tu byłem. Ojciec ma od czasu do czasu zaniki pamięci, więc jeden z nas zawsze stara się być w pobliżu podczas ważniejszych spotkań. Czasami



placzą mu się fakty.

— Czy jest jakaś szansa, żebyś wyjaśnił mi powód naszej wizyty i nakłonił go do pomocy?

— Mógłbym zobaczyć te szkice? — wyciągnął rękę.

— Naturalnie — Bridgely włożył w nią notatnik.

— To straszne — stwierdził Gallian. Kręcił głową, oglądając przygnębiające sceny. Jednej, czy dwóm przyglądał się przez dłuższą chwilę. — Naprawdę tak było? — spytał Azury'ego.

— Tak, jeśli prawidłowo oceniłem stan ludzi, którzy przebywają jeszcze w Bendenie — brzmiała odpowiedź.

Zadzwieczał dzwonek. Gallian oddał szkicownik.

— Zrobię, co będę mógł. I to nie dlatego, że od dawna uważam Chalkina za złodzieja i oszusta. Muszę już iść. Znajdziecie sami drogę do wyjścia, prawda?

— Naturalnie.

— Czy ten chłopak może cokolwiek zmienić? — dopytywał się M'shall, gdy szybko zbiegali po schodach do frontowych drzwi i dalej, na mroźne powietrze.

— Trudno przewidzieć — odparł Azury. — Ach, do diaska, tu jest zimniej, niż pomiędzy. Zabierzcie mnie z powrotem do mego słońca, i to szybko.

— A zniesiesz jakoś krótki przystanek w Warowni Fort? — Bridgely uśmiechnął się słysząc, jak południowiec podzwania zębami.

— Pewnie. Domyślam się, że to taktyczna konieczność w walce z tym całym Chalkinem.

M'shall z aprobatą pokiwał głową, skoczył na grzbiet Charantha i pomógł im wsiąść.

Umiarkowany klimat w Forcie nie był najcieplejszy, ale i tak przyjemniejszy niż w Dalekich Rubieżach. Jeszcze cieplejsze było powitanie Paulina, który namówił ich na kubek grzanego wina, gdy usłyszał całą opowieść.

— Nie wydaje mi się, by Jamson zmienił zdanie, szczególnie teraz, gdy go o to wyraźnie poproszono — stwierdził gospodarz, kiedy już siedzieli przy huczącym ogniu na kominku w jego gabinecie. — Zawsze był przewrotny.

— Więc sądzisz, że syn na niego nie wpłynie? — spytał Bridgely, zasmucony, że ich wizyta tylko pogłębiła upór Jamsona.

— Gallian to dobry chłopak — łagodził Paulin. — Jamson się po prostu starzeje i dziwaczeje, więc jego syn w dużej mierze przejął zarządzanie Warownią.

— Naprawdę? — Bridgely był zaskoczony, gdyż mimo urazy do Jamsona o

nieprzejednaną postawę, szanował go i uważał, że jego Warownia jest dobrze zarządzana.

— Mm, tak... Powiem wam w zaufaniu, przyjaciele, że jakiś rok temu Gallian przybył do mnie z matką, gdy zauważyli, że Jamson miewa przedłużające się zaniki pamięci. Nieraz nawet zdarza mu się samemu wypisywać sprzeczne zarządzenia.

— Ale przy czymś takim jak to... odwołanie ze stanowiska, Jamson musi być obecny osobiście, prawda?

Paulin z namysłem potarł podbródek.

— Co gorsza, sprawa jest pilna — dodał Bridgely. — Nie możemy czekać, aż Gallian wyperswaduje ojcu, że tak naprawdę myślał dokładnie co innego, niż nam powiedział.

— Możemy poczekać kilka tygodni... teraz, gdy uciekinierzy nie pozostają już pod... hmm... troskliwą opieką Chalkina — odparł Paulin z uspokajającym błyskiem błękitnych oczu.

Bridgely otworzył usta i zamknął je bez słowa. Lepiej było zachować pytania i przemyślenia dla siebie, niż krzyżować plany Paulina.

— Pozwólcie mi popatrzeć na te dowody rzeczowe, które wyszły spod pióra naszego przewidującego Iantine'a — powiedział Lord Fortu. Azury podał mu szkicownik. Paulin powoli przejrzał wszystkie rysunki. — Ten chłopak ma niezwykły talent. Potrafi tak wiele oddać kilkoma kreskami: zimno, odrażający brud, żal i rozpaczliwy upór tych biedaków. Issony powiedział mi, że wśród licznych ograniczeń narzuconych mu przez Chalkina, był zakaz prowadzenia lekcji na temat Karty.

— Nie może być! — wykrzyknął Azury, podnosząc wzrok znad mile pachnącego kubka z gorącym, aromatycznym winem.

— To wyjaśnia, dlaczego tak niewielu gospodarzy wiedziało, że coś takiego istnieje — w głosie M'shalla brzmiało napięcie. — Ani też, że i oni mają jakieś prawa.

— Tak przy okazji, nowy program edukacyjny Clissera bardzo sprytnie rozwiązuje tę kwestię — zmienił temat Paulin i wstał, by napełnić kubki z parującego kociołka, wiszącego nad paleniskiem. — Dzieci będą się uczyć swoich praw od momentu, kiedy zaczną o nich śpiewać.

— Naprawdę? — Bridgely był zaintrygowany.

— Gdy zbliża się nowe Przejście, trzeba na nowo uściślić różne zasady, włącznie z rodzajem edukacji, którą zapewniamy młodzieży — wyjaśnił Paulin. — Teraz, gdy nie tak łatwo będzie dotrzeć do niezbędnych informacji, ważna rola przypadnie nauce przez powtarzanie, a w tym wielce pomoże muzyka.

Iantine akurat malował Zulayę, gdy K'vin oddał mu szkicownik.

— M'shall wpadł tu, żeby ci to oddać i prosił powtórzyć, że ogromnie im pomogłeś — powiedział Przywódca Weyru, bynajmniej nie wpatrując się w malarza, lecz w Zulayę, pozującą do portretu.

Siedziała na brzegu kamiennej półki Meranath, obok smoczycy, śpiącej z głową złożoną na przednich łapach i zwróconą ku jeźdźczyni. Ucieszył się, że Zulaya włożyła czerwoną brokatową suknię, w której była na Zgromadzeniu. Fałdy udrapowała artystycznie, by ukazać piękny wzór tkaniny. Włosy upięła do góry, w jakiś skomplikowany kok z ozdobnymi grzebieniami, które dostała od niego w zeszłym roku na Koniec Obrotu. Czarne diamenty migotały, gdy poruszała głową, tak jak teraz. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć.

— Nie ruszaj się... bardzo proszę — Iantine zaakcentował przedostatnie słowo, jakby zmęczony powtarzaniem polecenia. Zaciśnęła wargi i przyjęła poprzednią pozę.

K'vin cofnął się o krok i stanął za malarzem, który delikatnymi muśnięciami pędzla pracował nad twarzą Zulayi. Jeździec nie widział żadnej różnicy, ale Iantine wyglądał na zadowolonego i zaczął poprawiać rozbłyśki światła na włosach modelki.

Młody człowiek doskonale uchwycił charakter Zulayi, nieco władczy, choć uniesione kąćki ust sugerowały poczucie humoru. K'vin wiedział, że bawi ją samo pozowanie do portretu. Bez przerwy przekomarzała się z nim, proponując coraz to nowe szaty, w których malarz miał go, jej zdaniem, unieśmiertelnić. Wiedział również, że Iantine chce namalować miniatury wszystkich jeźdźców. Ambitny plan, biorąc pod uwagę, że w Weyrze było ich obecnie prawie sześciuset. Z jednej strony był mu wdzięczny za ten pomysł z galerią portretów, z drugiej zaś obawiał się, że wkrótce niektóre będą tylko przypominać tych, którzy padną ofiarą Nici.

— Czy, bez tych obrazków byłoby nam lżej? — spytała go poprzedniej nocy Zulaya, szukając przyczyn jego zatroskania. — Nie mamy nic, co by nam przypominało o pierwszych mieszkańcach Weyru. Trochę mi tego szkoda. Coś takiego daje poczucie ciągłości i sensu życia. Nie robimy galerii po to, żeby się martwić, kogo zabraknie wśród nas w przyszłym roku — dodała. — Po prostu miło będzie, jeśli coś po nich tu zostanie.

K'vin przyznał jej rację i postanowił pogodniej traktować całą tą sprawę.

— Długo jeszcze, Iantine? — spytała prosząco. Palce opartej o udo ręki dygotały. — Już nie czuję stóp, ani lewej dłoni.

Malarz westchnął przesadnie i odłożył paletę, podrapał się wolną ręką po głowie, a drugą szybkim ruchem włożył pędzel do słoika na stole.

— Przepraszam, Zulayo. Od dawna należy ci się przerwa. Ale światło jest wprost

idealne i chciałem jak najdłużej pracować.

— Aj, K'vinie, pomóż mi wstać — wyciągnęła rękę. — Rzadko mi się zdarza tak długo siedzieć na miejscu...

Chętnie jej pomógł. Rzeczywiście zdrętwiała tak, że kilka pierwszych kroków postawiła dość niezgrabnie. Potem odzyskała zręczność i szybko podeszła do sztalug.

— Ach, do licha, rzeczywiście dziś bardzo dużo zrobiłeś, prawda? Całą suknię i... zaraz, czy ty mi domalowałeś zeza?

Iantine roześmiał się.

— Nie, przejdź w tę stronę. Teraz z powrotem. Widzisz, jak te oczy cię prowadzą?

Zulaya lekko potrząsnęła głową.

— Rzeczywiście. Co to za sztuczka? Nie jestem pewna, czy mi się podoba, że będę się przypatrywać wszystkiemu, co robisz.

— Tobie może nie — zachichotał K'vin — ale twoja ciągła obecność na przykład w dolnej jaskini może zachęcić leniuchów do sprawniejszej pracy.

— Sama nie wiem, co wolę, czy spoglądać na siebie z góry, czy gapić się ze ściany na wszystkich — zwróciła się w stronę stołu, całkowicie pokrytego przyborami Iantine'a. — Niedawno poleciłam przynieść tu klan. — Spojrzała na niego z wyrzutem. — Może jeszcze jest gorący. — Odkręciła pokrywkę i rzeczywiście buchnęła para. — Ano, jest. Wam też nalać? — nie czekając na odpowiedź napełniła kubki.

— Mam już iść? — Iantine przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

— Nie — padła szybka odpowiedź.

— Chciałem oddać ci te szkice do rąk własnych — wyjaśnił K'vin, sadowiąc się na krześle.

— I co, pomogły rozwiązać problem? — spytała Zulaya, wsypując słodzik do kubków. Podała jeden z nich swemu partnerowi. — Chodź tu, Iantine, i siadaj. Na pewno jesteś bardziej zmęczony niż ja. W odróżnieniu od ciebie, cały czas siedziałam.

Iantine uśmiechnął się, jakby w ogóle nie czuł respektu przed Władczynią Weyru, zauważył K'vin z lekką zazdrością. Mało kto mógł się tym pochwalić. Może tylko Tisha, traktująca każdego jak zbląkane dziecko, i Leopold, który do wszystkich podchodził z równą bezceremonialnością.

— Więc jak się udało? — gestem ręki zapewniła jeźdźca, że może swobodnie mówić w obecności malarza.

— M'shall jest zły i rozczarowany. W dalszym ciągu nie mogą podjąć jednogłośniejszej decyzji o usunięciu Chalkina. Jamson się wyłamuje.

— Ach, jemu czasami króliczki hasają — powiedziała zwięźle — przynajmniej tak twierdzi Mari z Weyru Dalekich Rubieży. W dodatku jest z nim coraz gorzej. Thea przejmuje na siebie tyle pracy, ile może, z pomocą ich najstarszego chłopca...

— Gallian ma tyle samo lat, co ja — wykrzyknął K'vin. — Czy oni nie mogą tego jakoś obejść?

— Nie, chyba że zechcą doprowadzić do abdykacji Jamsona, przynajmniej na ile ja rozumiem postanowienia Karty. A właśnie odświeżyłam sobie jej treść — uśmiechnęła się kwaśno. — Dobrze, że słuchałam, kiedy T'lan ją odczytywał. Zapomniałam co najmniej połowę. Też przeczytałeś ją na nowo?

— Tak — przytaknął, zadowolony, że to zrobił. — Zwróć uwagę, że wcale nie jest tak sztywna, jak uważaliśmy. Daje o wiele więcej autonomii...

— ... i pola do nadużyć i naginania interpretacji — skończył za niego Iantine. — Pożyczyłem sobie egzemplarz. Krąży po całym Weyrze.

— Choćby Chalkin na wszystkie możliwe sposoby interpretował uprawnienia Lorda Warowni, nie zaprzeczy, że unieważnił wszelkie przywileje, należne gospodarzom... takie, jak na przykład obowiązek powołania sądu gospodarskiego przed usunięciem jednego z nich z farmy. Nie dbał o to przecież, gdy ich wszystkich wygnał... a potem uwięził w nieludzkich warunkach. Z pewnością nie był to spisek, ani zorganizowane powstanie. Nawet nie wręczyli mu petycji z listą zażaleń.

— Nie wiedzieli, że można — oświadczył Iantine z nieprzejednaną miną. — Trzeba im było najpierw długo wyjaśniać, co to takiego powstanie. Wszyscy stwierdzili, że nic takiego nawet do głowy im nie przyszło.

— I Jamson nie ustąpi? — spytała Zulaya.

K'vin potrząsnął głową.

— I nawet nie przyjedzie porozmawiać z uchodźcami?

— Uważa, że nie ma prawa wtrącać się w sprawy autonomicznej Warowni — odparł K'vin.

— Nie wierzył, że moje rysunki są autentyczne, mogę się założyć — warknął gniewnie Iantine.

— Nawet, kiedy Azury powiedział, że jego zdaniem złagodziłeś najdratyczniejsze okaleczenia — przytaknął K'vin.

— Albo niewidzialne gołym okiem, jak w przypadku tych ciężarnych kobiet — oczy Zulayi błyszczały oburzeniem.

— Jak one się czują? — spytał K'vin.

— Jedna urodziła przed terminem, ale dziecko przeżyło i oboje czują się dobrze. Pozostałe... no cóż, Tisha robi, co może... chce, żeby jak najwięcej mówiły o tej tragedii, zanim zapadnie głęboko w ich psychikę.

— Mogą złożyć oskarżenie przeciw strażnikom... — zaczął Iantine.

— I złożyły — odparła szorstko Zulaya z nieprzyjemnym uśmiechem. Mamy tych strażników. Gdy tylko kobiety nabiorą tyle sił, by móc zeznawać, zwołujemy sąd. A M'shall chce przeprowadzić proces przeciw mordercom, których przetrzymuje w Bendenie.

— A zatem będą dwa procesy?

— Tak, jeden o gwałt, drugi o morderstwo. Zwykle zimą miewamy inne zajęcia, prawda? — stwierdziła gorzko.

— Czy Warownia Telgar dołączy do nas? — spytał K'vin, wiedząc, że w przypadku procesu sądowego wymaga się obecności przedstawicieli Warowni. Nie spodziewał się, że Karta jest aż tak szczegółowa. Przedtem pamiętał jej treść jak przez mgłę. W tamtym konkretnym przypadku, zajmowali się pracownikami zatrudnionymi przez Lorda w innej Warowni, sądzonymi za przewinienia popełnione na tamtym terenie, nie w Weyrze Telgar, ani nawet na obszarze podlegającym jurysdykcji Telgaru. — Ci ludzie są przecież z Bitry. Czy mamy prawo?

— Naturalnie, że mamy — odparła twardo Zulaya. — Sprawiedliwość można wymierzać wszędzie, jeśli wymagają tego okoliczności. Ponieważ ofiary obecnie znajdują się w tym Weyrze, podobnie jak napastnicy, zgodnie z prawem możemy przeprowadzić tu proces. Musimy tylko zaprosić przedstawicieli pozostałych Warowni i Weyrów, by nadzorowali wymierzanie sprawiedliwości.

— A może zapewnimy sobie obecność Jamsona? — spytał K'vin z przekąsem.

Zulaya uśmiechnęła się szeroko.

— Może ten stary dureń zmieni wreszcie zdanie na temat autonomii. — A Chalkin? — spytał Iantine, z wyrazem napiętego oczekiwania w oczach.

— Można się i o to postarać — zaśmiał się K'vin. — Jego obecność mogłaby rozwiązać cały problem.

— Albo go skomplikować — potrząsnęła głową Zulaya. — Jest za mądry, żeby pozwolić nam na wplątanie go w sprawy jego ludzi. Nie przyjedzie, kiedy się dowie, o co chodzi.

— Przecież nikt mu nie powie, prawda? — stwierdził K'vin.

— Nie byłbym tego taki pewien, panie — odpowiedział z żalem Iantine. — To zdumiewające, jak do tego człowieka docierają wiadomości, szczególnie te, które nie są dla

niego przeznaczone.

— W takim razie, treść naszej rozmowy musi pozostać wyłącznie między nami — stwierdziła Zulaya stanowczo. — Dobrze, Iantine?

— Tak jest — potwierdził krótkim ruchem głowy.

## **ROZDZIAŁ XI**

### **PROCESY W TELGARZE I BENDENIE**

Tak się złożyło, że gdy zawiadamiano wszystkich o zwołaniu sądu, nad prawie całym łańcuchem górskim na wschodzie i nad Bitrą rozszalała się śnieżycą. Przez huraganowe wichry nie przedarł się żaden smok. Na szczęście, burza nie dotarła jeszcze do Bendenu, więc na procesie zjawili się przedstawiciele wszystkich Warowni i Weyrów oprócz Jamsona, poważnie chorego na gorączkę płucną. Przybyła jednak Pani Warowni Thea, niezadowolona, że mąż znalazł usprawiedliwienie dla swej nieobecności i przysłał na zastępstwo Galliana.

— Może ten jego upór trochę by zelżał, gdyby usłyszał, jak Chalkin kieruje Warownią. Trąbi na lewo i prawo o autonomii, ale jest zdecydowanie przeciwny krzywdzeniu nie narodzonych dzieci — Thea znacząco kiwnęła głową w stronę Zulayi, przypominając rozmówcom, że urodziła Lordowi Jamsonowi czternaścioro dzieci; dość, by poważnie poszerzyć granice posiadłości, gdy młodzież dorosła na tyle, by ubiegać się o należne im nadzieje ziemi.

Pierwszy z dwóch procesów, który odbył się w przestronnej dolnej jaskini Bendenu, był doskonale zorganizowany i dał ludziom wiele do myślenia. W przeszłości Pern miał profesjonalnych prawników, ale z czasem ta profesja stała się zbędna. Większość sporów rozwiązywano ugodowo albo, jeśli negocjacje zawiodły, w pojedynkach na pięści. Tak więc trzeba było znaleźć obrońcę dla oskarżonych strażników. Jeden z wykładowców z Fortu, specjalizujący się w umowach prawnych i prawie ziemskim zgodził się, choć niechętnie, podjąć tego obowiązku.

Gardner nie był zachwycony faktem, że przez pewien czas będzie musiał zadawać się z gwałcicielami, ale zdawał sobie sprawę z wymogów chwili i starał się jak najlepiej wywiązać z zadania. Drobiazgowo wypytywał ofiary o wygląd domniemanych gwałcicieli i starał się podważyć ich świadectwo. Trzy kobiety w niczym już nie przypominały przerażonych, niemal na śmierć zagłodzonych, niecie wykorzystanych nieszczęśnic. Pobyt w

Weyrze działał cuda: odzyskały odwagę, poczucie godności i atrakcyjny wygląd. Gardner upierał się nawet, że powtarzały przed kimś swoje role, by dobrze ich się nauczyć, choć to nie zmieniało faktu, że odniosły poważne fizyczne i psychiczne obrażenia.

— Pewnie, że powtarzałam rolę — odpowiedziała śmiało najstarsza z nich. — Powtarzam sobie w myślach, noc w noc, jak rzucili mnie na ziemię i wykorzystali... brudasy, co nie śmiałyby nawet nogi postawić w obejściu porządnej gospodyni. Aż mnie głowa boli od powtarzania — niemal wypluła to słowo — co ze mną zrobili... ciągle na nowo — dla podkreślenia swoich słów uderzyła pięścią w otwartą dłoń. Gardner zrezygnował z tego kierunku obrony.

W końcu udało mu się uzyskać drobne ustępstwo na rzecz oskarżonych: mieli być przewiezieni do Bitry po procesie, zamiast wędrować tam na własną rękę.

— Wiele na tym nie skorzystają — mruknęła Zulaya pod nosem. — Chalkin nie znosi przegranych, a oni stracili o wiele więcej, niż pracę.

— Ciekaw jestem, w jakim tonie będzie utrzymany kolejny list protestacyjny Chalkina — odparła Irena i zachichotała złośliwie.

Paulin otrzymał od Lorda Bitry gruby dokument, w którym Chalkin oznajmiał o „bezprawnym mieszaniu się niektórych odszczepieńców Weyru w jego sprawy oraz porwaniu lojalnych gospodarzy z terenu posiadłości”.

— Jeśli odważy się zaprotestować... ach, dlaczego musiał akurat spaść taki śnieg? — żałował Paulin. — Jaka szkoda, że nie słyszał, jak jego ludzie oświadczyli, że tylko wypełniali rozkaz, by nie puszczać nikogo za granicę! M'shall zrobiłby z niego mamałygę, a przedtem dobrze by go wymaglował!

M'shall wziął na siebie rolę prokuratora twierdząc, że ma do tego prawo, gdyż to jego ludzie pierwsi dotarli na granicę. Był nieprawdopodobnie drobiazgowy podczas śledztwa i procesu.

— Bez przerwy siedział z nosem w Karcie i tych wszystkich prawniczych książkach, które dostał od Clissera — powiedziała Zulayi Irena z szerokim uśmiechem. — Doskonale mu to zrobiło. Nie miał czasu martwić się... no, wiesz, o wiosnę.

Zulaya z aprobatą kiwnęła głową.

— Byłby doskonałym prawnikiem... chociaż zdaje się, kiedyś ich nazywali radcami? Nie, adwokatami.

— Tak, adwokaci stawali przed sędzią i brali udział w procesach — zgodziła się Irena.

— Gardner też był niezły, prawda? Bardzo się starał — zauważyła Zulaya. — Chyba mu wybaczę, że chciał łaski dla tych łajdaków. W końcu musiał sprawiać wrażenie, że



pracuje dla swoich klientów — dodała tole rancyjnie. — Cieszę się, że Iantine dostał dobre miejsce. Chciałabym obejrzeć rysunki z procesu. Szkoda, że nie potrafi tak szybko pracować przy moim portrecie.

— Portret a szkice z sali sądowej to dwie zupełnie różne sprawy. Wiesz, że on ma przyjechać do Bendenu, kiedy już z wami skończy?

Zulaya z zadowoleniem zauważyła, że w głosie Ireny brzmi duma z dokonań Iantine'a. Był przecież Bendeńczykiem.

— Chyba masz na myśli, kiedy skończy szkicować naszych jeźdźców. Irena uśmiechnęła się, na poły z zazdrością, na poły ze smutkiem.

— Będziesz z tego zadowolona. Ciekawe, czy podjąłby się podobnej pracy dla nas, w Bendenie?

— Jestem pewna, że tak, jak tylko znajdzie czas. Nasz młody człowiek zebrał więcej zamówień, niż jest w stanie wykonać.

— Gdyby udało mu się skończyć przed... och, wracają przysięgli. Dwanaścioro mężczyzn i kobiet, wybranych losowo spośród widzów przez ciągnięcie słomek, wysłuchało wszystkich dowodów. Sędziami byli Tashvi, Bridgely i Franco. W sali zapanowała cisza tak pełna napięcia, że przypadkowe kasznięcie zostało natychmiast stłumione.

Trzej gwałciciele zostali uznani winnymi popełnionych czynów, a trzech innych skazano za współudział, gdyż pomagali przytrzymywać ofiary. Karą za gwałt na ciężarnej była natychmiastowa kastracja. Pomocnicy dostali po czterdzieści batów, wymierzonych przez potężnie zbudowanych parobków z Telgaru.

— Mają szczęście, że Nici jeszcze spadają — powiedziała Zulaya do Ireny, Pani Thei i K'vina. — Bo przywiązano by ich na dworze podczas Opadu.

Thea zadrżała mimo woli.

— Pewnie dlatego w kronikach naszej Warowni odnotowano tak niewiele przypadków gwałtu.

— Trudno się dziwić — K'vin założył nogę na nogę. Zulaya zauważyła tę pozycję obronną i kąci jej ust zadrgały z rozbawienia. Odwrócił się. Ta kobieta nieomal wiwatowała na głos, gdy ogłoszono wyrok.

— Nie możecie mi tego zrobić! — ryknął jeden ze strażników, gdy z opóźnieniem zrozumiał sens wyroku. Był dowódcą ludzi stacjonujących na przejściu przy wschodniej granicy. Pozostali oskarżeni oniemiaли, poruszając ustami w bezsłownym proteście. Morinst tak wrzeszczał, że zagłuszał ich zupełnie, jeśli w ogóle odważyli się mówić. — Żaden z was nie jest moim Lordem! — zaatakował trzech sędziów. — Nie macie prawa!

— A ty nie miałeś prawa gwałcić ciężarnej kobiety!

— Ale Chalkina nawet tu nie ma! — mężczyzna wyrwał się z rąk strażników.

— Obecność Chalkina nie wpłynęłaby na bieg procesu, ani na treść wyroku — uciął Tashvi.

— Powinien być tu! — krzyczał Morinst.

— Był zaproszony — odparł Tashvi obojętnie.

— On musi wiedzieć. Nie wolno wam nic robić, jak on nie wie. Ja z nim się umawiał.

— Na gwałty, tortury i hańbienie ludzi? — spytał Bridgely głosem aż nazbyt cichym.

Morinst zacisnął usta. Wyrwał się jeszcze, gdy prowadzono go do wyjścia. Tam czekała go kara. Nie miał szans na ucieczkę. Pozostali dwaj mężczyźni byli zbyt oszołomieni, by bronić się gdy ich prowadzono do szpitala, gdzie przeprowadzono operację. Resztę winowajców wyprowadzono na zewnątrz, a publiczność pociągnęła za nimi, by się przyglądać batożeniu.

Gdy i to się dokonało, zabrano gwałcicieli do szpitala, by opatrzyć ich rany, a obserwatorzy wrócili do jaskini. Choć nie była to świąteczna okazja, poza tym, że zatriumfowała sprawiedliwość, podano obfity posiłek. Wszyscy zaczęli najpierw rozglądać się za winem.

— Byłeś wspaniały, M'shallu — powiedziała Irena, gdy podszedł do nich jej towarzysz z nowo otwartym bukłakiem bendeńskiego wina. — Bądź tak miły, nalej mi trochę, choć zdaje mi się, że ty bardziej potrzebujesz napitku, niż ja. To miło, że Bridgely nam je dostarczył — zwróciła się do Zulayi.

— Chyba wszyscy powinniśmy się napić — zauważyła Pani Telgaru, spoglądając na trzy poszkodowane, z wielkim entuzjazmem świętujące rezultat procesu. Należy im się to.

— Co robimy dalej?

— No cóż, przed nami drugi proces. Mam nadzieję, że pójdzie równie gładko — odpowiedział M'shall.

— Chodzi mi o te kobiety — wskazała na nie dłonią.

— Ach, o nie. Mówią, że chcą po prostu wrócić do domów. Nie pozwolą Chalkinowi ich przejąć podczas swojej nieobecności — odparł i skrzywił się. — Niektóre właściwie nie mają do czego wracać. Zbiry Chalkina spaliły wszystko, co się dało, a resztę zrównały z ziemią. Zdaje mi się, że dopiero śnieżycy przeszkodziła w dalszych zniszczeniach. Ale — grymas na jego twarzy przeszedł w uśmiech — podziwiam tych ludzi. Ta ziemia należy do nich i teraz o tym wiedzą. Następnym razem będą śmielsi, jeśli ktoś zechce ich zastraszyć;

zaczyna im wracać poczucie godności. Poprosili też o przeszkolenie dla załóg naziemnych.

— No tak, dopiero strata sprawia, że zaczynamy cenić to, co mamy — stwierdziła Thea. — Jeśli chodzi o bardziej przyziemne sprawy, pewnie będziemy mogli dostarczyć im różne rzeczy codziennego użytku. Ktoś się już tym zajmuje? — rozejrzała się wokół. — Wiecie, jakie są potrzeby?

— Właściwie tak — Zulaya kiwnęła głową, wskazując na Irenę. — Mamy trzysta czterdzieści dwie osoby, a raczej trzysta czterdzieści trzy, wliczając tego wcześniaka. Miło z twojej strony, że zaofiarowałaś się z pomocą, Theo.

Thea głośno wciągnęła powietrze.

— Ja też na nowo przeczytałam Kartę i przypomniałam sobie, jakie są moje obowiązki wobec ziomków. Nie wiecie przypadkiem, ilu jeszcze tych biedaków zostało w Bitrze?

— Trudno powiedzieć, czy Chalkin sfalszował wyniki ostatniego spisu ludności, ale podobno jest tam 24.657 mieszkańców — pośpieszył z odpowiedzią M'shall.

— Naprawdę? — zdziwiła się Zulaya.

— Weź pod uwagę, że Bitra jest bardzo mała i nie ma żadnego przemysłu, poza leśnictwem w niewielkiej skali. Wydobycie zaspokaja tylko miejscowe potrzeby. Pracują tam jakieś zakłady tkackie, ale nie stanowią konkurencji dla Keroonu ani Bendenu.

— Jest jeszcze hazard — prychnęła z niesmakiem Thea.

— Tak, to główny przemysł Warowni Chalkina.

— No cóż, w tej rozgrywce przegrał — podsumowała Zulaya.

— Jesteś tego pewna? — dopytywał się jej partner.

Drugi proces był niemal odprężający. Gardner ponownie reprezentował siedmiu strażników oskarżonych o „domniemane spowodowanie poważnych obrażeń cielesnych i śmierci” pięciorga niewinnych mężczyzn i kobiet.

Znów przekonywał, że ludzie ci tylko wykonywali rozkaz, by „wszelkimi sposobami powstrzymać” każdego, kto chciałby przekroczyć przejście graniczne Warowni Bitra, domniemanego miejsca zamieszkania. Jednak uznano, że oskarżeni zastosowali nadmiernie surowe środki, w wyniku których poniosły śmierć osoby, którym odmówiono prawnie przysługującego im prawa do przekroczenia przejścia, oraz zapisanego w Karcie zasadniczego prawa do swobodnego poruszania się.

Późniejsze okaleczenie i torturowanie siedmiu osób, twierdził oskarżyciel, nie zawierało się w poleceniu by „powstrzymać je wszelkimi sposobami”. Chalkin nie miał prawa odbierać życia gospodarzom bez koniecznego powodu oraz procesu sądowego.

Po zakończeniu postępowania przysięgli wyszli i powrócili po pół godziny, zgodnie uznawszy winę oskarżonych. Winnych skazano na zesłanie na Wyspy Południowe, z żywnością wystarczającą jedynie na siedem dni, co było zwyczajową karą dla morderców.

— Dużo ludzi żyje na tych wyspach? — spytała Thea. — Chodzi mi o to, że zsyłano tam już innych, przed nimi. Czytałam, że wiele lat temu były to nawet całe rodziny.

Zulaya wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Telgar nigdy nie musiał nikogo zsyłać.

— Benden też nie, przynajmniej nie za naszych czasów — dodała Irena.

— Mój ojciec zesał dwóch — przyznał Paulin. — Ista i Nerat też zsyłały tam zabójców.

— Podobnie jak Chalkin — zaskoczył ich Gallian. — Jakies cztery lata temu. Nie pamiętam, skąd się o tym dowiedziałem. Miał u siebie w Warowni poważne kłopoty. Jeźdźcy z Isty zabrali tych ludzi, bo zabójcy stamtąd właśnie przybyli.

— Aha, teraz sobie przypominam — potwierdziła Irena. — M'shall cieszył się tylko, że to nie on musiał ich więzić.

— Może powinniśmy przewieźć tam również pozostałych ludzi Chalkina, kiedy już będą mogli podróżować.

— Nie, lepiej niech wrócą do Bitry, wtedy się dowie, że nie będziemy tolerować jego metod zarządzania — odparła Irena nieprzejednanym tonem. — Może nabierze rozsądku.

— Jak rak świśnie! — zaśmiała się Zulaya.

Gdy śnieg stopniał na tyle, że Bitra znowu nawiązała kontakty ze światem, Chalkin przysłał Paulinowi kolejną płomienną notę protestacyjną, z której jasno wynikało że na Zjeździe na Koniec Obrotu zamierza zażądać zadośćuczynienia za „rytualne okaleczenie ludzi, którzy jedynie wykonywali swoje obowiązki”. Tym razem wiadomość odebrał starszy wiekiem zielony jeździec, który dojrzał porzecz kodowy, oznaczający pilną wiadomość, wywieszony na ścianie Warowni. F'tol wysłuchał długiej przemowy Chalkina o tym, że koniecznie musi dostarczyć ten list, że jeźdźcy smoków to pasożyty kalające powierzchnię Pernu, że muszą nastąpić jakieś zmiany, i tak dalej, i tak dalej. Jeździec to ani nie wzruszyło, ani nie przestraszyło. Ze stoickim spokojem wziął list i dostarczył go skrupulatnie, jak zwykle.

Nie wiadomo, czy Chalkin wiedział o powrocie uchodźców do gospodarstw, nie wiadomo, czy go to obeszło. F'tol uważał, że raczej nie wie, gdyż dodałby to do litanii krzywd, zawierającej wszelkie niedociągnięcia, pomyłki i drobne grzeszki, jakie jeźdźcy smoków popełnili od zarania dziejów.

Jeźdźcy z Bendenu i Telgaru codziennie zaglądali do uchodźców, by dodać im pewności siebie i uspokoić wszystkich, którzy troszczyli się o ich los. Naturalnie, w Bitrze panowała okropna pogoda, na głównych drogach piętrzyły się śnieżne zaspasy na wysokość smoka, więc ludzie Chalkina nie ruszali się z miejsca, nawet nie próbując dotrzeć do dalej położonych gospodarstw.

Ofiarą zimy padły także Weyr i Warownia Benden, gdyż śnieżyce ruszyły znad Bitry na wschód, docierając nawet do pomocnej części Neratu, gdzie nie widziano śniegu od czasu osiedlenia się Bendeńczyków, w czasie początkowych dziesięcioleci Pierwszego Opadu.

Spośród żywych istot, jedynie smokom śnieg nie przeszkadzał, gdyż ich grube skóry nie przepuszczały zimna, nawet w lodowatym pomiedzy. Bestie uwielbiały bitwy na śnieżki, popularną rozrywkę wśród mieszkańców Weyrów, a potem wygrzewały się w ciepłe zimowego słońca, zwielokrotnionym przez odbicie od białego śniegu.

Mimo iż Weyr Telgar leżał dalej na północy, spadło tam niewiele śniegu, ale korzystano z niego równie radośnie. Młode smoczki były nim zafascynowane, bawiło je też, że rano trzeba przed kąpielą łamać lód na jeziorze. Kapanie smoków było teraz niebezpieczne, więc T'dam pozwolił młodym jeźdźcom szorować smoczęta na brzegu i wpuszczać je do jeziora, by się same opłukały. Mimo to codzienne ablucje stały się utrapieniem.

— Znów mam odmrożenia — narzekała do Iantine'a Debera, pokazując spuchnięte palce, gdy przyszedł popatrzeć, jak zajmuje się swoją smoczycą.

Bardzo chętnie malował małą zieloną Morath, dlatego że, jak sam powiedział Deberze, „ona ma niesamowicie wyrazistą twarz i przybiera najprzedziwniejsze pozy”.

Debera była tak oczarowana smoczycą, że przez myśl nie przeszło jej zaprzeczać tej dość stronniczej opinii. Nie zastanawiała się nad tym, że jej postać również pojawia się na wszystkich szkicach Iantine'a. Ale pozostałe zielone jeźdźczynie bez trudu to zauważyły.

— Powinnaś wziąć trochę tego kremu od Tishy. Gdy go użyłem, zaraz przestały mnie swędzieć ręce — Iantine strzelił palcami.

— Och, mam go trochę u siebie — odpowiedziała.

— Dużo ci nie pomoże, jeśli będzie zamknięty w pudełku, wiesz?

— Tak, rozumiem — odparła cicho przeproszającym tonem i spuściła głowę.

— Hej, ja na ciebie wcale nie krzyczę — powiedział łagodnie i uniósł palcem jej podbródek. — Coś źle powiedziałem?

— Nie, nic — odsunęła jego palec i uśmiechnęła się, nieco zbyt radośnie. — Czasami przychodzą mi do głowy różne głupoty. Nie zwracaj na to uwagi.

— Wcale nie zamierzam — odparł tak wesoło, że przyjrzała mu się, zdziwiona. — Bierz się do mydlenia tego twojego stworzenia... — przewrócił stronę i wyjął zza ucha ołówkę. — No, już...

— Podobasz się Iantine'owi, Debero — powiedziała Grasella, uważnie przyglądając się koleżance.

— Iantine'owi? Jemu się podoba rysowanie, a nie ja. Gdyby mu zabrakło modeli, rysowałby swój wielki palec od nogi — odpowiedziała Debera.

— Poza tym, niedługo jedzie do Bendenu...

— Będiesz za nim tęsknić? — dokuczała jej Jule z chytrą miną.

— Tęsknić? — powtórzyła zaskoczona Debera.

Ja będę za nim tęsknić, powiedziała Morath tak żałośnie, że pozostałe smoczki odwróciły do niej głowy, a ich oczy zawirowały, odzwierciedlając smutek.

— Co ona takiego powiedziała, że wszystkie posmutniały? — spytała Jule.

— Że będzie za nim tęskniła. Kochanie, on nie jest z Weyru — powiedziała smoczycy Debera, gładząc ją po policzku i po wyrostkach kostnych. — Nie może tu zostać na zawsze.

— Gdyby ktoś się mnie pytał, to powiedziałabym, że pewnie by chciał — wtrąciła Sarra.

— Dobrze, że nikt cię nie pyta — odparła cierpko Angie.

— Czy on kiedyś zrobił coś... no wiesz, Dęb, poza rysowaniem ciebie? — oczy Jule lśniły z ciekawości.

— Ależ skądże. Dlaczego miałby robić coś innego? — zdenerwowała się Debera. Nie lubiła sypiać z tymi dziewczętami. Bywały ciekawskie, choć nie dokuczały jej tak, jak macocha i przyrodnie siostry. Debera nie dopytywała się, co jej koleżanki robią po nocy, kiedy późno wracały do koszar.

— Ach, jest beznadziejna — Jule uniosła dłonie ku niebu w geście rozpacz. — To najprzystojniejszy z samotnych mężczyzn w Weyrze! Gdzie ona ma oczy?

— Widzi tylko Morath — wyjaśniła jej Sarra. — Podobnie zresztą, jak my.

— Większość z nas... — Jule zrobiła znaczącą pauzę... wie, że smoki odegrają znaczącą rolę w naszym życiu, ale przecież nie muszą być dla nas wszystkim. Nawet stary T'dam-albo-nie-dam ma w Weyrze partnerkę, wicie?

— Jeszcze nie dostałyśmy własnych weyrów — odezwała się po raz pierwszy Mesla. Zawsze brała wszystko dosłownie. — Tu nie można mieć nikogo, bo byście się wszystkie gapily.

Debera czuła, że się czerwieni; policzki ją paliły.

— O ile wiem, ciebie to nie powstrzymało — dokuczała Sarra Jule.

Jule uśmiechnęła się prowokująco.

— Jako jedyna urodzona w Weyrze osoba w tych koszarach, zapewniam was, że nasze życzenia mogą wpłynąć na wybór naszego smoka.

— Ach, nie wzniosą się do lotu godowego przez najbliższych osiem, może nawet dziesięć miesięcy — odparła Angie, choć widać było, że dobrze zapamiętała sobie słowa Jule.

— Słuchaj, Jule, a jeśli twojej smoczyca spodoba się smok z jeźdźcem, którego ty nie znosisz?

— Chodzi ci o O'neya? — Jule uśmiechnęła się, widząc że udało jej się speszyc koleżankę.

Ta jednak szybko się opanowała i rzuciła w odpowiedzi:

— Jest straszny, nawet jak na spizowego jeźdźca. Słyszałaś, jak ciągle się przechwala, że jego skrzydło jest najlepsze w każdym współzawodnictwie? Jakby to było najważniejsze!

— Dla niego prawdopodobnie jest — odparła Grasella. — Wiesz, Jule, myślę, że poważniejszym problemem są błękitni jeźdźcy. Naturalnie, niektórzy z nich są bardzo mili i za nic nie chciałabym im sprawić przykrości, tylko że oni raczej nie przepadają za dziewczętami.

— Och — Jule beztrząsowo wzruszyła ramionami — to jeszcze prostsze. — Umawiasz się z innym jeźdźcem, żeby był w pobliżu, kiedy twoja smoczyca staje się pobudliwa, a błękitny jeździec ma swojego partnera, albo kogoś innego, kto akurat jest chętny, a zobaczycie, jak wielu jest chętnych, kiedy smoki mają na to ochotę. Idziesz do łóżka ze swoim wybranym, a błękitny jeździec ze swoim, i wszyscy są zadowoleni!

Niektóre dziewczęta przyjęły tę informację z entuzjazmem, inne z niesmakiem.

— W końcu wszystko zależy od was, wiecie? — opowiadała dalej Jule. — Nie musimy też ograniczać się do tego Weyru. Ach — westchnęła głęboko — jak to będzie dobrze, kiedy pozwolą nam już latać stąd wszędzie, gdzie tylko zechcemy.

— Zdawało mi się, że umawiasz się z T'redem? — spytała skonsternowana Mesla, szeroko otwierając oczy.

— To prawda, ale to nie znaczy, że w innym Weyrze nie znajdę kogoś, kto mi się bardziej spodoba. Zielone to lubią, wiecie?

— Tak, tylko czy będzie można latać do innych Weyrów? — Sarra pokiwała do niej palcem. — Za cztery, może pięć miesięcy zaczną opadać Nici, a my będziemy ciężko pracować, dowożąc jeźdźcom worki z kamieniem ogniowym — oczy jej zaśniły z niecierpliwości. Otoczyła kolana ramionami. — Och, to będzie takie ciekawe, w odróżnieniu

od życia z jednym mężem i gromadką dzieci.

Debera odwróciła głowę, nie chcąc brać udziału w tej pożałowania godnej dyskusji.

Coś cię niepokoi, powiedziała Morath i powoli położyła jej głowę na podolku. Kocham cię. Myślę, że jesteś cudowna. Iantine też tak myśli.

Pewność w jej głosie zaskoczyła Deberę. Naprawdę?

Naprawdę! Morath powiedziała to z całą stanowczością. Podobają mu się twoje zielone oczy, twoje ruchy i zabawny przegłos, kiedy mówisz. Jak ty to robisz?

Debera dotknęła dłonią gardła i dopiero teraz poczuła się głupio.

Z nim także możesz rozmawiać? Czy tylko słyszysz jego myśli?

On myśli bardzo głośno. Szczególnie, gdy jest blisko ciebie. Gdy jest daleko, nie słyszę go tak dobrze. Dużo o tobie myśli tak głośno.

— DEBERO? — głośne wołanie Sarry przerwało tę niezwykle ciekawą rozmowę.

— O co chodzi? Rozmawiałam z Morath. Co mówiłaś?

— Nieważne — Sarra uśmiechnęła się szeroko. — Masz już gotowe sukienki na Koniec Obrotu?

— Jeszcze jedna przymiarka — odpowiedziała Debera, choć i ten temat był dla niej krępujący. Próbowала przekonać Tiszę, że ta jedna piękna zielona suknia wystarczy w zupełności, ale gospodyni nie zwróciła uwagi na protesty i kazała jej wybrać dwa kolory sukni spośród przeróżnych próbek: jedną na wieczór i jedną na dzień. Zdaje się, że wszyscy mieszkańcy Weyru sprawiali sobie nową odzież na Koniec Obrotu. A jednak coś w sercu Debety radowało się wielce, że będzie miała teraz dwie zupełnie nowe sukienki, których nikt przed nią nie nosił. Miała także cichutką nadzieję, że dzięki temu Iantine wreszcie ją zauważy. Teraz zaś, po tym, co powiedziała jej Morath, zastanawiała się, czy malarz w ogóle spostrzeże, że włożyła coś nowego.

— Mówiąc na temat weyrów... — zaczęła Mesla.

— Rozmawialiśmy o tym pół godziny temu, Meslo — zaprotestowała Angie. — A o co chodzi?

— Nie ma ich tak wiele, a większe smoki będą miały pierwszeństwo wyboru, prawda?

— Nie martw się o to — odpowiedziała Jule. — Kiedy będziemy ich potrzebować, niektóre zdążą się już opróżnić — palnęła i zakryła dłonią usta, zorientowawszy się, co powiedziała, — Nie chciałam tego powiedzieć. Naprawdę nie chciałam. To znaczy, nie przyszło mi do głowy, żeby się wprowadzić...

— Zamknij się wreszcie, Jule — powiedziała Sarra cicho, lecz stanowczo.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Dziewczęta spuszczały oczy.



— Słuchajcie, która z was ma balsam? — spytała cicho Grasella z łóżka pod ścianą, przerywając ciszę, która zaczęła im nieznośnie ciążyć. — Znów mnie swędzą palce. Nikt mi nie powiedział, że opieka nad smokami powoduje odmrożenia.

Angie znalazła słoiczek pomiędzy futrami i podała dziewczętom.

— Będę następna — stwierdziła cicho Debera, podsuwając słoik Graselli. Na tym skończyła się beztroska nocna pogawędka.

— Mam mało czasu — powiedział Jemmy Clisserowi niechętnym tonem, zapytany, jak idzie praca nad ostatnią balladą historyczną. — Musiałem zająć się waszymi prawniczymi szpargałami. Dlaczego narobiliście tyle hałasu wokół tych przeklętych strażników? Trzeba ich było od razu zesłać na wyspy. Po co ta farsa z sądem?

— Procesy nie były farsą, Jemmy — odparł Clisser tak ostro, że Jemmy, nie wierząc własnym uszom, spojrział na niego ze zdziwieniem. — Procesy były potrzebne. Musieliśmy pokazać, że postępujemy zgodnie z prawem...

— Czyli odwrotnie, niż Chalkin — uśmiechnął się Jemmy. Nierówne zęby w długiej twarzy bardziej niż kiedykolwiek nadawały mu podobieństwo do lisa.

— Właśnie tak.

— Marnujecie dla niego cenny czas — prychnął Jemmy i wrócił do czytania.

— Czego szukasz?

— Nie wiem. Szukam, bo wiem, że istnieje już coś, co można by wykorzystać do określania pozycji Czerwonej Planety... coś tak prostego, że aż wstyd o tym nie pamiętać. Wiem, że gdzieś to widziałem... — zdenerwowany, odsunął od siebie książkę. — Szkoda, że ludzie, którzy to wszystko kopiowali, pisali tak niewyraźnie. Tracę dużo czasu, żeby to rozczytać — gwałtownie wyciągnął rękę nad zagraconym stołem roboczym, sięgnął na parapet okienny i z trzaskiem postawił przed sobą dziwaczny przedmiot. — To nowy komputer dla ciebie — uśmiechnął się do Clissera, który zdziwiony, przyglądał się kolorowym paciorkom umocowanym na dziesięciu wąskich drucikach, podzielonych na dwie nierówne części.

— Co to jest? — Clisser wziął przedmiot do ręki. Okazało się, że można z pewnym trudem przesuwac paciorki po drutach.

— Kiedyś nazywano to liczydłami. Starożytna, lecz jakże pożyteczna zabawka. — Jemmy wyjął mu z ręki przyrząd i pokazał jego działanie. — Zastąpi kalkulatory, zresztą większość już się popsuła. Aha, znalazłem też rysunki czegoś innego — chwilę pogrzebał w papierach i wyciągnął linijkę z ruchomą nakładką. Na obu częściach narysowano podziałkę

logarytmiczną. — Na tym suwaku logarytmicznym można wykonywać całkiem skomplikowane działania matematyczne, prawie z taką samą szybkością, z jaką wpisuje się dane do urządzeń cyfrowych.

Clisser przenosił wzrok z jednego przyrządu na drugi.

— Ach, więc tak wygląda suwak. Kiedyś czytałem o nim wzmiankę w traktacie o prymitywnych kalkulatorach, ale nigdy nie pomyślałem, że będziemy zmuszeni uciekać się do starożytnych rozwiązań. O liczydłach też tam napisano. Rzeczywiście ciężko pracujesz, szukając alternatywnych metod.

— I tę trzecią rzecz też znajdę, jeśli wreszcie dasz mi święty spokój i przestaniesz zawałać mnie pilnymi sprawami niezwyklej wagi.

— Mam nadzieję — stwierdził Clisser dyplomatycznie — że dostarczysz mi coś przed zimowym przesileniem i Końcem Obrotu, żebym mógł to pokazać na Zgromadzeniu.

Jemmy gwałtownie wyprostował się na krześle, przechylił głowę i wpatrzył się w Clissera tak, że rektor, pełen nadziei, pochylił się w przód, wstrzymując oddech, by nie zburzyć jego koncentracji.

— Ach, do diabła — rozluźnił się wreszcie i huknął pięściami w stół. — To musi mieć coś wspólnego z przesileniem.

— No cóż, jeśli wracasz do liczydeł i suwaków logarytmicznych, to może chodziło ci o zegar słoneczny? — zażartował Clisser.

Jemmy znów usiadł prosto, jeszcze bardziej napięty. — Nie słoneczny... — powiedział powoli... — ale kosmiczny... zegar kosmiczny... jak... kamienny... kamienny...

— Kamienny krąg? Stonehenge?

— A co to takiego?

— Prehistoryczna budowla na Ziemi. Sallisha będzie potrafiła podać ci więcej szczegółów, jeśli zechcesz ją zapytać — powiedział chytrze Clisser. Zgodnie z jego oczekiwaniem, Jemmy tylko machnął grubiańsko ręką. — Okazało się, że to zdumiewający kalendarz, dokładnie przewiduje zaćmienia, a także o świcie wskazuje dni przesilenia.

Clisser przerwał, wpatrując się szeroko rozwartymi oczyma w Jemmy'ego, który otworzył usta, jakby chciał powiedzieć O, ale mu zabrakło głosu. Obaj byli z lekka oszołomieni.

— Tylko że to był kamienny krąg... na równinie... — wyjąkał Clisset; szkicując w powietrzu kształt dolmenów i wspartych na nich kamiennych płyt. Mruczając coś pod nosem, podszedł do półki po odpowiedni tekst. — Na pewno to skopiowaliśmy. To musi być przepisane.

— Niekoniecznie, bo interesowały cię tylko hasła historyczne mające związek z Pernem — odpowiedział Jemmy. — Pamiętam, jak raz otworzyłem ten zbiór. Wystarczy tylko zaprojektować konstrukcję odpowiednią do naszych potrzeb, tak, żeby ukazywała się w niej Czerwona Planeta w okresie, kiedy jej tor oznacza Opady — gorączkowo przerzucał papiery na biurku, w poszukiwaniu czystej kartki i ołówka. Znalazł trzy, ale albo za krótkie, albo połamane. — No właśnie, trzeba na nowo wynaleźć jeszcze jedną rzecz... wieczne pióra.

— Wieczne pióra? — powtórzył Clisser. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Zrobię je jutro. Pozwól mi teraz popracować samemu... — przerwał i uśmiechnął się diabolicznie na widok zmieszanej miny rektora. — Będę coś miał dla ciebie przed Końcem Obrotu. Może nawet model... pod warunkiem że dasz mi teraz spokój.

Clisser wyszedł, zamknął za sobą cicho drzwi i zatrzymał się na moment.

— Zdaje się, że wyrzucił mnie z mojego własnego gabinetu — powiedział na głos i popatrzył na drzwi. Rzeczywiście, na świeżo wymalowanej plakietce widniało jego własne nazwisko. — Mhm. — Odwrócił wiszącą na drzwiach tabliczkę tak, by na wierzchu znalazł się napis NIE PRZESZKADZAĆ, i poszedł, nucąc pod nosem refren z Pieśni o Powinnościach.

Wyjdzie Sallishy na spotkanie, zanim ta wiedźma wejdzie po schodach. Będzie jej miło. W każdym razie, powinno jej być miło. Pośpiesznie zszedł na dół i spotkał ją w drzwiach.

— Nie spóźniłam się — powiedziała nieprzyjemnym tonem, ściskając konwulsyjnie pod ręką opasły notatnik.

Czekał go koszmar.

— Wcale tego nie powiedziałem. Chodźmy do pokoju profesorskiego, będzie nam wygodniej.

— Wnioski, które wyciągnęłam, nie powinny być dyskutowane publicznie — powiedziała, z miejsca rozpoczynając atak. Może i była jedną z najlepszych nauczycielek — choć powiadano, że dzieci się uczą tylko i wyłącznie po to, by się wyrwać z jej pazurów — ale jej stosunek do niego i proponowanej reformy był nieodmiennie wrogi.

— Nie ma tam nikogo i będzie pusto przez co najmniej dwie godziny. — Clisser uśmiechnął się tak łagodnie, jak tylko potrafił.

Prychnęła pogardliwie, ale gdy uprzejmie przepuścił ją przodem, ruszyła do sali z nieprzejednaną miną. Jak Morinst do... Clisser zadrzał i pośpieszył za nią.

Rzeczywiście, w sali nie było nikogo. Na kominku huczał ogień, na przypiecku grzał się kociołek z klanem, i o dziwo stały tu nawet czyste kubki. Ciekawe, czy to Bethany o

wszystko zadbała. Nawet pojemnik ze słodzikiem był pełen. Tak, to na pewno ona. Na swój sposób starała się mu pomóc w tej ciężkiej przeprawie.

Zamykając drzwi, również i tu przekreślił wywieszkę z napisem NIE PRZESZKADZAĆ. Sallisha usadowiła się w najmniej wygodnym fotelu — ta kobieta zdecydowanie lubiła się umartwiać. W dalszym ciągu przyciskała do piersi notes, jak swój jedyny skarb.

— Nie możesz wyrzucić z programu historii Grecji — zaczęła gwałtownie. Wyraźnie wygłaszała długo przygotowywaną przemowę. — Muszą wiedzieć, skąd się wzięła obecna forma rządu, inaczej nie docenią tego, co mają. Musisz włączyć...

— Sallisho, można włączyć do programu zarys, ale nie całą kulturę — zaczął.

— Ale to kultura określiła formę rządów... — wpatrywała się w niego, wstrząśnięta takim brakiem zrozumienia.

— Jeśli jakiś uczeń bardzo się tym zainteresuje i będzie chciał dowiedzieć się czegoś więcej, dostarczymy mu odpowiednie materiały. Ale nie ma sensu zmuszać farmerów z pogórza i poganiaczy bydła z równin, żeby uczyli się rzeczy pozbawionych wszelkiego związku z ich codziennym życiem.

— Obrażasz ich, mówiąc takie rzeczy.

— Ależ skąd, oszczędzam im tylko całych godzin nudnej nauki, zastępując je historią Pernu...

— Tyle jest tego, że nie zasługuje nawet na szlachetną nazwę „historii”.

— Dzień wczorajszy jest już dzisiaj historią, ale czy chcesz zaczynać wszystko od nowa? „Historia” to wydarzenia w rozwoju lub życiu jakiegoś ludu... czyli nas — tu uderzył się kulem w pierś — opatrzone analizą i uzasadnieniem. Od założenia... kolonii na Pernie, zaczyna się nasza historia, wspaniała, wzruszająca opowieść o przeżyciu pomimo niewiarygodnie małej szansy zwycięstwa w walce z nieprzejednanymi przeciwnościami, opowieść o straceńczej odwadze, o ludzkiej przemyślności, śmiałości i o tej planecie, nie o obcym miejscu, którego nazwa jest pustobrzmiącym słowem. To lepsze, niż historia starożytna, jeśli będziemy nauczać tego we właściwy sposób.

— Czy podważasz moje...

— Nigdy w życiu, Sallisho, i dlatego potrzebuję właśnie twojej szczerzej współpracy w tworzeniu nowego, wzbogaconego programu nauczania, odpowiedniego do naszych warunków. Statystycznie, twoi uczniowie dostają lepsze stopnie na egzaminach końcowych, niż podopieczni pozostałych nauczycieli... mówię tu również o farmerach z pogórza i poganiaczach bydła z równin. Ale wiedza, którą się z nimi tak szczerze dzielisz, nigdy

więcej się im nie przyda. Życie na Pernie i tak jest niełatwe... gdy trzeba walczyć z zewnętrznym zagrożeniem... Niech poczują dumę z dokonań naszych przodków... tych niedawnych. Po co im wiedzieć o zamecie i bolączkach bezmyślnego świata, który perneńscy koloniści pozostawili daleko za sobą. Poza tym — bezlitośnie uciszył ją, gdy chciała coś wtrącić — procesy w Telgarze i Bendenie dowiodły, że za mało czasu poświęcamy na naukę praw człowieka, zapisanych w Karcie.

— Ale ja poświęcałam...

— Ty z pewnością nie zawiodłaś, ale koniecznie musimy wbić ludziom do głowy — dla podkreślenia swoich słów uderzył pięścią w otwartą dłoń — jakie prawa mają gospodarze podlegli Lordowi Warowni: w jaki sposób ubiegać się o ziemię, nadawaną każdemu na podstawie Karty, jak zapobiegać sytuacjom podobnym do tej, która wydarzyła się w Bitrze...

— Żaden inny Lord Warowni nie jest aż tak podły — skrzywiła usta z niesmakiem, wymawiając ostatnie słowo — jak tamten obrzydliwiec. Tylko nie myśl, że zmusisz mnie, bym tam poszła i przejęła stanowisko po Issonym! — pogroziła mu wskazującym palcem i zrobiła gniewną minę.

— Ależ skądże, Sallisho, jesteś dla nas zbyt wartościowa, żeby posyłać cię do Bitry — powiedział kojąco. Bitrze był potrzebny bardziej współczujący i elastyczny nauczyciel, niż ona. — Jednakże zdumiewa mnie, jak wiele osób nie ma pojęcia o Karcie i o swoich prawach. A to bardzo źle. Nie sądzę wprawdzie, że zastraszeni ludzie w Bitrze mieliby odwagę powoływać się przed Chalkinem na postanowienia Karty... nawet, gdyby je wtedy znali. Ale widzisz, to przerażające, że tak niewiele osób obecnych na procesie wiedziało, że zwykły gospodarz ma prawo do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, prawo do zgromadzeń i do mediacji w przypadku nadmiernych obciążeń daniną.

— Dlaczego Lordowie Warowni nie zdjęli go ze stanowiska? — denerwowała się, kierując skumulowaną agresję na nową ofiarę. — Przecież to więcej niż oczywiste, że ten człowiek nie jest w stanie zarządzać Warownią, a już zwłaszcza w czasie Opadów. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze się wahają.

— Sallisho, odwołanie Lorda Warowni ze stanowiska wymaga jednogłośniejszej decyzji — powiedział z łagodnym wyrzutem.

Przez chwilę spoglądała na niego, nic nie rozumiejąc. Nagle zaczerwieniła się.

— Kto się wyłamał?

— Jamson.

Z irytacją zacmokała językiem o podniebienie.

— Tam też nie możesz mnie posłać. Od tego zimna pogorszyłby mi się artretyzm.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Sallisho, i dlatego zastanawiałem się, czy w tym roku nie zdecydowałabyś się na Południowy Nerat?

— Jak wiele jeżdżenia? — spytała, nie do końca ułagodzona.

— Sześć dużych gospodarstw i pięć mniejszych, ale w rozsądnej odległości. Naturalnie, podróże tylko w dni między Opadami. Doskonałe zakwaterowanie i bardzo dobry kontrakt. Gardner zadbał, żeby mieszkanie odpowiadało twoim wymaganiom — sięgnął do kieszeni kamizelki i wydobyl dokument. — Pomyślałem sobie, że chętnie to obejrzysz już dzisiaj.

— Chcesz mnie zmiękczyć, co? — powiedziała, uśmiechając się niemal kokieteryjnie i sięgnęła po dokument.

— Jesteś moją najlepszą nauczycielką, Sallisho — powiedział i powoli wyciągał rękę, aż kobieta zacisnęła palce na umowie.

— Jeśli myślisz, że dzięki temu pogodzę się z tym, że brutalnie wyciąłeś całą historię sprzed kolonizacji Pemu, to się mylisz, Clisser.

— Wcale mi o to nie chodziło. Nie możemy cię wystawiać na niebezpieczeństwo na równinach Keroonu...

— Obiecałam im, że wrócę.

— Ach, na pewno to rozumieją.

— Tam jest naprawdę kilka obiecujących umysłów...

— Znajdziesz je wszędzie, dokąd się skierujesz, Sallisho, masz do tego dar. — Wyciągnął drugi, znacznie grubszy plik papierów: nowy program nauczania. — Będzie ci o wiele łatwiej wyklądać według tego.

Popatrzyła na dokument ze wstrętem, jakby to był wąż tunelowy.

## **ROZDZIAŁ XII**

### **WAROWNIA DALEKICH RUBIEŻY I WAROWNIA FORT**

— A więc — powiedział Paulin do Thei i Galliana w solarium Dalekich Rubieży, gdzie panowało miłe ciepło — czy w jakikolwiek sposób możemy go nakłonić do zmiany zdania?

Thea wzruszyła ramionami.

— Argumenty rozumowe nic tu nie pomogą, to pewne. Był wstrząśnięty, że na czas tych dwóch procesów anulowano władzę Lorda Warowni nad jego ludźmi. Do samych wyroków nie miał zastrzeżeń...

— Były słuszne i sprawiedliwe, i trzeba było tych ludzi zesłać na wyspy, bo jeszcze narobią nowych kłopotów — dodał Gallian, naśladowując cienki, astmatyczny głos ojca. — Ach, gdyby upoważnił mnie do zajmowania się wszystkimi sprawami Warowni... — bezradnie uniósł dłonie. — Ale jest taki chory...

— Zaraz, zaraz. On naprawdę jest chory — przerwał mu Paulin — a ta pogoda tylko szkodzi mu na płuca, prawda?

Thea szeroko otworzyła oczy, pojmując w lot, do czego zmierza jej gość.

— Gdyby go wysłać na rekonwalescencję do Isty, albo Neratu, no cóż, musiałby upoważnić Galliana do... — zaczęła.

— Masz rację.

— Ale co się stanie, gdy wyzdrowieje i dowie się, co zrobiłem, mimo że znam jego poglądy na kwestię usuwania Lordów Warowni ze stanowiska? Nie omieszkał mi ich dokładnie wyłożyć — zwrócił się Gallian do matki. — Co będzie, jeśli okaże się, że mu się sprzeciwiłem? Najprawdopodobniej straciłbym wtedy szansę na dziedziczenie.

— Niemożliwe, kochanie. Wiesz, jakie on ma zdanie na temat twoich „głupich” młodszych braci — uspokoiła syna Thea, gładząc po ramieniu. — Ty zawsze wiesz, kiedy możesz postawić na swoim. Zawsze potrafiłeś radzić sobie z ludźmi. A co do siostrzeńców... — machnęła ręką z rozpaczą. Twarz jej spochmurniała. — Naprawdę martwią mnie te ciągłe infekcje płucne. — Szczerze mówiąc, boję się, że on już długo nie pociągnie — westchnęła z żalem. — Taki dobry mąż...

— Czy wasz lekarz mógłby mu zalecić pobyt w cieplejszym klimacie? — w głosie Paulina dźwięczało współczucie.

— Ciągłe to robi — Thea zacisnęła usta w wąską kreskę. — Muszę do tego doprowadzić. Znajdę jakiś sposób bo inaczej nie mogłabym spać spokojnie. Ze względu na niego i na tych nieszczęśników.

Gallian miał nieswoją minę.

— Nie martw się, chłopcze — pocieszył go Paulin. — Ja ci już wystawiłem najwyższe noty za chęć współpracy. Jak długo jestem Przewodniczącym, masz moje poparcie. Zgromadzenie wcale nie musi zatwierdzić jako spadkobiercę kandydata wybranego przez testatora. Ale teraz trzeba działać i to bezzwłocznie. Nawet opóźnienie do Końca Obrotu niesie z sobą niebezpieczeństwo. Uratowaliśmy tych ludzi, ich prawa zostały potwierdzone przez sąd powołany zgodnie z prawem, a Chalkin pewnie dostał szau z tego powodu — Paulin zaśmiał się niewesoło. — Nie możemy pozwolić, żeby się zaczął na nich mścić, bo wtedy wiele wysiłku i czasu poszłoby na mamę. Idzie odwilż i Chalkin zyska swobodę ruchu.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nie puści tego płazem.

Thea zadrżała, jej krągłe ciało zadygotało pod szatą.

— Nie chcę brać tego na swoje sumienie, niezależnie od tego, co myśli na ten temat mój Lord Jamson. — Wstała. — Miał taką złą noc... muszę z nim zaraz porozmawiać, zanim wymyśli kolejne zastrzeżenia. Jedno jest pewne, on nie chce umierać. Woli Richuda, niż Franca. Zaproponuję mu Istę. Sama chętnie przeczekałabym tam zimę. Właściwie... — wyprostowała ramiona — Władźiwie yba deż mam gadar — powiedziała, pociągając nosem. — Może zrobi dla mnie to, czego nie chce zrobić dla swojego dobra. Przepraszam was, panowie.

Obaj mężczyźni wstali, a Gallian podszedł do drzwi, by je przed nią otworzyć. Wyszła z godnością, a na jej ustach błąkał się psotny uśmiech. Gallian wrócił do Paulina, kręcąc głową.

— Nigdy jeszcze nie wystąpiłem przeciw ojcu — powiedział z nieszczęśliwą miną, wyraźnie zdenerwowany.

— Ja też nie chciałbym cię do tego namawiać, chłopcze. Wątpliwości dobrze o tobie świadczą, ale zdajesz sobie chyba sprawę, do czego Chalkin jest zdolny?

— Niestety, tak — westchnął Gallian i spojrzał na swego gościa ze zdecydowaną miną. — Zdaje się, że powinienem się przyzwyczaić do podejmowania decyzji, nie tylko do pilnowania, żeby je wykonano.

Paulin poklepał go po ramieniu gestem pełnym otuchy.

— Tak to właśnie jest, Gallianie. Mogę cię ponadto zapewnić, że nie wszystkie podjęte przez ciebie decyzje będą słuszne. Zajmowanie stanowiska nie chroni przed błędami; po prostu musisz popełniać właściwe pomyłki — Paulin uśmiechał się przekornie, obserwując, jak Gallian próbuje rozgryźć jego radę. — Jeśli w większości wypadków będziesz postępował słusznie, jesteś wygrany. W tym przypadku masz rację, a twój ojciec nie chce jej dostrzec.

Gallian kiwnął głową i zapytał nieco weselej:

— Napiłbyś się wina, Paulinie?

— Jesteś taki sam, jak matka — odparł Paulin i przyjął zaproszenie. — Przekonasz się, że to ułatwia życie... nie twierdzą przy tym, że twojemu ojcu brakuje dobrego wychowania.

— Ależ skądże — na twarzy Galliana zagościł przelotny uśmiech. Młody człowiek odchrząknął. — Co stanie się z Chalkinem po zdjęciu go ze stanowiska? Przecież nie ześlecie go na Archipelag Południowy, prawda?

— A dlaczego nie? — odparł bezbarwnie Paulin. — Jednak nie na tę samą wyspę,



gdzie zsyła się morderców — dodał pośpiesznie, widząc konsternację, malującą się na twarzy Galliana. — Tych wysp jest bardzo dużo... przecież to archipelag.

— Czy one nie są pochodzenia wulkanicznego?

— Tylko Nowa Wyspa. Reszta to tropikalne atole, całkiem niezłe nadające się do zamieszkania. Jedno jest pewne: żaden hm... deportowany nie zbiegnie stamtąd i nie spowoduje dalszych kłopotów. Chalkin z pewnością chciałby narobić zamieszania, gdyby pozwolono mu zostać na kontynencie. Nie, najbardziej humanitarne i najrozsądniejsze rozwiązanie to wsadzić go tam, gdzie nie wyrządzi więcej szkód, niż to mu się do tej pory udało.

— Kto w takim razie będzie zarządzał Bitrą?

— Jego dzieci są naturalnie za małe, ale jest jeszcze jakiś wuj, prawie w wieku Chalkina. Tylko że słyszałem plotki, jakoby obaj grali w karty o tę spuściznę. Przegrany miał zrezygnować z wszelkich roszczeń.

— Ojciec również mi o tym wspominał, gdy po raz pierwszy poruszono kwestię odebrania Warowni Chalkinowi. Żałował, że nie obstawał przy Vergerinie, mimo oporów starego Lorda Neratu. Żona Chalkina jest siostrą Franca, wiesz?

— Zapomniałem. Zdumiewające, że tak bardzo się różnią, ale jego matka była przecież pierwszą żoną Brentona — odparł Paulin.

Zagłębili się w rozmowie na temat fascynujących zagadek dziedziczności, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Thea, nieomal zgięta wpół.

— Mamo, na wszystkie gwiazdy! — Gallian rzucił się jej na pomoc. — Co się z tobą dzieje? Masz takie wypieki...

Zatrzasnęła drzwi, machnięciem ręki odesłała go na miejsce i padła na krzesło, zanosząc się od śmiechu. — Co cię tak bawi?

— Twój ojciec, kochanie... — wytarła z policzków łzy, a razem z nimi także część „wypieków”. Popatrzyła na chusteczkę i mocniej potarła skórę, w dalszym ciągu śmiejąc się serdecznie.

— Udało nam się. Jamson jedzie do ciepłych krajów. Gdy wychodziłam, pisał list do Richuda, prosząc go o gościnę. Powiedziałam, że wyślę wiadomość przez pierwszego smoczego jeźdźcę, jaki się nadarzy, ale twój przyjaciel na pewno się zgodzi ją zabrać, prawda, Paulinie? Kiedy leci z tobą do Fortu?

— Naturalnie, że się zgodzi... albo lepiej ja sam wezmę ten list do Richuda i poproszę, by trochę z nami pospiskował, żeby Jamson, gdy już tam będzie nie zorientował się, co się dzieje na kontynencie — Paulin uśmiechnął się z ulgą.

— Ale dlaczego tak się śmiałaś, mamó? I po co ten makijaż? — dopytywał się Gallian.

— No cóż — pomachała chusteczką i uśmiechnęła się do nich radośnie — o swoje zdrowie może nie dba, ale poświęcił się dla cierpiącej żony — powiedziała, udając, że znów ma katar. — Najpierw posłałam twoją siostrę po Canella, tak, jakbym nagle poczuła się bardzo źle. Namówiłam go, żeby mi pomógł... to właśnie on poradził mi żebym uróżowała policzki. Potem poszłam do ojca, narzekając na różne bóle, które nękają mnie od rana, zupełnie niespodziewanie. I ciągle kichałam... na szczęście, z natury kicham cicho, więc łatwo mi było udawać. Wtedy do akcji wszedł Canell i naprawdę był niezwykle przekonujący. Bardzo go zaniepokoiło moje galopujące tętno i nabiegła krwią twarz. Ogromnie martwił się o stan moich płuc i nadmierny wysiłek dla serca. W ten sposób osaczyliśmy Jamsona z dwóch stron, więc zgodził się zabrać mnie na południe do Isty, żebyśmy całkiem doszła do siebie. I już! — spoglądała z uśmiechem to na jednego, to na drugiego ze słuchaczy, zachwycona swą przebiegłością.

— Koniec świata! Mamó, jesteś niesamowita.

— Naturalnie — odparła z wyższością i nagle, ku kompletnemu zaskoczeniu obu mężczyzn, kichnęła.

— Och, do licha!

— Aha — skomentował Gallian z udawaną surowością — oto kara za zmyślanie. Na serio złapałaś katar.

— Posłał także kogoś po ciebie. Tak więc...

Przerwało jej ciche stukanie do drzwi. Gallian natychmiast poszedł otworzyć, ale uchylił je tak, by widać było tylko jego postać.

— Tak, proszę powtórzyć Lordowi Jamsonowi, że zaraz przyjdę — powiedział i zamknął drzwi.

— Dotrzymam towarzystwa Lordowi Paulinowi do czasu, gdy przyniesiesz ten list, Galii — powiedziała jego matka i naląła sobie nieco wina. — Jako osoba przeziębiona muszę się wzmocnić, bo będę miała nawrót — oświadczyła. — Jeszcze szklaneczkę, Paulinie? Żeby uczcić mój aktorski debiut?

— Szkoda, że wcześniej nie pomyślałaś o tej sztuczce.

— Też żałuję — powiedziała z cichym westchnieniem. — Ale wcześniej nie odczuwałam tego jako nieodpartej konieczności. Ach, ci biedni ludzie. Kto zajmie się Warownią, gdy pozbędziecie się Chalkina? I co się z nim właściwie stanie?

— Jeszcze nie zapadły decyzje w tej mierze.

— Rozmawialiśmy o tym, mam — wtrącił Gallian. — Chalkin ma wuja ze strony ojca, imieniem Vergerin.

— Ale Vergerin przegrał prawa do spadku w karty — stwierdziła srogo Thea.

— Też o tym słyszałaś?

— Och, wszyscy znamy ten Ród — powiedziała. — Hazard jest dla nich najważniejszy. W dodatku zawsze grają o najdziwniejsze rzeczy i lubują się w niespotykanych zakładach. Ale żeby zagrać o Warownię? — jej mina zdradzała niekłamany niesmak.

— Może Vergerin czegoś się jednak nauczył — oświadczył Gallian z pewną wyższością, jak zauważył Paulin.

— Może i tak — odparł Lord Fortu. — Jeśli jeszcze żyje.

— Och, nie! — dłoń wstrząśniętej Thei powędrowała do gardła.

— Jeśli Rada przegłosuje usunięcie...

— Nie „jeśli”, Gallianie, lecz „kiedy” — poprawił go Paulin, unosząc rękę.

— Kiedy to przegłosują jak macie zamiar pozbyć się Chalkina z Bitry? — spytał Gallian.

— Wszystko trzeba będzie przemyśleć i zaplanować — odparł Paulin. — A teraz idź do ojca Gallianie. Niech na ciebie nie czeka, bo jeszcze gotów zmienić zdanie.

— Nie teraz, gdy w grę wchodzi zdrowie mamy — zaśmiał się Gallian i wyszedł z komnaty.

— Proszę cię, Paulinie, obiecaj mi, że w wyniku tej sprawy Gallian nie ucierpi jako następca Jamsona, dobrze? — Thea spytała wprost, chwytając go za ramię.

— Obiecuję, Theo — przyrzekł, poklepując jej dłoń.

Cztery dni później, gdy Lord Jamson i Lady Thea bezpiecznie znaleźli się w Iście, pozostali Lordowie Warowni z małżonkami, oraz Przywódcy Weyrów zebrali się na nadzwyczajnym zjeździe w Telgarze i formalnie zdjęli Lorda Chalkina ze stanowiska za zaniedbywanie obowiązków w stosunku do Weyru Benden, za niespotykane okrutne kary wymierzone niewinnym gospodarzom (rysunki Iantine’a przedstawiono jako dowód, razem ze sprawozdaniami z niedawnych procesów), za zakaz nauczania postanowień Karty i pozbawienie ludzi wiedzy o swych prawach i obowiązkach (tu zeznawał Issony), jak również za bezpodstawne odebranie tych praw podległym mu gospodarzom.

Gallian, gdy nadeszła jego kolej, spokojnie głosował za wnioskiem, okazawszy wprawdzie pełnomocnictwo ojca do podejmowania wszelkich decyzji dotyczących Warowni

Dalekich Rubieży.

— Dobrze, i co dalej? — spytał Tashvi, klasnąwszy w dłonie z ulgą, że wreszcie podjęto trudną decyzję.

— Naturalnie, należy poinformować o tym Chalkina i zdjąć go ze stanowiska — wyjaśnił Paulin.

— Nie będzie procesu? — zdumiał się Gallian.

— Właśnie był — odparł Paulin. — Ława osób równych mu stanowiskiem.

— Zaangażowanie w taką akcję smoczycy jeźdźców do tej pory nie miało precedensu — oświadczył S'nan, Przywódca Weyru Fort, głosem wypranym z wszelkiej ekspresji.

Na te zdumiewające słowa, wszyscy zwrócili się do niego z wyrazem niniejszego lub większego zaskoczenia, niesmaku, gniewu i niedowierzania na twarzach.

— Pozbawienie Lorda jego Warowni również jest bez precedensu, S'nanie — odezwał się M'shall — ponieważ po raz pierwszy powołujemy się na to prawo, sformułowane na piśmie ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu. Nie zgadzam się jednak, że jeźdźcy smoków powinni się teraz wycofać. Do diaska, S'nan, jeden z ważniejszych powodów, dla których Chalkin stracił stanowisko, to fakt, że nie pomógł w przygotowaniach Warowni, której my, jako związani słowem honoru, mamy obowiązek chronić. Sam go stamtąd wyciągnę za łeb, jeśli będzie trzeba.

Siedząca obok Irena gwałtownie pokiwała głową, popierając swego partnera i obdarzyła S'nana gniewnym spojrzeniem. Władczyni Weyni S'nana, Sarai, spojrzała na nią przerażona, z niedowierzaniem.

— Jeśli nie dopadniemy go pierwsi, niedługo sam się ruszy z tej swojej twierdzy, a wtedy kto wie, co się stanie — powiedziała Irena. Potem przechyliła głowę, zaniepokojona jakąś myślą. — Wiecie co, tak mało znam rozplanowanie Bitry wewnątrz, że nie miałabym pojęcia gdzie go szukać, a tym bardziej, jak go złapać. Przecież ciągle otacza się strażnikami. Franco?

— Słucham? — odpowiedział nerwowo Lord Neratu. — Nie potrafię wam nic powiedzieć o Bitrze. Byłem tylko w gościnnym salonie, choć Nadona jest moją siostrą.

— Bardzo dziwne — skomentował Bastom.

— Co z nim zrobimy, kiedy go w końcu dostaniemy? — spytał Franco. — Kto będzie rządził? Jego dzieci są jeszcze za małe.

— Ten wuj, Vergerin — zaczął Paulin.

— A może regencja, póki dzieci nie dorosną? — przerwał mu Azury.

— Albo obiecujący młodszy syn z dobrze zarządzanej Warowni? — Richud z Isty

bystro rozejrzał się dookoła.

— Wiemy, że ten Ród jest skażony żyłką do hazardu — wtrącił Bridgely.

— Można to kontrolować za pomocą ostrej dyscypliny i wszechstronnego wychowania — odparła twardo Salda z Telgaru. — Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

— Vergerin... — powtórzył Paulin, przekrzykując krzyżujące się argumenty.

— On? Przegrał swoje prawa w karty — powiedziała Sarai z Weyru Fort niezwykle surowym głosem.

— Chalkin oszukiwał... — odparł M'shall. — Jak zresztą w każdej grze o wysoką stawkę, o której do tej pory słyszałem.

Irena popatrzyła na niego z głębokim namysłem.

— Tylko słyszałem! — powtórzył.

— Vergerina — ryknął Paulin w pełnej zdumienia ciszy — należy wziąć pod uwagę najpierw, bo jest bezpośrednio członkiem Rodu. Tak mówi Karta, której zamierzam przestrzegać w najdrobniejszych szczegółach. Niestety nie odnaleziono go na farmie, gdzie spokojnie mieszkał od czasu, gdy Chalkin przejął władzę.

— Nie odnaleziono?

— To sprawka Chalkina?

— Gdzie? I dlaczego?

— Brat niewątpliwie wyszkolił Vergerina w zarządzaniu Warownią — mówił dalej Paulin — a o ile się nie mylę, z kronik wynika, że Kinver był zdolnym i sprawiedliwym Lordem.

— Też hazardzista — mruknęła półgłosem Irena.

— Ale nie oszukiwał — skarcił ją M'shall.

— Wszyscy zamierzamy przestrzegać postanowień Karty, które przewidują, że najpierw należy brać pod uwagę członków Rodu, nieprawdaż? — tłumaczył Paulin. — Jeśli skontaktujemy się z Vergerinem...

— I jeśli on zechce — dodał M'shall.

— I będzie się nadawał — uzupełnił stanowczym głosem G'don z Weyru Dalekich Rubieży.

— Jeśli on zechce i będzie się nadawał — powtórzył Paulin — wtedy postąpimy zgodnie z postanowieniami Karty...

— Dziś już wprowadziliśmy jeden precedens — wtrącił Bastom. — To może niech Bitra sobie trochę odpocznie pod rządami kogoś przeszkolonego i kompetentnego, co?

Szczególnie teraz, gdy trzeba włożyć tyle pracy w przygotowanie jej do obrony wiosną.

— Racja. A może powołajmy zespół? Wybierzmy pełną zapalu młodzież, żeby nabrała praktyki w codziennej pracy w Warowni? — zaproponował Tashvi.

— Niech wszyscy, którzy mają młodszych synów i córki, nadających się do takiej pracy, podniosą ręce — zaśmiał się M'shall. Sens jego słów wcale nie był jednak żartobliwy.

— Nie, musicie zastąpić Chalkina kimś z jego Rodu — przerwał mu głośno S'nan, waląc pięścią w stół.

— W takim razie to musi być Vergerin.

— Jeśli uda się go znaleźć...

— Spokój! Spokój! — ryknął Paulin i zaczął walić w blat młotkiem przewodniczącego, aż wszyscy ucichli. — Nareszcie. Teraz możemy się spokojnie zastanowić. Po pierwsze, trzeba usunąć Chalkina...

— A co to da, jeśli nie mamy kandydata do zarządzania Warownią, która do reszty się zdemoralizuje, gdy zostanie bez przywódcy? — spytał S'nan, tak zaperzony, że wyrzucał z siebie słowa z niezwykłą dla siebie szybkością. Nikt z obecnych nie pamiętał go w takim stanie.

— Możemy powołać nowego Lorda tak szybko, że nikt nie zdąży się zdemoralizować — uspokoił go Tashvi.

— Pewnie tak zrobimy — poparł go Paulin. — Vergerin opuścił swoje gospodarstwo, i to zdaje się dość dawno.

— Chalkin się go pozbył? — S'nan był wstrząśnięty.

— Prawdopodobnie umieścił go w chłodni, jak nazywa pewne pomieszczenie na poddaszu — oświadczył ponuro M'shall.

— Niemożliwe! — denerwował się S'nan. Ten ostatni dowód podłości i okrucieństwa Chalkina wreszcie otworzył mu oczy. Sarai pochyliła się do niego i delikatnie pogładziła jego dłoń.

— To tylko podejrzenia, które wcale nie muszą być prawdą — taktownie podsumował Paulin. — Uspokójmy się wreszcie na chwilę. Chalkina trzeba usunąć...

— Co z nim potem chcecie zrobić? — spytał S'nan drżącym głosem.

— Uda się na wygnanie — mówiąc to Paulin rozejrzał się wokół, ale wszyscy zgromadzeni zgadzali się z jego decyzją. — To najbezpieczniejsze wyjście, a zarazem najłagodniejsza możliwa kara. W archipelagu jest tyle wysp, że można mu dać jedną na własność — wszyscy uśmiechnęli się na ten żart.

— Tak, to odpowiednie i właściwie — ponury Przywódca Weyru Fort nieco się

rozpogodził.

— Znajdziemy Vergerina — gdy inni próbowali znowu przerwać Paulinowi, raz jeszcze uderzył młotkiem w stół. — Aby przygotować Warownię na Opad Nici i uspokoić gospodarzy, każdy z was przyśle jednego członka swej rodziny, mającego doświadczenie w zarządzaniu Warownią. W Bitrze czeka nas dużo ciężkiej pracy. Zbyt wielka to odpowiedzialność dla pojedynczej osoby. Nawet jeśli odnajdziemy Vergerina i on zgodzi się na naszą propozycję, i tak będzie potrzebował pomocników.

Wiele osób pomrukiwało niechętnie, ale uznali, że to najlepsze rozwiązanie. Nawet S'nan był chyba zadowolony.

— Powraca kwestia usunięcia Chalkina — powiedział M'shall. — Z Bitry jest więcej wyjść, niż z gniazda tunelowych węży. Jeśli Chalkin podejrzewa, co zrobiliśmy, na pewno się nam wymknie.

— Niemożliwe! Został zdjęty ze stanowiska — oświadczył S'nan.

— Jeszcze o tym nie wie, S'nanie — zdenerwował się D'miel z Weyru Ista.

— Weźcie pod uwagę, że on bardzo szybko dowiaduje się wszystkiego, czego nie powinien — ostrzegł B'nurrin z I genu. — Powinniśmy to zrobić natychmiast! Może mnie nie będzie podejrzewał o podstęp — powiedział młody spizowy jeździec, omiatając wzrokiem twarze zgromadzonych przy stole. — Ja go też prawie nie znam. Zgłaszam się na ochotnika.

— Nie sądzę, by w tej chwili Bitra mile widziała jakichkolwiek jeźdźców smoków — zauważył Bridgely, cynicznie unosząc brew.

— Pewnie masz rację — przyznała Irena — ale w obecnych warunkach tylko smoczy jeździec bez trudu przedostanie się do Bitry. Wszystkie drogi są zasypane śniegiem. Musi to być ktoś z nas. Sama polecę.

— Nie polecisz — sprzeciwił się twardo M'shall. — Nawet nie próbuj zbliżyć się do tego rozpustnika.

— Wcale nie muszę, wystarczy, że przewiozę innych i wysadzą ich po cichu w Warowni. Widok królowej go nie zaniepokoi — zaśmiała się brzydko. — Wicie, jego zdaniem nie stanowimy niebezpieczeństwa — dodała i mrugnęła do Zulayi.

— Jeśli w Bitrze jest tyle śniegu, dokąd mógłby uciec? — chciała wiedzieć Zulaya.

— Racja. Ale może się także ukryć wewnątrz Warowni i grać na zwłokę, kiedy nasi przedstawiciele zaczną doprowadzać jego dobra do porządku — oświadczył Bastom.

— Iantine spędził tam kilka tygodni — zamyśliła się Zulaya. — Może on będzie wiedział coś więcej o rozplanowaniu piętér i o wyjściach...

— Issony jeździł tam przez kilka ostatnich lat jako nauczyciel — dodał M'shall,

wstając. — Obaj są tu, w Telgarze, prawda? Poproszę ich do nas.

Gdy wyjaśniono Iantine'owi i Issony'emu o co chodzi, obaj wyciągnęli ołówki, ale tylko Iantine miał papier.

— Trochę się tam rozglądałem na własną rękę — powiedział malarz, szkicując na kartce nieregularny wielobok.

— Nie złapał cię? — spytał Issony, wpatrując się w jego palce, które szybkimi, pewnymi pociągnięciami wyczarowywały plan Warowni.

— Miałem doskonałe wytłumaczenie — że się zgubiłem. Na początku ulokował mnie na dole, razem ze służbą.

Issony zrobił zdziwioną minę.

— Nikt cię nie ostrzegł, co powinienes umieścić w umowie?

— Ostrzegali, ale niezbyt stanowczo. Sam się z czasem dowiedziałem.

— Niesamowite! — zawołał nauczyciel z podziwem. — Nigdy w życiu bym tak nie narysował. W dodatku zachowałeś wszystkie proporcje.

— Mistrz Domaize upierał się, że musimy także poznać podstawy rysunków architektonicznych — wyjaśnił młody artysta.

— Jest jeszcze jedno piętro — Issony postukał palcem w prawy róg kartki. — Miałeś szczęście, że go nie widziałeś. — Westchnął ciężko. — Chalkin mówi, że to jego chłodnia — z tymi słowy nauczyciel popatrzył na obecnych. — To kilkanaście cel, w jednych można tylko leżeć, a w innych tylko stać... są o wiele za ciasne dla tych wszystkich nieszczęśników, których tam pozamykano.

— Nie mówisz chyba poważnie? — S'nan był przerażony.

— Nigdy w życiu nie byłem tak poważny — odparł Issony. — Jedna z dziewczek kuchennych upuściła słój ze słodzikiem i zamurowano ją na tydzień. Umarła z zimna i wilgoci. — Ołówek Iantine zwolnił bieg, więc nauczyciel zaczął wyjaśniać: — Z jego pokojów prowadzą w dół schody, prosto do kuchni. Zawsze narzeka, że ze spiżarni znikają przysmaki, ale sam się przekonałem, że to on je podkrada. — Issony uśmiechnął się. — kiedyś w nocy chciałem wziąć sobie coś do jedzenia i o mało mnie na tym nie przyłapał.

— Nad tą częścią jest jeszcze jedna kondygnacja — wskazał Iantine. — Ale drzwi są zamknięte na kłódkę.

— Pewnie sufit się osuwa — prychnął Issony. — Ale w korytarzu było mniej kurzu, niż w innych, rzadziej używanych przejściach. Myślę, że to dojście na poziom paneli słonecznych.

— Można tam posadzić smoka — stwierdził Paulin. Nie tylko on stanął z tyłu za



rysownikiem, obserwując jego pracę. — Co za twierdza. Cieszę się, że trochę poznałeś Bitrę w czasie swojego pobytu, Iantine. — Z aprobatą poklepał młodego człowieka po ramieniu. — Powiedzcie mi jeszcze, ile jest tych... ehm, dyskretnych wyjść?

— Wiem o dziewięciu, oprócz drzwi kuchennych i głównego wejścia — Issony wskazał je po kolei.

Paulin zatarł ręce, gestem zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc przy stole i przez dłuższy czas wpatrywał się w rysunek.

— Nie traćmy więc czasu i przedyskutujmy naszą... hm... strategię. Ireno, doceniam, że zgłosiłaś się do roli przynęty, ale lepiej będzie, jeżeli zadziałamy z zaskoczenia. Issony, Iantine, o jakiej porze Warownia będzie najbardziej podatna na atak?

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Issony wzruszył ramionami.

— Wcześniej rano, o piątej, może nawet o czwartej. Nawet wher–stróże czasem bywają zmęczone. Większość strażników o tej porze drzemie — popatrzył na Iantine'a, który potakująco pokiwał głową.

— Tak więc, będziemy potrzebować jeźdźców...

— Postarajmy się ograniczyć do osób obecnych na tej sali — poradził M'shall.

— Nie wolno osaczyć człowieka w jego własnej Warowni, to niewłaściwe — zaczął S'nan, stając na równe nogi.

Siedzący tuż za nim G'don z Dalekich Rubieży pociągnął go za ramię i usadził z powrotem na krześle. — Daj już spokój, S'nanie — powiedział, znużony.

— Niniejszym usprawiedliwiam twoją nieobecność podczas desantu — oświadczył Paulin z niesmakiem.

— Ale... ale...

Nawet jego partnerka syknęła, by go uciszyć.

— Mamy więcej ochotników, niż potrzeba — stwierdziła Shanna z I genu, rzucając omdlewające spojrzenie wstrząśniętemu S'nanowi.

— Bardzo dobrze. W takim razie przypilnujemy wszystkich wyjść...

— W kuchni jest jedno okno, którego nikt na noc nie zamyka, zawsze zapominają — powiedział Iantine. — I za mało karmią wher–stróża. To sama skóra i kości. Jakiś smaczny kąsek mógłby odwrócić jego uwagę. Zresztą, to okno jest chyba poza zasięgiem jego łańcucha.

— Doskonale, Iantine — ucieszył się Paulin. — A zatem wchodzimy przez okno, a potem natychmiast przedostajemy się kuchennymi schodami do prywatnych apartamentów Chalkina.

— Ukryte drzwi są w boazerii przy kredensie z przyprawami. Zabierzecie mnie ze sobą, a odnajdę je w jednej chwili — powiedział Issony, a jego oczy lśniły z niecierpliwości.

— Jeśli masz ochotę... — zgodził się Paulin.

— Ja też bym poleciał — dodał Iantine.

— Tak mi się od początku wydawało — zgodził się gospodarz spotkania, a potem szybko przedstawił szczegółowy plan.

Zaangażowali się weń wszyscy Przywódcy Weyrów oprócz S'nana; przekonano do udziału nawet młodego Galliana.

— Jak spadać, to z wysokiego konia — stwierdził, fatalistycznie wzruszając ramionami.

— Ta eskapada ci nie zaszkodzi, Gallianie — uspokoił go Bastom. — Podjęliśmy jednogłośnie decyzję, a nasza obecność pomoże Chalkinowi sobie to uzmysłwić. Nikt z nas nie stanie po jego stronie — stwierdził Lord Tilleku, spoglądając z wyrzutem na S'nana, który siedział z tak żalną miną, że Bastom odczuwał nieomal współczucie dla tego drobiazgowo dokładnego człowieka.

— Tak więc, uzgodniliśmy wszystko, panie i panowie? — spytał Paulin, gdy już wszyscy wiedzieli, jaką rolę mają odegrać w niedalekiej przyszłości. — W takim razie chodźmy się odświeżyć i odpocząć do chwili, gdy nadejdzie czas odlotu.

## **ROZDZIAŁ XIII**

### **WAROWNIA BITRA I WEYR TELGAR**

Poza tym, że wher-stróż nie połakomił się na smakowite kęski mięsa, specjalnie przywiezione, by odciągnąć go od obowiązków i M'shall musiał prosić Craigatha, by skarcił to biedne stworzenie, dostali się do Warowni bez trudu. Strażnik, który powinien usłyszeć ostrzegawczy skrzek wher-stróża, nie zorientował się w niczym. Issony bez kłopotu dostał się do środka przez niezamknięte okno i otworzył drzwi całemu oddziałowi. W tym czasie wszyscy, których zadaniem było pilnować pozostałych wyjść z twierdzy, stanęli już na posterunkach. Iantine przebiegł przez kuchnię do salonu i umożliwił drugiej grupie wejście przez frontowe drzwi, a Issony odnalazł ukryte drzwi w kuchni. Choć schody oświetlały ledwo żywe żary, przy ich blasku Lordowie, ich damy oraz Przywódcy Weyrów, mający dokonać aresztowania, łatwo wspięli się w górę.

Paulin otworzył drzwi u szczytu schodów i pierwszy znalazł się w prywatnych apartamentach Chalkina. Za nim weszło ośmiu Panów i Pań Warowni oraz M'shall, który

uparł się, że będzie reprezentował Weyry. Zdumieli się, że pomieszczenie było jasno oświetlone: żary lśniły w koszykach na ścianach. Wyraźnie było widać postaci, śpiące na solidnym, pokrytym skórą łożu. Trzy postaci. Potężne kształty Chalkina wybrzuszały się pod miękką futrzaną narzutą, choć głowę ukrył w fałdzie delikatnego, białego prześcieradła.

Wpierw obudziła się jedna z dziewcząt. Już otwierała usta do krzyku, gdy spostrzegła gwałtowny gest Paulina, który nakazał jej ciszę. Zamiast narobić hałasu, ześliznęła się z materaca, podciągając prześcieradło pod brodę i wybrała suknię ze stosu bezładnie leżących na podłodze ubrań. Paulin gestem polecił się jej ubrać. Poruszała się cicho, ale pociągnęła prześcieradło i druga dziewczyna obudziła się, poczuwszy zimny powiew. Ta krzyknęła.

— Wrzeszczała, jak zielona smoczyca w rui — opowiadał później M'shall, śmiejąc się z tego wspomnienia. — A i to nie obudziło Chalkina.

Za to strażnicy się pobudzili i wpadli do pokoju. Oniemieli na widok tyłu uzbrojonych osób w osobistym, najlepiej chronionym apartamencie Chalkina.

— Chalkin został zdjęty ze stanowiska, gdyż odmówił przygotowania tej Warowni do Opadu Nici, nadużył przywilejów Lorda Warowni i odebrał dzierżawcom prawa, należne im według Karty — oświadczył Paulin dźwięcznym głosem, obnażywszy miecz. — Opuśćcie broń, chyba że chcecie iść razem z nim na wygnanie.

Rzucili miecze jak jeden mąż w chwili, gdy prowadzone przez Iantine'a posiłki wpadły z korytarza do komnaty.

To w końcu obudziło Chalkina z pijackiego snu.

Później Paulin opowiadał, że czuł się rozczarowany tym żalonym zakończeniem bohaterskiej inwazji o świcie.

— S'nan tylko utwierdzi się w swych wątpliwościach — orzekł K'vin. — Od samego początku uważał, że chcemy upokorzyć Chalkina.

— Tak się też stało — zaśmiał się Tashvi.

Chalkin każdym włóknem ciała okazywał tchórzostwo, próbował wmusić łapówki wszystkim Lordom Warowni po kolei, proponując wielki skarb do podziału, jeśli mu pomogą. Gdyby ktokolwiek odczuwał choć cień pokusy, z pewnością zmieniłby zdanie na widok nieszczęsnych, dygocących ludzkich łachmanów wychodzących z „chłodni”.

— Wszystkie cele były zajęte — powiedział Issony, wstrząśnięty tym, co zobaczył w podziemiach. — Większość z nich to strażnicy graniczni, ale i oni nie zasługiwali na taką karę!

Nawet najtwardsi z nich do końca życia mieli nosić ślady uwięzienia.

— Iantine? Czy masz ze sobą... ach tak, świetnie. Naszkicuj ich prędko, dobrze? —

poprosił Issony, wskazując dwóch mężczyzn bliskich śmierci: tych, których wcześniej skazano na kastrację za gwałt. Można było zrobić dla nich tylko jedno: skrócić ich cierpienia sokiem fellisowym.

— To dla S'nana. Na wypadek, gdyby jeszcze powątpiewał, czy sprawiedliwie dziś postąpiliśmy.

— Vergerina ani śladu, prawda? — spytał Paulin, gdy opróżniono cele.

— Niestety — odparł ponuro Nfshall. — Ale to nic nie znaczy — wskazał kciukiem noszowych, którzy poprzednio pilnowali „chłodni”. — Oni twierdzą, że przedwczoraj wrzucono do dołów z wapnem cztery ciała. Być może dla Vergerina przybyliśmy za późno.

Paulin zaklął pod nosem.

— Pytałeś, czy ktoś nie słyszał tego imienia?

— Tu na dole nie było imion — mruknął M'shall. Paulin skrzywił się.

— No cóż, trzeba zawezwać tymczasowych zarządców.

— Już rozesłałem jeźdźców. Zarządcy powinni tu być...

Z korytarza słychać było jakieś zamieszanie, wiwaty i powitalne okrzyki.

— Niemożliwe, żeby zdążyli tu już dotrzeć — zdziwił się M'shall i obaj ruszyli sprawdzić, co się stało.

Z cienkich, brudnych futer wyplątywał się właśnie jakiś wysoki mężczyzna i uśmiechał się do jeźdźców, którzy poklepywali go po ramionach i wszędzie, gdzie się dało.

— Zgadnijcie, kto tu do nas przyszedł? — zawołał B'nurrin z Igenu na widok Paulina i M'shalla.

— Vergerin? — spytał Paulin.

— Optymista — mruknął M'shall, przyjrzał się bliżej mężczyźnie, którego twarzy nie skrywał już wielki futrzany kaptur i zawołał: — To naprawdę on!

— Naprawdę on? — Paulin pośpiesznie przemierzył szeroki korytarz.

— Typowe brwi dla tego rodu — zaśmiał się M'shall. — Gdzie się chowałeś, Vergerinie?

— M'shall? — Vergerin zaczął się rozglądać z pełnym nadziei uśmiechem na ogorzałej twarzy. Rzeczywiście byłby podobny do Chalkina, gdyby twarz tego ostatniego wyszlachetniała i stała się nieco bardziej pociągła. — Nie masz pojęcia, jak uradował mnie widok tych wszystkich smoków na wysokościach. Zrozumiałem, że poszliście wreszcie po rozum do głowy i pozbyliście się tego... — wskazał kciukiem na sufit. — Nawet nie wiecie...

— Gdzie się podziewałeś? No, gdzie się podziewałeś? — pytał Paulin, entuzjastycznie

ściskając jego dłoń obiema rękami.

Uśmieszek Vergerina nabrał przebiegłości.

— Ano, pomyślałem, że najbezpieczniej będzie mi pod samym nosem Chalkina — wskazał ręką w kierunku stajni. — Inwentarz lepiej u niego mieszka, niż ludzie, więc cuchnę tylko czystym zwierzęcym nawozem. Zarabiałem na utrzymanie jako stajenny...

— Ale twoje gospodarstwo stało pustką...

— Sam się o to postarałem, zapewniam was — powiedział, przeczesał stwardniałą od pracy dłonią tłuste włosy i uśmiechnął się przepraszająco. — Mam silny instynkt przeżycia, drodzy Panowie Warowni, więc gdy się zorientowałem, że mój kochany bratanek rzeczywiście nie zamierza nawet palcem kiwnąć dla obrony przed Nićmi, doszedłem do wniosku, że lepiej zniknąć, zanim zaczniesz myśleć o zemście... przecież jestem jedynym, oczywistym kandydatem na jego miejsce.

Wyplątał się z kolejnej warstwy szmat i stanął spokojnie, z godnością, pośród ciepło ubranych jeźdźców i Lordów. Jego wrodzona godność wywarła duże wrażenie na Paulinie. Zresztą, nie tylko on ją zauważył.

— Przyznaję, że zrobiłem głupstwo, wyzbywając się prawa do dziedziczenia Warowni. Powinienem był wiedzieć, że tej nocy Chalkin będzie oszukiwał jeszcze bardziej niż zwykle, zwłaszcza że w grę wchodziła taka stawka. Straciłem trochę czasu, by odgadnąć, jak on to robi, bo sam także znam parę sztuczek skutecznych, jeśli przeciwnik nie ma się na bacności — podkreślił własny brak ostrożności pogardliwym uśmieszkiem. — Po prostu zapomniałem, jak bardzo Chalkin pożądał władzy nad Warownią.

— Ale dotrzymałeś obietnicy — Paulin z aprobatą pokiwał głową.

— Przynajmniej tyle mogłem zrobić, by nie stracić szacunku do samego siebie — Vergerin lekko skłonił się Paulinowi i pozostałym. — Czy mogę żywić nadzieję, że zamierzacie utrzymać Bitrę we władaniu naszego Rodu? — uniósł gęstą, ciemną brew i objął ich spokojnym, aprobującym spojrzeniem.

Paulin szybko sprawdził, jaki wyraz twarzy przyjęli obecni przy rozmowie pozostali czterej Lordowie.

— Twoja kandydatura z pewnością zostanie przedłożona podczas Zgromadzenia zwołanego na Koniec Obrotu — odpowiedział. Pozostali mrukiwie przytaknęli.

Scenę przerwały głośne zapewnienia o niewinności, wykrzykiwane przez Chalkina, którego sprowadzali po schodach Bastom i Bridgely. Łzy żony i przerażone krzyki dzieci wzmagały tumult.

Na ostatnim zakręcie schodów Chalkin stanął, wyrwał ramiona z uścisku obu Lordów

i rzucił się w dół na Vergerina.

— Ty! Ty! To ty mnie zdradziłeś! Złamałeś słowo! Ty to zrobiłeś! Właśnie ty!

Bastom i Bridgely z podziwu godną szybkością pochwycili Chalkina zanim zdążył zaatakować Vergerina, który nawet nie cofnął się przed bratankiem.

— To ty mi to zrobiłeś! To wszystko twoja wina! — Chalkin wrzeszczał głośniej niż jego dzieci, gdy Vergerin, z kamienną twarzą, powoli odwrócił się od niego.

Ujrzała go z kolei Lady Nadona; jej krzyki były pełne nienawiści.

— Zabrałeś mi męża, a teraz stoisz tu i wyciągasz ręce po Warownię, dziedzictwo i spadek moich dzieci... Och, Franco, jak możesz im pozwolić, by coś takiego zrobili twojej siostrze? — wsparła się o pierś Lorda Neratu.

Na twarzy Franca bynajmniej nie malowało się poczucie winy. Prędko zdjął sobie z szyi jej pulchne ramiona, a Zulaya i Laura z Isty pospieszyły mu z pomocą. Nadona w dalszym ciągu była w cienkiej koszuli nocnej, widocznej spod rozchyłonego szlafroka. Richud trzymał za ramiona dwóch chłopców, a jego żona zaopiekowała się dwiema zapłakanymi dziewczynkami, które na pewno nie rozumiały, co się dzieje, ale zanosiły się łkaniem, przerażone histerią matki. Irena z niejaką przyjemnością wymierzyła kilka policzków, które skutecznie uciszyły aktorskie jęki Nadony.

Paulin ujął Vergerina za ramię i poprowadził do najbliższych drzwi — jak się okazało, do gabinetu Chalkina. Znalazły się tam jakieś karafki i kieliszki, więc pośpiesznie nalał im obu. Vergerin wychylił alkohol do dna. Po chwili jego wybladła twarz nieco się zarumieniła. Głęboko wciągnął powietrze. Podziwiając opanowanie tego człowieka w tak trudnej sytuacji, Paulin zacisnął palce na jego ramieniu.

— Z góry wiedzieliśmy, że łatwo nie będzie — powiedział. Vergerin mruknął coś pod nosem i wyprostował się.

— Najgorsza z tego wszystkiego — powiedział z ironicznym uśmiechem — była świadomość mojej własnej, niebotycznej głupoty. Można sobie wybaczyć prawie wszystko, oprócz idiotyzmu.

Pomimo grubych kamiennych ścian, dochodziły tu krzyki i jęki. Wkrótce oddaliły się, gdy Chalkina wyprowadzono z Warowni na dziedziniec.

Lady Nadony nigdzie nie było widać. Mimo histerii, prędko doszła do wniosku, że nie może oddać ukochanych dzieci na pastwę tych brutalnych mężczyzn i kobiet, więc postanowiła się poświęcić i zostać na kontynencie, zamiast dzielić z Chalkinem wygnanie. Doskonale знаła własne prawa zawarte w Karcie, z dokładnością do najdrobniejszych podpunktów.

Znów krzyki i sprzeczne rozkazy! Paulin westchnął z niesmakiem i podszedł do okna, otworzył okiennice i ujrzał niezwykle scenę: pięciu mężczyzn z trudem dźwigało Chalkina na grzbiet Craighatha. Smok, którego oczy wirowały gwałtownie na czerwono i pomarańczowo, wyginał do tyłu szyję, obserwując, co się dzieje. Nagle ciało Chalkina zwiotczało i znalazło się na smoczej szyi. M'shall skoczył na grzbiet bestii i czekał. W dwie Władczynie Weyru przywiązywały Chalkina, a potem całą kolekcję różnych worków i toreb, których zawartość miała stanowić wyposażenie byłego Lorda Bitry na wygnaniu.

Craighath jednym potężnym skokiem znalazł się w powietrzu, zaledwie raz uderzył wielkimi skrzydłami i wszedł w pomiędzy.

— Zesłanie na wyspę? — spytał Vergerin i nalał sobie drugi kieliszek wina.

— Tak, ale wysadzimy go gdzie indziej, niż strażników. Na szczęście jest tam cały archipelag.

— Najbezpieczniejsza byłaby Młoda Wyspa — stwierdził sucho Vergerin, pociągnął łyk, po czym skrzywił się i zajął do kieliszka: — Skąd on wziął coś takiego?

Paulin stłumił śmiech.

— Ten człowiek miał skórzane podniebienie, to fakt. A więc spodobał ci się pomysł zesłania twego wuja na wysepkę z aktywnym wulkanem?

— Bystry jest, dałby sobie radę. Nadona zostaje?

— Dzieci są jeszcze małe, ale masz całkowite prawo, by trzymać ją w zamkniętych apartamentach i samemu zająć się ich wychowaniem.

Vergerin zadygotał z obrzydzenia.

— Ach, przecież mimo wszystko może się okazać, że jest w nich coś wartościowego — pocieszył go wielkodusznie Paulin.

— W potomkach Chalkina i Nadony? Niemożliwe. — Vergerin podszedł do szafy, gdzie przechowywano dokumenty Warowni. Zanim jednak ją otworzył, zwrócił się do Paulina: — Mam zaczynać od zaraz, czy czekać na decyzję Zgromadzenia?

— Ponieważ nie wiedzieliśmy, czy udało ci się uciec z łap Chalkina, postanowiliśmy, by wykwalifikowani młodszy synowie i córki Lordów spróbowali swoich sił przy przywracaniu tu porządku. Ty przecież znasz tę Warownię o wiele lepiej od nich, więc może sprawowałbyś ogólny nadzór?

Vergerin odetchnął głęboko i pełen ulgi uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Z tego, co wiem o sytuacji w tej Warowni i demoralizacji wśród dzierżawców, potrzebna mi będzie każda para chętnych do pracy rąk — potrząsnął głową. — Nie twierdzę, że mój zmarły brat był najlepszym gospodarzem na Pemie, ale nigdy nie dopuściłby do takich

zaniedbań... a weźmy jeszcze do tego żalosne pomysły Chalkina, że Nici nie będą opadać, bo przeszkodziłyby mu w organizowaniu hazardu!

Ktoś cicho zastukał. Gdy Paulin odpowiedział, w uchylonych drzwiach ukazała się głowa Ireny.

— Skłoniliśmy obsługę kuchni, by przygotowała coś do jedzenia. Gwarantuję tylko tyle, że klah jest gorący, a chleb prosto z pieca.

Vergerin spojrzał na siebie.

— Nie mogę usiąść do jedzenia, póki się trochę nie umyję.

— Pomyślałam i o tym — odpowiedziała z uśmiechem. — Czeka na ciebie kąpiel, pokój do przebrania, a nawet czyste ubranie.

— Świeży chleb i gorący klah doskonale nas nasycą — podziękował Paulin, przepuszczając Vergerina w drzwiach.

— Nie, Lordzie Warowni proszę przodem — skłonił się tamten.

— Ależ, przyszły Lordzie, bardzo proszę...

— Nie myślałem, że aż tak cuchnę — uzalił się Vergerin i ruszył przed siebie. Rozgląda się wokół, pomyślał Paulin, jakby oceniał stan Warowni. Zatrzymał się tak nagle, że Paulin niemal na niego wpadł i wskazał miejsce, gdzie wisiał ostentacyjnie podświetlony portret Chalkina, namalowany przez Iantine'a. Vergerin obrócił się na pięcie i spoglądał z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczyma.

— Mój bratanek... nigdy w życiu tak... nie wyglądał — powiedział, z trudem hamując wybuchy śmiechu.

Paulin też zachichotał, gdyż po raz pierwszy miał okazję naprawdę się przyjrzeć dziełu.

— O ile się nie mylę, artysta dopiero po pewnym czasie zdołał stworzyć portret, który.. .hmm... zadowolili twojego bratanka.

— Zdziałał tak wiele, mając tak mało... ale nie zniosę czegoś takiego na ścianie — jęknął Vergerin. — To jest... to jest...

— Żałośnie śmieszne? — podrzucił Paulin. — Biedny Iantine, jakże on musiał sprostytuować swój talent, by stworzyć coś takiego!

— Chyba zacznę od zdjęcia tego portretu ze ściany.

Paulin przysunął się do Vergerina, starając się wstrzymać oddech, gdyż w ciepłym panującym w Warowni stajenny zapach, bijący od jego odzieży, znacznie przybrał na sile.

— Zdaje mi się, że artysta nie poczułby się urażony, gdybyś usunął jego dzieło z tak wyeksponowanego miejsca.



— Może zgodziłby się to przemalować i bardziej upodobnić do modelu? — zapytał Vergerin. — Wtedy ten obraz przypominałby mi o młodzieńczej głupocie, jak również o tym, jak nie należy zarządzać Warownią.

— Iantine jest tutaj. Właściwie, nawet pomógł nam się tu dostać. Sam go zapytaj.

— Ale najpierw jednak się wykupię — stwierdził Vergerin i ruszył ku schodom i ku czystości.

Ze wszystkich większych Warowni przybyli młodszy synowie i córki, odziani jak do ciężkiej pracy i przygotowani na trudy. Jeśli niektórych rozczarowało odnalezienie Vergerina, potrafili to ukryć, co dobrze o nich świadczyło. Przed obfitym śniadaniem Vergerin zdążył porozmawiać osobno z każdym z nich i dowiedzieć się, jakie obowiązki chcieliby wziąć na siebie.

Irena oddała mu do dyspozycji skrzydło jeźdźców z Bendenu, którzy mieli skontaktować się ze wszystkimi większymi gospodarstwami w Bitrze, by przekazać wiadomość o pozbawieniu Chalkina władzy i o zesłaniu go na wygnanie.

Jeszcze przed śniadaniem powrócił M'shall.

— Zrzuciłem go razem z bagażem na Trzydziątą Drugą Wyspę. To informacja do archiwum. Całkiem przyjemne miejsce. Aż żal, że mu się takie trafiło.

— Miałeś z nim jakieś kłopoty? — spytał Paulin. M'shall z rozbawioną miną zdejmował uniform do jazdy.

— Po tym ciosie, jaki mu zafundował Bastom? Zostawiłem go tam nieprzytomnego. Przy strumyczku — skrzywił się. — Szkoda, że go nie wrzuciłem do wody. Choć w części odpląciłbym mu za tych nieszczęśników z chłodni.

Późnym przedpołudniem Vergerin w pełni panował nad sytuacją i członkowie Rady doszli do wniosku, że czas odlatywać z Bitry.

Iantine poprosił K'vina, by zabrał go do Telgaru, razem z portretem Chalkina.

— Kiedy przyjedziesz do Bendenu? — dopytywał się Bridgely, dogoniwszy młodego artystę przy schodach na dziedziniec.

— Przykro mi, Lordzie Bridgely, ale jeszcze nie jestem wolny — odpowiedział Iantine.

Bridgely wycelował palcem w obraz.

— Nie powiesz mi chyba, że toto jest ważniejsze, co?

— Ależ skądże — malarz cofnął się nieco. Uśmiechnął się. — Zresztą, przemalowanie tej twarzy i tak nie potrwa długo. Ale nie będę się z tym śpieszył. Muszę skończyć portret

K'vina, naszkicować jeszcze kilku jeźdźców z Telgaru i przyjadę. Pewnie zaraz po Końcu Obrotu.

— W takim razie daję ci czas do końca roku, młody człowieku, ale nie zwlekaj już dłużej — odparł, jakby nieco urażony. Uśmiechnął się jednak, widząc, że Iantine jest wyraźnie zaniepokojony. — Nie przejmuj się tak, chłopcze. Po prostu chciałem wiedzieć, kiedy możemy się z żoną spodziewać twojej wizyty — wyjaśnił i poszedł.

K'vin przysłonił usta rękaw skórzanej rękawicy, by ukryć uśmiech.

— Widzisz, sukces bywa czasem kłopotliwy — podsumował, po czym odebrał mu obraz, gestem zaprosił na grzbiet Charantha i oddał płótno, gdy malarz już się wygodnie usadowił. — Cieszę się; się tym zajmiesz.

— Lordowi Vergerinowi bardzo na tym zależało. Szczerze mówiąc, sam chętnie oddam modelowi... sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość? — K'vin zaśmiewał się, zręcznie skacząc na szyję i swego spizowego przyjaciela. — Dla Chalkina to teraz pewnie jedno z bardziej obelżywych słów.

Iantine odchrząknął, a smok gwałtownie wyskoczył w powietrze. Mógł nie tylko poprawić ten zakłamywany portret — uważał, że postąpił nieuczciwie wobec siebie i Mistrza Domaize, ulegając żądaniom Chalkina, choć właściwie nie miał innego wyjścia — ale także udało mu się przedłużyć pobyt w Telgarze. A nadchodził Koniec Obrotu. Koniec Obrotu, święto i radosna zabawa. Może wtedy uda mu się dojść do porozumienia z Deberą.

Jeźdźcy smoków mogli wybierać partnerów spoza swego grona i często to robili. Łatwiej byłoby, gdyby jego zawód był pożyteczny dla Weyru Telgar, tak, by Iantine mógł tam zamieszkać. Ale wkrótce Morath zacznie latać i będzie zabierać Deberę wszędzie tam, gdzie Iantine będzie malował.

Naturalnie, zakładając, że dziewczyna czuje do niego to samo, co on do niej. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczał, że w ogóle kiedyś trafi do Weyru. Odczuwał niemal wdzięczność dla Chalkina, że tak wpłynął na bieg wydarzeń... niemal wdzięczność. Do chwili, gdy przypomniał sobie przerażające sceny na granicy i w „chłodniach”. Zadygotał.

— Myślałem, że już się przyzwyczaiłeś — K'vin przechylił się do tyłu, by powiedzieć to malarzowi prosto w ucho.

— Nie o to chodzi — Iantine potrząsnął głową i uśmiechnął się. Latanie sprawiało mu ogromną przyjemność i po pierwszym doświadczeniu z nieskończonym zimmem i pustką pomiędzy przestał się obawiać przeskoków w przestrzeni. Mocniej złapał sznurek, którym obwiązano obraz. Charanth wzniósł się wysoko nad Bitrę, gotów do przejścia pomiędzy Meranath, na której oprócz Zulayi siedzieli Tashvi z Salda, śmignęła w górę obok jego

prawego skrzydła, złociste ciało smoczyca lśniło w czystym porannym świetle słońca, a jeźdźcy wesoło machali rękoma.

Iantine również ich pozdrowił i zdziwił się w myśli, że wciąż jeszcze jest rano. Inwazja na Bitrę zaczęła się tak wcześnie, że niewiele dnia zdążyło upłynąć. Ach, teraz tyle się dzieje na świecie!

Czerń! Momentalnie przestał czuć ucisk sznurka na palcach, kolce Charantha pod pośladkiem. Nagle z powrotem byli w słońcu, nad znajomym stożkiem Telgaru.

Daleko w dole, ponad szczytem Warowni Telgar, zaślniła w słońcu złocista iskra, oznajmiając przybycie Meranath. Wielki spizowy smok z wdziękiem zawrócił na czubku skrzydła i zaczął pikować w stronę Weyru.

Iantine miał wrażenie, że wszystko dzieje się zbyt szybko... Z wysokości widział o wiele więcej niż z ziemi: smoki śpiące w słońcu na skalnych półkach, młodych jeźdźców ćwiczących rzuty workami do ognistego kamienia i podnoszenie tychże, nawet weyrzątka przy porannej kąpieli smoków w jeziorze. Między nimi jest Debera. Próbował rozpoznać ją i Morath, ale odległość zacierała szczegóły. Dwa smoki, obydwaj spizowe, zajaśniały zdobycz w głębi doliny. Jakiś jeździec wyskoczył z pomiędzy tuż przy wartowniku, który szerokim gestem pozwolił mu lądować. Charanth także znalazł się nisko, rozpoznano go i powitano serdecznie. Iantine czuł, jak w wielkim smoczym brzuchu coś burczy. Czy smoki potrafią do siebie mówić na głos? Musiał mocniej przytrzymać obraz, w przeciwnym razie pęd opadania wyrwałby go z ręki. K'vin odwrócił głowę i spytał:

— Przy jaskini?

— Bardzo proszę — przytaknął Iantine, walcząc z wyrrywającym się dziełem. Prawdę mówiąc, nie zmartwiłby się, gdyby je stracił, ale musiałby wtedy zmarnować kolejną deskę.

Przerzucił nogę nad smoczym grzbietem i jak najszybciej zsunął się po łapie smoka.

— Wielkie dzięki, K'vinie — uśmiechnął się spoglądając do góry. Musiał dłonią osłonić oczy przed słońcem.

— Nie ma za co. Zasłużyłeś sobie na więcej tym, co dzisiaj zrobiłeś.

Charanth znów zaburczał, a łagodnie wirujące błękitem oczy popatrzyły na Iantine'a, który i jemu miło podziękował. W chwilę później spizowy smok wzniósł się w górę, dwakroć uderzył skrzydłami i wylądował na progu kwatery Władczyni.

— Wróciłeś, wróciłeś cały i zdrow — wołał Leopol, biegnąc co sił z dolnej jaskini. Skoczył ku Iantine'owi, który osłonił ręką obraz, by chłopiec go nie uszkodził.

— Co tu masz? — spytał Leopol, uważnie dotykając płótna.

— Trzeba to przerobić — odparł Iantine wiedząc, że nie zdoła uspić ciekawości tego

chłopaka.

— Ach, portret Chalkina? — Leopold sięgnął po płótno, a Iantine obrócił się na pięcie i zabrał obraz z zasięgu małych ciekawskich rączek, zasłaniając go własnym ciałem.

— Trochę jesteś za sprytny, wiesz?

— Mhm — w uśmiechu Leopolda nie było nawet śladu zawstydzenia. — Jak było? Co się stało, kiedy go usunęliście?

Iantine stanął jak wryty i popatrzył na chłopca.

— Kogo niby usunęliśmy?

Leopold wsunął zwinięte w pięści dłonie za pasek, przechylił głowę i poczęstował Iantine'a długim, pełnym niesmaku spojrzeniem, po czym potrząsnął głową.

— Po pierwsze, odleciałeś na smoku z Weyru Fort. Po drugie, nie wróciłeś na noc, więc coś się tam musiało zdarzyć. Tym bardziej że Przywódców Weyru też nie było. Po trzecie, wszyscy wiedzieli, że Chalkin musi odejść, a po czwarte, wracasz tu z portretem, którego przecież nie namalowałeś w Weyrze. — Leopold rozłożył ręce. — To oczywiste. Lordowie Warowni i Przywódcy Weyrów pozbyli się Chalkina. Zdjęli go ze stanowiska, usunęli i zesłali. Mam rację? — Posłał Iantine'owi uśmiech w ramach podsumowania i przechylił głowę w drugą stronę. — Mam rację, czy nie? — powtórzył.

Iantine westchnął.

— Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć — odparł taktownie i ruszył w stronę swej sypialni.

Leopold wyprzedził go tak, że artysta musiał się zatrzymać.

— Ale mam rację z Chalkinem, prawda? Nie chciał się przygotowywać do Opadów, był bardzo surowy dla swoich ludzi, a połowa Lordów Warowni jest mu winna całe worki marek, za przegrane w grach hazardowych.

Iantine zatrzymał się.

— Długi hazardowe? — Minął Leopolda, chcąc umknąć w wątpliwe zacisze swojej komnatki, nie zdradzając się ani słowem przed tym okropnym plotkarzem.

— Ach, Iantine — Tisha zauważyła go i ze zręcznością zaskakującą dla tak otyłej osoby błyskawicznie precyzyjnie przycisnęła się pomiędzy stołami, by go zatrzymać. — Złapali Chalkina? Wszystko w porządku? Bardzo się opierał? Żona poszła za nim na wygnanie? To by mnie zaskoczyło, szczerze mówiąc. Czy Vergerin żyje? Przejmie Warownię od razu, czy będzie musiał czekać do Zgromadzenia na Koniec Obrotu?

Leopold aż się zgiął ze śmiechu na widok miny malarza.

— Tak, nie, nie, tak, nie wiem — wyrecytował w odpowiedzi na ten huraganowy

ogień pytań.

— Widzisz? Nie tylko ja wiem swoje — dyszał Leopol, przytrzymując się jedną ręką krzesła dla równowagi, podczas gdy drugą ocierał łzy śmiechu, zachwycony sobą i reakcją Iantine'a.

— Chcę usłyszeć wszystko od początku, chłopcze — powiedziała Tisha i postawiła przed nim kubek z klanem i całą tacę świeżo upieczonych ciasteczek. — Zaczynaj. Siadaj. Miałeś ciężki dzień, a jeszcze nawet nie dochodzi południe.

— Zabiorę to i bardzo ostrożnie zaniosę do pokoju — powiedział Leopol. Złapał zapakowany obraz i wyjął go z dłoni malarza, który bezwiednie rozluźnił palce. — Nawet na niego nie spojrzę, póki mi sam nie pozwolisz.

— Nie, Leo, poczekaj — osadziła go Tisha. — Chcę zobaczyć, jak zdaniem Chalkina wygląda „zadowolający” portret.

— Czyja nie mam już prawa do odrobiny prywatności? — wykrzyknął Iantine, wznosząc dłonie w geście bezradności. — Czy tu się nie uchowa żaden sekret?

— Nie ma mowy, to jest porządny Weyr — odparła Tisha. — Jedz. Pij. Leo, weź koszyk, który przygotowałam dla K'vina i zanieś mu go do weyru. Nie widziałam Zulayi ani Meranath, więc pewnie zatrzymały się w Warowni.

Pod Iantinem ugięły się nogi, więc opadł na krzesło, które Tisha zapraszająco odsunęła od stołu.

— Mogę? — spytał prosząco Leopol, z miną aniołka i jedną ręką na zasupłanym sznurku.

— Zdaje mi się, że i tak bym cię nie powstrzymał — odparł malarz i chwycił szkicownik, wsunięty za papier. Notes o mało co nie upadł, gdy chłopiec energicznie odpakowywał obraz.

Iantine schował szkice. Nie chciał ich pokazywać publicznie. Dwaj wykastrowani gwałciciele umarli niemal w chwili, gdy skończył rysować. Gorzko żałował zadowolenia, jakie wzbudził w nim wyrok, wydany na tych ludzi. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że Chalkin będzie ich dręczył? Przecież sami prosili, by ich odwieziono do Bitry. Nie, na pewno by do niego nie wrócili, gdyby o tym wiedzieli. Spozregł, że Tisha bystro wpatruje się w jego twarz. Ciekawe, czy coś z niej wyczytała, mimo że starał się przybrać obojętną minę. Na szczęście, z obrazu spoglądał na nich mocno wyidealizowany Chalkin... Tisha rzuciła na niego okiem i dostała ataku śmiechu, w czym dzielnie sekundował jej Leopol.

Wesołość gospodyni zawsze była zaraźliwa: nawet cichy śmiech sprawiał, że wszyscy wokół chichotali w odpowiedzi. Iantine'owi, po porannych przeżyciach, odrobina

radości była potrzebna jak powietrze i choć wewnętrzne napięcie nie pozwalało mu śmiać się w głos, przynajmniej zmuszono go do przybrania pogodniejszej miny.

Rozbawienie Tishy spowodowało, że pozostali mieszkańcy Weyru zauważyli powrót malarza i prędko zgromadzili się wokół jego stołu, zaśmiewając się z „zadowolającego portretu” Chalkina. Iantine zaspokoił ich ciekawość krótkim sprawozdaniem z porannych wydarzeń. Wszyscy z ulgą powitali wiadomość o usunięciu Chalkina z Bitry, a także o zesłaniu go na wyspę.

— To dla niego za dobre, wiecie? — ktoś powiedział.

— Ano cóż, będzie panem całej ziemi w zasięgu swego wzroku, nie? Dobrze mu tak!

— Nikomu nic się nie stało?

— Kto teraz będzie rządził w Warowni? Przecież przed Opadami jest tam tyle do zrobienia!

Iantine odpowiadał, nie wdając się za bardzo w szczegóły. Zdumiewało go, że mieszkańcy Weyru dokładnie odgadli wszystko, co się wydarzyło. Poza tym, bardzo dużo wiedzieli o Warowni, która nie podlegała bezpośrednio Telgarowi. On sam przecież niewiele opowiadał o nieprzyjemnym pobycie w Bitrze, więc musieli czerpać wiedzę z innego źródła. To prawda, podróżowali więcej niż gospodarze. Może dlatego więcej wiedzieli o świecie.

W jaskini zaczęli się zbierać jeźdźcy, w oczekiwaniu południowego posiłku i z ciekawości, co też wydarzyło się w Bitrze. Starsi pamiętali jeszcze zakład, który kosztował Vergerina utratę Warowni. Wiedzieli poza tym zdumiewająco dużo o Rodzie Lordów Bitry. Tak, ludzie w Weyrach byli zdecydowanie dobrze poinformowani.

Iantine był wdzięczny Tishy za klan i ciasteczka. Ucieszył się też, gdy Leopold przyniósł mu chleb, ser i pokrajane w plasterki mięso z whera, które podawano w południe. Przez chwilę zaniepokoił się, gdy spostrzegł wśród słuchaczy z tyłu K’vina, który gestem starał się przyciągnąć jego uwagę. Może nie powinien był nic mówić?

Poprosił Leopolda, by zaniósł nieszczęsny portret do komnaty, wsunął szkicownik pod pachę, wiedząc, że w przeciwnym razie nic nie powstrzyma chłopca od obejrzenia szkiców i podszedł do K’vina. Ponieważ wyraźnie powiedział już wszystko, co wiedział, słuchacze go przepuścili, lekko tylko poklepując po ramionach i żartobliwie popychając w tłumie.

— Przepraszam, Przywódco Weyru, może nie powinienem był o tym opowiadać...

K’vin aż oczy wytrzeszczył ze zdziwienia.

— Nie powinienes opowiadać? Ha, wszyscy z pewnością już dawno sarni domyślili się, o co chodzi. Ciekawe tylko, czy udało ci się powiedzieć coś, czego nie przewidzieli!

— Ilu ludzi Chalkin trzymał w tych strasznych celach? — wyrzucił z siebie Iantine

niemal nieświadomie, zanim zdążył się pohamować.

K'vin współczująco otoczył go ramieniem. — Mnie też pewnie się to nie raz przyśni w nocy — powiedział i zadrżał. — Może lepiej idź odpocząć...

— Nie, wolałbym czymś się zająć, jeśli można— poprosił Iantine szczerze. Nawet nie musiał wchodzić do komnatki, gdyż tubki z farbą olejną i pędzle zostały w kwaterze Przywódcy Weyru.

Zatroskana twarz K'vina pojaśniała.

— Mam trochę wolnego czasu, a ty obiecałeś skończyć mój portret... chyba że wolisz przerabiać Chalkina... tylko wiesz, Bridgely nie ukrywał, że chciałby cię widzieć w Bendenie na początku nowego Obrotu, naturalnie jeśli do tego czasu skończysz nasze zamówienia. Stałeś się niezwykle popularny.

Iantine mruknął niechętnie, speszony tym, co usłyszał. K'vin zaśmiał się z tego i przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

— Co wybierasz? — spytał wesoło.

— Ciebie, oczywiście. Czy... — Iantine zawahał się, nie chcąc, by pomyślano, że domaga się komplementów — czy podobał ci się portret Zulayi?

K'vin zaśmiał się cicho i odwrócił twarz.

— Jestem z niej dumny, Iantine. Dumny.

— Łatwo poszło. Jest piękna — odpowiedział malarz.

— Bardzo, prawda?

Coś w jego głosie sprawiło, że Iantine zastanowił się nad tymi słowami. Przecież są Przywódcami Weyru. Zawsze sprawiają wrażenie idealnej, dobranej pary. Tyle że artysta nauczył się ostatnio chwytać podteksty w słowach równie łatwo, jak niegdyś w wyrazie ludzkiej twarzy i postaci. Powstrzymał się jednak od komentarza, mimo że żywił dla K'vina coraz większy podziw jako dla Przywódcy Weyru. Zulaya była nieco zamknięta w sobie... spostrzegł to, spędzając z nią tyle czasu przy malowaniu... może ze względu na różnicę wieku. Właściwie, od K'vina również była starsza.

— Ta suknia wspaniale podkreślała jej urodę — powiedział, by przerwać niezręczne milczenie.

— Tak, kazała ją uszyć przed ostatnim Wylęgiem — odpowiedział K'vin i znów spojrzał na niego. Teraz jego uśmiech był pełen łagodności i spokoju.

Iantine zaczął się zastanawiać, czy to wszystko, czego był świadkiem rano, nie zmieniło sposobu, w jaki patrzył na świat. Dotarli już do stromych schodów i ruszyli w górę. Na szczycie z radością zauważył, że nie brak mu tchu.

— Jesteś w dobrej formie — pochwalił go K'vin, znów przyjaźnie klepnął go po ramieniu i popchnął w stronę wysokiego wejścia do Weyru.

— Muszę, prawda? — odciął się malarz ze śmiechem. Zatrzymał się na chwilę i poszukał oczyma weyrzątek przy jeziorze. Tak, Debera jest z nimi, naciera Morath oliwą. Porozmawia z nią później. Może nawet zjedzą razem kolację. Pokaże jej portret Chalkina przed przemalowaniem. Ciekawe, czy uda mu się przelać w rysy tego człowieka wszystko to, co leżało się w tej żalösnej duszyczce? Obserwując, jak K'vin przebiera się w paradne szaty, Iantine zastanawiał się, czy starczy mu talentu na taki portret.

Pośród gorączkowych przygotowań do Końca Obrotu, Clisser przełamał opory S'nana i jeden z jeźdźców zawiózł go do Centrum Inżynieryjnego w Telgarze. Rektor chciał wspólnie z tamtejszymi mistrzami zaprojektować perneński odpowiednik kalendarza ze Stonehenge, ale S'nanowi powiedział tylko, że musi porozmawiać z Kalvim o czymś niezwykle ważnym. Przywódca Weyru nie zgodziłby się na lot, gdyby wiedział, o co chodzi. Jego zdaniem te wszystkie dzwonki alarmowe, gwizdki i mnóstwo innych sygnałów nie były nic warte; wystarczy, że Weyry w czasie Przerw w Opadach zachowają czujność.

Jemmy starannie naszkicował prehistoryczny krąg kamienny, jego pierwotny wygląd i inne szczegóły, które mogłyby przydać się zespołowi Kalwiego.

Inżynier spojrział na rysunki przelotnie, z pobłażaniem, ale po chwili zaczął im się przyglądać z większym szacunkiem.

— Skalne oko? Skalny palec? Przesilenie? — szeroko uśmiechnął się do Clissera. — Jestem przekonany, że to wystarczy. W zupełności — nagle zmarszczył brwi. — Nie mogłeś mi dać trochę więcej czasu? Przesilenie jest już za dwa tygodnie!

— Ja... — zaczął Clisser.

— Wybacz, przyjacielu — Kalvi uśmiechnął się do siebie z politowaniem — zapomniałem, że macie te wszystkie próby i tak dalej. Hm... Zostaw to mnie. Chyba coś wymyślimy... — przekartkował szkice Jemmy'ego. — Hm... Ten chłopak rzeczywiście ma talent.

— Nawet nie próbuj namawiać go, by dla ciebie odszedł z Uniwersytetu — Clisser przybrał srogą minę, zarezerwowaną dla niesubordynowanych studentów.

Kalvi przez chwilę udawał, że się strasznie przeląkł, potem uśmiechnął się, przez cały czas nie odrywając oczu od rysunków.

— Dobra, damy radę — westchnął przesadnie. — To przecież nasza specjalność.

Clisser wyszedł, pewien, że tym razem nie zawiedzie Zgromadzenia w tej sprawie.



## ROZDZIAŁ XIV

### KONIEC OBROTU W WAROWNI FORT I WEYRZE TELGAR

Zgodnie z tradycją, Lordowie Warowni i Przywódcy Weyrów, wraz z zaproszonymi mistrzami różnych specjalności, spotkali się na Zgromadzeniu w wigilię Końca Obrotu, czyli zimowego przesilenia, aby przedyskutować wszystko to, co należało powiedzieć ludziom zebranych na zabawie. Gdy planowano referendum, na Zgromadzeniach omawiano szczegóły, a potem odczytywano protokół wieczorem, w Wielkiej Sali. Głosowania odbywały się rano pierwszego dnia obchodów Końca Obrotu, następnie liczone wyniki i ogłaszano je na drugim zwyczajowym posiedzeniu, w pierwszy dzień Nowego Obrotu.

Teraz, w dwieście pięćdziesiątym ósmym roku po Lądowaniu, w obliczu zbliżającego się Opadu Nici do tradycji tej przywiązywano jeszcze większą wagę. Choć Vergerin zaczął pracę zaledwie dwadzieścia dni przed Zgromadzeniem, widać było, że rządzi Bitrą stanowczo, twardo i sprawiedliwie. Od swych pomocników również wymagał wiele, ale był wobec nich uczciwy. Żaden z nich nie poskarżył się na nic, gdy rodzice próbowali ich wy badać w przypadkowej rozmowie. Jego pierwszą decyzją na nowym stanowisku było rozesłanie jeźdźców do wszystkich, nawet najmniejszych gospodarstw z wiadomością, że Chalkina usunięto z Warowni i że wszyscy goście, którzy zechcą przybyć do Bitry, by świętować Koniec Obrotu, będą mile widziani. Z własnej kieszeni zapłacił za dodatkowe dostawy żywności, bo skarbu Chalkina nikt nie odnalazł. Wiadomo też było, że Lord nie zabrał go ze sobą na wygnanie. Nadona oświadczyła, że nic o tym nie wie i narzekła, że zostawił ją bez grosza przy duszy.

Uniwersytet zmienił wcześniejszą decyzję i postanowił jednak dać noworoczny koncert w Bitrze. Na prośbę Vergerina mieli przywieźć egzemplarze Karty, po jednym dla każdego drobnego gospodarza. Zmniejszyło to zapas przechowywany w bibliotece ledwie do kilkunastu egzemplarzy, ale Clisser uznał, że cel jest szczytny. Ponieważ tym razem w programie noworocznego koncertu miała się znaleźć ambitna „Suita o Lądowaniu” Sheledona, w której były wzmianki o Karcie, z pewnością przeczytanie dokumentu pomogłoby słuchaczom lepiej zrozumieć, o co chodzi w tym utworze i w ogóle w całej Karcie. Dzięki temu mieszkańcy Bitry raz na zawsze skończyliby z nieznaną zapisanych w niej praw.

W tej sytuacji, pierwszym punktem obrad Zgromadzenia było zatwierdzenie Vergerina jako Lorda Warowni Bitra. Nie został zobowiązany do przekazania dziedzictwa swym

kuzynom, synkom Chalkina i do wyszkolenia ich w zarządzaniu posiadłością, choć sumienie wymagało, by zapewnił im dobrą opiekę, wykształcenie i wprowadził w dorosłe życie. Zwolniono go z przyrzeczenia, że nie może mieć legalnych spadkobierców, więc z wielką ulgą sprowadził do Bitry dziewięcioletniego syna i pięcioletnią córkę. Dał także jasno do zrozumienia, że zamierza pojąć żonę, odpowiednią do roli Pani Warowni.

Następnie poproszono Clissera o sprawozdanie z prac nad niezniszczalną, niepodważalną metodą zawiadamiania o Przejściu. Odparł, że uzgodnili z Kalvim wygląd urządzenia, które ma zostać zainstalowane po wschodniej stronie każdej Warowni. Kalvi przytaknął nonszalancko, z mądrą miną, więc Paulin uznał sprawę za załatwioną. Nie życzył sobie podobnych problemów, jakie mieli z Chalkinem! Nigdy więcej! Nadeszła chwila, by raz na zawsze to uniemożliwić.

Rozpoczęła się ożywiona dyskusja nad kwestią utworzenia nowej Warowni o nazwie Crom.

— Słuchajcie, ci ludzie mają zagwarantowane w Karcie prawo do tych działek, a razem stanowi to pokaźny kawał ziemi. — Bastom nieoczekiwanie stanął po stronie wnioskodawców. — Niech go sobie nazwą Warownią, czemu nie...

— Tak, ale oni chcą autonomii, a poza tym są zbyt oddaleni od wszystkich innych gospodarstw tam, na wzgórzach — odparł Azury.

— Niech udowodnią, że są samowystarczalni... — Tashvi niechętnie poszedł na ustępstwa. Zrozumiałe, gdyż Telgar również był Warownią górniczą.

— Muszą przestrzegać prawa, tak jak i wszyscy pozostali — oświadczył Paulin bezstronnie. — I zaspokajać podstawowe potrzeby pracowników kontraktowych...

— Nie będą z tym mieli problemu — odparł sucho Azury. — Osiągną niezłe zyski, gdy zaczną dostarczać pierwszorzędą rudę na samym początku Przejścia...

— Może ustalmy okres próbny — zaproponował Bridgely. Wniosek przeszedł.

— Życzę sobie, by każdy z was przekazał swoim gościom na Zgromadzeniu pełne sprawozdanie z obu procesów i z usunięcia Chalkina — przypomniał im Paulin. — Niech ludzie dowiedzą się prawdy i przestaną wysłuchiwać najdziwaczniejszych plotek.

— Jak te o kanibalizmie! — Bridgely był wielce urażony. — To prawda, Chalkin był sadystą, ale nie przesadzajmy!

— Skąd, u diaska, wzięły się te pogłoski? — spytał wstrząśnięty Paulin. S'nan był zszokowany i z niedowierzaniem wpatrywał się w Lorda Ben—denu.

— Pewnie przez tę „chłodnię” — odparł z niesmakiem Bridgely.

— To nie my wymyśliliśmy taką nazwę — wzruszył ramionami Azury. — Tak, ale

lepiej, by nie były rozpowszechniane — zdenerwował się

M'shall. — Fakty są wystarczająco okropne i bez wytworów fantazji.

— Za to chcielibyśmy, by wszyscy się dowiedzieli, że gwałcicielom i mordercom wymierzono natychmiastową karę— stwierdził Richud.

— Tak jest! Ale koniec z domysłami — oświadczył Paulin, wstał i stuknął laską w podłogę. — Na tym zamykam pierwszą sesję Zgromadzenia. Życzę wam dobrej zabawy. Spotykamy się ponownie za trzy dni.

Zamierzał cieszyć się każdą chwilą mijającego roku. Pozostałe twarze wyrażały to samo... młody Gallian aż się palił do zabawy. Poza sprawą Chalkina, Jamson nie mógł narzekać na rządy syna w Dalekich Rubieżach. A może szepnąć o tym „kanibalizmie” w obecności starego uparciucha? Pewnie zmieniłby zdanie na temat usunięcia Chalkina. Thea w dalszym ciągu „niedomagała” i udało jej się przekonać męża, by pozostali w Iście na święto Końca Obrotu. Dzięki temu były coraz większe szanse, że sprawa Chalkina nie dotrze szybko do uszu Jamsona.

Koniec Obrotu świętowali wszyscy poza wykonawcami ambitnej „Suity o Lądowaniu”. We wszystkich Weyrach, Warowniach i wielkich gospodarstwach miała się odbyć jej premiera. Clisser desperacko dzielił czas między próby, organizację dodatkowych występów i przygotowywanie zastępstw dla przeziębionych wykonawców. Poza tym musiał jeszcze przygotowywać precyzyjne dane potrzebne do instalacji urządzenia, które wyznaczałoby bliskie nadejście Czerwonej Planety. Rozdarty między chęcią uczestniczenia w próbach i pragnieniem obserwowania, jak technicy zakładają niezniszczalny system ostrzegania przed Nićmi, wybrał to drugie. Naturalnie był jedynie obserwatorem, gdyż dokładnym ustawieniem iglic na wschodnich krawędziach wulkanów w pobliżu Weyrów zajmowały się zespoły astronomów i inżynierów, do których dołączyli Przywódcy Weyrów. Clisser wraz z Kalvim i Jemmyem mieli ustawić aparat w Bendenie, pierwszym Weyrze z którego będzie można zaobserwować pojawienie się planety w odpowiednim miejscu. Następnie mieli błyskawicznie przenieść się na smoczych grzbietach do kolejnych pięciu Weyrów i tam również dokonać instalacji.

Podczas pracy nad bendeńską iglicą była wymagana szczególnie drobiazgowo dokładność na wypadek, gdyby w jednym z pozostałych Weyrów pojawiły się nieścisłości. Clisser wprawdzie bardzo w to wątpił widząc, że Kalvi dobiera wszystkie materiały z niezwykłą starannością, ale należało się przygotować na wszelkie ewentualności. Rektor także bezustannie analizował kolejne kroki, dzięki którym urządzenie miało wskazywać

pojawienie się Czerwonej Planety. Najpierw należało ustawić na postumencie okrągłe „oko”, a potem dodać wskazówkę, czyli palec. Ale oko musiało dokładnie obejmować planetę! Przez cały miniony tydzień prowadzono obserwacje, sprawdzając przed świtem jej pozycję. Teraz potrzebowali tylko bezchmurnego ranka i wyglądało na to, że pogoda, choć mroźna, stanie na wysokości zadania. Niebo nad całym kontynentem było bezchmurne. Miało to szczególne znaczenie w przypadku Bendenu, gdyż w razie konieczności inne Weyry mogłyby korzystać z tego pierwszego odczytu i wprowadzić niezbędne poprawki.

Kalvi w dalszym ciągu majstrował coś przy modelu, który nazwał Skalnym Okiem. Czerwona Planeta miała się w nim pojawiać o świcie w dzień zimowego przesilenia. Najtrudniej było jednak ustawić wskazówkę w takiej odległości od Oka, by obserwator widział planetę. Kalvi musiał wziąć pod uwagę różnice ludzkiego wzrostu. Odnaleziono stare rysunki Stonehenge i innych prehistorycznych kręgów kamiennych. Natrafili na nie studenci Bethany, którzy pilnie przeszukiwali stopy dawno nie używanych dokumentów. Na szczęście dla Clissera, Sallisha pojechała do Neratu na święto Końca Obrotu, by przypieczętować nowo zawarty nauczycielski kontrakt, więc rektor nie musiał wysłuchiwać jej cierpkich uwag o tym, jak ważny jest ciągły dostęp do starożytnej wiedzy. Przygotował sobie kilka argumentów na wypadek, gdyby dostał od niej list; przecież w sytuacji kryzysowej ktoś sobie jednak przypomniał to, co było potrzebne.

Choć ogromnie zmarzł, był zachwycony, że może wraz z innymi czuwać na brzegu bendeńskiego krateru przy teleskopach, wycelowanych we właściwym kierunku. Kalvi z Jemmy pracowali przy składaniu poszczególnych części systemu. Inżynier ustawiał punkt obserwacyjny przy wskaźniku w taki sposób, by osoba, która oprze podbródek na czubku kolumny, zobaczyła Czerwoną Planetę w obramowaniu Oka, tuż nad horyzontem. Dla pewności należało sprawdzić, czy urządzenie działa tak samo dla osób o różnym wzroście, ale z technicznego punktu widzenia wszystko powinno być w porządku, przynajmniej zdaniem Clissera. Kalvi był najniższy, Clisser najwyższy, M'shall niższy od niego o pół głowy, a Jemmy wzrostem nieco przewyższał Kalwiego. Jeśli wszyscy zobaczą Czerwoną Planetę w Skalnym Oku, dowiodą, że system działa prawidłowo.

Właściwie, jego rzeczywista skuteczność zostanie dowiedziona dopiero za dwieście pięćdziesiąt lat, czy coś koło tego, gdy nadejdzie Trzecie Przejście.

Ale i teraz Clisser był rozemocjonowany. Próbował się rozgrzać, uderzając rękami po bokach. Stopy mu zmarzły, mimo dodatkowych ocieplaczy; nie czuł palców u nóg. Oddech natychmiast przemieniał się w parę, tak gęstą, że mogła przeszkodzić w obserwacjach.

— Aha, nadchodzi — powiedział Kalvi, choć w mdłym blasku przedświt nic nie było

widać. Inżynier spoglądał w przyrządy pomiarowe, nie na niebo.

W chwilę później nad dolną krawędzią Oka pojawił się czerwony blask. Wydawało się, że pulsuje. Planeta nie robiła wrażenia aż tak dużej — znajdowała się jeszcze w ogromnej odległości, przypomniał sobie Clisser. Pomiary przeprowadzone na „Yokohamie” dostarczyły dokładnych danych. Wielkością dorównywała starszej siostrze Ziemi, zwanej Wenus. I była równie niegościnna.

To dziwne, by rzecz tak obojętna jak ciało niebieskie, potrafiła przybrać niedwuznacznie złośliwy wygląd, pomyślał Clisser, jednocześnie przypominając sobie o oddychaniu. Czy jeden z satelitów Sol nie był przypadkiem nazywany „czerwoną planetą”? Tak, to był Mars. I słusznie, gdyż nazwano go imieniem boga wojny.

Bardzo odpowiedni kolor także dla planety, która już wkrótce miała zagrozić Pernowi. W jaki sposób tak żarłoczny organizm mógł się rozwinąć na wędrownym ciele niebieskim, które przez większość swej orbity było za daleko od słońca Rukbatu, by powstała tam jakakolwiek forma życia? Naturalnie, wiedział o bardzo dziwnych formach „życia” odnalezionych przez dawnych badaczy przestrzeni. Przecież w końcu trafili na Lud Nathi, by wspomnieć o podobnie okrutnym gatunku!

Jednak badania grzybopodobnego organizmu nie wskazywały na ślad jakiegokolwiek inteligencji. Nierozumny niszczyciel. Rektor westchnął. No cóż, było to w jakiś sposób pocieszające; te stwory przynajmniej nie chciały pożerać wszystkiego wokół — ludzi, zwierząt, roślin i drzew — po prostu taka była ich natura.

Okrutna natura, pomyślał ponuro, przypominając sobie sceny z nagrywanych na żywo wypadków. Powinien zrobić jeszcze jedno — zgromadzić graficzne dowody, pokazujące całą niszczycielską potęgę Nici. Szkice Iantine’a z bitrańskiej granicy wywarły na rektorze piorunujące wrażenie. Tylko szkoda marnować talent chłopca na zwykłe kopiowanie. Kopiować może każdy, lecz niewielu potrafi tworzyć oryginalne dzieła.

Gdy tak rozmyślał, czerwony blask wzniósł się ponad brzeg bendeńskiego krateru.

— Mam ją! — zawołał Kalvi i dokręcił żelazny pierścień na postumencie. — Dobra nasza. Teraz cement. Szybko. Wy tam, przy Skalnym Palcu. Przyjrzyjcie się planecie. Wszyscy powinni zobaczyć ją w Oku.

Obserwatorzy ustawili się jeden za drugim i po kolei patrzyli na planetę. Kalvi popędził, by się do nich przyłączyć i biegiem wrócił do Skalnego Oka.

— W porządku. Dobrze zamocowaliście? Znakomicie. Energiczny inżynier zwrócił się do M’shalla.

— Przysięgnij mi na miłość do twego smoka, że dopilnujesz, by nikt nie dotykał tego

żelaznego pierścienia. To szybkoschnący cement, ale wystarczy minimalne przesunięcie i wszystko będzie na nic.

— Po naszym odejściu nikogo tu nie będzie — obiecał M'shall, z pewnym zaniepokojeniem przyglądając się żelaznej konstrukcji. Choć wiedział, że jest z żelaza, wyglądała dość krucho, gdy Czerwona Planeta powoli wznosiła się w górę. — Ale zastąpisz to czymś, prawda? Kamiennym blokiem?

— Zastąpię, i nie martw się, że przy tej okazji zmienimy ustawienie. Nie ma mowy — zastrzegł się z jawną bezczelnością, zatarł ręce i uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony z siebie. — A teraz lećmy na spotkanie kolejnego świtu.

— Dobrze, ale może najpierw zjedzmy śniadanie.

— Ha! Nie ma czasu na dogadanie sobie. Ale bardzo dziękuję za klah — z tymi słowy Kalvi pozbierał narzędzia, podniósł pięć żelaznych pierścieni i machnął ręką na techników, by się pośpieszyli, — Przed nami jeszcze pięć przystanków. Sami tego chcieliśmy. — Rozejrzał się w półmroku przedświt. — Gdzie smoki?

— Tam — M'shall wskazał na brunatnych jeźdźców i ich bestie, czekające nieco dalej na krawędzi krateru.

— Doskonale. Dzięki, M'shallu — i podzwaniając pierścieniami, które niósł na ramieniu, Kalvi zebrał torby i ruszył niemal biegiem, a reszta zespołu poszła jego śladem. Clisser westchnął i dołączył do grupy.

No cóż, pomyślał, przynajmniej nie odczuję zimna pomiędzy. Między świtem w Bendenie a świtem w Igenie mieli półtorej godziny, ale później zaledwie pół godziny między Igenem a Istą i Istą a Telgarem, gdzie będzie można trochę zwolnić i zjeść coś gorącego, gdyż od świtu w Forcie będzie ich dzielić blisko godzina. Ostatnie na liście były Dalekie Rubieże, co wielce uraziło dumę S'nana. Ale, ze względu na różnicę długości geograficznej, słońce wschodziło w tym Weyrze, najbardziej wysuniętym na pomoc, o czterdzieści pięć minut później. S'nan musiał bez dyskusji przełknąć fakt, że pierwszej instalacji dokonano w Bendenie, położonym na wschód w stosunku do pozostałych siedzib.

Clisser słyszał, że S'nan w dalszym ciągu przeżywa usunięcie Chalki—na ze stanowiska. Nie był wcale najstarszy z sześciu Przywódców Weyrów; to G'don był najbardziej zaawansowany wiekiem, ale nikt nie kwestionował jego zdolności przywódczych. S'nan zawsze był dogmatyczny, nieugięty, dosłowny i małostkowy, ale niekoniecznie oznaczało to, że nie poradzi sobie z Weyrem w czasie Opadów. Clisser westchnął. To problem Weyru, a nie jego. Na całe szczęście. Dość miał własnych zmartwień.

Odpocznie trochę, kiedy skończą pracę w Forcie, żeby z nowymi siłami przystąpić do

próby generalnej w Wielkiej Sali. Jeśli Sheledon znów zmienił partyturę podczas jego nieobecności, trzeba będzie mu natrzeć uszu. Po tylu poprawkach w końcu nikt nie będzie wiedział, co ma grać. Najpierw premiera, potem szlifowanie dzieła. Rzeczywiście było to mistrzowskie dzieło Sheledona, Clisser był o tym przekonany.

— Jedziesz ze mną, nauczycielu — powiedział jakiś głos. — Tylko że zamiast tego zaraz zlecisz do krateru!

Clisser otrząsnął się z zadumy.

— Skądże, skądże znowu! — i uśmiechnął się do brunatnego jeźdźca, który wyciągnął do niego pomocną rękę. Złapał ją i podziękował także smokowi, który nie tylko odwrócił głowę, lecz także uniósł przednią łapę, by ułatwić mu wsiadanie. Po chwili był już na grzbiecie wielkiego smoka. Usadowił się wygodnie i zapiął pasy bezpieczeństwa.

— Jestem gotów.

Mimo wszystko jednak westchnął ze strachu, gdy bestia rzuciła się z wysokiego urwiska, prosto w czerń Bedneńskiej Niecki. Złapał się pasa, by poczuć się bezpieczniej, a potem o mało co nie złamał sobie szczęki o własny mostek, gdy smocze skrzydła zagarnęły powietrze i bestia wystrzeliła w niebo.

Ruszyli na wschód i wkrótce złośliwą czerwień Planety przyćmił blask wschodzącego Rukbatu, sprawiając, że stała się ledwie widoczna, niemal anonimowa na błękitniejącym niebie.

Niesamowite! pomyślał. Muszę to koniecznie zapisać... Wiedział jednak, że nigdy tego nie zrobi. I w ten sposób perneńskiej literaturze oszczędzono kolejnego pamiętnikarza, pocieszył się w myśli. Widział, że jeździec także wpatruje się we wspaniały spektakl. Postanowił, że będzie rozkoszował się tym lotem. Smok skrzył na pomoc, powoli obracając się wokół czubka lewego skrzydła. Niedługo smoki będą odbywać ważniejsze podróże... Clisser wpatrywał się w majestatyczne szczyty Północnego Łącucha Barielowego, okryte śnieżnymi czapami, które wschodzące słońce pokryło delikatną pomarańczową mgiełką. Ach, co taki Iantine potrafiłby zrobić z tego pejzażu! Nagle, bez ostrzeżenia otoczyła go czarna pustka pomiędzy.

A co będzie, jak sobie zetrzesz palce do kości? — spytał Leopol Iantine'a.

Malarz do tej pory nie zwracał uwagi na obecność chłopca, gdyż szkicował małe smoczki tak szybko, że rzeczywiście bolał go łokieć, ale ta uwaga przyprawiła go o atak śmiechu. Mimo to nawet na chwilę nie przestał szkicować.

— Nie mam pojęcia. Ale nigdy o czymś takim nie słyszałem, jeśli cię to choć trochę

pocieszy.

— Nie mnie, lecz ciebie — odciął się Leopold, przechylając głowę z charakterystyczną dla siebie bezczelnością.

— Wiesz co, będę za tobą tęsknił — Iantine z uśmiechem popatrzył na bystrą minę chłopca.

— Pewnie że tak, skoro przez tyle czasu służyłem ci jako dodatkowa para rąk, nóg, a nawet usta — padła natychmiastowa odpowiedź. — Mógłbyś mnie zabrać ze sobą. Przydam ci się — chłopiec patrzył prosząco. Szare oczy zaćmiła mgiełka. — Wiem, jak mieszać twoje farby, jak czyścić pędzle, a nawet jak przygotować drewno albo płótno do portretu — rozpaczliwa prośba poruszyłaby serce każdego.

Iantine odkaszlnął i rozczochrał gęste, czarne włosy chłopca.

— A co z twoim ojcem?

— Z nim? On się przygotowuje do Opadów Nici.

Kilka dyskretnych pytań zadanych Tishy ujawniło, że ojcem Leopola był spizowy jeździec C'lim, a matka umarła wkrótce po porodzie. W Weyrze jednak wszystkie dzieci były kochane na równi i na równi karczone, jeśli zaistniała po temu potrzeba.

— Prawie wcale nie zwraca na mnie uwagi.

Nic dziwnego, pomyślał Iantine, bo i Leopold o niego niewiele dba, tylko chodzi za mną jak cień. — A Tisha?

— Ona? Będzie matkować komuś innemu.

— Dobrze, poproszę o to, ale pewnie cię nie puszczą. Jeźdźcy uważają, że Naznaczysz spizowego smoka, jak tylko dorośniesz.

Leopold jednym wzruszeniem ramion zbył tę wizję własnej przyszłości. Dzień dzisiejszy był dla niego stokroć ważniejszy niż to, co miało się zdarzyć za trzy, cztery lata.

— Naprawdę musisz tam jechać?

— Naprawdę muszę. Istnieje całkiem poważne zagrożenie, że nadużyję gościnności tego Weyru.

— Ależ skąd — Leopold znacząco popatrzył w stronę jeziora, gdzie weyrzątka jak zwykle kapały swoje smoki. — Poza tym, nie narysowałeś jeszcze wszystkich jeźdźców.

— Trudno, Leo. Muszę namalować portrety lordowskiej pary Bendenu... winien im to jestem od chwili, gdy rozpocząłem naukę u mistrza Domaize.

— A kiedy skończysz, to zaraz wrócisz do nas? Jeszcze nie przemalowałeś Chalkina, żeby wyglądał tak, jak naprawdę, wiesz? A poza tym mamy tu dość miejsca, nikomu nie przeszkadza taki gość jak ty — głęboki smutek zupełnie odmienił rysy chłopca. — I wiesz



co? Debera bardzo by chciała, żebyś został.

W spojrzeniu Iantine'a malował się gniew.

— Leopold! — powiedział ostrzegawczym tonem.

— Oj ej ej — chłopak wiercił dołek w piasku czubkiem buta — przecież wszyscy wiedzą, że ci się podoba, a dziewczyny twierdzą, że ona też ma do ciebie słabość. Jedynym problemem jest Morath. Ale wcale nie musi tak być. Jak tylko zaczniesz latać, dostanie własny weyr, a wy będziecie mieli trochę intymności....

— Intymności? — Iantine wiedział, że Leopold jest nad wiek rozwinięty, ale...

Chłopiec przekrzywił głowę i przezornie ukrył uśmiezek.

— W Weyrach zawsze tak jest. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Iantine jednocześnie odczuł irytację, ulgę na wieść o uczuciach Debery i rozbawienie, że starannie ukrywane zainteresowanie dziewczyną okazało się oczywiste dla wszystkich. Nie sądził, że kiedykolwiek pokocha jakąś dziewczynę tak bardzo, by jej nieobecność sprawiała mu fizyczne cierpienie, że w nocy będzie spędzał bezsenne godziny, roztrząsając nawet najkrótsze rozmowy, że będzie łowił uchem dźwięk znajomego głosu w zatłoczonej jaskini, że będzie musiał wycierać gumką scenki przedstawiające wyimaginowane spotkania, które jego ołówek kreślił bez udziału świadomości. Starał się nie spuszczać z oka szkicownika, gdyż było w nim o wiele za dużo portretów Debery — i Morath, wszechobecnej Morath. Smoczyca też go lubiła. Wiedział o tym, bo sama mu powiedziała.

Właściwie, to była pierwsza zachęta. Wysłał umysł, by odgadnąć, czy to oznacza, że Debera zwróciła na niego uwagę. Zapytał o smoczą mowę jednego z jeźdźców, którego właśnie szkicował, udając, że tylko grzecznościowo porusza taki temat, zresztą i tak bliski sercu jego modelu. Okazało się, że smoki mogą rozmawiać z kim tylko zechcą i zwykle robią to z sobą tylko znanych powodów, nie zawsze wyjaśniając je jeźdźcom. Czasem zaś działają w porozumieniu z jeźdźcem. Żaden z pozostałych smoczków, nawet zielonych, z którymi Iantine niemal się zaprzyjaźnił, nie próbował do niego mówić. Liczyła się tylko Morath. Wyrosła i stała się największą zieloną smoczą z tego Wylęgu... Nie udzieliła jednak żadnych wyjaśnień. Zresztą Iantine o nic nie pytał. Po prostu ukrył w sercu niezwykle wyróżnienie, jakim była rozmowa z nią.

Kiedyś poprosiła, by pokazał jej szkicownik. Zauważył, że notes odbija się w każdej z fasetek smoczego oka. Były błękitnozielone, czyli w normalnym kolorze i wirowały powoli.

— Czy coś widziałaś?

Tak. Kształty. Rysujesz kształty w notesie tą rzeczą, którą masz w ręku?

— Tak. Ciekawe, ile smok może zobaczyć tak zbudowanym okiem? Pewnie to się

przydaje, kiedy Nici zaczną opadać ze wszystkich kierunków. Ponieważ smocze oko nieco wystaje, otrzymuje także obrazy z nad czaszki. Doskonale zaprojektowane. No cóż, smoki rzeczywiście zostały zaprojektowane, choć w obecnych czasach nikt nie potrafi posługiwać się inżynierią genetyczną. Inna rzecz hodować zwierzęta, by uzyskać pożądane cechy, a inna, zacząć od jednej komórki i stworzyć całkowicie nowe zwierzę. — Podoba ci się ten, na którym Debera smaruje cię olejkami?

Wygląda jak Debera. Wygląda jak ja? W kontralcie Morath pojawiła się nuta żalostnego zdziwienia. Wtedy właśnie Iantine zdał sobie sprawę, że głos smoczycy brzmi bardzo podobnie do Debery. To logiczne, przecież obie są praktycznie nierozłączne, pomyślał.

Nierozłączne! To właśnie najbardziej go niepokoiło. Wiedział, że jego miłość do głosu Debery jest niezmienna, ale emocjonalne resztki po Morath nigdy nie zrównoważą siły jego uczucia. Czy tak musi być? Przecież on również bez reszty zaangażował się w pracę. Czy może winić dziewczynę za podobne zauroczenie? Naturalnie, kochać smoka a kochać malowanie — to dwie różne rzeczy. Ale czy na pewno?

Może to i dobrze, że po Końcu Obrotu jadę do Bendenu, zdecydował, wsunął ołówek za ucho i zamknął szkicownik. Może jeśli stracę oczu Deberę i Morath, usuną się także z mych myśli i serca... wtedy ta więź nieco osłabnie.

— Masz już gotowy strój na Koniec Obrotu? Może trzeba go wyprasować albo coś poprawić? — spytał Leopold prosząco.

— Wczoraj wszystko przygotowałem, a ja przecież nic nie ruszałem — odparł i znów pogładził chłopca po gęstych włosach. Otoczył ramieniem jego szczupłe plecy i popchnął go do kuchni — Chodźmy coś zjeść.

— Nie ma dużo do jedzenia — powiedział Leopold, niezadowolony. — Wszyscy się szykują na wieczór.

— Szykują się już od tygodnia — zwrócił mu uwagę Iantine. — Ale na pewno jest chleb i jakieś wędliny.

— Phi!

Malarz zauważył jednak, że Leopold bez specjalnego obrzydzenia zrobił sobie kilka kanapek ze wszystkim, co było pod ręką, przyniósł też dwa kubki zupy i dwa jabłka. Bez obrzydzenia także zabrał się do jedzenia, choć aromaty dochodzące z pieców — napalono pod wszystkimi — były bardziej kuszące, niż południowy posiłek. Iantine postanowił dobrze się zabawić wieczorem.

W tym momencie Leopold, z oczyma rozszerzonymi podnieceniem, wyskoczył z za

stołu:

— Patrz! Patrz! Przyjechali muzykanci!

Iantine wyrzał na zewnątrz i zobaczył, jak artyści zsiadają z sześciu smoków. Śmiali się i pokrzykiwali, gdy ostrożnie podawano im z góry instrumenty i zrzucano worki podróżne. Tisha majestatycznie wyszła przed jaskinię wraz z pomocnikami i wkrótce już wszyscy siedzieli przy stołach, zjadając bardziej wyszukane dania, niż kanapki i zupa. Leopold, ten zdrajca, oczywiście siedział już wśród nich i raczył się potężnym kawałem lukrowanego ciasta. Iantine znalazł dobre miejsce pod ścianą, zaostriął ołówek nożem i otworzył szkicownik. Tę scenę należało utrwalić. Jeśli teraz namaluje ich wszystkich, może wieczorem, podczas koncertu, nie będą go swędziały palce. Pracując przypomniał sobie, że Telgar miał doskonałych muzyków, którzy na święto Końca Obrotu wracali do domu, niezależnie od wiążących ich kontraktów. Ach, skończy ten szkic i wystarczy pracy na dzisiaj!

Naturalnie, stało się inaczej. Ale przecież nigdy nie potrafił się powstrzymać przed rysowaniem fascynujących scenek i ważnych chwil. Tym bardziej że nie mógł przecież rozstać się ze szkicownikiem — a nuż ktoś by do niego zajrzał? Poza tym, kiedy rysował, miał zajęte dłonie i nie musiał ich pilnować, by nie wędrowały w okolice ramion Debery, albo nie brały jej za rękę. Praca była też wymówką, zawsze mógł przecież przeprosić, że pochłonięty rysowaniem nie zauważył, jak przysuwa się do niej za blisko, albo styka udem lub ramieniem. Przecież był taki zajęty, w ogóle nie zwracał uwagi na to, co się dzieje wokół niego.

Gdyby Debera uznała to za niepokojące czy nieprzyjemne, zawsze mogła odsunąć nogę, albo usiąść nieco dalej na ławie. Wyglądało na to, że nie przeszkadza jej dotyk Iantine'a, który starał się uchwycić taką, czy inną pozę artystów. Naprawdę jednak był cały czas świadomy jej bliskości i kwiatowych perfum, które nie do końca ukrywały zapach nowości, jaki roztaczała jej śliczna, bladozielona suknia. Do twarzy było jej w tym kolorze i doskonale o rym wiedziała: łagodny odcień młodych, wiosennych liści pięknie kontrastował z jej cerą. Angie zdradziła mu, jaki kolor będzie miała świąteczna suknia Debery, więc kupił sobie ciemnozieloną koszulę, żeby pasowali do siebie. Podobało mu się, że upięła włosy w grubą koronę wokół głowy i wplotła w nie bladozielone wstążki, których końce luźno opadały na plecy. Miała nawet zielone pantofelki. Ciekaw był, czy później będą grać do tańca, przecież zawsze tak bywa na święcie Obrotu. Chociaż, może tym razem nie będzie to pasowało do „Suity o Lądowaniu”. Pochylił się, żeby poprosić o kilka tańców, ale uciszyła go.

— Wsłuchaj się w słowa — szepnęła cichutko, wskazując na szkicownik. — Są

równie piękne, jak muzyka.

Znów spojrzął przed siebie i nagle zdał sobie sprawę, że na scenie są także śpiewacy. Aż tak go pochłonęło towarzyszenie Deberze samej, bez Morath?

Jestem tutaj. Ja też słucham muzyki.

Niemal podskoczył, słysząc niespodzianie w głowie głos smoczyicy. Przełknął ślinę. Czy ten smok zawsze będzie czytać w jego myślach?

Zadał to pytanie również w myśli, ale nieco głośniejszym głosem. Odpowiedzi nie było. Czy dlatego, że na takie pytania się nie odpowiada? A może jest tak oczywista, że nie trzeba jej udzielać?

Morath wcale nie wyglądała na nieszczęśliwą, dowiedziawszy się, jaką radość sprawia jej bliskość Debery. Była zadowolona, że jest z nimi i słucha. Smoki lubiły muzykę.

Spojrzał przez ramię na Nieckę i wzdłuż wschodniej krawędzi ujrzał wiele par smoczycich oczu. Wyglądało to, jakby ktoś porozwieszał na całej ścianie, narożnych wysokościach, okrągłe, niebieskozielone latarnie. To smocza publiczność przysłuchiwała się występom.

Posłusznie zaczął słuchać słów i po chwili wciągnęła go dramatyczna opowieść, choć znał ją od dzieciństwa. Muzycy nazwali ją „Suitą o Lądowaniu”; teraz śpiewali o rozstaniu kolonistów z wielkimi pojazdami kosmicznymi. Głos tenora wzniósł się w smutnym pożegnaniu statków, które już na zawsze pozostaną na orbicie nad punktem Lądowania, lecz korytarze ich będą puste, nikt nie stanie na mostku, pod kopułami nie odezwie się echo. Śpiewak z niesłychaną sprawnością kontrolował oddech i w końcu pozwolił ostatniej nucie ucichnąć, jakby zawisła w niezmiernym przestrzeni między statkami a planetą.

Nastąpiła chwila pełnej podziwu ciszy, a potem wybuchły brawa, na które solista rzetelnie zasłużył. Iantine pośpiesznie go naszkicował, jak się kłania przed powrotem w szeregi chóru.

— Och, Ian, był cudowny — powiedziała Debera, wyciągając szyję, żeby zobaczyć rysunek. Nie przerywała klaskania, a oczy jej błyszczały. — Będzie zachwycony tym portretem.

Iantine raczej w to wątpił, udało mu się jednak uśmiechnąć, ukrywając ukłucie zazdrości, że ktoś inny poza nim wzbudził zainteresowanie Debery.

Ona lubi ciebie, Ian, powiedziała Morath, jakby z wielkiej odległości, choć siedziała wśród innych, nielotnych jeszcze smoczatek, na dnie Niecki

Ian? powtórzył, zaskoczony. Jeźdźcy powiedzieli mu, że choć smoki czasem rozmawiają nie tylko ze swoimi jeźdźcami, bardzo rzadko zapamiętują ludzkie imiona. To

Morath zna moje imię?

A dlaczego nie? Ciągłe je słyszę, odpowiedziała, nieco urażona. Pewnie nigdy się nie dowie, ile znaczą dla mnie te słowa, pomyślał Iantine, i nabrał tyle powietrza, że aż pierś mu się wydeła. Teraz, kiedy uda mu się być z nią sam na sam...

Ona nigdy nie jest sama, jest moją jeźdźczynią. Zdusił jęk, by nie usłyszała go ani smoczyca, ani jeźdźczyni i postarał się z całych sił ścieśnić myśli na samym dnie głowy. Czy to ma sens, zaczął się zastanawiać... i przez resztę koncertu starał się utrzymać dystans między sobą a Deberą.

Nie poświęcił wiele uwagi drugiej i trzeciej części suity, które doprowadzały wydarzenia do chwili obecnej. Cyniczny głosik w jego myślach zauważył, że nie wspomniano o usunięciu Chalkina, ale przecież to zdarzyło się bardzo niedawno i kompozytor ani autor libretta nie mieli pojęcia o tym, że wydarzenia przyjmą taki obrót. Ciekawe, czy ten incydent przejdzie do historii. Chalkin byłby zachwycony. Może właśnie dlatego wszyscy postarają się o tym zapomnieć. To będzie dla niego ostateczna kara: odejdzie w zapomnienie.

Po zakończeniu suity zaproszono wszystkich na kolację. Szybko i sprawnie ustawiono stoły i krzesła, ale w zamieszaniu zgubił gdzieś Deberę. Przeraził się i uświadomił sobie, że nie jest w stanie oderwać od niej myśli, nawet na krótką chwilę. Gdy się odnaleźli w tłumie, jego dłoń powędrowała ku niej równie szybko, jak jej dłoń ku niemu i trzymając się za ręce stanęli w kolejce po jedzenie.

Znaleźli w końcu wolne miejsca przy jednym z długich blatów, opartych na koziołkach. Wszyscy rozmawiali o muzyce, śpiewakach i orkiestracji, zadowoleni, że znaleźli się w Weyrze, któremu zawsze dawano pierwszeństwo. Naturalnie, muzyka na Pernie była bardzo ważna. Instrumenty i melodie przywieźli Ojcowie Założyciele ze starej ojczyzny, a o rozwój tej sztuki troszczył się nie tylko Uniwersytet, lecz także wszystkie Weyry i Warownie. Wszystkie dzieci potrafiły czytać nuty; zachęcano je do nauki gry przynajmniej na jednym instrumencie, a nawet na dwóch albo trzech. Tylko w bardzo biednych gospodarstwach nie znalazłaby się gitara, dudy albo chociaż bębenek, by ożywić długie zimowe wieczory i umilić święta.

Jedzenie było bardzo dobre, choć Iantine musiał się skoncentrować, by poczuć jego smak. Wszystkimi zmysłami chłonał bliskość Debery. Dziewczyna była niezwykle ożywiona i chętnie rozmawiała z sąsiadami przy stole, szczegółowo omawiając poszczególne partie wokalne i instrumentalne, jak również linie melodyczne, które jej się szczególnie spodobaly. Zarumieniała się i oczy jej błyszczały. Nigdy jeszcze nie widział jej tak radosnej. Zresztą on sam też był w doskonałym nastroju, niemal bez tchu oczekując chwili, gdy zaczną się tańce.

Będzie ją wtedy mógł wziąć w ramiona i mieć blisko przy sobie, nawet bliżej, niż teraz. Nie mógł się tego doczekać.

Ale naturalnie, musiał zdobyć się na cierpliwość, gdyż jak zwykle w Pierwszy Dzień podano lody, specjalny, tradycyjny deser, na który wszyscy mieli apetyt. Tym razem były owocowe, pachnące śmietanką, smakowite, aromatyczne, z małąkimi kawałeczkami mięszu. Sam nie wiedział, czy ma jeść powoli, ryzykując, że się roztopią, bo w dolnej jaskini było bardzo ciepło, czy też łykać twarde, zimne kęsy. Spozrzegł, że Debera je szybko, więc i on wybrał ten sposób.

Po posiłku usunięto stoły i poodsuwano krzesła pod ścianę, robiąc miejsce do tańca. Muzycy utworzyli małe zespoły instrumentalne, które mogły się zastępować, tak by muzyka grała bez przerwy, i zabrali się za strojenie instrumentów.

Gdy wszystko było gotowe, K'vin zaprosił do tańca Zulayę. Prezentowała się wspaniale w czerwonej brokatowej sukni, w której pozowała do portretu. Rozpoczęli tańce zgodnie z tradycją. Iantine złapał się na myśli, że chętnie naszkicowałby tę szlachetną parę, ale ukrył notes w piramidzie stołów. Mógł tylko starać się zapamiętać szczegóły. Nigdy do tej pory nie widział, by Zulaya była tak zalotna, a K'vin traktował ją z niezwykłą galanterią. Iantine zauważył, że niektórzy jeźdźcy wymieniają między sobą jakieś spostrzeżenia, obserwując parę Przywódców, ale nie słyszał, o czym mowa. Mogą przypatrywać się do woli, to nie moja sprawa, skarcił się w myśli.

Następnie dowódcy skrzydeł poprowadzili swe partnerki do tańca, a po trzech zwrotkach melodii dołączyli do nich zastępcy. Potem Tisha wraz z Maranidem, lekarzem Weyru, zaczęli zataczać wdzięczne kręgi wśród tancerzy. Skończył się pierwszy taniec i teraz wszyscy mogli już się bawić przy wtórze muzyki. Rozległa się skoczna przygrywka.

— Zatańczysz ze mną, Debero? — Iantine skłonił się oficjalnie. Debera, z błyszczącymi oczyma, wysoko uniesioną głową i uśmiechem tak szerokim, że niemal dzielił jej głowę na pół, przysiadła w dworskim dygu.

— Miałam nadzieję, że mnie zaprosisz, Iantine!

— Ja zamawiam następny! — zawołał Leopold, pojawiając się niespodziewanie obok. Patrzył na Deberę nienormalnie błyszczącymi oczyma.

— Czy może udało ci się wycygnąć gdzieś trochę wina? — spytał podejrzliwie Iantine.

— Nikt nie chciał mi dać — poskarżył się chłopiec z urazą w głosie.

— Nie ma takiej rzeczy, której byś nie umiał zdobyć na własną rękę, jeśli opiekunowie ci odmówią, Leo — stwierdziła Debera. — Mimo to zatańcz z tobą. Ale

później.

Z tymi słowy weszła w krąg tańczących, a Iantine odprowadził ją od chłopca najszybciej, jak potrafił.

— Jest nad wiek rozwinięty, nawet jak na dziecko z Weyru — skomentowała Debera, uniosła ramiona i znalazła się w objęciach Iantina.

— Nie da się ukryć — odpowiedział. Nie chciał jednak rozmawiać o Leopolu w chwili, gdy prowadził jej szczupłą, silną postać pośród innych par, aż na drugi koniec jaskini, daleko od chłopca.

— Dobrze wiesz, że i tak będzie chodził za nami, aż z nim zatańczę — stwierdziła z uśmiechem.

— A, to jeszcze zobaczymy — odparł i mocniej objął jej mocne, drobne ramiona zaborczym gestem.

Czy ja też będę mogła tańczyć, jak urosnę? Usłyszał wyraźnie pytanie zielonej smoczycy.

Zaskoczony, spojrzał na Deberę i po uśmiechu, czającym się w jej oczach poznał, że Morath przemówiła do nich obojga.

— Smoki nie tańczą — odpowiedziała dziewczyna czułym głosem. Iantine zauważył, że do Morath zwracała się zawsze specjalnym, serdecznym tonem.

— Ale za to śpiewają — dodał, zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda mu się wyłączyć Morath z rozmowy na tak długo, by zdążył napomknąć o nich.

Nie, zawsze będę słuchać tego, co mówisz, odezwał się w jego myślach głos smoczycy, brzmiący niemal tak samo, jak Debery.

Iantine skrzywił się. Jak u licha w tej sytuacji ma zdobyć się na rozmowę w cztery oczy ze swą ukochaną.

No, to nie będę słuchać, powiedziała Morath z żalem.

— Ile czasu będziesz w Bendenie, Ian? — spytała Debera.

Ciekaw był, czy Morath znowu mówiła do nich dwojga, ale postanowił nie pytać. W ogóle nie chciał rozmawiać o wyjeździe, a tym bardziej nie z Debera. Przecież dziewczyna była najważniejszym powodem, dla którego wcale nie pragnął ruszać się z Telgaru.

— Ach — powiedział beztrząsco — chciałbym wykonać dobrą robotę dla Lorda i Lady Bridgely. Wiesz, zapłacili za moje wykształcenie i dużo im zawdzięczam.

— Dobrze ich znasz?

— Ja? Nie, moi rodzice mają górskie gospodarstwo.

— Moi też mieli. — Mieli?

Zaśmiała się, skonsternowana.

— Nie rozmawiajmy o rodzinach.

— To może zamiast tego porozmawiamy o nas — zaproponował i natychmiast skarcił się w myślach za szampową odpowiedź.

Twarz dziewczyny spochmurniała.

— Powiedziałem coś złego? — opiekuńczo otoczył ją ramieniem. Miała taką żalną minę.

Niepokoi się czymś, co Tisha wczoraj mówiła weyrzątkom. Wiem, że miałam się nie wtrącać, ale czasem trzeba.

— Ależ skądże — odpowiedziała jednocześnie tak, że nie wiedział, która z nich co mówi. Ich głosy brzmiały niemal tak samo.

— Ale coś cię niepokoi?

Nie odpowiedziała od razu, tylko mocniej zacisnęła dłonie na jego ramionach.

— No, już, Deb — spróbował pogodniejszego tonu — przecież wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

— Właśnie o to chodzi. — Spojrzała na niego dziwnie.

— Ale o co?

— Chcesz ze mną rozmawiać, tańczysz tylko ze mną i...

— Aha — nagle zrozumiał, o co chodzi. — Tisha wygłosiła wam wykład pod tytułem „nie zróbcie w święta Końca Obrotu czegoś, czego później będziecie żałować”, prawda? — spytał. Popatrzyła mu w oczy, zaskoczona. Odpowiedział jej uśmiechem. — Sam też parę razy musiałem czegoś takiego wysłuchać.

— Ale z jeźdźcami smoków jest trochę inaczej. Szczególnie z jeźdźcami zielonych, bardzo niedojrzałych smoczyc — powiedziała, po czym spojrzała z przerażeniem, jakby nie zamierzała być aż tak bezpośrednia. — Ojej...

Przytulił ją mocniej, choć się opierała i zaśmiał się cicho. Wszystkie niby to przypadkowe pytania, zadawane różnym jeźdźcom złożyły się na odpowiedź wyjaśniającą to, czego nie powiedziała Debera.

— Zielone smoki są... jakby to powiedzieć łagodnie? Pełne życia, kochające, chętne, nieraz tracą na tym, że są takie przyjazne...

Wpatrywała się w niego, policzki jej czerwieniały, w oczach pojawił się gniew, a ciało zaczęło się opierać rytmowi tańca. Właśnie mijali wyjście, z którego korytarz wiódł do magazynów Weyru. Poprowadził ją w tamtą stronę, mimo że się opierała i powiedział przekonywająco, ze zrozumieniem:



— Masz młodą, zieloną smoczycę, która jest jeszcze za mała na jakiegokolwiek przeżycia erotyczne. Ale, moim zdaniem, pocałunek jej nie zaszkodzi, a ja muszę cię pocałować chociaż raz, zanim wyjadę do Bendenu.

W chwili, gdy zetknęły się ich usta, choć Debera się opierała, poczuli, jakby przeskoczyła między nimi iskra elektryczna. Nie mogła się temu nie poddać, nawet ze względu na niewinność Morath.

W końcu oderwali się od siebie, bez tchu, tylko na tyle, by nabrać powietrza w płuca. Tuliła się do niego bezsilnie, a Iantine zdołał utrzymać się na nogach jedynie dlatego, że wspierał się o ścianę.

Wiecie co, to było bardzo przyjemne.

— Morath! — Debera natychmiast się wyprostowała, choć dalej mocno obejmowała go za szyję i ramiona. — Och... kochanie, co ja zrobiłam?

— Jej to nic, popatrz na mnie — odparł drżącym głosem Iantine. — Nie wygląda na zaniepokojoną, prawda?

Debera odsunęła się i podniosła na niego wzrok. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak ślicznie, pomyślał.

— Słyszałeś Morath? — Nnno, tak...

— To znaczy, że nie po raz pierwszy? — zdziwiła się jeszcze bardziej.

— Mmm. A do tego, ona mówi do mnie po imieniu — powiedział wprost, wiedząc, że to może zaniepokoić Deberę. Musiał jednak być szczery.

Oczy Debety jeszcze się rozszerzyły, a jej twarz zbladła, nawet w przyćmionym świetle żarów w korytarzu. Oparła się o niego, wyraźnie przerażona.

— Och, co ja mam teraz zrobić?

Pogładził ją po włosach, szczęśliwy, że nie uciekła. Wtedy wszystkie jego nadzieje ległyby w gruzach.

— Nie sądzę, by Morath zaniepokoiła się jednym małym całusem — powiedział łagodnie.

— To miał być mały całus? — spojrzała bez wyrazu. — Nigdy w życiu tak się nie całowałam.

— Ja też nie — roześmiał się Iantine. — Mimo że ty mnie nie pocałowałaś w zamian — przytulił ją, wiedząc, że minął krytyczny moment. — Debero, muszę ci coś powiedzieć. Kocham cię. Ciągle o tobie myślę. Twoja twarz i... Morath — dodał taktownie i zresztą szczerze — pojawiają się na marginesach wszystkich moich rysunków. Będę za tobą tęsknił tak, jak... jak ty tęskniłabyś za Morath.

Wstrzymała na chwilę oddech, nie chcąc nawet brać pod uwagę takiej możliwości.

— Iantine, co mogę na to odpowiedzieć? Jestem jeźdźcem smoka. Wiesz, że Morath jest dla mnie zawsze na pierwszym miejscu — powiedziała łagodnie i pogładziła go po policzku.

Kiwnął głową. — Tak powinno być — odpowiedział, choć całym sercem pragnął być jednym obiektem jej uczucia.

— Cieszę się, że o tym wiesz, ale Ian... ja nie wiem, co czuję do ciebie, oprócz tego, że podobał mi się ten pocałunek — spoglądała czule, ale jednocześnie odwracała wzrok. — Nawet się cieszę, że mnie pocałowałeś. Właściwie, chciałam wiedzieć... — powiedziała nieco zawadiacko, ale wciąż nieśmiało.

— Więc mogę cię znowu pocałować? Dotknęła dłonią jego piersi.

— Nie tak szybko, Iantine! Nie tak szybko. Ze względu na mnie, nie tylko na Morath. Bo... — przerwała na chwilę i wyrzuciła z siebie gwałtownie następne zdanie — bo ja też będę za tobą tęskniła prawie tak... prawie tak, jak za Morath. Ja nie wiedziałam, że jeździec może czuć coś takiego do innego człowieka. Coś tak podobnego. Więc — mocniej oparła rękę na jego piersi, bo znów chciał ją pocałować, słysząc takie słowa—więc nie mogę ci szczerze powiedzieć, że to wszystko nie jest spowodowane wpływem Morath, bo ona też cię bardzo lubi.

Wcale nie jest, stanowczo odparła Morath, nawet z pewną urazą w głosie.

— Ona mówi... — zaczęła Debera, ale Iantine przerwał jej: — Słyszałem.

Oboje się roześmiali i zmysłowe napięcie między nimi zmalowało. Natychmiast z tego skorzystał i pocałował ją lekko, by udowodnić, że naprawdę rozumie, co się dzieje z Morath i że potrafi się powstrzymać. Wcześniej często wypytywał jeźdźców o ich układy uczuciowe, tak dokładnie, jak na to pozwalała przyzwoitość. To, czego się dowiedział, było jednocześnie niepokojące i zadowalające. Związki te były o wiele bardziej skomplikowane, niż sądził. Układy między jeźdźcami a zwykłymi mieszkańcami Weyrów nieraz stawały się niezwykle splątane, a najgorzej bywało w przypadku zielonych smoków, naładowanych emocjami i bardzo pobudliwych.

— Chyba mam szczęście, że ona do mnie mówi — odezwał się po chwili Iantine. — Posłuchaj, kochanie, powiedzieliśmy sobie wszystko. Słyszałem także, co sądzi o tym Morath i myślę, że możemy na tym poprzestać. Ja muszę jechać do Bendenu, a Morath musi... dorosnąć — delikatnie uściśnął dziewczynę. — Jeśli ktoś będzie na mnie czekał, tu w Weyrze, to wrócę. Będzie czekał?

— Pewnie, że będzie — potwierdziły jednocześnie Debera i Morath.

— Więc teraz — pocałował ją lekko i udało mu się odsunąć w chwili, kiedy emocje już miały zawrócić im w głowie — będziemy tańczyć, tańczyć i jeszcze raz tańczyć. To nie powinno nam przyczynić kłopotów, prawda?

Naturalnie, jeszcze nie skończył zdania, a już wiedział, że będzie musiał wykazać się niezwykłą samokontrolą, mając tę dziewczynę tak blisko przez całą noc.

Usta go piekły, gdy prowadził Deberę z powrotem do jaskini, ciesząc się ufnym uściskiem jej dłoni. Objął ją, ale taniec właśnie się skończył, więc tylko raz zawirowali dokoła. Ponieważ czuł się o wiele pewniej, pozwolił Leopoldowi na jeden krótki taniec, bo w przeciwnym wypadku chłopiec nie dałby im spokoju. Poza tym jedynym ustępstwem tańczyli z Debera przez całą noc, utrwalając nowo powstałą więź. Tańczyli, aż wreszcie strudzeni muzykanci ogłosili koniec zabawy.

Był nieszczęśliwy, myśląc o rychłym rozstaniu, szczególnie teraz, gdy się porozumieli — na swój sposób — ale nic na to nie mógł poradzić. Obowiązek wzywał go do bendeńskiej Warowni.

## **ROZDZIAŁ XV**

NOWY ROK 258 PO LĄDOWANIU;  
UNIWERSYTET, WAROWNIA BENDEN,  
WEYR TELGAR.

Pierwszego roboczego dnia nowego roku 258 P.L., czyli Po Lądowaniu, Clisser zaczął rozmyślać nad minionymi czterema dniami świąt. Czasem trzeba było się śpieszyć, czasem bywały wyczerpujące, mimo precyzyjnych planów i wcześniejszego doświadczenia... a jednak najważniejsze koncerty — „Suita o Lądowaniu” pierwszego dnia oraz Pieśni i Ballady Instruktażowe drugiego dnia — poszły bardzo dobrze, o wiele lepiej, niż się spodziewał po tak niewielu próbach. Niektórzy muzycy nie mogli poświęcić nauce zbyt wiele czasu, i to się dało zauważyć: na przykład tenor z Fortu nie dopracował swojego wielkiego solo... nie

pozwoił do końca wybrzmieć ostatniej nucie. Sheledon, ze swego miejsca wśród drewnianych instrumentów dętych, pieniał się z wściekłości. Sam by to zaśpiewał, ale nie miał głosu. No cóż, Sheledon nie dopatrywał się błędów jedynie w śpiewie Sydry, która i tym razem okazała się wspaniała, jak zawsze. Fletowe solówki Bethany brzmiały cudownie i doskonale harmonizowały z głosem Sydry.

Paulin niemal po każdym solo zrywał się na równe nogi, a po części finałowej demonstracyjnie ocierał łzy z oczu. Chyba nawet staremu S'nanowi występy się podobały. Clisser był zadowolony z reakcji publiczności. Miał nadzieję, że oba koncerty spodobały się również w innych miejscach na kontynencie. Włożono w nie wiele ciężkiej pracy, co było tym cenniejsze, że wykonawcy naprawdę mieli mało czasu.

Pieśni i Ballady Instruktażowe tak zachwyciły publiczność, że następnego dnia wiele osób nuciło pod nosem niektóre melodie. Kompozytorom właśnie o to chodziło. Na szczęście gustom słuchaczy na równi odpowiadała chwytliwa muzyka napisana przez niego samego, Jemmy'ego i Sheledona. Sam się przyłapał na nuceniu refrenu z Pieśni o Powinnościach. Ta była chyba najlepsza. Wreszcie nie trzeba będzie marnować czasu na kopiowanie Karty, bo młodzież nauczy się wszystkiego na pamięć. Nauczyciele sami przepisywali słowa pieśni na swoje potrzeby, potem podyktują je uczniom i w konsekwencji pracownicy Uniwersytetu będą mieli o wiele mniej pracy.

Naprawdę, zespół Kalwiego musi wreszcie zacząć projektować prasę drukarską. Udało im się wymyślić całkiem sporo urzędzonek napędzanych energią słoneczną, więc może i to osiągną? Ale do druku potrzebny jest papier, a lasy przez następnych pięćdziesiąt lat będą zagrożone, niezależnie od wysiłków Weyrów, które zajmą się ich ochroną ze szczególną troską.

Jedno pasmo Nici może zniszczyć całe akry drzewostanu, zanim załogi naziemne dotrą na skażony teren.

Westchnął. Szkoda, że już nie działa przetwórnia odpadów organicznych na tworzywa sztuczne... niestety, jedyny egzemplarz przechowywany w magazynach Fortu zardzewiał w czasie tej samej powodzi, która zniszczyła tyle innych rzeczy.

— Życie osądzać, nie nasza to rzecz — zacytował w myślach. — Powiniennem wryć gdzieś tę starą sentencję, żebym zawsze pamiętał, że mamy to, co mamy i musi nam to wystarczyć.

Mimo to czuł się nieco przygnębiony. Ostatnie dni obfitowały w piękne chwile i trudno było teraz powrócić do codziennej rutyny. Nie wszyscy wykładowcy zdążyli przybyć na Uniwersytet, choć powinni się zameldować u niego późnym wieczorem. Dowie się wtedy,

jak udały się koncerty w innych miejscach. Jak sprawdza się nowy program nauczania będzie wiadomo dopiero po dłuższym czasie. Wiosną okaże się, co jeszcze wymaga dopracowania. W takich sprawach zawsze można liczyć na Sallishę. Również wiosną zaczną opadać Nici i spokój, jakim wszyscy się radowali, przejdzie do historii.

Ano właśnie, jest jeszcze coś do zrobienia. Już wystarczająco długo to odwlekał... trzeba spisać listę załóg naziemnych, składających się z nauczycieli i studentów, którzy przekroczyli piętnaście lat. Dawno obiecał Lordowi Paulinowi, że się tym zajmie i ciągle coś odwracało jego uwagę. Wyciągnął z szafki czystą kartkę papieru, zastanowił się, odłożył ją na miejsce i wziął kartkę ze stosu, przeznaczonego na brudnopisy. Była z jednej strony niezapisana i to musiało wystarczyć. Trzeba oszczędzać, bo niedługo przyjdzie bieda.

Lady Jane osobiście poprowadziła Iantine'a do przeznaczonej dla niego komnaty. Zadawała wszystkie pytania typowe dla troskliwej gospodyni. Gdzie spędził Koniec Obrotu? Dobrze się bawił? Czy miał okazję posłuchać cudownej nowej muzyki, napisanej przez uniwersyteckich kompozytorów? Na jakim gra instrumencie? Czy dawno widział się z rodzicami? Odpowiadał najlepiej, jak potrafił, zdumiony różnicą między tym, jak przyjęto go tutaj, a jak w Bitrze. Lady Jane była nieco roztrzępana, wcale się tego nie spodziewał po małżonce kogoś takiego jak Bridgely. Mimo tych pozorów musi być niesamowicie gospodarna, pomyślał, porównując wystrój i wygląd ogólnodostępnych sal oraz panującą w nich czystość z tym, co widział w Bitrze. Różnica była ogromna.

Bynajmniej nie zakwaterowano go na piętrze dla służby, o nie. Lady Jane poprowadziła go wyżej, tam, gdzie mieszkała rodzina Lorda, napominając dwóch pacholków, którzy nieśli płótna i deski z nieboszczotki, by uważali i nic nie zniszczyli.

Otworzyła drzwi i oddała mu klucz. Oniemiał, gdy znalazł się w przestronnym salonie, przynajmniej dziesięć razy większym niż celka, jaką zajmował w Bitrze. Szerokie, wysokie okno wychodziło na pomocny wschód, na zewnątrz Warowni. Wnętrze było bardzo przyjemnie urządzone; kamienne ściany wybielono, aż przybrały miły, białozielony odcień, wypolerowane drewniane meble lśniły, a tapicerka w łagodny, zielonobeżowy geometryczny wzór cieszyła oko.

— Wiem, że Artyści najbardziej lubią północne światło, ale nic lepszego nie znaleźliśmy — tłumaczyła się Pani Bendenu, trzepocąc rękoma. Miała arystokratyczne, małe dłonie, ozdobione tylko szeroką małżeńską obrączką. Kolejny kontrast z bitrańskim zamiłowaniem do bogatej, krzykliwej biżuterii.

— Nie spodziewałem się aż takich względów, Lady Jane — powiedział szczerze.

— Jestem pewna, że to o wiele lepsze warunki, niż miałeś w Bitrze — prychnęła pogardliwie. — Tak mi przynajmniej mówiono. Możesz być pewien, że w Warowni Benden nikt by nie umieścił Artysty twojej klasy i talentu razem z pachółkami służebnymi. Bitrańczycy mogą sobie twierdzić — jej ton wyrażał wątpliwości — że pochodzą ze szlacheckiego Rodu, ale zawsze brakowało im stylu i gestu! — Zauważyła, że sprawdza wytrzymałość sztalugi. — Jest z magazynu. Należała kiedyś do Lesnoura. Znasz jego prace?

— Lesnoura? Naturalnie — opuścił dłoń, gładząc wypolerowaną woskiem górną krawędź. Lesnour, który dożył ponad stu lat, zaprojektował i wykonał freski w Warowni Benden i był słynny z umiejętności posługiwania się kolorem. Stworzył również słownik dostępnych pigmentów, uzyskiwanych z rodzimych surowców. Iantine dobrze znał tę pracę i bardzo mu ona pomogła w Bitrze.

Lady Jane otworzyła szeroko drewniane drzwi wiodące do niewielkiej, lecz wystarczająco obszernej sypialni. Stało tam duże łóżko ze słupkami rzeźbionymi w niezwykle liście i kwiaty, prawdopodobnie ziemskie. Pokazała mu jeszcze trzecie pomieszczenie apartamentu: łazienkę i toaletę. W dodatku, wszędzie było ciepło. Benden posiadał takie same udogodnienia, jakimi chlubił się Fort.

— Nie potrzebuję aż takiego luksusu, Lady Jane — powiedział zakłopotany Iantine, rzucając worek podróżny na podłogę w salonie.

— Cóż za głupstwa opowiadasz. My tu, w Bendenie, lepiej wiemy, co przysługuje osobie z takim talentem. Przestrzeń — ogarnęła pokój wdzięcznym ruchem dłoni — jest niezbędna, by uporządkować myśli i dać odpoczynek umysłowi — wykonała kolejną skomplikowaną arabeskę rękoma i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem, starając się wyrazić wdzięczność, a nie rozbawienie jej nieco udziwnionym stylem bycia. — Wieczorny posiłek podajemy w Wielkiej Sali o ósmej, będziesz siedział przy wysokim stole — powiedziała ze stanowczym uśmiechem, który miał powstrzymać ewentualne protesty. — Czy życzysz sobie kogoś do pomocy przy pracach przygotowawczych?

— Nie, dziękuję uprzejmie, Lady Jane, ale jestem przyzwyczajony sam dawać sobie radę.

Może uda się jednak wypożyczyć Leopola na kilka tygodni? Jest tu dość miejsca dla niego.

Władczyni Warowni wyszła, wysłuchawszy po raz kolejny gorących podziękowań za gościnność.

Rozejrzał się po pokojach, umył ręce i twarz, a przy tym przekonał się, że z kurka leci bardzo gorąca woda. Wanna, wykuta w skale, była tak głęboka, że mógł się w niej cały

zanurzyć i wygodnie wyprostować. Nawet w Weyrze nie doświadczył takich wygód.

Rozpakował odzież, żeby nowa, zielona koszula rozprostowała się na wieszaku i zaczął przygotowywać miejsce do pracy. Potem usiadł na jednym z miękkich foteli, położył stopy na podnóżku, oparł się wygodnie i westchnął. Ach, bez trudu przyzwyczaiłby się do takiego życia! Brakowało mu tylko jednego — Debery.

Przez chwilę zastanawiał się, jak ta roztrzepotana Lady Jane będzie mu pozować. I jak ją ustawić? Trzeba w jakiś sposób oddać jej charakterystyczną gestykulację, roztrzepanie, ale także wdzięk i urok. Ciekawe, na jakim instrumencie gra tymi małymi rączkami. Szkoda tylko, że Debera jest tak daleko.

Iantine'owi pewnie by się nie spodobało, gdyby wiedział, że w tym właśnie momencie jest przedmiotem dyskusji między Przywódcami Weyru w Telgarze.

— Ależ nie — Zulaya potrząsnęła głową — ona jest zbyt rozsądna, by narażać Morath. Sądzę, że Iantine też nie zaryzykowałby utraty swojej pozycji w Weyrze, a Leopold twierdzi, że Iantine chce tu wrócić. Tisha nie martwiła się akurat tą parą. Tańczyli, póki grała muzyka, ale cały czas byli na widoku. A poza tym Debera pochodzi z gospodarstwa. Martwiłabym się raczej o Jule, tym bardziej że przedtem mieszkała w jednym weyrze z T'redem.

— Teraz są osobno? — spytał ostro K'vin.

— Naturalnie, że tak — Zulaya machnięciem ręki zbyła jego niepokój, a potem się uśmiechnęła. — T'red cierpliwie czeka. Wie, że nie ma innego wyjścia.

K'vin westchnął i uznał, że wyczerpująco przedyskutował tę sprawę z Zulaya.

— Policzmy: smoczęta wykluły się dziesiątego miesiąca, więc za cztery miesiące jeszcze nie będą latać.

— Wiesz, myślę że Morath poleci. Jeśli będzie rosła w tym tempie, wczesną wiosną skrzydła jej wzmocnią się na tyle, że będzie ich mogła próbować. Wcale nie musimy włączać do wyliczeń ostatniego Wylęgu, K'vinie — pochyliła się ku niemu i ku listom, które właśnie zestawiała. — Muszą przejść przeszkolenie w rozpoznawaniu znaków terenowych i zacząć długie loty dla wzmocnienia mięśni skrzydeł. Jeśli nie ma konieczności skracania szkoleń, nie zmuszajmy ich do tego. Jeszcze się nasłużą przez pięćdziesiąt lat...

— Na pewno? — K'vin rzucił ołówek na stół, przechylił się do tyłu i westchnął.

Zulaya uspokajająco poklepała go po ramieniu.

— Przystań się tak denerwować — powiedziała. — To nic nie zmieni. Myślę, że prawdziwych kłopotów następcą nam nie dzieciaki, lecz dziadkowie. Jeźdźcy w podeszłym wieku będą się upierać, by przydzielono ich do skrzydeł bojowych.

K'vin zamknął oczy i potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób zgubić gdzieś kolejny problem.

— Wiem, wiem — powiedział, aż zanadto świadom, że w którymś momencie będzie musiał podjąć tę decyzję. — Ich potrzeba ciągłego udowadniania, że z wiekiem nie stracili sprawności będzie dla nas większym obciążeniem, niż odpowiedzialność za młodzież.

— No cóż, smoki są sprawne do końca — pocieszyła go i sama westchnęła. — Ale nie możemy tych starców niańczyć: to byłoby nieuczciwe. Jednak smoczy refleks nie ulega z wiekiem spowolnieniu i bestie będą potrafiły chronić swoich jeźdźców...

— Ale kto ochroni resztę skrzydła przed zwolnionymi reakcjami seniorów? Wiesz, że dziś mało brakowało, a Z'ran i T'lel spowodowałiby wypadek?

— Popisywali się — uspokoiła go. — Meranath tak nawymyślała obu brunatnym smokom, jakby były weyrzątkami.

— Nie będzie na to czasu, gdy przyjdzie Opad...

— K'vin potarł obolałą głowę. — Nakazałem kontrolę pasów bezpieczeństwa dla całego Weyru.

— Kev — napomniała go łagodnie — przecież poprzednia była w zeszłym tygodniu. Zapomniałeś?

— Nigdy nie dość zabezpieczeń — rzucił sucho, a potem posłał jej przepaszające spojrzenie.

— Najgorzej znosisz oczekiwanie, prawda? — uśmiechnęła się smutno. — Jak my wszyscy.

— To co, mamy się modlić, żeby Nici zaczęły wcześniej opadać? — prychnął.

— Nie, ale moglibyśmy się całkiem spokojnie wybrać na wycieczkę na południe...

— Ale nie na kolejną ekspedycję w poszukiwaniu SIWSP-a! — Ależ, nie! — rozbawiła ją ta gwałtowność. — Możemy sprawdzić, jak się mają pędraki Tubbermana i dokąd już dotarły. I tak musimy to niedługo zrobić, w ramach badań nad ich ekspansywnością. Przynajmniej przede wszystkim zaś, wycieczka do ciepłych krajów wszystkim poprawi nastrój. Po emocjach Końca Obrotu, pierwszy miesiąc zawsze bywa przygnębiający. Kto wie? Może uda nam się znaleźć te części zamienne, które Kalvi tak gorąco oplakuje?

— Jakie części? — spytał K'vin.

— Te, które zatoneły podczas sztormu przy Drugiej Przeprawie.

— No cóż, to rzeczywiście utopijny pomysł...

— Może i tak, ale w ten sposób będziemy mogli przeprowadzić ćwiczenia w słońcu, ciepło, daleko stąd i od tego wszystkiego — wskazała na stół, zaśmiecony diagramami i



sprawozdaniem.

— A dokąd mielibyśmy się wybrać? — K'vin wyprostował się na krześle, rozważając nową możliwość.

— Najpierw moglibyśmy odwiedzić Calusę, gdzie wyhodowali pierwsze pędraki... — wyjęła z szafki odpowiednią mapę. K'vin pospieszenie zrobił miejsce na blacie. — Potem można by zbadać wybrzeże Kahrainu, gdzie Flota zatrzymała się na dłuższy postój remontowy.

— Tyle razy już tam wszystko sprawdzaliśmy...

— I prawie nic nie znaleźliśmy. Poza tym nieważne, czy na coś trafimy, ważniejsze jest samo poszukiwanie — uśmiechnęła się z niejaką ironią. — I cały Weyr ma lecieć?

— Na pewno skrzydła bojowe. Niech tu zostaną najmłodszy jeźdźcy. Po raz pierwszy będą mieli poważne obowiązki... zobaczymy, jak im się to spodoba.

— Najlepiej przekazać dowództwo J'darowi — odparł, szukając wzrokiem aprobaty Zulayi.

— J'darowi albo O'neyowi — zgodziła się wzruszając ramionami.

— Nie, J'darowi.

O dziwo, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Nie spodziewał się tego, nie po to chyba wymieniła akurat O'neya, jednego z najstarszych spizowych jeźdźców. Starał się w miarę możliwości spełniać jej życzenia, ale tym razem doszedł do wniosku, że O'ney bywa formalistą bez potrzeby.

— Zeszłej zimy sprawdziliśmy, że pędraki dotarły do tego miejsca — wskazała palcem rzekę Rubikon.

— Jak one się przez nią przedostaną? — spytał K'vin, postukując w poziomice, wyznaczające urwiste brzegi rzeki, opadające stopniowo ku Morzu Azowskiemu.

— Agronomowie twierdzą, że albo obejda rzekę, albo przedostaną się przez nią jako larwy w przewodach pokarmowych wherów i tych zwierząt łownych, które wypuszczono na wolność. Wiesz, że się tam rozmnożyły?

Zulaya dokuczała mu pamiętając doskonale, jak Charanth musiał go kiedyś ratować ze szponów wielkiego, kotopodobnego stwora pokrytego pasiastą, czarno-pomarańczową sierścią. Smok był wielce urażony, bo stworzenie zaatakowało w końcu i jego, spizowego smoka! To wydarzenie sprawiło, że smok i jeździec zaczęli traktować się jak równy z równym.

— Wiem, aż za dobrze. Drugi raz już się nie dam przyłapać.

— Ale to zwierzę miało przepiękne futro — drwiła z wyzwaniem z oczach.

— Sama sobie złap to futro, Zu. Zastanówmy się... Spytamy, czy jakieś inne Weyry nie polecą z nami na wspólne manewry.

— A po co? — wzruszyła ramionami. — Chodzi tylko o to, żeby nasze skrzydła wybrały się na małą wycieczkę, zanim zaczną opadać Nici i będziemy musieli zachowywać pełną gotowość. Meranath — zwróciła się do królowej, która obserwowała ich, leniwie rozciągnięta na kamiennym podeście — czy mogłabyś uprzejmie powiadomić wszystkich, że Weyr udaje się na ćwiczenia — tu uśmiechnęła się do K'vina — jutro, o brzasku? Parę osób się zdziwi.

— Niewątpliwie — odparł i, pytając wzrokiem Zulayę o przyzwolenie, poprosił Meranath o coś jeszcze: — czy J'dar i Tdam mogli by tu do mnie przyjść?

Na południu słońce mocniej grzeje, odpowiedziała Meranath. — Wszyscy będą zadowoleni, K'vinie.

— Cieszę się, że odpowiada ci ten pomysł — odparł i lekko skłonił się złotej królowej. Czuł się zaszczycony, że smoczyca coraz częściej używa jego imienia. Czyżby oznaczało to, że Zulaya poświęca mu więcej myśli? Ukrył to pytanie głęboko na dnie umysłu, by nawet Charanth go nie usłyszał. Czy Zulaya szczerze akceptowała jego przywództwo? Nigdy nie dała mu tego odczuć, choć publicznie odnosiła się do niego z szacunkiem. Doceniał to, ale nie udało mu się zbliżyć do tej kobiety, choć gorąco tego pragnął. Czy kiedyś znajdzie do niej drogę? A może dlatego podsunęła pomysł takiej wycieczki?

— Kiedy ostatni raz sprawdzaliśmy pędraki? Wzruszyła ramionami.

— Nie o to chodzi. Potrzebna nam odmiana, a to świetny pretekst. Zresztą agronomowie potrzebują danych, więc ktoś musi to zrobić. Poza tym i tak pewnie trzeba będzie polecieć tam kiedyś w czasie Opadu, żeby sprawdzić, czy pędraki spełniają swoje zadanie.

— Chcesz, żebyśmy stracili rację bytu? Zulaya potrząsnęła głową.

— Jak długo Nici spadają z perneńskiego nieba, pracy dla nas zawsze będzie w bród. Wykształcił się już psychologiczny imperatyw, by trzymać jak najwięcej tego paskudztwa z dala od powierzchni planety. Pędraki to tylko jedno z dodatkowych zabezpieczeń, a nie ostateczne rozwiązanie.

Oboje zapomnieli powiadomić swoje smoki, że na pewien czas mają zachować w tajemnicy cel wyprawy, więc do kolacji wiedział już o tym cały Weyr. K'vin i Zulaya nie mogli się opędzić prośbom mieszkańców Weyru, którzy pragnęli się zabrać ze smokami. Nawet Tisha bez skrupowania dopominała się podwiezienia.

— Niektóre spizowe będą musiały zabrać po dwóch pasażerów — szybko wyliczył

K'vin.

— Weyrzątka muszą zostać — stwierdziła Zulaya i entuzjazm przycichł na moment. Wzruszyła ramionami. — T'dam poleci tam z nimi, kiedy już będą potrafiły poruszać się w powietrzu, ale na razie pozostaną w Weyrze.

— Nie zaczną latać przed Opadami Nici — odparł K'vin z pełną powątpiewania miną.

— Przecież będziemy wiedzieli, czy spadną na pomocy, czy na południu, a zwolnienie na jeden dzień z obowiązków pomocniczych to nic wielkiego. Niech lecą w deszczowy dzień, wtedy trochę słońca bardzo im poprawi nastrój.

Na tym w końcu stanęło.

Cały Weyr zebrał się rano wraz z pasażerami. Ładowano zapasy i sprzęt na ćwiczenia, które teraz zmieniły się już w trzydniową wyprawę. K'vin zgodził się, że aż tyle czasu potrzeba, by dokładnie oszacować stopień rozprzestrzenienia się pędraków. Zabrał ze sobą mapy i przybory do pisania, by sporządzić dokładne sprawozdanie.

Tego ranka wszyscy ubawili się setnie obserwując, jak Tisha sadowi się z wielkim trudem na brunatnego Branutha. Wzięła sobie do pomocy nie tylko jeźdźca Branutha, T'lela, który tak serdecznie się zaśmiewał, że aż dostał czkawki, lecz także czterech innych jeźdźców, najwyższych i najsilniejszych z całej grupy.

Branuth, z niezwykle zakłopotanym wyrazem długiego pyska, tak wyginał szyję, patrząc, co się dzieje, że aż dostał bolesnego skurczu mięśni. T'lel i Z'ran musieli go masować.

— Przestań wreszcie, T'lel i wsiadaj — wrzeszczała Tisha, której tłuste nogi sterczały wyprostowane spomiędzy grzebieni na smoczym karku. — Zaraz mnie to przetnie na pół. A wtedy się z tobą policzę. Nie powinnam się była zgodzić na tę wycieczkę. Trzeba było spokojnie siedzieć w domu i nie wałęsać się z byle jakiego powodu. To jest bardzo, bardzo niewygodne. Przestań rechotać, T'lel. Przestań natychmiast! Jakbyś tak siedział, to byś się nie śmiał! Cicho bądź, wsiadaj i jedziemy! Ładowali ją tak długo, że gdy wreszcie T'lel zasiadł na smoczym karku przed Tishą, wszyscy pozostali już czekali w gotowości.

— Mało tego, że zaraz pęknę wzdłuż, to w dodatku te grzebienie przetną mnie w poprzek. Pół nocy je ostrzyłeś na tę okazję, co, T'lelu? Nic dziwnego, że jeźdźcy są tacy chudzi. Nie mają innego wyjścia. Czy smokom nie wyrastają grzebienie odpowiednie dla ludzi większych rozmiarów? Powinnam poprosić K'vina, żeby mnie zabrał. Charanth jest dużo większy... Dlaczego kazałeś mi wsiąść na tego brunatnego, K'vinie? — wołała Tisha przez oddzielającą ich przestrzeń.

K'vin próbował bronić swej przywódczej godności i zachować powagę, mimo widoku

Tishy na smoczym grzbiecie, ale nie odważył się popatrzeć na nią drugi raz. Zamiast tego, odwrócił się i ogarnął wzrokiem całą grupę, zadowolony, że wszystkie oczy skierowały się na niego: jeźdźców, smoków i pasażerów. Spojrzał w górę, na krawędź wulkanu, gdzie, na tle wyraźnie widocznych Skalnego Oka i Palca, przycupnęła reszta gotowych do odlotu bestii. Uniósł ramię.

Charrie, wszyscy mają się ustawić w szyku w powietrzu.

Wiedzą o tym. Charanth był nieco urażony, gdyż ćwiczenie było bardzo proste. K'vin serdecznie poklepał go po szyi jedną ręką, a drugą wykonał gest, jakby pociągał rączkę pompy.

Wszystkie smoki wyprostowały się jak jeden, wznosząc kurz i żwir z dna Niecki potężnymi zamachami skrzydeł, a potem te z krawędzi wulkanu uniosły się i w powietrzu ustawiły w odpowiednim porządku według skrzydeł. Zulaya wraz z pozostałymi królowymi znalazły się nad nimi.

Sformowali się w mgnieniu oka. Lecimy, Charrie.

Charanth potężnie się odbił i jednym susem znalazł się w powietrzu. Jeden i drugi ruch skrzydeł i już był przed królowymi. Wszystkie głowy zwróciły się w górę i Charanth posłusznie przechylił się ku ziemi, by każdy mógł zobaczyć Przywódcę Weyru.

Przekaż Weyrowi, że naszym dzisiejszym celem jest Morze Azowskie.

Już przekazałem!

K'vin dał ręką sygnał do wejścia w pomiędzy. Cały Weyr jednocześnie rozpląnął się w powietrzu.

Spokojnie, ostrzegł Charantha, zadowolony ze sprawnego odlotu. Teraz my!

Odliczył trzy sekundy i już otoczyło ich ciepłe powietrze nad lśniącem błękitem — Morzem Azowskim. Odczuli to jak uderzenie nagrzanym ręcznikiem po twarzy. Charanth aż zamruczał z rozkoszy.

K'vina o wiele bardziej interesowało, czy szeregi smoków, skrzydło za skrzydłem, pojawią się w powietrzu w prawidłowym szyku. Uśmiechnął się.

Poproś dowódców skrzydeł, by poprowadzili swoich jeźdźców na wyznaczone miejsca.

Jedno po drugim, skrzydła znikwały, z wyjątkiem grupy T'lela, która postanowiła prowadzić poszukiwania na wybrzeżu. Królowe również zaczęły się zniżać ślizgowym lotem, gdyż niosły część zapasów, potrzebnych Tishy do przygotowania palenisk i ugotowania kolacji.

Poczekajmy, aż wszyscy bezpiecznie wylądują, poprosił K'vin Charantha, choć jakaś

część jego umysłu pragnęła popatrzeć, jak Tisha będzie zsiadać z Branutha. Poczł więc niejaki zaskoczenie, a z początku nawet niepokój, widząc, że brunatny smok wyłamał się z szyku i zniżył lot, by wylądować na przybrzeżnej płyciźnie. Charanth spuścił łeb i obserwował jego ewolucje.

Branuth mówi, że ona tak kazała. Odplynie z jego grzbietu. W głosie smoka brzmiało rozbawienie. K'vin zaśmiał się także.

Zrobiła to z godnością.

Branuth mówi, że jemu też było łatwiej, ale w Telgarze chyba nie uda się ta sztuka.

Nie, woda o tej porze roku jest przecieł lodowata.

Możemy już lądować? Branuth mówi, że w słońcu jest ciepło.

Myślałem, że chcesz polować.

To później. Teraz chcę się dobrze wygrzać.

Smoki niemal bez wyjątku przychyliły się do wyboru Charantha, porozkładały się na kamienistej plaży i w pasie nadbrzeżnych zarośli. Roślinność, gnieciona potężnymi cielskami wydawała silny, gorzki, lecz dość przyjemny zapach.

Tisha wysłała kilka osób z Weyru na poszukiwanie podpałki i kamieni na ogniska, innych, by sprawdzili, czy owoce już dojrzały, a kolejną grupę — na połów ryb, tam, gdzie wielkie głazy rozbijały morskie bałwany niczym falochron.

— Mam ochotę na dłuższą kąpiel — zawołała Zulaya, gdy Charanth zniżał się do lądowania. Już ściałnęła jeździecką kurtkę. — Meranath jest tego samego zdania — dodała. Zatrzymała się tylko po to, by zdjąć resztę odzieży i ułożyć ją starannie na głazie, po czym ruszyła do wody.

— A pędraki?

— Poczekają — odkrzyknęła przez ramię, brodząc przez wodę na głębinę, żeby popływać.

Nie musimy teraz szukać pędraków, prawda? spytał prosząco Charanth, a zwrócone najeżdźca oczy z niepewności wirowały żółto.

— Ależ, skądże — odparł K'vin. — Pędraki były tylko pretekstem, by opuścić Weyr na kilka dni. — Ściałnął ubranie, po czym smok i jeździec przyłączyli się do swych towarzyszy, pływających się w ciepłych azowskich wodach.

K'vin pewnie nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że niemal wszyscy jeźdźcy jak najdłużej odkładali obowiązki związane z oficjalnym powodem przylotu na południe; pędrakami nie przejmował się w zasadzie nikt. Ważniejsze było opalenie się, pływanie w

cieplej morskiej wodzie, polowanie na potrzeby smoków i zbieranie jedzenia dla ludzi... rozkoszowano się wolnym czasem, przestrzenią i absolutną intymnością.

P'tero i M'leng poprosili V'lasta, dowódcę skrzydła, o pozwolenie na polowanie dla smoków.

— Pamiętajcie tylko, co K'vin opowiadał o tutejszych dzikich zwierzętach — ostrzegł ich V'last, podobnie jak innych jeźdźców, wybierających się na łowy.

Obaj posłusznie pokiwali głowami, ale gdy tylko oddalili się, z polanki, nad Rzeką Malajską, gdzie ich skrzydło wylądowało, pękali ze śmiechu na myśl, że jakiegokolwiek stworzenie mogłoby zagrozić smokom.

— Ale tu gorąco — stwierdził MMeng, patrząc do tyłu, na rzekę.

— Gdy smoki skończą polować, będzie jeszcze goręcej — odpowiedział mu P'tero. — Ale właściwie po polowaniu nie będziemy mieli nic do roboty, do samej kolacji.

— No, to wróćmy do obozu dopiero przed samym posiłkiem — zaśmiał się beztrząsowo M'leng. — W przeciwnym razie każą nam coś upolować, złowić albo nazbierać.

— Mamy dość ludzi z Weyru do takiej pracy. W dodatku lubią ją — oświadczył P'tero z niejaką wyższością. — Zmykajmy stąd.

Wziął krótki rozbieg i zręcznie wskoczył na błękitny grzbiet Ormontha. M'leng równie szybko znalazł się na grzbiecie zielonego Sitha.

— Jakiej zwierzyny szukamy? — zapytał.

— Zobaczymy, na co natrafimy — odparł jego przyjaciel i uniósł rękę gestem oznaczającym polecenie odlotu. M'leng wołał, by to P'tero podejmował decyzje.

Nie musieli lecieć daleko, by ujrzeć pasące się stada biegusów, mniejszych niż te, które zwykle widywali w gospodarstwach. Ale gdy na niebie zamajaczyły sylwetki innych smoków zniżających się do polowania, P'tero dał M'lengowi sygnał, by polecieć dalej, na południowy zachód. Już po chwili musieli zdjąć jeździeckie kurtki, a potem zimowe koszule. P'tero z podziwem przyglądał się przyjacielowi. Zielony jeździec był zgrabny i drobnokościsty, lecz jednocześnie silny i zręczny, co niezmiennie zachwycało P'tera. Obserwował umięśnione ciało przyjaciela, zimą białe jak mleko, równo do miejsca, gdzie kończył się kołnierzyk koszuli. Zachichotał. Strasznie śmiesznie to wyglądało, jakby ktoś połączył ze sobą dwa różne gatunki skóry.

W chwilę później zafascynował go tropikalny krajobraz, nieco odmienny od roślinności, spotykanej w ciepłych Warowniach na północy. W Neracie rosła tropikalna puszcza, ogromne połacie niemal nieprzebytej dżungli wszędzie, prócz zachodniego wybrzeża, podczas gdy w Iście gęsta roślinność pokrywała strome wzgórza i głębokie doliny.

Tu zaś bezkresna, zielona równina, pod pewnymi względami podobna do krajobrazów w Keroonie, rozciągała się we wszystkich kierunkach. Od czasu do czasu monotonię ubarwiała żółta plama skalistych, pozbawionych roślinności wzniesień, grupa drzew o wysokich pniach i pióropuszcach liści na czubku albo rozłożyste drzewo, którego szeroka korona upodabniała je do wyspy. Na widok lecących smoków z kęp roślinności podrywały się whery i inne latające stworzenia i rozpierzchały się w rozpaczliwej ucieczce.

Mogę je zjeść? spytał jeźdźca Ormonth i przyspieszył na wypadek, gdyby dostał pozwolenie na pościg.

Co? Takie łykowate chudziny? zażartował P'tero, ale złożył ręce przy ustach i zawołał do M'lenga: — Ormonth jest taki głodny, że chce łapać whery!

— Sith też. Czas już je nakarmić — odkrzyknął M'leng. — O, tam! — dodał, wskazując na skalną formację, przy której wyrastało rozłożyste drzewo, ocieniając ją aż po wierzchołek.

P'tero pomyślał, że skałka wygląda jak rufa statku zakopanego w ziemi aż po śródkręcie, statku, który na dobitkę miał bardzo dziwnie ustawiony maszt.

M'leng z entuzjazmem pokiwał głową i dał znak do lądowania, jednocześnie uciskając nogą szyję Sitna, by wziął szeroki zakręt i wylądował na nibyrufie. Z południa powiał lekki podmuch, chłodząc spocone, nagie ciała.

Zaraz po wylądowaniu, obaj młodzi mężczyźni pośpiesznie pozbyli się ciężkich jeździeckich spodni i butów. Musieli jednak z powrotem włożyć skarpetki, gdyż rozpalona skała parzyła ich w stopy.

Bystrooki M'leng przysłonił oczy ręką i popatrzył na zachód, gdzie falowała długa, ciemna kreska.

— Świetnie, wielkie stado przed nami — powiedział i obrócił głowę Sitha we właściwą stronę. — Widzisz? Możecie je zjeść. O wiele lepsze, niż whery. Już cię tu nie ma! — I dał mu solidnego klapsa, jako sygnał do odejścia.

— Leć za Sithem, Ormoncie — P'tero nakierował w prawo łeb błękitnego smoka. — Poluj z nim, to nie popadniesz w tarapaty. Będziemy was stąd obserwować.

Ormonth zakołysał się na łapach, a w jego oczach wirował ślad żółtego zaniepokojenia.

— Co się z tobą dzieje? — zdenerwował się jeździec, nie mogąc się doczekać, aż smoki odlecą i obaj z MMengiem będą wreszcie mieli trochę czasu wyłącznie dla siebie. Jeśli bestie zajmą się polowaniem i jedzeniem, nie będą zwracać uwagi na to, co robią ich jeźdźcy.

Jakiś zapach!

— M'leng, czy Sith czuje jakiś zapach? — P'tero był zły, ale wiedział, że nie ignoruje się uwag smoka.

— Tu wszystko pachnie trochę inaczej, i tyle — wzruszył ramionami M'leng. Na jego twarzy malowała się niecierpliwość; podobnie jak P'tero, nie mógł się doczekać, by smoki już odleciały.

— Będą miał oczy otwarte — zapewnił Ormontha i dał mu rozkazującego klapsa, by wreszcie już sobie poleciał.

Obie bestie wzniosły się jednocześnie w górę. P'tero poczuł przyływ dumy na widok eleganckiej sylwetki błękitnego smoka w locie, gdy wznosił się nabierając wysokości, a później pikował na swoją ofiarę.

M'leng wsunął się w ramiona P'tera.

— Ach, ale masz gorącą skórę. Trzeba uważać, bo spieczemy się na słońcu.

— Nic nam nie będzie, trzeba tylko się dużo ruszać.

— Och, z tym nie będzie problemu, prawda?

Tak się zajęli sobą, że żaden nie zwrócił uwagi na zmianę wiatru na zachodni. Powiew wciąż chłodził nagie ciała i osuszał pot. Nie spostrzegli niczego do chwili, gdy dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie: wściekły ryk Ormontha odbił się echem pod czaszką P'tera i coś przygniotło go tak mocno do M'lenga, że uderzył brodą w skałę. Poczul, że coś ostrego wbija mu się w pośladki.

— Ormonth! — krzyknął jednocześnie w myślach i na głos.

Ciało M'lenga leżało pod nim bezwładnie, gdy wił się z bólu, starając się wyrwać spod atakującego stworzenia.

Pomocy! jęczał, próbując jeszcze raz odwrócić się i zobaczyć, co go zaatakowało.

Nagle pojawił się nad nim czarny cień i powietrze jakby zgęstniało. Rozległ się ohydny ryk, buchnęło smrodem gnijącego mięsa. Poczul na plecach gorący oddech. Coś wyrwało pazury z jego ciała. Znów krzyknął z bólu. Z jego zmasakrowanych nóg ściągnięto coś ciężkiego i kosmatego. Kątem oka dojrzał zielony, a potem błękitny błysk. Po chwili znikąd zjawilo się coś wielkiego, beżowego. Opiekuńczo otulił go błękitny ogon. Nad głową słyszał ryk Ormontha, w którym pobrzmiwał ból i gniew... chyba głównie gniew. Psychikę P'tera załaly żywe obrazy i pragnienie zemsty, tak bardzo obcej smoczemu umysłowi.

Mimo napływających fal nieznośnego bólu, P'tero zdawał sobie sprawę, że Ormonth i Sith rozdzierają na drobne kawałeczki to coś, co go napadło, pokrywając go całego krwią i kawałkami gorącego mięsa. Uświadomił sobie, że cały czas leży na M'lengu, którego nagle coś zaczęło ciągnąć. Z przerażeniem ujrzał potężną brązową łapę i wielkie, brudne, żółte



pazury, które wysunęły się i wbiły w łopatkę jego przyjaciela. Trysnęła krew. Mimo bólu w nogach i plecach rzucił się na ciało M'lenga i zaatakował łapę, próbując wyrwać pazury z ciała kochanka.

Znów hałas, znów głośne smocze ryki i nagle nad nim zrobiło się pusto. Poczł powiew świeżego powietrza i zobaczył inne smoki. Dwa z nich walczyły ze stadem smukłych beżowych stworzeń, wspinających się na wierzchołek skały. Smoki ściągały je za ogony i tylne łapy, podczas gdy zwierzęta wrywały się, parskwały, ryczały i pluły, atakując napastników z niezwykłą śmiałością. Jedno z nich wbiło pazury w przednią łapę brązowego smoka, a potem pazurami rozorało mu pysk.

— M'lengu, M'lengu, odezwij się do mnie — błagał P'tero. Odwrócił do siebie twarz kochanka i klepał go po policzkach. Koło głowy M'lenga pojawiła się para obutych nóg.

— Och, pomóż nam, pomóż nam, błagam! — jęczał, czepiając się ich rozpaczliwie — Ratunku, umieram! — skowytał z bólu.

— Kto ma fellis? Gdzie jest mrocznik?

P'tero czując, że traci świadomość, zastanawiał się tylko, skąd, u diaska, wzięła się tu Zulaya, i czy to właśnie jest śmierć.

## **ROZDZIAŁ XVI**

CATHAY, WEYR TELGAR,

WAROWNIA BITRA, TELGAR

P'tero nie umarł, choć przez jakiś czas żałował, że tak się nie stało. Wstydział się, że nie przewidział ataku, stworzył zagrożenie dla M'lenga, i że z jego powodu dziewięć smoków odniosło rany, co gorsza, w okresie, gdy K'vin wszystkim zalecał szczególną ostrożność. Z trudem znosił to wszystko. Wprawdzie M'leng twierdził, że P'tero uratował mu życie — choć ranę na ramieniu trzeba było szyć — ale on sam wiedział, że wydarzenia tylko przypadkiem potoczyły się tak, a nie inaczej. Sith i Ormonth ucierpieli od pazurów atakujących drapieżców, gdyż kotopodobnych bestii nie dało się łatwo powstrzymać. Meranath leczyła ranę po ugryzieniu w lewe przedramię i rozcięcie na policzku. P'tero jeszcze nie odważył się spojrzeć Zulayi prosto w oczy. Collith V'lasta odniósł najgorsze rany na czole, rozciętym do kości pazurami na potężnych tylnych łapach atakującej samicy. Smoki stoczyły dziką, choć krótką walkę z całym stadem, złożonym z czternastu dorosłych lwów.

Meranath zareagowała na krzyk Ormontha błyskawicznie; właściwie tak szybko, że pozostawiła za sobą nawet Zulayę. Władczyni była zdumiona, gdyż takie zachowanie nie

leżało w smoczej naturze.

Jednak później, jak opowiadał P'terowi Leopold, szczerze się uśmieła. W krytycznym momencie pływała w morzu i wcale nie byłaby szczęśliwa gdyby, ociekając wodą, musiała towarzyszyć swojej smoczycy. Szybko zresztą do niej dołączyła, razem z V'lastem, K'vinem i innymi, którzy odpowiedzieli na wołanie o pomoc.

— Była mocno zdenerwowana — powtarzał zasłyszane plotki Leopold — bo smoki zmarnowały tyle ładnego lwiego futra... oprócz tego, co zjadły.

P'tero wstrzymał oddech ze zdziwienia.

— Smoki zjadły te lwy?

— Pewnie, a czemu nie? — odpowiedział uśmiechnięty Leopold. — Smoki zaatakowało całe stado lwów. Ale jeźdźcy pozostawili młode przy życiu, chociaż niektórzy twierdzili, że trzeba wybić wszystkie jakie tylko uda się znaleźć. V'last powiedział, że Collithowi nawet smakowały, mimo że były łykowate. Głodny nie wybrzydza. Ale Zulaya naprawdę chciała mieć lwią skórę na łóżko.

P'tero zadygotał. Nigdy więcej nie chciał mieć do czynienia z lwami.

— Szkoda, że nie wiesz, jak wyglądałaś, kiedy cię tu przynieśli, P'tero — dodał Leopold, wskazując na prowizoryczne szalasy, które wzniesiono dla pokaleczonych jeźdźców. — Sam Charanth przyniósł cię tu w łapach.

— Naprawdę? — przygnębienie młodego jeźdźca osiągnęło nową głębię.

— A spizowy Queth O'neya przyniósł M'lenga. Twoje skrzydło pomogło wrócić Ormonthowi i Sithowi. Właściwie można powiedzieć, że przylecieli siedząc na barana na grzbietach Goriantha i Speltha. Wyglądali, jak dwa kłębki nerwów, masz pojęcie?

P'tero odebrał echa wrażeń tej podróży z umysłu Ormontha. Smok w swej wielkoduszności ani jednym słowem nie skrytykował jeźdźca, który przez to czuł się jeszcze bardziej załamany. Błękitny smok odczuwał głęboką wdzięczność dla swych pobratymców za pomoc, której mu nie szczędzili, gdy nie chciał ruszać się z miejsca i spuścić swojego jeźdźca z oczu. Leopold nie wspominał tylko o jednym: reszta smoków w ten sposób starała się utwierdzić Ormontha i Sitha, że ich jeźdźcy pozostaną przy życiu.

Mieszkańcy Weyru pośpiesznie rozbili obóz, gdyż niektórych jeźdźców i smoków, na przykład P'tera i Collitha, nie można było zabrać w pomiędzy, póki ich rany się nie zamkną. K'vin posłał do Fortu po Corey, która zeszła najgroźniejsze rozcięcia. Medyk Maranis nie miał sobie równych w opatrywaniu smoczyczych kontuzji, ale potrzebował pomocy przy pielęgnacji obu pokaleczonych jeźdźców. Do Weyru Telgar polecili posłańcy, by uspokoić tych, którym smoki przekazały wiadomość o wypadku i przywieźć więcej sprzętu

potrzebnego na dłuższy pobyt.

Dwaj młodzi jeźdźcy w swojej naiwności wybrali miejsce na postój tuż nad jaskinią zamieszkaną przez stado lwów. P'tero nigdy w życiu nie słyszał o „lwach”. Ich istnienie wyraźnie zawdzięczali Tubbermanowi. Stworzenia te wyrwały się na wolność z Calusy i rozmnożyły w duże stado. Leopold powtórzył mu z wielką satysfakcją, że było to potomstwo łownych zwierząt, na których eksperymentował Tubberman.

Niezbyt to pocieszyło P'tera, który musiał leżeć na brzuchu czekając, aż wygoją się głębokie rany po kłach i pazurach.

Zamartwiał się bez końca, że M'leng przestanie go kochać, zobaczywszy poznaczone bliznami, zeszpecone ciało. Jednak M'leng tak wzruszał się heroizmem, który jakoby P'tero okazał, zasłaniając go własnym ciałem, że błękitny jeździec postanowił nie wspominać, iż do pewnego stopnia był to zbieg okoliczności. M'leng stracił przytomność na początku walki i oprócz rany na ramieniu miał tylko wielkiego guza i rozciętą skórę z tyłu głowy.

Zulaya pojawiła się w chwili, gdy P'tero próbował wyrwać pazury z ciała przyjaciela, więc właściwie nie za bardzo mógł zaprzeczyć jej wersji wypadków.

Pewnego ranka Tisha, która przysłała zaaplikować P'terowi sok fellisowy, zastała go we łzach. Był przekonany, że przez te wszystkie blizny straci uczucie M'lenga.

— Co za bzdury, chłopcze — pocieszała go, gładząc kojąco po mokrych od potu włosach i jednocześnie podsuwając do ust kubek soku ze słomką. — Będzie widział tylko, ile przecierpiałeś, by go wyratować. Poza tym, wszystko się ładnie zagoi, bo Corey doskonale pozszywała te skaleczenia.

Wzmianka o umiejętnościach naczelnej medyczki niemal znów przyprawiła P'tera o łzy. Narobił tyle zamieszania...

— To prawda, ale dzięki tobie są pełni energii, mój chłopcze, a poza tym nauczyłeś wszystkich paru ważnych rzeczy.

— Ja? — P'tero mimo wszystko żałował, że zdarzyła się po temu okazja.

— Po pierwsze, smoki uważały, że są niezniszczalne... a to nieprawda. Zapewniam cię, że bardzo przyda im się taka lekcja przed nadejściem Opadu. Dzięki temu ochłonie kilka gorących głów, pewnych, że trzeba tylko ziać ogniem w odpowiednim kierunku. Po drugie, dowiedzieliśmy się, że na Południowym Kontynencie pojawiły się pewne specyficzne zagrożenia...

— Czy Weyr zbadał w końcu te pędraki? — spytał P'tero, nagle przypominając sobie cel ekspedycji.

Tisha wybuchnęła śmiechem i natychmiast ucichła, choć namiot P'tera stał w pewnej

odległości od innych.

— Ach, chłopcze, masz nie tylko dzielne serce, ale i głowę nie od parady. Tak, przeprowadzili pomiary i to sprawniej, niż to do tej pory bywało.

Później P'tero dowiedział się, że pędraki opanowały parę kolejnych kilometrów na zachód i na południe w stronę Wielkiego Łańcucha Barrierowego, ale w niezbyt równym tempie. Na piaszczystych preriach na wschód od Ładowiska posunęły się ledwie o kilka metrów, ale agronomowie specjalnie się tym nie przejęli. Bardziej zależało im na ochronie żyznych łąk i lasów.

— Tak więc wyprawa nie okazała się stratą czasu? — spytał P'tero, odpężając się pod wpływem soku fellisowego.

Tisha znów poklepała go matczynym gestem, poprawiła futra i upewniła się, że nic nie urazi bolących pośladków i nóg.

— Ależ skądże, kochanie. A teraz spróbuj zasnąć...

Jakbym miał na to jakiś wpływ, pomyślał P'tero, czując że fellis opanowuje jego zmysły i przyćmiewa wszelkie świadome myśli, wraz z bólem.

Dopiero po trzech tygodniach rany P'tera zablizniły się na tyle, by mógł wrócić do Weyru. W polowym szpitalu znalazło się tymczasem więcej osób, gdyż na kontynencie Południowym oprócz dużych, głodnych i pilnie strzegących granic swego rewiru kotów, istniały także inne niebezpieczeństwa: upał, nieopatrzne przegrzanie na słońcu, a także inne drobne zagrożenia. Na przykład Leopold wbił sobie w stopę kolec, rana zaropiała i musiał leżeć w szpitalu razem z P'terem, aż wszystko się wygoiło.

Tisha i jeszcze jedna kobieta z Weyru dostały wysokiej gorączki, więc Maranis musiał znów posłać do Fortu po medyka, który lepiej znał się na takich chorobach. Tamta wyzdrowiała po kilku dniach, ale Tisha ciężko przeszła infekcję; pociła się, sporo straciła na wadze i tak osłabła, że Maranis zamartwiał się o nią po nocach. K'vin wysłał posłańca do Isty z prośbą o przysłanie statku, który zawiózłby gospodynię na Pomoc. Nie dałaby rady wspiąć się na smoczy grzbiet. Jej choroba przygnębiła wszystkich.

— Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile ktoś dla niego znaczy — powiedziała zaniepokojona Zulaya, która przybyła, by sprawdzić, jak się mają rekonwalescenci — dopóki nagle tego kogoś nie... nie zabraknie!

Ta uwaga do reszty załamała P'tera. W dodatku nie było przy nim Tishy, która żartami i serdecznością poprawiała mu samopoczucie. Był za to M'leng, który właśnie wszedł do szafasu.

— Wstydz się, ty egoisto! — powiedział zielony jeździec głosem pełnym napięcia i powstrzymywanego gniewu.

— He?

— Choroba Tishy to nie twoja wina. Leopol nie założył sandałów, kiedy mu kazano i za jego skaleczenie także nie należy winić ciebie. Nie mówiąc o tym, że wcale nie z twojej winy wybraliśmy tamtą skałą spośród wszystkich okolicznych wzniesień. Mieliśmy pecha, to prawda, ale to wszystko. Nie życzę sobie, żeby Ormonth dalej psuł humor Sithowi.

Rozumiesz?

P'tero wybuchnął płaczem. Było tak, jak się domyślał: M'leng przestał go kochać.

Nagle ramiona M'lenga zamknęły go w delikatnym uścisku i przytuliły do piersi. Poddał się pieścizotom i pocałunkom.

— Och, nie bądź kompletnym idiotą, ty kompletny idioto. Jakże mógłbym cię nie kochać?

Później P'tero dziwił się, jak mógł zwątpić w M'lenga.

Gdy ozdrowieńcy wrócili do Weyru Telgar okazało się, że Tisha znów niepodzielnie panuje w Niższej Jaskini. Choć suknie w dalszym ciągu luźno zwisały z jej ramion, pięknie się opaliła w czasie rejsu z ujścia Rubikonu. Wyraźnie wróciły jej siły.

Kilku zielonych i błękitnych jeźdźców ze skrzydła P'tera i M'lenga odmalowało ich Weyry i wymieniło stare obicia, a wysiedziane poduszki zastąpili nowymi, puchatymi.

— Tisha ostrzegła, że teraz będziesz musiał długo siadać na miękkim — wyjaśnił, śmiejąc się w kulak Z'gal. — Lady Salda oddała nam pierze z ptaków zarżniętych na Koniec Obrotu.

Potem Tsen, partner Z'gala wyjął zza pleców jakiś przedmiot. Zdziwiony P'tero przyglądał mu się przez chwilę. Wyglądało to jak płaska deska z długimi nogami.

— Ale do czego to służy?

Z'gal dostał ataku śmiechu, co zdenerwowało Tsena. Ten ostatni patrzył spod zmarszczonych brwi i uparcie podawał podarunek P'terowi.

— Do siedzenia, nie widzisz? Pasuje między grzebienie na szyi smoka. Zrobiliśmy na miarę.

Podziękowania P'tera za tak pożyteczny podarunek były wylewne, choć nie był zbyt zadowolony. Jednak potrzebował czegoś takiego, nie tyle ze względu na pośladki, ile na mięśnie ud, które wymagały wzmocnienia i masażu, by odzyskać dawną sprawność. Naturalnie, M'leng z zapalem zajmował się masażami, ale P'tero mimo to zaczął się zamartwiać, że nie będzie gotów do walki, gdy zaczną się Opady. M'leng odniósł obrażenia w

lepszycn miejscach. Nie straci nawet jednego bojowego lotu.

Wkrótce siedzieli nad winem, ciasteczkami i tacką serów na zaimprovizowanym, kameralnym przyjęciu w odnowionym weyrze. Ukoronowaniem powrotu do domu był prezent od M'lenga: płaska, owinięta w papier paczka.

Oczy partnera błyszczały z niecierpliwości, gdy P'tero rozwiązywał sznurek, nie mając pojęcia, co też może znajdować się w środku.

— Wiesz, Iantine już wrócił — powiedział M'leng, niemal bez tchu wpatrując się w każdy ruch dłoni P'tera.

Pozostali jeźdźcy byli równie zemocjonowani i P'tero poczuł ukłucie irytacji na myśl, że wszyscy wiedzą, co to jest i z niecierpliwością czekają na jego reakcję.

Naturalnie, gdy skończył odwijać obraz z papieru, najpierw ujrzał niezamalowaną stronę. Odwrócił płótno i oniemiał. Na widok namalowanej sceny oczy niemal wyszły mu z orbit.

— Ale... ale Iantine'a tam przecież w ogóle nie było!

— Jest świetny, prawda? — ucieszył się Z'gal. — Doskonale wszystko uchwycił! M'leng bez przerwy opisywał mu wydarzenia...

P'tero był tak oszołomiony, że nie wiedział, co mówić. Oddałby prawą rękę, żeby wszystko wydarzyło się w rzeczywistości tak, jak przedstawił to artysta. Lew szarpał pazurami jego plecy, M'leng leżał pod nim, a na skałę wspinała się reszta drapieźników, których poza i otwarte paszcze z kłami dłuższymi niż smocze, niedwuznacznie zdradzały podłe zamiary. Z kolei ułożenie P'tera bez cienia wątpliwości sugerowało, że broni swego kochanka, gdyż obrócił głowę i zamierzał się pięścią na atakującego lwa. Ale nie to okazało się największym odejściem od prawdy: otóż obaj mężczyźni byli całkowicie ubrani.

— P'tero? — w głosie M'lenga brzmiał niepokój. Błękitny jeździec przełknął ślinę.

— Brak mi słów!

A gdzie ja jestem? pytał Ormonth, który pewnie przyglądał się całej scenie oczyma jeźdźca, jak to się czasem smokom zdarzało.

— Tutaj! — P'tero wskazał na smoki wysoko na niebie. Skrzydła miały uniesione, do lądowania, obnażone pazury, gotowe do pochwycenia napastników, a ich oczy mieniły się czerwonomarańczowym szaleństwem.

— Ja byłem nieprzytomny — powiedział MMeng — ale Ormonth i Sith pewnie tak się właśnie zachowywały. Prawda? — wymierzył P'terowi ostrzegawczą sójkę w bok.

— Tak jest — padła pośpieszna odpowiedź. Rzeczywiście pewnie tak było, choć P'tero nie mógł tego potwierdzić, bo wtedy patrzył w przeciwną stronę. — Wszystko zdarzyło

się tak szybko... to aż niesamowite, że Iantine zdołał to ująć w jednej scenie! — w jego głosie brzmiało nieudawane zdumienie i szacunek.

—A teraz możesz sobie go powiesić na ścianie. — M'leng wskazał w odpowiednie miejsce. — Nawet gwóźdź już wbiliśmy.

— Nie wolałbyś go mieć u siebie? — z nadzieją zaproponował P'tero.

— Mam drugi, taki sam. Iantine zrobił po jednym dla każdego z nas — M'leng z dumą uśmiechał się do partnera.

I tak P'tero musiał powiesić sobie na ścianie okrutne wspomnienie najgorszego dnia, jaki do tej pory przeżył... w dodatku na honorowym miejscu, tak, by oglądał je co rano zaraz po obudzeniu, aż po kres swego żywota.

— Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy — powiedział, nie mijając się z prawdą i tym razem.

Nikt nie okazał najmniejszego zdziwienia, gdy tej nocy upił się winem niemal do nieprzytomności.

Przybywa Ianath, Charanth powiadomił swojego jeźdźca.

— Meranath już mi powiedziała— stwierdziła Zulaya, zanim K'vin zdążył otworzyć usta. — Chce wiedzieć wszystko, ale to wszystko, o naszej wyprawie na Południowy.

— Myślałem, że pomysł ćwiczenia przy okazji pierwszego Opadu na Południu dawno mu już wyleciał z głowy — odpowiedział K'vin, starając się by w jego głosie zabrzmiał niepokój.

Zulaya przyłożyła palec do warg, wskazując na śpiącą Meranath. Prosiła w ten sposób K'vina, by nie wysyłał swych myśli do Charantha, wylegującego się na zewnętrznej skalnej półce. K'vin kiwnął głową na znak, że rozumie.

— Nie oszukasz mnie, Kev — pogroziła mu palcem. — Razem z B'nurrinem oddalilibyście wszystko za możliwość walki z pierwszym prawdziwym Opadem, nawet jeśli Nici spadną nad Południowym Kontynentem, gdzie nikomu nic nie zagraża.

— Sama wiesz, że pędraki nie rozprzestrzeniły się jeszcze po całym Południowym.

— To nie ma nic wspólnego z możliwością zobaczenia Nici na własne oczy pierwszy raz po dwustuletniej przerwie.

Odpowiedział na jej ironiczny grymas nieśmiałym uśmiechem.

— Nie musimy przecież nawet dawać smokom kamienia, prawda?

— Tak, ale czy na pewno chcesz do końca życia słuchać napomnień S'nana na ten temat? Pod warunkiem, że długo pożyjesz jako Przywódca Weyru, jeśli trzymają się ciebie

takie pomysły.

K'vin zmierzył ją długim spojrzeniem.

— A ty bardzo się cieszysz, że Sarai poprowadzi skrzydło królowych do walki z Opadem przed tobą, prawda?

Zulaya z lekka wyprostowała się w krześle, ale K'vin wiedział już, że cios nie chybił. Była jednak na tyle uczciwa, że uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— Nie wiemy nawet, o co właściwie chodzi B'nurrinowi — przyznała.

B'nurrinowi chodziło jednak właśnie o to i nie zmienił zdania, nawet, gdy Zulaya i K'vin zaczęli wyliczać wszystkie trudności, z jakimi zetknęli się podczas pechowej wyprawy na Południowy Kontynent.

— Po pierwsze — mówił, powtórzywszy wpierw sygnał Zulayi, by osłonić myśli przed smokami — nawet nie będziemy nigdzie lądować. Poza tym, Kev, wcale nie chcę zabierać z sobą całych skrzydeł — dodał szybko. — Zdaje mi się jednak, że nie musimy próbować walki z pierwszym prawdziwym Opadem, niezależnie od tego, gdzie to będzie...

— A poza tym chciałbyś odebrać S'nanowi pierwszeństwo, prawda? — uśmiechnęła się złośliwie Zulaya.

— To prawda — odparł B'nurrin z urazą. — Mam go już po dziurki w nosie. Nie rozumiem, dlaczego nie można popatrzeć, jak to wygląda. — Przerwał na chwilę, podjął jakąś decyzję i popatrzył K'winowi prosto w oczy. — Powiem szczerze. Boję się, że z pół tuzina razy będę musiał zmieniać majtki w czasie pierwszego Opadu, na który przyjdzie mi ruszyć z Weyrem.

— Sam się nad tym zastanawiałem — odparł szczerze K'vin. Zdumiał się, spostrzegłszy kątem oka przelotny wyraz aprobaty na twarzy Zulayi. Przecież B'ner chyba nie brał czegoś takiego pod uwagę, nawet jako odległej możliwości?

— Sądzę więc, że warto byłoby dobrze się temu przyjrzeć, zanim będę musiał udawać beztroskiego bohatera...

— Jeśli ktoś zachowuje się beztrosko w obliczu Nici, to znaczy, że jest durniem i kropka — wtrąciła Zulaya.

— Oczywiście — kiwnął głową B'nurrin i uśmiechnął się do niej. — To jak, przyłączycie się?

— Myślisz, że jeżeli polecimy razem, to wina rozłoży się na dwóch? — spytał K'vin, obserwując z ukosa twarz Zulayi.

B'nurrin podrapał się w brodę.

— Tak, chyba mniej więcej o to chodzi.



— Rozmawiałeś na ten temat z innymi ludźmi? Odpowiedzią było pogardliwe prychnięcie.

— Nie sądzisz chyba, że drugi raz bym zaproponował coś takiego S’nanowi, po tym, jak mi dwukrotnie natarł uszu? Pomyślałem, że was prędzej przekonam, niż D’miela, choć wydaje mi się, że M’shall też by polecił. Jeśli w Forcie i Dalekich Rubieżach będzie brzydka pogoda, może się zdarzyć, że pierwsza prawdziwa walka z Opadem odbędzie się nad Bendenem.

— To prawda, że M’shall może być chętny do współpracy, chociaż z was wszystkich on jeden jest pewien swych umiejętności.

— No cóż, to prawda — przyznał B’nurrin, ale po chwili znów uległ entuzjazmowi: — Ale spójrz na to z innej strony. Nawet jeśli stary S’nan będzie walczył z pierwszym Opadem tego Przejścia nad Fortem, my i tak będziemy lepsi od niego o jeden, w pewnym sensie. — Przywódcy I genu aż śmiały się oczy do tego spisku, jak małemu chłopcu. K’vin też musiał się roześmiać na ten widok.

— Jak długa jest przerwa między pierwszym Opadem na Południu i pierwszym u nas? — spytał. Ze zdziwieniem spostrzegł, że Zulaya już rozkłada na stole mapę Opadów Nici dla Weyru Telgar.

— Mniej więcej dwutygodniowa — odparła.

— To znaczy, że możemy tam jechać, nie zagrażając bezpieczeństwu naszych własnych Weyrów.

— Pierwszy Opad, który dosięgnie Weyru Fort to numer siódmy. Numer czwarty wypada nad Ładowiskiem. Piąty jest na nic, ale szósty zaczyna się nad morzem, przy ujściu Rajskiej Rzeki, niedaleko od naszego niedawnego miejsca obozowania.

— A pierwsze trzy? — spytał B’nurrin, wyciągając szyję, by się przyjrzeć mapie. — Aha, rzeczywiście nie najlepsze, brak im bezpiecznych punktów orientacyjnych, prawda? — a potem wzrokiem rzucił K’winowi wyzwanie: — To co, polecisz ze mną?

— Bardzo chętnie — odpowiedział tamten, celowo nie patrząc w stronę Zulayi.

— Ja też bym chciała — powiedziała kobieta, zaskakując ich obu. Wpatrywali się w nią, zdumieni, więc dodała: — No cóż, królowe latają wiele niżej, niż reszta Weyru. Wprawdzie dzięki temu będzie mi łatwiej zmienić majtki, niż wam, ale wolałabym nie być do tego zmuszona. Gdy w odpowiedzi uśmiechnęli się do niej z ulgą, dodała: — Shanna też chce lecieć, prawda?

— Tylko, jeżeli i ty się wybierzesz — uśmiechając się jeszcze szerzej odpowiedział B’nurrin.

— Przynajmniej jedna osoba w tym waszym Igenie ma trochę oleju w głowie — odparła Zulaya. — Odłożmy tę sprawę na parę dni. Zastanówmy się spokojnie.

— A kto się o tym dowie, jeśli sami niczego nie zdradzimy? — spytał B'nurrin, obrócił się na pięcie i znacząco popatrzył na śpiącą Meranath.

Paulin zabrał Jamsona do Bitry. Starszy pan w dalszym ciągu był wściekły na syna, że w imieniu Dalekich Rubieży oddał głos za zdjęciem Chalkina ze stanowiska. Nie mógł jednak znaleźć żadnych uchybień w zarządzaniu Warownią podczas swej dwumiesięcznej rekonwalescencji. Rzeczywiście, dzięki odpoczynkowi odzyskał pełną sprawność, choć nie stał się bardziej tolerancyjny.

Zmiany w Bitrze zauważyli bez trudu, już w chwili gdy Magrith wylądował na dziedzińcu, a Vergerin pośpiesznie zszedł po schodach, by powitać gości. Uprzedzono go o wizycie.

S'nan uparł się, że sam zawiezie obu Lordów, gdyż usunięcie Chalkina wstrząsnęło nim równie mocno, jak Jamsonem.

— Na honor! — wykrzyknął, rozglądając się w koło. Magrith również spoglądał z uwagą. Paulin musiał stłumić śmiech, gdyż jeździec patrzył w jedną stronę, a smok w przeciwną.

Na dziedzińcu panował porządek. Z kamiennych płyt zmieciono świeży śnieg i widać było między nimi nowe cementowe spoiny. Z poboczy obu dróg zniknęły splątane krzaki i drzewa — samosiejki. Rządek chat pysznił się nową dachówką, naprawionymi kominami i pomalowanymi metalowymi okiennicami, które wyglądały jak nowe. Niektóre okna na górnych piętrach warowni zamknięto na głucho, a budynku nie oplatały już bezlistne pnącza dzikiego wina. Na dachu lśniły czyste, odnowione panele baterii słonecznych.

W nowo postawionym magazynie piętrzyły się poręcznie ustawione butle z kwasem azotowym, a obok umieszczono węże i dysze, porządnie rozwieszzone na kołkach.

Kalvi powiedział Paulinowi, że w tydzień po objęciu władzy przez Vergerina poproszono go o dostawę sprzętu przeznaczonego dla Bitry. W następnym tygodniu posłał tam swoich najlepszych nauczycieli, by przeszkolili mieszkańców w posługiwaniu się miotaczami i ich konserwacji. Vergerin miał na sobie tunikę z solidnego materiału narzuconą na spodnie. Odzież była dobrej jakości, ale wyraźnie przeznaczona do pracy. Widać było, że przyjazd gości przerwał mu jakieś zajęcie. Serdecznie powitał Paulina i uprzejmie odpowiedział, gdy ten przedstawił mu Jamsona. Stary Lord chłodno powitał Bitrańczyka.

— Bardzo dużo zdążyłeś tu zrobić od czasu, gdy przejąłeś Warownię, Vergerinie —

powiedział Paulin, udzielając mu w ten sposób wsparcia, jako osoba publiczna. — Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że to będzie możliwe.

— No cóż — Vergerin uśmiechnął się ujmująco — znalazłem skarbiec Chalkina, więc mogłem sobie pozwolić na zatrudnienie rzemieślników. Ale nawet ci gospodarze, którzy mieszkają najbliżej, nie przyzwyczaili się do mnie jeszcze i są, jakby tu powiedzieć... onieśmieleni?

— Raczej obawiają się ciebie — sprostował sucho Paulin.

— To też, ale zrobiłem, co w mojej mocy, by dostarczyć im materiałów do różnych niezbędnych napraw. Warownia była strasznie zaniedbana.

Jamson odchrząknął niechętnie, lecz i on wytrzeszczył oczy na widok porządku i czystości w pierwszej gościnnej sali. S'nan mruknął coś z aprobatą i nawet przesunął palcem po szerokim stole, który zdobił gustowny bukiet z gałązek zimozielonych krzewów o barwnych owocach. Służący, w nowiutkiej liberii, jeszcze ze śladami po składaniu, śpieszył przez korytarz z wyładowaną tacą w rękach.

— Mój gabinet jest już całkiem wygodny — Vergerin gestem zaprosił ich do wnętrza.

Paulin zauważył, że ciężkie drewniane drzwi aż lśniły od oliwy, a mosiężne tabliczki wypolerowano do połysku. Wnętrze było całkowicie odmienione: znalazły się tam stoły do pracy, porządne półki i biblioteczki. Do boazerii przyszpilono plan Warowni, niżej mapę Kontynentu Północnego i, o dziwo, Doliny Stenga. Czyżby Vergerin chciał na nowo uruchomić tamtejsze kopalnie? Na kominku płonął ogień, obok ustawiono zapraszająco trzy tapicerowane fotele, a niski stół wyraźnie służył do stawiania tacy. Na szerokim parapecie stały wypolerowane metalowe wazy, w których wabiły oko ładnie ułożone gałązki o pomarańczowych jagodach i zielonych liściach; pod rządami Vergerina pokój ten przybrał zupełnie inny wygląd.

— Jest klah, doskonały rosół, naprawdę godny polecenia i wino, grzane albo w temperaturze pokojowej — zaproponował Vergerin, gestem zapraszając gości do usadowienia się w fotelach.

— Masz też nowego kucharza, Vergerinie? — spytał Paulin, wskazując na parujący kociołek. Vergerin uśmiechnął się w odpowiedzi. — W takim razie spróbuję tego rosółu — odpowiedział jego gość.

Jamson też poprosił o rosół, zaś S'nan zadowolił się klahem.

— Pamiętasz te kuchenne schody, Paulinie? — powiedział Vergerin, nalewając sobie rosółu i przysuwając zwykłe krzesło.

— A co, tam schował pieniądze?

— Tak, w jednym ze stopni — zaśmiał się Vergerin. — Chyba zapomniał, że ja też znam tę kryjówkę. Pieniądze przyszły w sam czas, bo dzięki nim mogłem zwrócić nadliczbowe daniny i zapłacić za zaopatrzenie. Chalkin jedną rzecz robił porządnie: prowadził księgi. Dzięki temu dokładnie wiedziałem, ile wydusił ze swoich ludzi.

Jamson odchrząknął z urazą.

— No cóż, taka jest prawda, Lordzie Jamsonie — powiedział Vergerin, niezrażony. — Nie mieli dość zapasów, by przetrwać zimę, nie mówiąc już o żywności na czas Opadu. W dalszym ciągu pozbywam się zgromadzonych przez Chalkina towarów, których nigdy nie zdołalibyśmy wykorzystać — roześmiał się niewesoło. — Z tym, co tu zebrał, bez trudu przetrwałby pięćdziesiąt lat Przejścia, za to nikt z jego ludzi nie przeżyłby pierwszego roku, nie wspominając o przechowaniu i ochronie ziarna siewnego. Bitrę założono już po Pierwszym Opadzie, nigdy nie prowadzono tu upraw hydroponicznych, choć w podziemiach są kadzie.

Jamson znów prychnął: — A hazard? Położyłeś mu kres?

— I tu, i gdzie indziej — policzki Vergerina z lekka pociemniały. — Od czasu tamtej gry z Chalkinem nawet nie tknąłem kości i kart.

— Co się stało z zawodowymi graczami? Władca Bitry wykrzywił usta w uśmiechu.

— Dałem im do wyboru: podpisać ze mną nowe kontrakty, bo starych nie honoruję, albo odejść stąd. Prawie wszyscy zostali.

S’nan zaśmiał się sucho, szczekliwie.

— Nic dziwnego, przecież niebezpieczne jest być bez dachu nad głową w czasie Przejścia. Dobrze sobie radzisz, Vergerinie — i kiwnięciem głowy podkreślił swą aprobatę.

— Dano ci drugą szansę, Vergerinie — pogroził mu palcem Jamson. — Staraj się wykorzystać taki uśmiech losu. Skończył pić rosół i wstał.

— Teraz zajrzelibyśmy do kilku gospodarstw, jeśli można.

— Ależ naturalnie — Vergerin podniósł się pośpiesznie i odsunął krzesło na miejsce. — Konno...

— Nie, nie — osadził go Jamson. — Nie ma potrzeby, byś nam towarzyszył. Pojedziemy sami.

— Słuchaj, Jamson — zaczął Paulin, gdyż propozycja była co najmniej obraźliwa.

— Nie ma problemu, jak sobie życzycie. — Vergerin gestem zaprosił ich do obejrzenia mapy i wskazywał gospodarstwa.

— Udało nam się przeprowadzić wszystkie konieczne naprawy w siedzibach położonych przy głównych drogach, lub też w ich pobliżu. Górskie gospodarstwa muszą

począkać na dostawy. Nie mogę nadużywać uprzejmości Weyru Benden, choć M'shall okazał się o wiele bardziej skłonny do pomocy, niż się spodziewałem.

— To dla niego korzystne — S'nana natychmiast reagował na najmniejszą krytyczną wzmiankę o Przywódcach Weyrów.

Jamson otworzył drzwi do Sali i tak gwałtownie się zatrzymał, wpatrzony w ścianę naprzeciwko, że Paulin o mało co na niego nie wpadł. Lord Dalekich Rubieży zamamrotał coś pod nosem i zwrócił się do Vergerina, wskazując ścianę:

— Dlaczego, u licha, powiesiłeś tu jego portret? — sądząc z tonu głosu, był oburzony.

Paulin i S'nana spojrzeli we wskazanym kierunku. Paulin nie wytrzymał i roześmiał się.

— Kiedy Iantine zdążył to... przerobić? — spytał Vergerina, który także szeroko się uśmiechał.

— Przysłał go wczoraj — Vergerin przeszedł przez salę i stanął pod obrazem. — Moim zdaniem teraz bardzo dobrze oddaje podobieństwo.

Przez chwilę w milczeniu oglądali portret, stanowiący obecnie wierny obraz poprzedniego Lorda Bitry, w szczególności jego blisko osadzonych oczu, niezdrowej cery, rzadkich włosów i brodawki na brodzie.

— Dlaczego chcesz mieć jego twarz przed oczyma, Vergerinie? — spytał S'nana z głośnym sapnięciem.

— Po pierwsze, żeby pamiętać o dobrym gospodarzeniu w Bitrze, a po drugie, ponieważ do tradycji należy tu upamiętnianie wszystkich kolejnych Lordów Bitry — wskazał na schody, po obu stronach sali. Rzeczywiście, ściany ozdobiono portretami poprzednich zarządców.

Jamson kilkakrotnie odchrząknął.

— A Chalkin? Co się z nim dzieje?

Paulin wzruszył ramionami i popatrzył na S'nana.

— Dostarczono mu wszystko, co potrzebne do życia — powiedział Przywódca Weyru. — Nie ma potrzeby pogłębiać jego rozgoryczenia dalszymi kontaktami.

— A dzieci? — w oczach Jamsona pojawił się zimny błysk.

— Zdaje mi się, że stały się bardziej zdyscyplinowane, zdrowsze i powściągają nieco swój temperament — odpowiedział Vergerin.

— To ostatnie było im wielce potrzebne — zauważył Paulin.

— Będziesz mile zaskoczony, Lordzie Paulinie — odparł Vergerin z chytrym uśmiechem.

— Jakoś to przeżyję.

— Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci — z namaszczeniem zaintonował Jamson.

— Proszę tędy — powiedział Vergerin i przyłożył palec do ust, prosząc o ciszę.

Poprowadził ich korytarzem, w kierunku pomieszczenia, które Paulin pamiętał jako szulernię. Usłyszeli stłumiony śpiew. Paulin natychmiast rozpoznał melodię jako jedną z najnowszych pieśni rozpowszechnianych przez Uniwersytet. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że to Ballada o Powinnościach. Jamson znów odchrząknął znacząco i wciągnął ze świstem powietrze.

Vergerin cicho otworzył drzwi do całkowicie odmienionej komnaty. Uczniowie, a było ich o wiele więcej, niżby Paulin się spodziewał, siedzieli plecami do drzwi. Nauczyciel — ku zdziwieniu Paulina był to Issony, który widać wrócił do Bitry — dodatkowym skinieniem głowy przyjął do wiadomości ich obecność i dalej podawał tempo śpiewającym dzieciom.

Dziecięce głosiki, nawet fałszujące zawsze wzruszają, być może ze względu na niewinne brzmienie i toporną dynamikę w interpretowaniu pieśni. Nawet Jamson się uśmiechnął. Nic dziwnego zresztą, bo śpiewano akurat o powinnościach Lorda Warowni.

— Które z nich są z Rodu? — szepnął Paulin do Vergerina.

Ten wskazał ręką i dopiero wtedy Paulin rozpoznał w pierwszych rzędach dziewczęta i chłopców. Dzieci były o wiele lepiej ubrane od rówieśników, ale słuchały nauczyciela z równym zapałem i śpiewały z całych sił: najstarsza dziewczynka rzeczywiście miała przenikliwy głos. Zupełnie jak matka, pomyślał Paulin.

Vergerin wskazał gestem, że mogą już wyjść.

— Issony miał rację. Dzieciakom jest potrzebne współzawodnictwo. Te z gospodarstw nie potrzebują motywacji: same chcą się uczyć, a Chaldon uparł się, że dzieci zwykłych rolników nie będą lepsze od niego. Naturalnie, w dalszym ciągu zdarzają się płacze, krzyki i awantury, ale dałem Issony'emu wolną rękę. Świetnie sobie radzi. Bardzo skutecznie.

— A Nadona? — spytał Paulin. Vergerin uniósł brwi.

— Dostaje taką samą szkołę, jak dzieci, ale uczy się wolniej, jak by powiedział Issony. Ma własne apartamenty — wskazał głową w stronę wyższych pięter. — I w nich pozostaje.

— Rozumiem, że nie wtrąca się do twojej ciężkiej pracy? — ironicznie skomentował Paulin.

— Tak jest.

— Hm, no cóż, to by było na tyle, moim zdaniem — stwierdził Paulin a potem

demonstracyjnie poprawił jeździecką kurtkę, co miało oznaczać, że chętnie by już wyruszył na inspekcję w teren. — Jak sądzisz, Jamson? Zapytany odchrząknął, ale Paulin uznał za dobry znak to, że nie miał żadnych pytań.

Przed budynkiem grupa kobiet i mężczyzn zakładała na plecy miotacze płomieni.

— Zarządziłem ćwiczenia, bo jak wiecie, musimy nadrobić znaczne opóźnienia — wyjaśnił Vergerin. Jamson i S’nan spojrzeli na siebie z tak głupimi minami, że Paulin z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Vergerin pochwycił jego spojrzenie i mrugnął, po czym pożegnał się uprzejmie z gośćmi i wrócił do pracy z patrolami naziemnymi.

— No cóż, widać, że nauczył się paru rzeczy — wygłosił Jamson z namaszczeniem, gdy schodzili po schodach do oczekującego spiżowego smoka.

— Zdaje się, że tak — przytaknął S’nan i lekko spochmurniał. — Choć nie podoba mi się, że puścił wolno szulerów Chalkina. Narobią nam jeszcze kłopotów na Zgromadzeniach, wspomnicie moje słowa.

— Nie większych, niż do tej pory — odpowiedział Paulin i dyskretnie pomógł Jamsonowi wspiąć się na wysokie przedramię Magritha. — Pewnie nawet mniejszych, bo Chalkin nie będzie ich naciskał, by wyduszali pieniądze od naiwnych gospodarzy.

— W Weyrze pod żadnym pozorem nie wolno pozwolić na hazard — oświadczył S’nan, pompatyczny, jak zwykle.

Paulin milczał, mając nadzieję, że wycieczka upewni jego towarzyszy o wartości Vergerina i o tym, że usunięcie Chalkina było naprawdę niezbędne. Odczuwał zadowolenie z krótkich odwiedzin w Warowni, a szczególnie spodobał mu się poprawiony portret Chalkina. Wyśle list do Iantine’a w Weyrze Telgar — Bridgely mówił, że artysta wrócił tam jak tylko skończył pracę w Bendenie — z zapytaniem, kiedy będzie mógł wraz z żoną pozować mu do portretu.

Cieszył się także, że zdecydował się towarzyszyć Jamsonowi. Miał nadzieję, że Lady Thea wkrótce go powiadomi, że Gallian odzyskał ojcowskie względy.

— Słuchaj, P’tero, sam nie uratujesz całego Weyru przed Opadami — wściekał się K’vin na błękitnego jeźdźca. Szalał z gniewu widząc, że młody P’tero całkowicie ignoruje podszepty zdrowego rozsądku. — W ten sposób nie zrobisz wrażenia na M’lengu. Jeśli tak widzisz swoją rolę w walce z Opadami, to chyba na dłuższy czas odkomenderuję cię do łączności.

— Ale... ale...

— Ponadto — Przywódca Weyru gniewnie pogroził mu przed nosem — Maranis

powiedział mi, że rany nie wygoiły ci się jeszcze na tyle, byś był zdolny do służby.

— Ale... ale... — P'tero, z oczyma rozszerzonymi ze strachu, zrobił unik przed gniewem Przywódcy Weyru, szczęśliwie chwyciwszy się grzbietowego grzebienia, zanim spadł ze smoka. Siedzisko, które dał mu T'san, wypadło na ziemię. Pewnie rzemienie rozluźniły się podczas ćwiczeń. Materiał był poplamiony krwią.

— Chodź tu — K'vin wskazał tam, gdzie powinien być jego zdaniem P'tero: na ziemię. — I to już.

Młody człowiek starał się jak najszybciej wypełnić rozkaz, ale zeszywniał od kilkugodzinnego siedzenia na smoczym grzbiecie podczas manewrów, gdyż pośladki ledwie mu się wygoiły.

K'vin złapał go za ramię i odwrócił tyłem.

— Nie tylko świeża krew. Do tego jeszcze stare plamy — głos trząś mu się z gniewu i ironii. — Zwalniam cię z zajęć.

— Ale... ale... Nici zaczną opadać lada dzień! — zawołał rozpaczliwie P'tero, zdesperowany, niemal ze łzami w oczach na myśl, że nie będzie mógł udowodnić M'lengowi, jaki odważny jest w rzeczywistości i pokazać prawdziwe męstwo w powietrzu, a nie udawane, jak podczas ataku lwów.

— Nici będą opadać przez następnych pięćdziesiąt lat, młody człowieku. Jeszcze razem z Ormonthem zdążycie napędzić im strachu! Natychmiast zamelduj się u Maranisa. Masz zakaz lotów!

— Ale ja muszę walczyć z pierwszym Opadem — zawołał zrozpaczony P'tero.

— W ten sposób tego nie osiągniesz. Ruszaj do Maranisa!

K'vin nawet nie sprawdził, czy P'tero usłuchał polecenia. Popędził przez Nieckę, pewien, że gdyby się nie oddalił od błękitnego jeźdźca, solidnie by nim potrząsnął, aby nauczyć go rozsądku.

Ormonth próbował go dzisiaj przekonać, żeby nie latał, oświadczył Charanth.

K'vin zatrzymał się nagle i spojrzał wściekle na spizowego smoka, który sadowił się na skalnej grzędzie, by skorzystać z ostatnich promieni zachodzącego słońca.

To znaczy, że sam nie jesteś lepszy od tej parki! ryknął w myślach i miał satysfakcję widząc, jak Charanth kładzie uszy po sobie.

Od dziś masz mi raportować — natychmiast! — o każdym przypadku zmniejszonej sprawności bojowej jakiegokolwiek smoka, albo jeźdźca. Rozumiesz?

Oczy smoka wirowały, a ich błękit nabrał żółtawego odcienia, oznaczającego niepokój. Odpowiedział ze skrucą: Już więcej cię nie zawiodę.



Gdyby rzeczywiście byli w niebezpieczeństwie, nie pozwoliłabym im lecieć, włączyła się do rozmowy Meranath.

Nie ciebie pytałem! K'vin był tak rozdrażniony, że nie dbał, czy obrazi smoczyce, albo jej jeźdźczynię. Nie życzył sobie tracić jeźdźców z powodu beztroski albo ambicjonalnych rozgrywek, i koniec. Mieli przed sobą pięćdziesiąt lat walki z Nićmi i w takiej sytuacji nie wolno było dopuścić do strat w szeregach, albo ryzykować, że towarzysze walki ulegną kontuzji popisując się bezsensowną bohaterszczyzną.

Jeśli sądzisz, że ryzykowałabym życiem jakiegokolwiek jeźdźca...

K'vin pobiegł do weyru królowej skacząc po trzy stopnie na raz. Starał się opanować furie zanim stanie przed Zulayą, by wyjaśnić jej, czemu nagle zaczął komenderować jej królową.

Musisz mnie informować o każdym niesprawnym jeźdźcu albo smoku, zawsze i wszędzie, Meranath. Powinnaś o tym wiedzieć. Na Pierwsze Jajo, od czego jesteś przywódczynią królowych?

— Bo ja jej dosiadam! — na skalną półkę wybiegła rozzłoszczona Zulaya, z oczyma błyszczącymi urazą. — Jak śmiesz odzywać się do mojej królowej!

— Jak ona śmie ukrywać przede mną informacje?

Zulaya wpatrywała się w niego oniemiała, gdyż K'vin nigdy jeszcze nie skarcił ani jej, ani Meranath, choć sama przed sobą przyznawała po cichu, że w paru wypadkach słusznie by im to się należało.

— Wiedziałaś, w jakim stanie jest P'tero? — zapytał gniewnie, a ona cofnęła się przed nim do weyru. Wspaniale wyglądał w gniewie: oczy ciskały błyskawice, twarz skamieniała... uosobienie urażonej dumy.

— Tisha coś mówiła, że Maranis był niezadowolony z jego powrotu do służby. Tkanka na bliznach jest cienka...

— A ty mi nic nie powiedziałaś?

— To tylko błękitny jeździec...

— Dla mnie ważny jest każdy z moich jeźdźców! — ryknął Przywódca Weyru, przyciskając zwinięte w kulak pięści do ciała, by nie wybuchnąć nagromadzoną furią. — Za dwa dni rozpocznie się Opad. Cały Weyr musi być w gotowości. Muszę być pewny każdej osoby, którą poproszę, by stawiała czoło Niciom. Nie życzę sobie sekretów, tajemnic, ani też...

— K'vinie — zaczęła Zulaya, wyciągając do niego rękę. — Kev, wszystko jest w porządku. Weyr czeka w gotowości. Może jesteśmy zbyt napięci, ale to nam wyjdzie na

dobrze...

— Wyjdzie nam na dobre? — K'vin odepchnął jej rękę. — Kiedy w szeregu stają jeźdźcy, którzy nie są w stanie podołać wymaganemu wysiłkowi?

Zaczął nerwowo chodzić po weyrze. Zulaya obserwowała go z uśmiechem ulgi i dumy. Będzie z niego doskonały Przywódca, o wiele lepszy od B'nera.

Zatrzymał się, niemal na nianie wpadając. Wpatrywał się w jej twarz oczyma lśnącymi z gniewu i desperacji.

— Co cię znowu tak cieszy, do diabła? — spytał podejrzliwie, bo takiego uśmiechu jeszcze u niej nie widział.

— To, że w pełni nad wszystkim panujesz — odpowiedziała, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Ano, nie da się ukryć, prawda? — a potem, spełniając jej ciche marzenia, wziął ją w ramiona i zaczął całować, władczo, po męsku, w pełni świadom swej przywódczej roli w Weyrze. Ani śladu nie pozostało po wahaniach i uległości. Od dawna miała nadzieję, że kiedyś wreszcie go do tego sprowokuje.

Następnego dnia rano K'vin w dalszym ciągu doskonale nad wszystkim panował. Przed świtem Meranath powiedziała im, że B'nurrin i Shanna już czekają.

— Na co czekają? — zdziwił się K'vin, niechętnie odsunął się od Zulayi i sięgnął po spodnie.

Czas już wyruszać, dodał Charanth.

— Dokąd? — spytał niechętnie jego jeździec.

— Dokąd? — powtórzyła sennie Zulaya.

Na południe. Tak mówią, odparli Meranath i Charanth. K'vin natychmiast sobie przypomniał, że właśnie tego dnia mieli przyjrzeć się Niciom. Pomyślał to bardzo, bardzo cicho, na samym dnie umysłu, żeby Charanth nie usłyszał. Przecież oba smoki spały, gdy B'nurrin przyjechał z tą propozycją. I bardzo dobrze, bo w przeciwnym wypadku cały Weyr wpadłby na pomysł obserwowania pierwszego Opadu.

— B'nurrin chce, żebyśmy z nim poleciełi — powiedział na głos, rzucając Zulayi ostrzegawcze spojrzenie.

Na chwilę zmarszczyła brwi, a potem twarz jej się nagle wygładziła i usłyszał: — Aha. Z konspiracyjnym uśmiechem wyskoczyła z łóżka, i ciągnąc za sobą prześcieradło poszła po ubranie dojazdy. Gdy się mijali, przyciągnęła jego głowę do swoich ust.

— Mogłabym wziąć miotacz...

— To już lepiej napisz sobie na czole, dokąd lecimy — mruknął w odpowiedzi. — Mamy przecież tylko obserwować.

— Tak, obserwować... — a potem dodała głośniejszym głosem: — Gdzie spotykamy się z B'nurrinem, Meranath?

— Sami to wiemy, nie pamiętasz? — K'vin ujął ją za ramiona i lekko potrząsnął, a potem szepnął: — Ładowisko.

— Jak mogłam zapomnieć?

Jeśli nawet smok z jeźdźcem, stojący na warcie na krawędzi krateru zastanawiali się, dlaczego Przywódcy wymykają się z Weyru przed świtem, nie pytali o to. Jeździec wesoło pomachał im ręką, gdy przelatywali obok.

Ianath mówi, żeby policzyć do trzech i lecimy, powiedział Charanth do jeźdźcy zdziwiony, że nie wie, o co chodzi.

Wybieramy się na Ładowisko, odpowiedział K'vin, spoglądając w stronę Meranath. Zulaya podniosła dłoń z wyprostowanym kciukiem na znak, trzymała tę samą wiadomość. K'vin wyobraził sobie wyschniętą równinę pokrytą wulkanicznymi popiołami, między górą Garben a zatoką Monako i trzykrotnie pokiwał głową.

Start!

Charanthowi gwałtownie zaburzało w brzuchu, a w myślach zabrzmiało bardzo zdziwione Och! K'vin poczuł, że smok się przechyliła. Dzięki temu podświadomie przygotował się trochę na widok, jaki się przednimi otworzył: w powietrzu panował niemały tłok. Tylko dzięki dodatkowemu smoczemu zmysłowi, Charanth i Meranath uniknęły niebezpiecznych zderzeń. K'vin odwrócił się i spostrzegł, że spośród Przywódców Weyrów zabrakło tylko S'nana i Sarai, choć być może kryli się między tymi, którzy tylko na moment wyskakiwali z pomiędzy, bojąc się, że ktoś ich rozpozna. Kątem oka pochwycił na południowym niebie błyski błękitu, brązu, a nawet jeden czy dwa zielone cienie, które natychmiast zniknęły. Na spotkaniu nie stawili się bynajmniej tylko Przywódcy ze swymi smokami: oprócz nich kręciło się tu ze trzydzieści brązowych i szpizowych bestii.

Tego było już za wiele dla K'vina, obdarzonego nie byle jakim poczuciem humoru. Dobrze się stało, że zapiął pasy bezpieczeństwa, bo ryknął takim śmiechem, że obijał się o grzebienie na smoczym karku. Czy wszystkich jeźdźców na Pernie ogarnęła nieodparta potrzeba pojawienia się właśnie w tym miejscu dziś rano? Naturalnie, że teren Ładowiska był ogólnie znany. Ale to, że aż tyle osób na własną rękę postanowiło tu przylecieć... w dodatku wszyscy pewnie żywili przekonanie, że nikt więcej nie zdecyduje się na tak śmiały krok.

Oprócz niego, jeszcze kilka osób zwijało się ze śmiechu. W tym momencie bardziej

groziło im zmoczenie się z nadmiernej radości, a nie ze strachu na widok Nici. Ta myśl przywołała go do porządku. I znów, nie tylko jego. Śmiech ucichł, gdy wszystkie smoki i wszyscy jeźdźcy zwrócili się na pomocny wschód, jak pociągnięci niewidzialnym sznurkiem.

A tam, w górnej części nieba, majaczyła już ta, częstokroć opisywana, srebrzystoszara mgielka. Nie drgnęło ani jedno smocze skrzydło, nie poruszył się ani jeden jeździec, gdy pierwsze pasma zaczęły spadać do morza. Nici! Nie sposób było wybrać trafniejszej nazwy.

Nici!

Słowo to odbzmiewało w smoczych umysłach jak echo. K'vin musiał chwycić się grzebienia na szyi Charanth, gdyż smok rzucił się w kierunku tego, co przez całe życie uważał za swego przeciwnika.

Nie mam ognistego kamienia! Jak mam zionąć? Co się dzieje? Dlaczego przyprowadziłeś mnie do Nici i ja nie mam ognia, żeby je spalić!

Spokojnie, Charanth. Mamy tylko patrzeć. Obejrzeć wszystko.

Ale to Nici! Muszę żuć kamień i ziać. Dlaczego nie mogę zionąć, przecież to NICI!

K'vin rzucał wokół przerażone spojrzenia. Zorientował się, że nie tylko on ma podobne trudności z pełnym zapałem i frustracją smokiem, który gwałtownie wyrывa się w kierunku Nici.

Już się przyjrzałem, Charanth. Lećmy do Telgaru.

A Nici? — spytał spiżowy smok tonem, w którym naraz brzmiała żalność, niezrozumienie i zgorszenie.

Lećmy stąd. Już!

Lećmy? Ale nie walczyliśmy z Nićmi.

Nie tu, nie dziś, Charanth.

K'vin potrzebował ogromnej siły woli i samozaparciu, oraz całego zaufania, jakim darzył go smok, by przełamać jego żarliwy sprzeciw. Nagle Charanth skrzył i zaczął oddalać się od Nici.

Dobrze już, dobrze! — powiedział tonem nadęsanego dziecka, które całym sobą buntuje się przeciw poleceniom rodziców.

O co chodzi?

Królowe mówią, że mamy lecieć do Red Butte.

To lećmy. K'vin nie kwestionował rozkazu, szczęśliwy, że do smoka wreszcie dotarło coś, czego zechciał usłyszeć.

Płaski wierzchołek Red Butte był terenowym znakiem orientacyjnym w dolnym Keroonie — niezwykle charakterystyczną wulkaniczną kopułą, wykorzystywaną we

wszystkich szkoleniach dla weyrzątek. Jeźdźcom udało się jakoś nakłonić smoki do lądowania na szerokim grzbiecie. Nawet oczy królowych wirowały czerwienią i oranżem; niektóre spizowe były tak podniecone, że ich ślepia pulsowały złośliwie, z niesłychaną częstotliwością, odpowiadającą gniewnym uczuciom. K'vin z ulgą zsunął się z szyi Charantha i, podobnie jak pozostali władcy, nie zdejmował dłoni ze smoczej łapy, ramienia czy też pyska; lepiej było zachować fizyczny kontakt. Szerszy, zewnętrzny krąg tworzyli brązowi i spizowi jeźdźcy, również „uratowani” przez królowe. Ci nawet nie zsiadli ze smoków, uspokajając je i pozwalając swym przywódcom prowadzić rozmowę.

Pierwszy odezwał się M'shall:

— No cóż, jeszcze jeden dobry pomysł, który się nie udał — podsumował ironicznie.  
— Ale z nas geniusze, nie ma co.

— Zapomniało się tylko o jednym drobiazgu — dodała Irena i ściągnęła jeździecki hełm. Twarz jej pobieliała ze strachu.

K'vin rzucił okiem na Zulayę, która ocierała pot z czoła. Zorientował się, że jeźdźczyniom z trudem przyszło przekonać królowe, by zmusiły smoki do odwrotu.

— Smoki wiedzą, co mają robić, gdy opada Nić — przytaknął M'shall. A potem wybuchnął śmiechem.

K'vin też się uśmiechnął, a gdy usłyszał basowy rechot G'dona, przestał powstrzymywać wybuch wesołości. B'nurrin tak się zanosił, że musiał przytrzymać się K'vina, żeby nie upaść. Nawet D'miel wyglądał na rozbawionego, a chichot Laury był tak zaraźliwy, że po chwili reszta przyłączyła się do chóru. Jeźdźcy z zewnętrznego kręgu w lot poznali się na żarcie i także się śmiali. Odreagowywali w ten sposób niedawne przerażenie.

— Zauważyliście może przypadkiem jeźdźca z Fortu, zmykającego stąd jak niepyszny? — spytał M'shall, gdy wszyscy się uspokoiłi. — Sprawdzał, kto stawiał się na tym nieformalnym spotkaniu.

— Nigdy się nie przyznają, że tu byli — odparła Irena.

— Nie byłbym tego taki pewien, Renee — stwierdził G'don. — To prawda, że S'nan pilnuje dyscypliny w swoim Weyrze, ale założę się, że wśród tamtejszych dowódców skrzydeł jest kilka niespokojnych duchów.

— Jestem tego pewna — powiedziała Mari, ścierając z policzków łzy rozbawienia. — To strasznie śmieszne, że wszyscy — ogarnęła całe towarzystwo okrągłym gestem — wpadliśmy na to, żeby tu zajrzeć na chwilę.

— Ale smoki nie wyrobią w sobie jakiś zahamowań, prawda? — Laura aż zbladła na tę myśl. — Przez to, że je zawróciliśmy w ten sposób?

Nie tylko D'miel z pobłażaniem oddalił od siebie taką myśl: — Niemożliwe! Wiarygodność jeźdźców wzrosła stokrotnie! Smoki wiedzą teraz bez wątpienia, że wszystko, co powtarzaliśmy im od chwili Wyklucia, jest prawdą!

— No tak, rzeczywiście musi tak być — odetchnęła z ulgą.

— Ja zaś chciałbym serdecznie podziękować jeźdźczyniom królowych, że skorzystały ze swego potężnego wpływu na nasze spiżowe — oświadczył G'don i złożył pięciu kobietom oficjalny ukłon, przykładając dłoń do serca.

— Oto korzyść z trzech bardzo doświadczonych królowych i dwóch bardzo upartych młodych kobiet — odpowiedziała Zulaya.

Twarz Laury pokrył rumieniec, a Shanna jeszcze bardziej się wyprostowała.

— No, dobrze — powiedział M'shall, widząc, że oczy większości smoczyc samców wróciły do normalnej barwy i szybkości wirowania. Wstąpił do środka kręgu, złożył ręce przy ustach, po czym kontynuował: — Teraz posłuchajcie wszyscy. Tego spotkania nigdy nie było i pod żadnym pozorem nie należy o nim wspominać w Weyrach. Rozumiecie?

Odpowiedź była głośna i wyraźna. Kiwnął głową i cofnął się do swego Craigatha.

— Spotkamy się... — powiedział już tylko do Przywódców — gdy Nici po raz pierwszy „oficjalnie” zaczną opadać na Północy.

— Przez cały czas będziemy wysyłać lotne patrole — przypomniał im G'don.

— Jak wszyscy wiemy, S'nan również nie omieszka tego zrobić — wtrącił uśmiechnięty od ucha do ucha B'nurrin.

— Znamy więc czas i miejsce następnego spotkania.

— Poczekaj chwilę, G'donie — powstrzymał go K'vin. — Czy skrzydła, które pierwsze rozpoczną walkę z Nicią, nie mogłyby się wymieniać, niezależnie od tego nad którym terytorium to będzie?

Cichy okrzyk aprobaty, dochodzący z zewnętrznego kręgu sprawił, że propozycja została natychmiast zaakceptowana.

— W ten sposób więcej jeźdźców mogłoby zdobyć przynajmniej odrobinę doświadczenia, zanim każdy z Weyrów rozpocznie walkę z zagrożeniem na własną rękę.

G'don zatrzymał się u boku Chakatha i rozejrzał się wokół, sprawdzając reakcję na ten pomysł.

— Zmiany co godzina? — spytał.

— Lepiej co dwie, żeby skrzydła dobrze przyswoiły sobie technikę — poprawił go M'shall.

— Przecież nie jesteśmy całkiem zieloni — protestował B'nurrin.

— Dwie godziny brzmią rozsądnie, w przeciwnym wypadku zmiany następowałyby co chwila... — zastanawiał się D'miel.

— Zgadzam się na dwie godziny — potwierdził G'don. — Zaproponujemy to S'nanowi. Chociaż tyle mu się od nas należy. Ja się podpisuję pod tym pomysłem — uśmiechnął się, wiedząc, że S'nan wysłucha go, jako najstarszego Przywódcy Weyru, podczas gdy kogoś młodszego mógłby odesłać z niczym. — Powiadomię was, kiedy mamy się spotkać, by wprowadzić uzgodnione właśnie zmiany.

Nad wierzchołkiem Butte uniosła się chmura czerwonego kurzu, gdy wszystkie smoki niemal jednocześnie poderwały się z ziemi.

## **ROZDZIAŁ XVII**

### **OPAD NICI**

W dniu, gdy S'nan wezwał pozostałych pięciu Przywódców Weyrów na spotkanie, by przedyskutować zaproponowaną przez G'dona wymianę oddziałów bojowych podczas Opadu, z lodowych biegunów Pernu wiało chłodem. Stało się jasne, że mróz najprawdopodobniej odbierze Weyrowi Fort zaszczytną rolę pierwszej smoczej siedziby, która podczas tego Opadu stanie do walki z Nićmi.

Oczywiste było, że S'nan czuł się wielce urażony tym faktem. Przez całe spotkanie nerwowo spacerował po komnacie, zatrzymując się tylko po to, by przez skośne okna popatrzeć na zasypujący Nieckę gęsty deszcz ze śniegiem. Nawet połowy uwagi nie poświęcał rozmowie. B'nurrin z trudem powstrzymywał śmiech i tylko kopniaki, których K'vin nie szczędził mu pod stołem, powstrzymywały go od wybuchu. Trudno zresztą było winić Przywódcę z I genu, bo całe spotkanie było absurdalne: obaj wymieniali drobiazgowo przemyślane powody, dla których należałoby wymieniać jeźdźców co dwie godziny, a S'nan na wszystko odpowiadał monosylabami i siedział z kamienną twarzą. Zirytowana mina Sarai przynajmniej była szczerą.

— Najchętniej zgarnęłaby nas wszystkich pod swoje skrzydła — szepnęła Zulaya do K'vina, gdy Władczyni Fortu zwróciła twarz ku swemu partnerowi, który w dalszym ciągu nerwowym krokiem przemierzał komnatę.

— Chyba jej się nie uda, kochanie — odparł K'vin, któremu teraz z łatwością przychodziło wypowiedanie czułych słówek. Westchnął. — Wiesz co — wyszeptał jej wprost w ucho — zaczyna mi być żal staruszka.

W odpowiedzi prychnęła cicho.

— A mnie nie — odrzekła i prędko nadała rysom twarzy wyraz najszczerzego zainteresowania, gdyż Sarai, usłyszawszy szepty, zaczęła się im przyglądać karcąco.

Nici opadły jako czarny pył, przemieszany ze śniegiem i mżawką. Jeźdźcy z patrolu przynieśli je w wiadrze S'nanowi, który odprawił ich ze smutną miną. Dalekie Rubieże z jeszcze większym poświęceniem poszukiwały żywych Nici, mogących stanowić niebezpieczeństwo. Niektórzy jeźdźcy z takim zapalem wypatrywali pojawienia się przeciwnika, że nabawili się odmrożeń. W końcu przyniesiono G'donowi drugi kawałek przemarzniętej Nici. Gdy odtajała, zaczęła tak cuchnąć, że natychmiast ją wyrzucono. Gdy nadszedł pierwszy Opad nad Bendenem, czyli dziesiąty w kolejności, pogoda na Wschodnim Wybrzeżu zmieniła się; ciepły front sprawił, że większa część nadchodzącego Opadu miała być „żywa” i niebezpieczna. Zwołano zatem wszystkie perneńskie Weyry.

Dwa pełne skrzydła jeźdźców z Telgaru pod dowództwem K'vina przegrupowały się w górnym prawym kwadracie przestrzeni nad Bendenem. Ani jeden smok nie wysunął się z szyku. Poniżej, w ciemnościach poprzedzających wschód słońca, lśniły światła Weyru, rzucając blask na brzuchy smoków stojących w szeregach. Nie był pewien, czy oddział z Telgaru dotarł na miejsce przed innymi, ale bez wątpienia stawił się w pełnym składzie o określonej godzinie na wyznaczonych pozycjach. Wszystkim bardziej odpowiadałaby walka w dzień, ale Nici nie potrzebowały światła, by opadać. Według sprawozdań Seana o Opadach porannych i wieczornych, srebrzyste światła błyszcząły tak, że na tle nieba stanowiły łatwy cel dla płomieni.

Pierwszy Opad Drugiego Przejścia miał zacząć się nad wysokimi górami, w dalszym ciągu pokrytymi grubą śniegową czapą, gdzie i tak nie wyrządziłby szkód. Prawdopodobnie większość Nici opadłaby w postaci czarnego pyłu w mroźnym górskim powietrzu, choć z drugiej strony i przy cieplejszej pogodzie normalnie obserwowano by tylko Opad nad szczytami, do momentu gdy nastąpiłoby nieuniknione przesunięcie nad zamieszkane obszary. Ten dzień był jednak wyjątkowy.

Gdy S'nan pod naciskiem M'shalla poddał wniosek pod głosowanie, wszyscy Przywódcy jednogłośnie postanowili walczyć z całym Opadem nad górami, niezależnie od tego, czy zagrażał życiu, czy nie. Trzy wcześniejsze „lewe” Opady tak wszystkich rozdrażniły, że jeźdźcy rwali się do działania. Naturalnie, niektóre szczyty wznosiły się na taką wysokość, że tlenu brakowało tam nawet dla smoków, ale można było ocenić kąt padania Nici i ogólny charakter Opadu.

Skrzydła miały się zmieniać co dwie godziny, by jak najwięcej osób miało szansę



nabrać doświadczenia „z pierwszej ręki”. K’vinowi przypomniało się przez moment, jak bardzo P’tero starał się, by włączono go do telgarskiego oddziału. Może i trzeba było pozwolić na to błękitnemu jeźdźcowi, nie bacząc na jego obolały tyłek, żeby się nauczył, że do walki z Nićmi potrzeba nie tylko odwagi. Niestety, wtedy P’tero zabrałby miejsce w oddziale komuś zdrowemu i bardziej niezawodnemu. Wybierając zielonych jeźdźców, K’vin pominął także M’lenga. Chciał w ten sposób osłabić konflikt między tą parą; w przeciwnym wypadku dręczyliby się, że jeden z nich ruszył do walki, a drugi pozostał. W zasadzie byli dobrymi towarzyszami w Weyrze i czuli się mocno związani ze sobą od czasu, gdy młody P’tero Naznaczył Ormontha.

Ruch i zmiana ciśnienia atmosferycznego zwróciła uwagę K’vina. Spojrzał w dół na krater Bendenu.

Craigath ostrzega, przekazał mu Charanth. Trzy, dwa, jeden... START!

Rozkaz padł z wielu umysłów i gardel w ciemnościach nad Weyrem Benden. Czerń pomiędzy była bardziej intensywna, ale niewiele mniej mroźna, niż powietrze nad szczytami, gdzie oba skrzydła pojawiły się w rzeczywistej przestrzeni. K’vin cieszył się, że pomyślał o zasłonięciu sobie ust i nosa wełnianą tkaniną, mimo że wdychane przez nią, rozrzedzone powietrze wcale nie wydawało mu się cieplejsze. Poniżej ośnieżone góry świeciły własnym, niesamowitym blaskiem. Belior chylił się ku zachodowi, a gdy jeździec spojrział na wschód, ujrzał wyraźnie widoczny wśród innych gwiazd, złowroźnie rozjarzony glob Czerwonej Planety.

W ciemności rozkwitły języki ognia, gdy gotowym do walki smokom zaczęło się odbijać. Za dużo kamienia ogniowego w brzuchach, stwierdził K’vin z profesjonalnym dystansem, ale nie mógł przecież winić jeźdźców ani smoków za nadmiar gorliwości.

Czekali na tę chwilę przez dwa stulecia: dwa stulecia ciągłego szkolenia, dwa stulecia poświęceń, po to, aby dziś stanąć w gotowości i bronić swej planety.

W pewnym sensie zdarzyło się to po raz pierwszy. Gdy perneńscy osadnicy zetknęli się z opadającymi Nićmi, nie mieli smoków. Planeta niemal uległa zagładzie, zanim z pomiędzy nad Warownią Fort wychynęło pierwszych osiemnaście smoków, by spopielić w powietrzu pasożytnicze organizmy i natchnąć nadzieją obłączonych obrońców. K’vina zawsze poruszała odwaga zrozpaczonego admirała Paula Bendena... właściwie powinien nakłonić P’tera, by przeczytał zapiski admirała, poczynione w przeddzień wielkiego triumfu. Niedawno, gdy po raz kolejny sięgnął po dziennik Bendena z tamtego okresu, wzruszenie ścisnęło go za gardło, gdy czytał:

„A wtedy młody zawadiaka miał czelność zasalutować i powiedzieć: — Admirale,

mam zaszczyt przedstawić panu Smoczych Jeźdźców z planety Pern”.

Kolejne wybuchy ognistego gazu i wszystkie głowy zwróciły się na północ.

Nadchodzi, oświadczył Charanth. W brzuchu mu grzmiało tak donośnie, że K'vin wyczuwał wibrację nogami. Nagle zdał sobie sprawę, że ciepło jest mu tylko od wewnętrznej strony ud, przylegających do smoczej szyi. Nie czuł dotknięcia wełnianej tkaniny na nosie. Może powinni zejść ze trzysta metrów niżej... popatrzył na środek zgrupowania skrzydeł, gdzie czekali M'shall z Craigathem. Dowództwo należało do Bendenu, nie do niego.

I nagle zobaczył lśniąca masę na czarnym niebie, jak sztandar rozwijany z jakiegoś odległego miejsca, sztandar, który falował, związał się i rozwijał. Serce zabiło mu gwałtownie. Poczul dziwny dreszcz... ale może to tylko ze względu na przeszywające zimno panujące na tej wysokości.

Charanthowi coraz gwałtowniej burczało w brzuchu. Z pyska buchnął niewielki płomyk.

Spokojnie, mały!

Stoję w miejscu! To one nadchodzą! Tym razem mogę zionąć!

K'vin nie mógł mieć pretensji do Charantha o tę uszczypliwą uwagę. Dziwne, ale nie odczuwał lęku na widok zbliżających się Nici. Miał poczucie, że jego obecność w tym miejscu i czasie jest nieunikniona, musi obserwować to zjawisko, musi stać się częścią linii obronnej.

Nici nadchodziły falami, coraz bliżej i bliżej, a tłumnie zebrane oddziały obserwowały je w milczeniu. Widać było, jak front mglistej chmury opada na zbocza górskie. W mroźnym powietrzu nie pojawiło się ani jedno pasemko dymu, towarzyszącego rozpuszczaniu się pasożyta.

Siwe pasma opadały równymi strumieniami i zamarzały na śmierć w śniegu. Nigdzie nie widać było ani kłębków, ani pustych miejsc.

Craigath polecił nam przegrupować się przy drugim punkcie zbórnym.

Tak jest.

O dziwo, K'vinowi nie podobało się polecenie przegrupowania, choć Nici w żaden sposób nie mogły wyrządzić szkody ośnieżonym górcom, więc szkoda byłoby na nie czasu i płomienia. Zdawało mu się jednak, że poddają się bez walki.

Charanth przekazał polecenie pozostałym smokom i skoczył w pomiędzy.

Na nowej, niższej pozycji powietrze było wyraźnie cieplejsze. K'vin potarł nos i policzki, by przywrócić krążenie krwi w skórze. Stracił czucie w czubkach palców od tego zimna.

Na wschodzie niebo rozjaśnił blask przedświt; Czerwona Planeta nieco zbladła na poszarzałym niebie. Nici nagle przybrały złowróżbny wygląd. Coraz więcej smoków zaczęło ziać płomieniami. Poleciał Charanthowi, by się lepiej pilnowały, bo zabraknie im na później.

Nagle oczekiwanie zaczęło mu doskwierać. Tyle czasu to już trwa, prawda? Dwieście lat! Kiedy wreszcie się zacznie?

Ale Nici opadały na śnieg... były już tak blisko, że widział dziury, wypalane przez nie w bieli.

TERAZ! Komenda Craigatha dotarła do umysłu K'vina w chwili, gdy Charanth ryknął, zionął potężnym płomieniem i machnął skrzydłami, by nabrać pędu do szarży. K'vin uchwycił się pasa bezpieczeństwa, rozpaczliwie poszukał dłonią liny, mocującej przed nim worki z kamieniem ogniowym i z całej siły ścisnął kolanami szyję spiżowego smoka. Uniósł prawą rękę i wskazał przed siebie, jakby którykolwiek z jeźdźców mógł przegapić rozkaz Craigatha albo smocze ryki, którymi odegrzmiało całe niebo.

Lecieli szeregami, Telgar był drugi, nieco z tyłu za najwyższymi skrzydłami z Dalekich Rubieży. Między dwiema grupami smoków na różnych wysokościach było dość miejsca, by płomienie z góry nie szkodziły tym z dołu, i by pozostało dość miejsca na manewry. Wszystkie Weyry ćwiczyły to ustawienie tak długo, aż jeźdźcy instynktownie zaczęli zachowywać przypisaną sobie wysokość.

Chwila, gdy ognisty oddech Charantha spopielił opadającą Nic, była dla obu partnerów transcendentnym doświadczeniem. Charanth wspaniale ział, aż przepalił całe pasmo. Nagle znaleźli się na zewnątrz, poza Opadem i wykonali zwrot. K'vin zdążył rzucić okiem na resztę swoich jeźdźców i ujrzał jak zawracają wraz z nim... oto długie, długie godziny nużących ćwiczeń przyniosły efekt w postaci idealnego manewru. O mało nie pękł z dumy. Poniżej i powyżej inne skrzydła także zawracały. Smoki ziały ogniem, atakując kolejne pasmo Nici. Potem jeszcze jedno. I następne.

Są tu Meranath i reszta, powiadomił go Charanth opuszczając łeb, by przypatrzeć się czemuś w dole.

Naprawdę? Obróć się. K'vin również skierował wzrok w dół. Ujrzał jedyną w swoim rodzaju zlocistą strzałę, którą tworzyły lecące nisko królowe. Miotacze płomieni w rękach jeźdźczyń tu i ówdzie błyskały ogniem, niszcząc zbłąkane Nici, które umknęły uwadze lecących wyżej smoków.

Czy Meranath dobrze sobie radzi?

Meranath lata bardzo dobrze, potwierdził z dumą Charanth.

Powiedz oddziałom, że czas na pierwszą zmianę, poleciał jego jeździec i wychylił się w

bok, by obserwować manewr. Wysoko uniósł prawą rękę i zlustrował szeregi jeźdźców z Telgaru. Opuścił rękę i naliczył dziewięć, a nawet dziesięć smoków wciąż ziejących płomieniami. Po chwili i one się wypaliły. Doliczył do pięciu i nagle za nim przeleciały całe skrzydła. Gestem potwierdził, że zauważył ich przybycie. Na nic więcej nie było czasu, bo ściana Nici już znalazła się w odpowiedniej odległości do walki i Charanth był gotów je palić. Jak do tej pory, nie można było nic zarzucić telgarskim oddziałom.

Wydawało mu się, że już po krótkiej chwili worki z paliwem były puste. Przekazał Charanthowi, by zażądał uzupełnienia. Zdziwił się, że już minęła noc i nastał dzień... ale zauważył to tylko dlatego, że promienie słońca oślepiły go, gdy znów skierowali się na wschód. Nie bez powodu jeździeckie gogle miały przyciemnione szkła.

Kamień ogniowy dostarczyli Z'gal z błękitnym Tracathem. Elegancko zniżyli się tuż nad nimi i zarzucili pełne sakwy na szyję Charantha. K'vin rozwiązał supeł mocujący puste worki i zdążył jeszcze zauważyć jak Tracath obrócił się i zanurkował, a Z'gal sprawnie pochwycił je w powietrzu i obaj natychmiast zniknęli pomiędzy.

Pochwal Tracatha za sprawną akcję, poprosił.

Byli już nad pomocnym skrajem Bendenu, nad pastwiskami, lasami i małymi gospodarstwami rolnymi. Teraz jeszcze ważniejsze stało się dokładne, staranne niszczenie Nici. Skrzydło królowych było dużo wyraźniej widać, gdyż złoto odcinało się od ciemnozielonego lub brązowego tła pól, które jeszcze nie pozieleniały z wiosną.

Znów trzeba było uzupełnić kamień. Po raz drugi wezwał skrzydła do zmiany i zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony.

Dobrze się czujesz, Charanth?

Dobrze zionę. Skrzydła mam mocne. Jest dobrze.

Spokojny, mocny głos spizowego smoka dodał mu sił. Tak, byli razem i robili to, do czego zmierzało całe ich wychowanie i szkolenie.

Meranath mówi, że jesteśmy już nad Bitrą. Znów zawrócili na zachód, gotowi do następnej szarży. K'vin spostrzegł, że z nieba opada mniej Nici, a między kolejnymi pasmami zdarzają się przerwy. Czy Opad już się kończy?

Nie był pewien, czy w głosie smoka brzmi zadowolenie, zaskoczenie, czy rozczarowanie, ale sam odczuł ogromną ulgę. Przetrwał najtrudniejszy test sprawności dla Przywódcy Weyru.

Jeszcze raz przelecieli na wschód i nad głową zaświeciło im czyste niebo bez Nici. Szczęśliwe okrzyki poniosły się od jeźdźca do jeźdźca i wszyscy w zasięgu wzroku K'vina z radością unieśli ramiona w górę.

Powinniśmy wylądować w Bitrze. Może trzeba będzie palić zagrzebane Nici, które nam się wymknęły, powiadomił Charantha. Powiedz wszystkim, że świetnie nam poszło i że mogą wracać do domu, oprócz J'dara. J'dar poleci razem z nami na odprawę. M'shall będzie miał przyjemność rozesłać nas na odpoczynek! Czy mamy rannych?

Było to tradycyjne pytanie Przywódcy na zakończenie Opadu, choć dostawał raporty na bieżąco podczas walki, by mógł na czas uzupełnić szeregi.

Tylko drobne oparzenia płomieniem. Nikt nawet nie zawracał sobie głowy raportowaniem.

K'vina wcale nie ucieszyło ukrywanie przed nim kontuzji, ale z drugiej strony doskonale rozumiał obawę jeźdźców, że pośle ich na ziemię z powodu nieznaczących oparzeń. Dopiero teraz zauważył, że sam ma sporo wypalonych dziur na skórzanych spodniach... ani jedna iskra nie dotarła jednak do ciała. Oby wszystkie Opady były tak bezproblemowe! Policzy się z ryzykantami przy okazji następnego bojowego lotu. A przedtem udzieli całemu Weyrowi ostrej reprymendy, by uchronić te waleczne koguciki przed śmiercią.

Tym razem skrzydło królowych miało przyłączyć się do dowódców skrzydeł w Bitrze, choć normalnie smoczyce zostawały w powietrzu, by pomagać patrolom naziemnym.

Zulaya podbiegła do K'vina jak tylko wylądował, objęła go i pocałowała z entuzjazmem.

— Udało się. Udało się nam!

— Na razie — odpowiedział i przytulił ją mocno. Był wdzięczny P'terowi za to, że wtedy tak go rozdrażnił. Od tamtej pory związek K'vina z Zulaya przeszedł cudowną metamorfozę. Patrzyła na niego w taki sposób, bez przerwy pragnęła jego bliskości... no cóż, teraz naprawdę byli parą Przywódców.

M'shall kręcił się wśród jeźdźców: kogoś poklepał po ramieniu, podziękował Przywódcom Weyrów za walkę z Opadem, bez żadnych poważniejszych ran. Na jego twarzy bezustannie gościł szeroki uśmiech.

— Powiedziałbym, że był to normalny Opad — wygłosił S'nan z mądrą miną.

— A skąd można to wiedzieć? — spytał G'don.

— Z kronik, mój panie, z kronik — warknął S'nan w odpowiedzi. — Dokładnie tak samo Sean opisał Opad numer 325, z roku 58 po Lądowaniu. Dokładnie tak samo.

— Ach, Opad numer 325? — spytał B'nurrin z psotnym błyskiem w oku. — Mnie się raczej zdawało, że bardziej przypominał numer 499 z roku 60 P.L.

— B'nurrinie! — uniesione brwi M'shalla sugerowały, że niepokorny Przywódca Igeny powinien natychmiast zaprzestać dokuczania S'nanowi.

— Och, dziś udało nam się aż za dobrze — potrząsał głową D'miel z Isty. — Byliśmy w szczytowej formie. Spodziewałem się czegoś o wiele gorszego...

— Cóż za miłe rozczarowanie! — dociął mu K'vin, ale w zasadzie zgodził się z tą opinią. Wszystko poszło aż za dobrze.

Tę uwagę powitał pomruk aprobaty.

— Podczas Opadu nie wolno się dekoncentrować. Nigdy! — S'nan wygłosił kolejny komunał.

— Trzeba będzie zdwoić ostrożność podczas drugiego Opadu, nad południowym Bendenem i Keroonem — szepnęła Zulaya do K'vina.

— No cóż, ja byłem zadowolony z moich skrzydeł. Mało co przedostało się w dół — powtórzył. — Dzięki pracy szwadronów w górze i skrzydła królowych, tylko cztery Nici zdołały zagrzebać się w gruncie, a i z tymi sprawnie sobie poradzono. Dzięki Vergerinowi...

Lord Bitry częstował tłum na dziedzińcu musującym winem Hegmona.

— Pomyślcie tylko, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Chalkin został u władzy! — powiedziała Irena, pozdrawiając Vergerina uniesionym kieliszkiem.

— Ach, lepiej nie zawracać sobie tym głowy! — przerwała jej Laura z Isty, śmiejąc się z nieco afektowaną ulgą.

— Na pewno nie byłoby szampana — stwierdziła Irena. — Jestem o to dziwnie spokojna!

— Jak wycygałeś te bąbelki od Hegmona, Vergerinie? — dopytywał się G'don, pieszczotliwie gładząc kieliszek.

— Stara przyjaźń nie rdzewieje, i tyle — odparł Vergerin z uśmiechem.

— Czy były jakieś doniesienia o oparzeniach? — spytał M'shall, poważniejąc.

— U mnie tylko drobne oparzenia płomieniem — odpowiedział K'vin.

Pozostali przywódcy, jeden po drugim składali podobne meldunki.

— Ano cóż, mamy cholerne szczęście, jeśli to wszystko. Chociaż dostaję dreszczy na myśl, jacy beztroscy potrafią być jeźdźcy — podsumował M'shall. — Trzeba ich jakoś utrzymać w dyscyplinie.

— I na smoczycy grzbietach — dodała jego partnerka.

— Popatrzmy na to w ten sposób — oświadczył B'nurrin, uśmiechając się od ucha do ucha: — Zostało nam mniej więcej 6649 Opadów, zanim będziemy mieć je z głowy na następnych dwieście lat.

Nastąpiła chwila oniemiałego milczenia, gdy zebrani próbowali przyswoić sobie te

fakty, a potem B'nurrin musiał szybko zmykać przed zirytowanymi kolegami.

— Tak, nadeszło Przejście — powiedział cicho K'vin do dumnie wyprostowanej Zulayi — i znów stanęliśmy do walki z wrogiem.

— Jak wspaniale jest żyć w takich czasach... — I dosiadać smoka!

Tak właśnie zaczęło się Drugie Przejście Czerwonej Gwiazdy nad Pernem!